

Autorka: Anna Millerowa, tłum. KRZYDŁA LAUREL

Aprilynne
Pike
O C A L O N A

Wydawnictwo Dolnośląskie

Pike Aprilynne

Ocalona 01

Ocalona

*Scottowi, którego ogromne poświęcenie w dostarczaniu mi informacji NIE zostało docenione.
Moja wdzięczność dla Ciebie nie przemija.*

Pamiętam spadający samolot.

Nie tyle samo uderzenie o ziemię, ile moment tuż przed nim – i chociaż w rzeczywistości z pewnością trwał ledwie ułamki sekund, mnie wydawał się wiecznością.

Siedziałam z czołem przyciśniętym do maleńkiego okna i patrzyłam przez bezchmurne niebo na przesuwane się nisko gospodarstwa i pola, kiedy nagle wybuchł silnik, a samolot przechylił się tak gwałtownie, że aż mnie zarzuciło. Wybuch był zaskakująco cichy – zapewne stłumiony izolacją kadłuba – ale trudno było nie zauważyć kłębow czarnego jak smoła dymu, wydobywających się ze skrzydła.

Poczułam, jak drży każdy mój nerw, jednak nie odrywałam wzroku od dymu wzbierającego pod moim oknem. Ścisnęłam podłokietniki tak mocno, że rozboleły mnie palce. Próbowałam utrzymać się w fotelu, bo samolot wyrwał do przodu, po czym zaczął pikować. Pęd wbił mnie w siedzenie.

Moją uwagę odwróciło dopiero pyknięcie i syk, towarzyszące wysunięciu się z sufitu masek tlenowych, które pełzły w naszą stronę niczym jadowite węże. Wszyscy tyle razy słyszeli wygłaszane monotonicznie procedury w przypadku zagrożenia, że ręce odruchowo powędrowały w stronę masek. Dorośli założyli je najpierw sobie, a dopiero potem swoim dzieciom.

Ja jednak nie zadałam sobie trudu, żeby to zrobić.

Nawet wtedy, gdy mama wcisnęła mi maskę do rąk. W jej oczach czaił się paniczny strach, chwyciła tatę za palce tak mocno, że z pewnością wbiła mu paznokcie do krwi.

Dopiero dzięki obsłudze pokładowej dotarła do mnie powaga sytuacji. Dwie stewardesy stały w przejściu, próbując skupić na sobie uwagę pasażerów, i pokazywały pozycję awaryjną, jakby to miało komukolwiek pomóc. Popatrzyłam na trzeciego członka załogi. Nie starał się przypiąć, nie pomagał nikomu, tylko stał, dziwnie nieruchomy, pośród tego wielkiego chaosu, i spoglądał za okno, a po policzkach spływały mu dwie łzy.

Wtedy zrozumiałam, że za chwilę wszyscy zginiemy.

W tym samym momencie mój strach rozpląnął się, poczułam wszechogarniający spokój. Przed oczami nie przemknęło mi moje dotychczasowe życie, nie czułam żadnego żalu ani tęsknoty. Tylko ten wypełniający mnie spokój.

Rozluźniłam się, przestałam walczyć i popatrzyłam za okno – na zbliżającą się pędem ziemię, która miała nas pochłoniąć.

* * *

Z przerażeniem wpatruję się w zdjęcia. To musi być prawda, nie ma innego wytłumaczenia.

Pora mogłaby być lepsza.

Albo i gorsza.

– Zniknęła? – Zadaję to pytanie najbardziej lodowatym tonem, na jaki mnie stać. Moja wściekłość nie jest jednak wymierzona w niego, tylko we mnie. Ponieważ nie udało mi się zrozumieć tego wcześniej. A trzeba było. Wszystko balansuje na krawędzi, co może oznaczać katastrofę.

Albo ocalenie.

– Robimy, co możemy. – Trajkocze coś o staraniach i wysiłkach, ale nie mam cierpliwości, żeby go słuchać. Podchodzę do okna z rękoma skrzyżowanymi na piersi, wpatruję się w bujne ogrody, jednak nic nie widzę.

Nie, to nieprawda. Widzę jej twarz. Twarz, którą znam chyba dłużej niż własną. Od której – jak się wydawało – udało mi się uwolnić.

Teraz już nigdy się nie uwolnię. Ona jest mi potrzebna. Jest potrzebna nam. Jakże ciężko nie dostrzegać gorzkiej ironii tej sytuacji: po tym wszystkim, co zrobiła, jest mi potrzebna. Bez niej wszystko rozpadnie się na kawałki.

Bardziej niż do tej pory.

A ona niemal zginęła. Z mojej ręki.

Terapia łączy wszystko, co najlepsze i najgorsze w moim życiu. Siedzę na kozetce sztywnej, jakbym kij połknęła, czując, że za chwilę nie będę w stanie powstrzymać łez. Mrugam, żeby je odpędzić. I nie dlatego, że się wstydzę, w końcu wypłakałam już oczy przed Elizabeth. Po prostu mam płaczu po dziurki w nosie.

Nie lubię rozmawiać o rodzicach, ale zadaniem Elizabeth jest zmuszanie mnie do tego od czasu do czasu. Na przykład dzisiaj. Chciała, żebym skupiła się na radosnych wspomnieniach, ale to tylko mi przypomniało, że już nic podobnego nigdy więcej się nie zdarzy. Ten rozdział mojego życia został zamknięty i zapieczętowany.

Na zawsze.

Nie wróci nigdy.

Wielkie, rozpaczliwe nigdy.

– Hej – odzywa się Elizabeth, a ja wracam do rzeczywistości tak gwałtownie, że aż się zapowietrzam. – Zawsze mogło być gorzej. Mogłabyś być sierotą z uszkodzeniami mózgu i niesprawną nogą oraz mieć pryszcze na twarzy.

Przez chwilę wpatruję się w nią szeroko otwartymi oczami, próbując stwierdzić, czy to był dobry, czy raczej wyjątkowo kiepski żart. Jednak mina Elizabeth – melodramatyczna troska z bladym cieniem współczucia – przebija moją skorupę. Wybucham śmiechem, ocierając mokre oczy.

Muszę przyznać, że z moją psychoterapeutką łączą mnie dziwne relacje. Mam taką teorię: to dlatego, że żadna z nas nie uważa mnie za wariatkę.

Nawet nie pozwala mówić na siebie „doktor Stanley” – jak to widnieje na zdobiących ściany dyplomach. Chce, żebym zwracała się do niej po imieniu. Początkowo sądziłam, że to jeden z tych tanich chwytów, które dorośli stosują wobec nastolatków, żeby ci się rozluźnili i zaczęli zwierzać, ale Elizabeth autentycznie krzywiła się za każdym razem, gdy wymawiałam jej nazwisko, więc w końcu się przestawiłam. Teraz przychodzi mi to naturalnie.

– No wiesz, Tawio – głos Elizabeth brzmi cicho i poważnie – to wcale nie ma być łatwe. Myślę, że jesteś bardzo dzielna i doskonale sobie ze wszystkim radzisz.

– Nie mam takiego wrażenia – wyznaję, zakładając czarny kaptur. Zawsze lubiłam bluzy, a teraz wyjątkowo sobie cenię każdy strój, który zakrywa moją głowę, a wraz z nią bliznę pod ciągle zbyt krótkimi włosami.

– Zaufaj ocenie specjalisty – mówi z uśmiechem i wyprowadza mnie do ciemnej i pustej poczekalni. – Chyba nie wracasz pieszo? – pyta, kiedy dochodzimy do drzwi. Musiałyśmy przełożyć stałą wizytę na inny termin, jest późno, jej sekretarka – Barbie, jak ją nazywam, bo ma plastikową twarz i prawie w ogóle się do mnie nie odzywa – poszła już do domu.

– Nie, Reese po mnie przyjeżdża. – Zwykle wracam sama, zgodnie z zaleceniem rehabilitanta, ale ponieważ jest tak późno, Reese powiedziała, że mnie odbierze.

W sumie nie mam nic przeciwko temu.

Jak można się było spodziewać, moja zorganizowana i punktualna ciotka już czeka w swoim bmw, zaparkowanym tuż przy wejściu. Przechyliła się w stronę drzwi pasażera, otwiera je i macha palcami do Elizabeth.

– Cześć, Tave. Jak było? – pyta, ruszając. Nie patrzy na mnie, tylko na drogę.

– To terapia – odpowiadam, zapinając pas. – Więc było t e r a p e u t y c z n i e. – Opieram głowę o szybę, nie mam ochoty o tym rozmawiać. Terapia to... to coś bardzo osobistego. I chociaż jestem ogromnie wdzięczna Reese oraz mojemu wujowi Jayowi za to, że przygarnęli przyszywaną bratanicę, której wcześniej nawet nie znali, to jednak nie czuję, że są

moją rodziną.

Na szczęście Reese łapie, o co chodzi, i ledwie skręcamy z parkingu na szosę, włącza radio. Ma nieprzebrane pokłady cierpliwości. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie, bo z klientami po drugiej stronie słuchawki bywa różnie.

Po drodze przyglądam się ulicom. Portsmouth w stanie New Hampshire to jedno z najstarszych miast w Stanach, a władze bardzo tu dbają o zabytki kolonialne. Jestem skrytą fanką historii i przez pierwsze miesiące pobytu tutaj spacerowałam – na ile pozwalała mi chora noga – i oglądałam ważne miejsca, pomniki, zwiedzałam muzea. To wszystko idealnie do siebie pasuje – miasto osadzone w przeszłości i ja, uwięziona w mojej własnej.

Portsmouth to śliczne miasto. Uwielbiam stare budynki, teraz już nikt takich nie wznosi. Jest w nich piękno i wdzięk, które ludzkość gdzieś zatraciła. Może i art déco to wyszukany styl, ale ręcznie rzeźbione detale architektury kolonialnej budzą we mnie tęsknotę za tym, co było.

Najbardziej lubię stojące tu i ówdzie idealnie zachowane osiemnastowieczne domy, schowane pomiędzy nowoczesnymi budynkami w zwyczajnych dzielnicach mieszkaniowych. Są jak skarby ukryte w piasku czekające na odnalezienie. Ciężko je zlokalizować, kiedy człowiek pędzi w samochodzie z prędkością światła – co Reese wyraźnie lubi – ponieważ zwykle stoją głębiej, często przysłonięte rozłożystą koroną jakiegoś starego drzewa. Jednak kiedy idę pieszo, sama, zawsze ich szukam. Chciałabym poznać ich historie, ale jestem zbyt nieśmiała, żeby zapukać do cudzych drzwi.

Zamiast tego robię zdjęcia i wymyślam własne historie. Mam już chyba z tysiąc fotografii w telefonie. Chciałabym... chciałabym je naszkicować, namalować.

Jednak od czasu wypadku nie jestem w stanie rysować.

Coś w tych starych domach działa na mnie kojąco, niemal przyzywa mnie do siebie. Wyciągam komórkę i przeglądam album, szukając zdjęcia ulubionego budynku. Powiększam je, próbując wyobrazić sobie drewniane klepki malowane akwarelą, odcień przezroczystych firan, które widzę w oknie.

– Tuż przed wyjazdem po ciebie zadzwonił telefon... – Do mojego umysłu powoli zaczyna docierać, że Reese coś do mnie mówi. – Uznałam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu – dodaje i spogląda na mnie wyczekująco.

– Przepraszam, ja... że co? – Upycham komórkę do starego czerwonego plecaka. Obawiam się, że wyłączenie się z rozmowy to ostatnio moja specjalność.

Kiedys tak nie było.

– Nie przeszkadza ci, że wpadniemy do sklepu po mleko? Skończyło się – powtarza, ścisząc odbiornik.

Myślę posępnie o snobistycznym sklepie z ekologiczną, organiczną żywnością, który Reese uwielbia. Po prostu świetnie.

– Mogę poczekać w samochodzie? Ja... boli mnie noga – kłamię.

Chociaż nie do końca. Co prawda minęły już trzy miesiące, odkąd zdjęto mi gips, jednak lekarze – opisując moje połamane kości zarówno pod, jak i nad prawym kolaniem – użyli określenia „p o t r z a s k a n e”. Z czegoś takiego długo się wychodzi, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę zmniejszoną sprawność po zeszlórocznej operacji mózgu.

A przynajmniej to właśnie powtarzają mi rehabilitanci za każdym razem, kiedy ogarnia mnie zniechęcenie.

Reese marszczy czoło przez sekundę, ale przyjmuje moją wymówkę.

– Jasne. Zaraz wrócę.

Zostawia włączony silnik. Ledwo znika mi z pola widzenia, podkręcam ogrzewanie i opieram głowę o szybę.

Wokół parkingu nadal leży kilka kupek szaroburego śniegu. Jeszcze się nie roztopił, ale pewnie wkrótce to nastąpi. Pośród pomarszczonej, brązowej zeszłorocznej trawy kiełkują zielone listki, w całym mieście wschodzą tulipany.

Dobrze, że nie pada grad, jak wczoraj.

W zasadzie pora na wiosnę, na lekkie kurteczki, a nie grube skafandry, ale pogoda przez okrągły rok była bardzo dziwna. W lutym stopniał c a ł y śnieg, a meteorolodzy przewidywali suszę i fale upałów. Dwa tygodnie później w jedną noc spadł jednak metr śniegu. Ledwo pługi wydostały się z zasp i wyjechały na ulicę, zima wróciła na dobre. Ale i tak były to dziwne miesiące.

Otulam się szczelniej cienką kurtką, przypominając sobie parę dni, kiedy temperatura spadła poniżej zera – oraz potężną burzę śnieżną tuż przed – i podsuwam dłonie pod wywietrzniki. Nie licząc kurteczki z kapturem, nie mam na sobie nic ciepłego. Powinam wkładać coś innego niż stare topy i T-shirty z nadrukiem, przynajmniej zanim nadejdzie lato, ale to oznaczałoby konieczność wybrania się na zakupy, a ja nie chcę wydawać nie swoich pieniędzy. Nawet jeżeli Reese twierdzi, że jej pieniądze należą też do mnie. W końcu jednak będę musiała się złamać i kupić nowe dżinsy – te mają już zupełnie przetarte kolana. Jestem wysoka i raczej szczupła, ale mam bardzo długie nogi i dlatego trudno mi znaleźć spodnie, które nie okażą się za krótkie. Kiedy trafię na coś takiego, noszę, aż się podrażnią strzępy – czyli mniej więcej do takiego stanu, w jakim jest ta para.

Podczas gdy rozgrzewają mi się palce, omiatam wzrokiem ulicę i zatrzymuję się na stojącym po drugiej stronie budynku. Jest pomalowany na wiśniowy kolor, a przed werandą rośnie rabata z bordowymi i złocistymi tulipanami. Na białym ganku siedzi mała dziewczynka i bawi się lalką. Uśmiecham się, bo ma na sobie słodką, staroświecką sukienkę i fartuszek – chociaż nie jest to aż tak niezwykły widok w tej okolicy. W takich starych miastach jak Portsmouth ciągle ktoś odgrywa historyczne scenki, tyle że najczęściej z czasów wojny o niepodległość. Ta mała wygląda świetnie. Bardzo autentycznie.

Co prawda, sukienka jest trochę zbyt jaskrawa, a pukle to z pewnością dzieło lokówki, a nie zawijanych na noc papilotów, ale przecież od tego są nowoczesne wynalazki. Uśmiecham się ponownie, kiedy dostrzegam, że lalka to stara szmacianka.

Dziewczynka unosi śliczny podbródek, bo z domu wychodzi mężczyzna i do niej dołącza.

Nie, to nie żaden starszy pan. Jest zbyt młody, żeby być jej ojcem. Widzę jedynie zarys jego twarzy, wygląda mniej więcej na osiemnaście lat, tyle co ja. Może odrobinę więcej. Odgrywanie scenek historycznych musi być rodzinnym hobby, bo chłopak jest ubrany w granatową marynarkę i ma wysoki kapelusz nałożony na jasne włosy, które związał sobie na karku.

Nie mogę narzekać, miło zatrzymać na nim oko.

Niestety, te gęste, złociste włosy to na pewno peruka. Większość ludzi nie posuwa się aż do zapuszczania włosów, a ci, którzy to robią – no cóż, zwykle są... nieco dziwni.

Chłopak kuca obok dziewczynki, a ja zaczynam się zastanawiać, dlaczego pantalony wyszły z mody. Powiedzmy, że od tyłu prezentują się rewelacyjnie. Unoszę brwi z podziwem i mrużę oczy, żeby lepiej widzieć. Na szczęście beemka ma przyciemniane szyby, więc mogę do woli napawać się widokiem, jakże słodkim dla oka. Tak rzadko miewam chwile zwykłej, przypadkowej radości.

Chłopak wstaje, trzymając małą za rękę, i jak gdyby wyczuwał na sobie mój przenikliwy wzrok, odwraca się. Zasycha mi w gardle, kiedy wpatruje się intensywnie w moją stronę.

Przecież chyba mnie nie widzi? Te ciemne szyby auta Reese z drugiej strony są niemal jak lustro. Ale on nie spuszcza ze mnie wzroku, otwiera tylko szeroko oczy ze zdumienia,

widocznego nawet z miejsca, w którym siedzę.

Robi kilka kroków w moim kierunku i wbija we mnie przeszywające spojrzenie, aż zaciskam palce. Jestem pewna, że nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności. Niby jak...?

Przystaje na drugim schodku i odwraca się, by spojrzeć na dziewczynkę. Ta ciągnie go za rękę do tyłu. Zatrzymuje się, widzę wahanie. Przez moment spogląda na małą, a potem znów na samochód, ewidentnie nie wie, co robić.

Nie jestem w stanie oderwać od niego wzroku, chociaż czuję, jak ciepła fala zalewa mi policzki. Z tej odległości nie rozpoznaję koloru jego oczu, ale widzę, że się we mnie wwiercają. Mija kilka sekund, zanim zdam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech.

Nagły dźwięk telefonu wdziera się w ciszę i czar pryska. Spoglądam na wyświetlacz i widzę wiadomość podpisaną *Benson Ryder*.

Koniec?

– Już nie miał kiedy pisać? – mruczę pod nosem, ale nie mogę powstrzymać uśmiechu. Szybko mu odpisuję.

Miałam znajomych w Michigan – w moim dawnym życiu, jak zwykłam o nim myśleć – ale to były powierzchowne znajomości. Moim światem była sztuka, a przyjaciele mnie od niej odciągali. Szkolni przyjaciele. Kiedy Reese i Jay powiedzieli, że muszę zerwać kontakty ze wszystkimi ludźmi z Michigan, żeby media nie dowiedziały się, gdzie mieszkam, przyznaję – wcale nie było mi z tego powodu smutno. To takie... banalne znajomości.

Ale Benson... Benson jest inny. Widuję go prawie codziennie. Często do siebie piszemy. Czasem długo rozmawiamy przez telefon.

On wie. O w s z y s t k i m.

Tylko on, nikt więcej.

Jako jedyna osoba, która przeżyła katastrofę lotniczą, budzę zainteresowanie. Prowokuję pytania. A to oznacza, że do wszystkiego muszę wracać – do bólu, operacji, mglistych wspomnień.

Rodziców.

Łatwiej kłamać, opowiadać dookoła, że złamałam nogę w wypadku samochodowym. Nikt nie wypytuje o szczegóły, niektórzy nawet twierdzą, iż „mam szczęście, że żyję”.

Ci, którzy to mówią, nigdy nie stracili nikogo bliskiego.

Lekarze wiedzą, co się stało, wie moja psychoterapeutka Elizabeth, no i, rzecz jasna, Reese i Jay. Oprócz nich już nikt. Im mniej osób do zdradzenia mojego nowego adresu mediom, tym lepiej. Dziennikarze od razu rzuciliby się, żeby zdobyć wyłączone prawo do publikowania mojej historii, mimo że upłynęło już tyle miesięcy od katastrofy.

Bensonowi też wszystko zdradziłam. Czy raczej wszystko ze mnie wyciągnął. Nie powiem, że wbrew mojej woli – im bardziej się do niego zbliżałam, tym bardziej chciałam mu opowiedzieć. Przestać kłamać. Kiedy to zrobiłam, poczułam wielką ulgę. Miło było powiedzieć prawdę, zwłaszcza komuś, kogo s a m a wybrałam.

Nie wspominałam o tym Reese. Nie mam pojęcia, czy byłaby z tego powodu zła – w końcu to moje życie – ale ta niepewność wystarcza, żebym się powstrzymała przed rozmową.

Zresztą, Benson dochowa tajemnicy.

Czasem wydaje mi się, że jest mi potrzebny – on i to nasze kumplowanie się – i to mnie przeraża.

Wszystkie osoby, których dotąd potrzebowałam, już nie żyją.

Przyciskam „wyślij” i przenoszę wzrok w miejsce, gdzie stał nieznajomy z dziewczynką, ale zdążyli już wejść do domu. Próbuje walczyć z dziwną melancholią, która mnie nagle ogarnęła. Wpatruję się w budynek, jakbym chciała przywołać ich z powrotem, a kiedy mrugam,

coś zaczyna błyszczeć ponad drzwiami. Otwieram szeroko oczy, jednak błysk zniknął...

Nie, nie do końca...

Niczym cień na obrzeżach pola widzenia, tak blady i nikły, że muszę kilkakrotnie zamrużyć, by go dostrzec, a jednak tam jest. Połyskujący nad drzwiami kształt. Trójkąt.

Z całkowicie nieznanymi mi przyczynami moje serce zaczyna nagle walić jak oszalałe.

Moje koszmary dotyczą zwykle katastrofy i tego, czego nie pamiętam. Czasem jestem zmuszona przyglądać się, jak w zwolnionym tempie ciała moich rodziców są rozrywane, krew tryska mi na twarz, przysłania wzrok czerwienią, którą trudno pomylić z czymkolwiek innym. Niekiedy pojawiają się ja, zgnieciona we wraku. Moje ręce składają się pod nienaturalnym kątem, kości pękają, aż zostaje z nich jedynie potrzaskana masa.

Tak właśnie powinno być się stać.

Może to chore, ale podczas pobytu w szpitalu sporo czasu spędziłam, buszując po Internecie, oglądając zdjęcia z katastrofy. I chociaż media nie dowiedziały się, jak się nazywam, ich przedstawiciele doskonale się orientowali, gdzie siedziałam.

– *Jak twierdzą eksperci, kadłub powinien zgiąć się w tych miejscach* – powiedziała reporterka, wskazując dwa punkty na szkielecie samolotu. – *Jak państwo jednak widzą, wewnątrz kabiny pasażerskiej wygląda tu na zupełnie nienaruszone. Osoba zajmująca siedzenie 24 F – linie lotnicze potwierdzają jedynie, że była to niepełnoletnia pasażerka płci żeńskiej – doznała obrażeń zagrażających życiu, jednak przetrwała w tym nieprawdopodobnym kokonie, którego obecności nikt nie potrafi wyjaśnić. Zupełnie jak gdyby ta część samolotu nie brała udziału w katastrofie.*

Unikam tylko artykułów, w których pokazywane są ofiary. Niezliczone rzędy ciał, niekiedy spod przykrycia wystaje jakaś złamana kończyna. Nie jestem w stanie na to patrzeć.

Z jednej strony boję się, że wśród ciał rozpoznam rodziców: lewą rękę mamy z obrączką na palcu, kostkę taty z tatuażem wijącym się w górę łydki.

Z drugiej strony jestem przepełniona poczuciem winy, że z dwustu pięćdziesięciu sześciu pasażerów tylko ja jakimś cudem ocalałam.

Dzisiaj jednak nie ma ciał ani krwi.

Nie ma nawet samolotu.

Unoszę się na wodzie. Czy to ocean? Rzeka? Jezioro? Nie jestem pewna.

W każdym razie woda jest zimna, lodowata. Wdziera się w skórę niczym ostrze noża, przebija ciało, eksponuje kości. I chociaż wiem, że to tylko sen, cała się trzęsę.

Włosy mam długie, rozpuszczone, unoszą się dookoła. Kiedy zdaję sobie sprawę, że coś wciąga mnie pod powierzchnię, sięgam ręką po przedmioty, które nagle znalazły się obok mnie – kamizelkę ratunkową, kłodę drewna, małą łódkę. Ledwie moje palce ich dotkną, przedmioty znikają, jeszcze mniej realistyczne niż sam sen. Wyczerpana, pozwalam unosić się wodzie, ale włosy owijają mi się wokół rąk, wiążą mnie i krępują.

Coś ciągnie mnie ku dnu. Nie potrafię powiedzieć, czy to prąd, czy moje ciężkie ubranie. Dlaczego mam na sobie takie ciężkie rzeczy?

Nie utrzymam się długo.

Wyrzucam ramiona w bok, szukając czegoś, czego mogłabym się przytrzymać, ale woda się podnosi. Albo to ja opadam.

Unoszę brodę, rozpaczliwie pragnąc wziąć jeszcze jeden oddech, a wtedy dostrzegam świecący wprost na mnie wielki, jasny księżyc. Łzy szczypią mnie w oczy, zdaję sobie bowiem sprawę, że to ostatnia rzecz, którą zobaczę przed śmiercią. Nie czuję jednak strachu, lecz coś zupełnie innego.

Bolesny smutek.

Woda coś mi zabiera.

Otwieram usta, żeby krzyknąć, a wtedy do środka wpływa lodowata ciecz, wypełnia mi gardło, przysparza o ból zębów. Woda zalewa mi głowę, ale nadal mam otwarte oczy, nadal

patrzę na srebrzysty księżyc.

W porywie rozpachy udaje mi się wyrwać ze snu i zmusić prawdziwe oczy do otwarcia. Świeci na nie podobny księżyc, na szczęście ten widnieje za oknem, a nie nad powierzchnią zimnej wody. Nogi mnie bołą, chwytam łapczywie powietrze, jakbym rzeczywiście o mały włos nie utonęła. Kiedy serce przestaje łomotać, dotykam czoła i moje palce trafiają na kropelki potu. Minęło już kilka tygodni od ostatniego takiego koszmaru.

T y g o d n i. Pamiętam czasy, kiedy takie straszne sny pojawiały się raz na parę l a t.

A kiedy przychodziły, zawsze mogłam wskoczyć mamie do łóżka.

Odrzucam koldrę i chociaż po nogach przebiega mi dreszcz od uderzenia nocnego powietrza, przynajmniej czuję, że to nie sen, lecz jawa, że koszmar się skończył. Stopy opieram na twardym drewnie, nie młócę nimi nieprzeniknionego, czarnego bezmiaru jeziora.

„Jezioro – to było jezioro”.

Odsuwam od siebie tę myśl. Nie zamierzam analizować snu, wystarczy, że tak bardzo mną wstrząsnął.

Od czasu gdy rozpoczęłam terapię, wszystko się pogorszyło. Tak działa na mnie rozmawianie o rodzicach.

Nie, muszę być uczciwa wobec samej siebie. Chodzi o coś więcej. O tego chłopaka. Ten dom. I trójką.

Nie daje mi spokoju przez cały wieczór – jakbym go już gdzieś widziała. Ale gdzie? Staram się o tym nie myśleć. Wstaję na drżących nogach i przechodzę przez ciemny pokój w stronę drzwi.

Ciepłe mleko – stare dobre lekarstwo na koszmarny sen.

W kuchni zachowuję się cicho, ale po chwili słyszę skrzypienie schodów i wcale nie jestem zdziwiona, kiedy w progu staje Jay.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho.

– Zły sen – odpowiadam i macham łyżką w kierunku mikrofalówki. To wystarczy, są już przyzwyczajeni.

Jay wchodzi do kuchni i opiera się ramieniem o ścianę. Ma podkrążone oczy.

– Przepraszam, że cię obudziłam – dodaję, lecz zbywa gestem moje przeprosiny, po czym przeczesuje palcami zmierzwiłone snem włosy.

– I tak nie spałem. Nie bardzo się czuję – no wiesz, bezsenność. Może Reese ma rację, może za dużo pracuję – mówi, uśmiechając się z zawstydzieniem. – Tyle że szef zlecił wszystkim nadgodziny ze względu na tego wirusa – wyjaśnia i marszczy czoło. – To... n i g d y nie widziałem czegoś podobnego.

Jay ma chyba około trzydziestu pięciu lat, ale wygląda jak dwudziestoparolatek chodzący w ubraniach dla dorosłych. Gdybym zobaczyła go na ulicy, w życiu nie pomyślałabym, że jest naukowcem. Mój wuj jest biochemikiem czy coś w tym rodzaju.

Jest miły. I łatwo się z nim rozmawia.

Nie znałam go wcześniej, to znaczy przed śmiercią rodziców. Mama Reese i mój dziadek wzięli ślub, kiedy rodzice byli dorośli. Ja miałam jakieś osiem lat. Reese zaczęła studia, mieszkała w akademiku i przez pierwsze kilka lat nawet jej nie spotkałam. Więc świetnie, że w końcu mogliśmy się poznać.

Szkoda, że w takich okolicznościach.

– Znowu ta katastrofa? – pyta cicho, widząc moją minę.

Otwieram drzwiczki kuchenki mikrofalowej, wyłączając ją dwie sekundy przed czasem, żeby pikanie nie obudziło Reese.

– Tym razem nie – odpowiadam, sięgając po porcelanową cukiernicę, po czym nasypuję

sobie kopiastą łyżkę słodkich kryształków. – Nie wiedzieć czemu: utonięcie – mówię i unikając jego wzroku, mieszam zawzięcie mleko.

– Może twój umysł powoli zaczyna sobie z tym radzić? – pyta.

Jay, wieczny optymista.

– Może. – Zerkam na zegar na kuchence.

2:36.

– Nic mi nie jest, Jay. – Teraz, kiedy całkowicie wróciłam do rzeczywistości, wolałabym, żeby go tu nie było, żeby nie oglądał mnie w czasie takiego odpału. – Możesz wracać do łóżka. Dopiję to do końca i też pójdę.

– Na pewno? – Jasnoniebieskie oczy mojego wuja błyszczą, mimo że w kuchni panuje półmrok. – Bo jeśli nie chcesz być sama, zaczekam.

– Wszystko jest w porządku. Mówiłam, że nie śnił mi się samolot, to był zwyczajny zły sen. – Kiedy wypowiadam te słowa, przypomina mi się lodowata woda i ta dziwna, bolesna pustka. „Z w y c z a j n y” nie jest jednak właściwym słowem.

Zmuszam się do uśmiechu i upijam łyk spienionego mleka. Mmmmm. Smak niemal wart koszmaru.

Niemal.

Jay patrzy na mnie przeciągle, ale nic więcej nie może zrobić, i chyba zdaje sobie z tego sprawę. Kiwa głową, odwraca się, żebym nie zauważyła ziewnięcia – które i tak widzę – po czym wraca na górę.

Kiedy schody zaczynają delikatnie skrzypieć, opadam na krzesło i sączę mleko. Wzrokiem omiatam skąpany w księżycowej poświacie ogród, tak srebrzysty, że aż nieprawdziwy. Ciepło płynące od kubka rozlewa mi się po ciele i kiedy dopijam mleko, czuję się o wiele lepiej. Lodowaty chłód mnie opuścił, być może uda mi się zasnąć.

Być może.

Pocieram skronie i zastygam na moment, bo doznaję nagłego olśnienia, niemal słyszę to kliknięcie w moim umyśle.

Wiem, gdzie widziałam ten trójkąt.

Starając się zachować ciszę, biegnę na górę i podnoszę leżący na nocnym stoliku telefon. Nogi zanoszą mnie do okna, przeglądam zdjęcia, które zrobiłam podczas jednego z moich spacerów śladem zabytków. Przecznicą Fifth Street, pomiędzy Piper i Sand. W dzielnicy Old Money.

Jest! Biały dom o sześciu przepięknych szczytach i fantazyjnych okapach. Klikam na zdjęcie, aż ukazuje się zbliżenie głównego wejścia – pomalowanych na wesołą zieleń drzwi, wyróżniających się na tle nieskazitelnie białych murów.

A oto i on. Na zdjęciu nie migocze ani nie błyszczy jak trójkąt na domu tamtego chłopaka. I chociaż nie mogę powiedzieć, że jest wyraźny, to jednak widzę go bez dwóch zdań – blade świecący trójkąt, identyczny z tamtym.

Nawet go nie zauważyłam, gdy robiłam zdjęcie. Co może oznaczać? Stwierdzam, że to znak jakiegoś zwariowanego murarza, ale z jakiegoś powodu nie przekonuje mnie to wyjaśnienie. Siadam pod oknem, opieram się o ścianę i kręcąc nerwowo krótkim pasmem włosów, zerkam na ogród.

Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Zza drzew wyłania się ciemny, duży kształt. „Pewnie głodna sarna”, myślę. Mrużę oczy, wpatruję się w głęboką ciemność i aż podskakuję, kiedy na trawnik wychodzi l u d z k a p o s t a ć. Ma na sobie długi płaszcz i kapelusz, i...

To ten facet z domu z trójkątem. Ten, którego widziałam dzisiaj po południu.

Czuję wstrząs – tak wielki, że znów przeszywa mnie lodowaty chłód. To nie ma

absolutnie żadnego sensu, ale widzę jasne włosy zebrane w kitkę i... po prostu wiem. To on.

Przyszedł pod mój dom w samym środku nocy.

Czy mnie śledził? Co on, do diabła, sobie myśli? Resztką zdrowego rozsądku krzyczy, żebym poszła po Jaya. Jest dwa kroki stąd.

Ale siedzę nieruchomo i tylko patrzę.

Blondyn idzie bardzo powoli przez ogród, kopiąc trawę długimi po kolana butami. Ręce włożył głęboko w kieszenie pantalonów, którymi się wcześniej zachwyciłam, przez co odsunął do tyłu długi płaszcz, ukazując haftowaną kamizelkę. Sprawia wrażenie, jakby zupełnie się nie przejmował tym, że jest na cudzej posiadłości o absolutnie niestosownej porze. Nie ukrywa się, nawet nie próbuje korzystać z osłony drzew. Po prostu... idzie.

Czubek mojego nosa trafia na zimną szybę i zdaję sobie sprawę, że przywarłam całym ciałem do okna. Chłopak odwraca się i spogląda prosto na mnie. Nasze spojrzenia się spotykają.

Zamieram.

Od dwunastu godzin coś jest nie tak z moim organizmem, nie działa zupełnie mechanizm walki i ucieczki, program zaciął się na funkcji „stop”. Nawet nie drgnie mi powieka, kiedy chłopak taksuje mnie wzrokiem – szeroko otwarte oczy, uchylone usta, palce zostawiające smugi na zamrażanej szybie.

A potem s i ę u ś m i e c h a – częściowo zaintrygowany, po części rozbawiony, jakby to była jakaś gra.

Tylko ja nie znam jej zasad.

Mam wrażenie, że siły opuszczają moje ramiona, ręce mi powoli opadają, czubki palców znaczą linie na zaporowanym oknie. Stoimy oboje, zastygnięci w czasie, wpatrujemy się w siebie.

Chłopak unosi rękę i kiwa schowanym w rękawiczce palcem, zapraszając mnie do wyjścia z domu. Wydaję z siebie pisk i odskakuję. Przywieram do ściany, chowam się przed nim.

Chowam g o przed moim własnym wzrokiem.

Czuję, jak krew buzuje mi w skroniach i koniuszkach palców, liczę oddechy, próbując się uspokoić. Kim on jest? Jak mnie znalazł? Po dłuższej chwili odwracam się i zerkam zza firany. „Przecież nie muszę się ukrywać”, przekonuję samą siebie. „Kto jak kto, ale j a nie robię nic złego”.

Chociaż stoję przed oknem i patrzę na ogród przez kilka minut, nic się nie rusza, nic nie widać.

Poszedł sobie.

Nic z tego nie rozumiem. Nie znam tego chłopaka – nie licząc dzisiejszego dnia, nigdy w życiu go nie widziałam.

Dlaczego więc za nim t ę s k n i ę?

Gdy wchodzę do biblioteki, nie widzę Bensaona. Nie jest to aż tak dziwne, w końcu o d c z a s u d o c z a s u także pracuje. Przyszłam tu pod pretekstem odrabiania lekcji, ale tak naprawdę chcę go zobaczyć, porozmawiać. Nerwy mam zszargane: kiedy okazuje się, że go nie ma, mój nadal nie do końca sprawny mózg nie jest w stanie wymyślić planu B.

– Och, Tavia, skarbie. – Cichy głos Marie tak mnie przestraszył, że okręcam się na pięcie z jękiem. Muszę koniecznie nad sobą zapanować. – Benson jest w sali katalogowej. Mam po niego iść?

Marie jest główną bibliotekarką i technicznie rzecz biorąc, szefową Bensaona. Ma bardzo łagodny charakter i Benson ją uwielbia. A ona uwielbia jego. I trudno się zresztą temu dziwić – tyle że w związku z tym często stoi nam nad głową, kiedy się uczymy, i zwraca na mnie szczególną uwagę, ponieważ jestem „ulubioną koleżanką Bensaona”.

No i zawsze przekręca moje imię. Już o tym rozmawialiśmy, mówiłam jej, że Tave rymuje się z „cave”, ale jakoś nie może tego zapamiętać.

– P-poproszę – dukam z nadzieją, że nie zauważy mojego roztrzęsienia. Uśmiecha się i denerwująco powolnym krokiem zmierza na tył biblioteki, a srebrne, falowane włosy podskakują przy każdym jej kroku.

To, że mój jedyny przyjaciel jest stażystą w bibliotece, kiepsko świadczy o moim życiu towarzyskim. Nie powinnam być jednak wybredna, w końcu uczę się w szkole internetowej, więc najbliżsi koledzy z klasy mieszkają sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Opuściłam cztery miesiące szkoły ze względu na rozległe obrażenia, wobec czego lekcje przez Internet były jedyną opcją, jeśli nie chciałam powtarzać klasy.

Poza tym Reese i Jay uznali, że lepiej będzie dla mnie rozpocząć nowe życie tutaj, półtora tysiąca kilometrów od dawnego. Początkowo sądziłam, że po prostu nie chcą się przeprowadzać, i wcale ich za to nie winiłam. Teraz myślę, że mieli rację. Dobrze, że znalazłam się w nowym miejscu – że nikt nie przykleja mi łatki biednej dziewczyny, która straciła oboje rodziców. Połamana i osierocona. Coś mi mówi, że po żadnej z takich tragedii nie ma już powrotu do normalności, a ja przecież przeżyłam obie jednocześnie.

No, a zadania domowe dają mi pretekst do niemal codziennego wyjścia do biblioteki i spotkania z Bensaonem. Nie, żebym potrzebowała pretekstu, ale nie chcę, by Reese i Jay uznali, że od nich uciekam.

Bo tak nie jest... to znaczy, nie całkiem. Dziwnie jest spędzać każdy dzień w domu z Reese. Mam osiemnaście lat, powinnam robić to, co nastolatki w moim wieku. Chodzić na mecze, grać w szkolnych przedstawieniach, przesiadywać w McDonalddie i objadać się frytkami. Słowem, to wszystko, do czego pozwalałam się niekiedy wciągać koleżankom w Michigan. To wszystko, co zamierzałam robić częściej w ostatniej klasie mojej nowej szkoły artystycznej. Może nawet z chłopakiem – jakimś fajnym, z duszą artysty.

A potem runął samolot, a wraz z nim moje plany.

Tego typu rzeczy już mnie nie interesują. Zaakceptowałam to, że moja ostatnia klasa będzie bardzo samotna, kiedy parę miesięcy temu ze względu na zadanie domowe z angielskiego skierowałam swoje kroki do biblioteki i Benson Ryder mi się przedstawił.

Po czym nauczył mnie korzystania z mikrofilmów. Przyjaźń od pierwszego wejrzenia. Dosłownie.

Zajmuję miejsce przy naszym zwyczajowym stoliku i zaczynam masować mięśnie prawej nogi – zawsze są nieco obolałe po niemal kilometrowym spacerze – a potem rozglądam się po opustoszałej bibliotece. Między dziesiątą a szesnastą zwykle tu pustawo, chyba że dzieci

z okolicznej podstawówki przychodzą na zajęcia. Po południu, gdy kończą się lekcje, robi się tłoczniej. Jednym z plusów szkoły internetowej jest to, że mogę przychodzić do biblioteki, gdy tylko zechcę.

No i Benson ma zwykle więcej czasu, żeby się ze mną „uczyć”, kiedy nie ma ludzi, nikt nie prosi go wtedy o pomoc, nikt nie podsłuchuje naszych rozmów.

Sięgam do plecaka, żeby wyjąć podręczniki, i z przerażeniem stwierdzam, że trzęsą mi się ręce. Czyżbym bała się powiedzieć Bensonowi? To bez sensu. Może po prostu nie doszłam jeszcze do siebie po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Nie jestem do końca pewna, jak mam powiedzieć Bensonowi o tym blondynie z wczoraj.

I z dzisiejszej nocy.

Technicznie rzecz biorąc, już właściwie ranka.

Nawet nie znam jego imienia, a czuję, że jest dla mnie kimś szczególnym. Moją tajemnicą. Ale nie taką, przy której człowiek czuje wyrzuty sumienia i pustkę w środku, to raczej... tajemnica cappuccino – słodka, z pianką, która rozgrzewa od wewnątrz.

Wiem, że muszę powiedzieć Bensonowi. Powinam powiedzieć k o m u ś na wypadek, gdyby... gdyby ten chłopak naprawdę okazał się niebezpieczny. Chociaż na samą myśl chcę głośno zaprotestować.

Zupełnie jak gdybym go znała.

Benson zrozumie, prawda? Wie o mnie wszystko. W s z y s t k o. To był powolny proces – w końcu nie podchodzi się do ludzi i nie mówi: „Cześć! Jestem sierotą i jako jedyna ocalałam z jednej z największych katastrof lotniczych w historii, od sześciu miesięcy ukrywam się przed dziennikarzami, ach, wspominałam już, że jeszcze nie wyzdrowiałam po poważnym uszkodzeniu mózgu?”.

Powolutku, w zasadzie nie do końca z udziałem mojej woli, wszystko ze mnie wyciągnął. Mniej więcej miesiąc temu wyznałam mu, że „wypadek samochodowy” był w rzeczywistości katastrofą lotniczą, i sądziłam, że będzie wściekły. W końcu okłamałam go, i to nie raz.

Jednak on zaśmiał się tylko.

– Czy jest jeszcze coś, co powinienem o tobie wiedzieć? – zapytał. – Dawno niewidziana siostra bliźniaczka? Urodzone w tajemnicy dziecko? Fetysz w postaci paznokci u stóp?

Dzięki niemu mogę się śmiać sama z siebie. Uwielbiam to.

Wydawał się jednak dość spięty, gdy zapewniłam go, że to już wszystko, że teraz zna moje najgłębsze i najmroczniejsze sekrety. Poczulałam wielką ulgę: powiedziałam mu, teraz mogę przestać oszukiwać.

Przynajmniej jedną osobę.

Wtedy właśnie zrozumiałam, że się w nim zakochuję.

Ale to się nigdy nie zdarzy. Chyba. On jest taki skupiony na nauce, a ja... ja jestem pokiereszowana. I nie chodzi wyłącznie o obrażenia, jakich doznałam. Zmieniłam się. W różnych aspektach, których nie potrafię opisać, ale których istnienia jestem świadoma. Trudniej mi się skoncentrować. Zresztą, wszystko jest trudniejsze. Uszkodzenia mózgu zostały uznane za „umiarkowanie poważne”, a to, że wyzdrowiałam, lekarze uznali za cud, jednak sam proces ż y c i a wydaje mi się jakby mniej naturalny, odrobinę mniej intuicyjny. Odrobinę mniej... w ogóle. W zasadzie już się z tym pogodziłam, ale nie wiem, czy jestem gotowa na związek z kimkolwiek. Czy będę gotowa wkrótce. Moje życie to jedna wielka płatanina niepewności.

Zresztą, jest ta dziewczyna, Dana. Nie poznałam jej – i wcale nie chcę jej poznać – ale podobno jest prześliczna, zabawna i inteligentna, i... no po prostu anioł, zdaniem Bensona. Nie

chodzą ze sobą. Jeszcze – jak mówi Benson. Ciągłe o niej opowiada.

Jeśli nie uda mi się zmusić go do zmiany tematu.

Przecież na jej tle wypadam tak blado, że on mnie pewnie nawet nie zauważa. A nie zamierzam ryzykować utraty tej przyjaźni tylko dlatego, że nie mogę mieć wszystkiego.

Walczę z użalaniem się nad sobą, opuszczam wzrok i zdaję sobie sprawę, że nieświadomie coś bazgroliłam. Ot, takie gryzmoły. Właściwie to tylko przesuwalam ołówek w tę i we w tę. Ale...

Ale...

Odwracam kartkę i przełykam ciężko, czując nagły zastrzyk adrenaliny. Te ciemne maziaje zdecydowanie przypominają cień człowieka.

Cień chłopaka. Wysokiego, szczupłego, z włosami związanymi w kitkę.

Ołówek wypada mi z ręki, zaciskam pięści, próbując zapanować nad oddechem. Atak paniki ma teraz zupełnie nową przyczynę.

Nie rysuję od dnia, w którym spadł nasz samolot. Nie, żebym nie próbowała. Ale sztuka jest symbolem utraconych marzeń.

Powodem, dla którego zginęli moi rodzice.

Wiem, że to właściwie nielogiczne, ale gdybym się nie uparła, żeby jechać do tej superszkoły artystycznej, w której zaproponowano mi stypendium, nie wsiedlibyśmy do tego samolotu. Elizabeth mówi, że przypisuję winę niewłaściwej osobie, ale wiedza i czucie to dwie różne sprawy. Codziennie walczę z wyrzutami sumienia.

Niekiedy wygrywam.

Zwykle jednak ponoszę klęskę.

Ktoś ze szkoły – Akademii Sztuk Pięknych w Huntington – zobaczył wystawę moich prac w Michigan State Capitol. Skontaktowali się ze mną, poprosili o portfolio ze wszystkimi wcześniejszymi rysunkami. Kusili kolorowymi broszurami przedstawiającymi piękne obiekty szkolne i uczniów, którzy mogą wyciągać sztalugi i malować, co tylko chcą.

Rodzice podeszli do tego sceptycznie, ale kiedy akademia przyznała mi stypendium pokrywające absolutnie wszystko w czasie ostatniego roku nauki w szkole średniej, czyli wynoszące około pięćdziesięciu tysięcy dolarów, musieli zgodzić się przynajmniej na to, żebym tam pojechała i się rozejrzała.

Po wypadku ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że nadal chciałabym chodzić do tej szkoły. Czulałam, że to niewłaściwe, a jednak coś we mnie pragnęło odzyskać to, co straciłam.

Jednak kiedy po raz pierwszy chwyciłam ołówek, wypadł mi z ręki. Nie byłam w stanie nawet utrzymać głupiego ołówka! Lekarze wyjaśnili, że to z powodu mojego mózgu, który ciągle wraca do zdrowia. Powiedzieli, że dzięki rehabilitacji powinnam odzyskać pełną sprawność fizyczną.

Z czasem.

Zmusiłam Reese, żeby zadzwoniła do Huntington. Wszystko im wytłumaczyła, a oni byli gotowi przesunąć moje stypendium – pozwolili mi zacząć naukę w styczniu, kiedy wyzdrowieję.

Minęło kilka miesięcy, a ja nadal z trudem się podpisywałam. Za każdym razem gdy próbowałam, kończyło się na rozpaczliwym płaczu. Reese zachęcała mnie do kolejnych prób w listopadzie i grudniu. Powiedziała, że sztuka jest nieodłączną częścią mnie samej, stanowi o tym, kim jestem. Do dzisiaj nie mam pojęcia, dlaczego jej aż tak bardzo na tym zależało.

W końcu przyszedł kolejny rok, i chociaż ręce miałam coraz

sprawniejsze, b l o k a a r t y s t y c z n a nadal nie pozwalała mi nic narysować. W ostatni dzień terapii w ośrodku neurorehabilitacyjnym sama zadzwoniłam do Huntington i zrezygnowałam.

Reese i Jay nie próbowali mnie odwozić od tego zamiaru.

Wzdycham głośno. Benson nadal podziewa się nie wiadomo gdzie, a ja czuję na sobie ciężar stresu, więc rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, co mnie zajmie, odwróci moją uwagę podczas czekania. Zabieram leżącą na sąsiednim stoliku gazetę i zaczynam czytać mechanicznie, nie rozumiejąc słów. Jestem na drugiej stronie, kiedy czuję, że ktoś kładzie rękę na oparciu mojego krzesła.

– Przepraszam, że to trwało tak długo – mówi Benson. Mam tylko sekundę, żeby objąć wzrokiem płamę w kolorze khaki i pastelowej zieleni oraz koszulę w szkocką kratę, po czym Benson siada na krześle obok. Gdy spogląda na gazetę, jego ciepły oddech muska mnie w szyję. Czuję mrowienie w palcach, zaciskam je mocniej na papierze i z trudem powstrzymuję się przed pochyleniem, przyciśnięciem czoła do jego policzka i sprawdzeniem, czy jest tak miękki, jak się wydaje, czy może pokryty jednodniowym, kłującym zarostem. – Marie miała dla mnie od cholery roboty.

– Prawie nie zauważyłam twojej nieobecności – mówię z udawaną wyniosłością, chociaż mało nie zemdlałam z poczucia ulgi. – Byłam zajęta czytaniem o epidemii, która niebawem pochłonie cały świat – dodaję, chociaż żart jest kiepski.

– Znowu ten wirus? – pyta ponuro. Poprawia okulary, pochyla się i zerka mi przez ramię.

– Taaa. Pojawił się nowy przypadek w Georgii. Śmierć nastąpiła w ciągu doby, tak samo jak u tych sześciu osób w Kentucky. – Wracam do pierwszej strony, pokazuję mu pierwszą część artykułu i podaję gazetę.

Odkąd prawie pożegnałam się z życiem, mam wrażenie, że gdzie się nie obrócę, wszędzie otacza mnie śmierć. Ludzie ciągle giną w wypadkach, umierają na różne choroby, spotykają ich nieszczęścia. Wiem, że zawsze tak było, ale teraz zwracam na to szczególną uwagę.

– Już szesnaście ofiar – mówię cicho, jednak Benson nie odpowiada. Przebiega wzrokiem stronę. – Laboratorium Jaya zaczęło pracować nad wirusem – dodaję, kiedy przerzuca kartki, żeby doczytać do końca.

– Naprawdę? – Jego nagle zainteresowanie mnie zaskakuje.

– Ale co: naprawdę?

– Laboratorium Jaya?

– Taaa. Nowy projekt. Chcesz, żebym go o to wypytała? – Benson śledzi bardzo uważnie całą historię od zeszłego tygodnia, od czasu wystąpienia pierwszej miniepidemii w stanie Maryland. A potem w Oregonie i kilka dni temu w Kentucky.

Spogląda mi w oczy przez sekundę, po czym opiera się o krzesło i odsuwa gazetę.

– Nieee. Pewnie wszyscy teraz nad tym pracują. Każdy ma nadzieję, że to on dokona przełomowego odkrycia. Całkiem logiczne.

– Pewnie tak.

– To do czego chciałabyś wykorzystać dzisiaj moje niesamowite umiejętności? – pyta, zerkając na mój plecak. Ściśle rzecz biorąc, Benson ostatnio niewiele mi pomaga – najczęściej potrzebuję mikrofilmów – ale siadamy i omawiamy moje zadania domowe i lektury, często przedstawia mi własne sugestie. To dzięki niemu zaczęłam czytać Keatsa.

– Dzisiaj mam tylko rachunek różniczkowy.

– Cóż za marnotrawstwo moich zdolności twórczych. No i, niestety, jak dla mnie – zbyt trudne – dodaje ze śmiechem. – Pozwolę ci to zrobić samodzielnie.

– Dziejęęęęki – odpowiadam przeciągle i uderzam go ołówkiem po nosie.

Otwiera mój plecak jednym palcem i zagląda do środka.

– Nie masz tam nic ciekawego? Jak na przykład historia?

– Skończyłam już historię na ten semestr. Ta praca, do której szukaliśmy materiałów

w zeszły piątek, była ostatnia. Za szybko zabraliśmy się do deseru. – Ponieważ oboje jesteśmy maniakami historii, czuliśmy zbyt wielką pokusę, żeby odkładać to na później.

– Tym większa szkoda – odpowiada Benson z udawanym brytyjskim akcentem.

Potrząsam głową, komentując w ten sposób jego teatralny występ. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, sądziłam, że jest typowym kujonem. Jednak kojący uścisk ręki i sposób, w jaki nosił celowo niedoprasowaną jasnozieloną koszulę i szarą dzianinową kamizelkę, świadczyły, że jest to wystudiowany image, a nie wygląd, który narodził się sam z siebie po dziwacznym dzieciństwie.

W zasadzie Benson pomaga mi pozostać przy zdrowych zmysłach bardziej niż moja psychiatra. Przypomina mi o normalnym życiu, jakie kiedyś wiodłam.

Jest stażystą z Uniwersytetu New Hampshire i chociaż studiuje, jesteśmy rówieśnikami. Urodziny obchodzi w sierpniu, a ja w grudniu, mamy więc oboje osiemnaście lat, ale korzysta z każdej okazji, żeby podkreślić, że jest s t a r s z y i m ą d r z e j s z y.

Pozwalam mu na starszeństwo, ale tylko trochę.

– Potrzebowałam wyrwać się z domu – mówię i jest w tym część prawdy. Waham się kolejne kilka sekund, rozmyślając nad tym, jak zacząć właściwą rozmowę.

– Przyznaj, po prostu się za mną stęskniłaś.

– Umierałam z tęsknoty – mówię, unosząc brwi. I tak właśnie było, nawet jeśli próbuję oszukiwać samą siebie.

Grzebię w plecaku, nie tyle szukam zeszytu od matmy, ile unikam spojrzenia mu w twarz.

– Słuchaj, Benson – zaczynam. – Czy... są sytuacje, w których można zaakceptować stalking? No wiesz, kiedy ma słuszne podstawy, a nie jest dziwaczny ani przerażający?

– Ależ oczywiście – odpowiada z powagą.

– Naprawdę? – Serce mi zaczyna bić szybciej, napędzane nadzieją.

– Tak. Kiedy Dana McCraven mnie śledzi. To jest całkowicie akceptowalne, słuszne, a nawet – jeśli o mnie chodzi – mile widziane – mówi, po czym przyjmuje przerysowaną pozę myśliciela i opiera policzek na pięści. – Ale w pozostałych wypadkach stalking jest dziwaczny i przerażający. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – mamrocę i znów zaczynam grzebać bez celu w plecaku.

– Proszę cię! – Benson wybucha po dłuższym milczeniu.

– Ale co?

Przeczesuje palcami jasnobrązowe włosy, które dzisiaj wystylizował na naturalne potarganie.

– „Co dzisiaj jadłeś na obiad?” – mówi wysokim, kpiącym głosem. – T o jest pytanie, które ludzie zadają czasem bez powodu. „Co robiłeś wczoraj wieczorem?” – to także rodzaj niezobowiązującego pytania. Ba, gdybyś zapytała, czy wziętem dzisiaj rano prysznic, uznałbym, że nie kieruje tobą żaden p r a w d z i w y motyw, ponieważ doskonale zdajesz sobie sprawę z moich nienagannych zwyczajów higienicznych. Jednak to, czy można zaakceptować stalking, absolutnie nie kwalifikuje się jako zwykłe, niezobowiązujące pytanie.

Nadal nie patrzę mu w oczy.

Przechyla się w moją stronę i opiera rękę na krześle, jakby przez ten gest rozmowa wcale nie stawała się jeszcze bardziej krępująca.

– Tave, a teraz poważnie. To nie jest zabawne. Jesteś stalkerem czy ofiarą?

– Co za głupie określenie.

– Czy ktoś cię prześladowa, Tave?

– Nie! Tak. Coś w tym stylu. – Wydaję z siebie jęk i zasłaniam twarz rękoma. – To skomplikowane.

– Dziennikarze?

Potrząsam przecząco głową.

– Wyrzuć to z siebie, babeczko. – Zawsze, kiedy próbuje wyciągnąć ze mnie jakąś informację, nadaje mi nazwę wyrobu cukierniczego. Co, zważywszy na moją paskudną przeszłość, zdarza się całkiem często. Uległam kiedyś „mufince”, ale postawiłam opór, gdy nazwał mnie „rogalikiem”.

„Babeczkę” mogę zaakceptować, więc ostatecznie daję za wygraną i postanawiam mu wszystko powiedzieć. Kiedy przebrnę przez pierwsze słowa, dalej jest już łatwiej. A potem czuję ulgę. Mówię tak szybko, że język mi się płacze. Opowiadam mu o tym chłopaku, trójkątach, domach, o wszystkim. Kiedy docieram do momentu, w którym nieznajomy próbował mnie wywabić na zewnątrz, Benson przestaje żartować.

– Tavia, musisz zadzwonić na policję. To jakiś koszmar.

– Nie sądzisz, że to dość ekstremalne posunięcie? Widziałam go zaledwie dwukrotnie.

– Nie! – mówi Benson i pochyla się bliżej. Rękę przysuwa do moich pleców. – Próbował wywabić cię z domu o drugiej w nocy.

Wiem, że to prawda i że powinnam być tak samo przerażona jak i on. Ale nie wiedzieć czemu... nie jestem.

– To nie jest jakiś straszny dziadyga. On ma mniej więcej tyle lat co my.

– Słuszna uwaga – mówi Benson, ale głos ma pozbawiony emocji, suchy. – Zgodnie z podręcznikiem dobrego wychowania wszyscy stalkerzy to brzydkie staruchy.

– Nie to chciałam powiedzieć. Ja się przy nim nie bałam. Może „stalker” to nie jest właściwe słowo. – Rozcieram skronie, próbując zebrać myśli. – Nie sądzę, żeby chciał mnie skrzywdzić. Raczej... jakby chciał mi coś p o w i e d z i e ć.

– Na przykład: „Wsiadaj do mojego auta albo rozwałę ci czaszkę”?

– Benson!

Wyczuwa, że posunął się za daleko, i przez chwilę milczy. W końcu zdobywa się na przeprosiny.

– Przepraszam. Wiem, że nie jesteś głupia, i nie miałem zamiaru tak cię potraktować.

Po prostu... nie chciałbym, żeby coś ci się stało tylko dlatego, że intuicja cię... zawodzi.

Nie musi nawet stukać palcem w głowę, żebym zrozumiała. Nadal często reaguję trochę nieadekwatnie do sytuacji, może teraz też o to chodzi. To przemożne pragnienie, żeby znaleźć się blisko obcego faceta, porozmawiać z nim, posiedzieć w milczeniu, po prostu p o b y ć, jest idiotycznym uczuciem, beznadziejną intuicją, i ja sobie doskonale zdaję z tego sprawę. Ale zrozumieć coś, a wyłączyć własne uczucia – to zupełnie co innego.

Cisza robi się nieco niezręczna, więc żeby przykryć zdenerwowanie, odsuwam się od Bensaona i znów zaczynam szperać na dnie plecaka.

– Czego szukasz?

– Pomadki – mamroczę. Tutejsze zimne powietrze zaskakująco wysusza mi usta.

W Michigan też miewaliśmy ciężkie zimy, ale Reese twierdzi, że to sól morską tak działa na moją skórę. Więc nie rozstaję się z pomadką ochronną chapstick.

Nie licząc sytuacji, kiedy gdzieś ją wetknę i nie mogę znaleźć.

Czyli często.

– Sprawdź w kieszeni – mówi z przepaszającą miną. – Zawsze, kiedy ją zgubisz, odnajduje się w kieszeni.

Wyrażam w myślach życzenie, żeby tak rzeczywiście było, wkładam rękę do kieszeni i wdycham z ulgą, gdy moje palce zaciskają się na znajomej tubce.

– Jesteś genialny.

– A ty uzależniona.
– Mówię ci – zaczynam i przerywam, żeby posmarować usta. – Za pięć minut będę musiała to powtórzyć. Chyba się uodporniłam.
– Chyba masz poważny problem, Tave. Powinnaś iść do lekarza.
– Nie bądź śmieszny – mówię i wracam do lekcji.
– Mówię poważnie. Dochodzi piętnasta. Masz wizytę u rehabilitanta.
Waham się. W świetle wszystkiego, co się wydarzyło, terapia wydaje mi się taka błaha.

Nieważna.

Benson ściska mnie za rękę, zupełnie jakby czytał mi w myślach.
– Zastanowię się nad tym – mówi. – Ciężko tak od razu zawyrokować. Idź na swoją wizytę, tylko wyślij mi później SMS, zgoda?
– Zgoda – mówię, zmuszając się do uśmiechu. Czuję się trochę lepiej, wkładam bluzę i pod wpływem impulsu chwytam Bensa za twarz i daję mu chapstickowego całusa w policzek.
Ledwo muskam ustami jego skórę, on nieruchomieje, a ręce, które trzyma na moich ramionach, tężeją. Zastanawiam się, czy nie popełniłam błędu.
Jednak on wyciera sobie policzek, tylko że nie patrzy na mnie, więc nie jestem pewna, czy to wszystko w ogóle miało miejsce.
– Tavia! – protestuje. – To obleśne.
– Do jutra – mówię i macham mu lekko palcami.
– Uzależniona – dociera do mnie jego szept, kiedy jestem już pod drzwiami wyjściowymi.

Droga z biblioteki do centrum rehabilitacji prowadzi przez Park Street i starą część miasta. To eklektyczna mieszanka: stacja benzynowa, stary browar, słynny dom, uznany obecnie za zabytek – wszystko pięknie odnowione, położone pośród bezkształtnej masy biurowców, z których część powstała na fundamentach pierwotnych dwustuletnich budowli. Ten „konflikt epok” stanowi dysonans, a jednocześnie jest czymś cudownym. Uwielbiam tę mieszankę.

Tylko że podziwianie okolicy nie znajduje się w tej chwili na liście moich priorytetów. Próbuję utrzymać właściwe tempo, jednocześnie odliczając kroki. J e d e n, d w a, t r z y, c z t e r y. J e d e n, d w a, t r z y, c z t e r y. To sztuczka, której parę tygodni temu nauczyła mnie rehabilitantka.

„Tavia, teraz naprawdę nie powinnaś już kuleć” – powtarza mi. Jednak po kilku miesiącach radzenia sobie z bólem weszło mi to w krew. I chociaż ból minął, utykanie pozostało. Przez większość czasu.

Rehabilitacja już swoje zrobiła, reszta polega na zresetowaniu umysłu. Tak więc ciągle liczę.

Trudno mi jednak utrzymać tempo, kiedy wzrok omiata każdy budynek, każde drzwi wejściowe, w poszukiwaniu symboli.

Nagle mrugam pospiesznie. C z y t o c o ś b ł y s n ę ł o? Wpatruję się mocno, znowu mrugam. Teraz mam jeszcze przywidzenia. Po prostu świetnie.

Staram się nie patrzeć na kolejny budynek, jednak nie mogę się powstrzymać. Moje oczy same kierują się na drzwi.

C o t o...? Zatrzymuję się gwałtownie. Biegacz, który prawie na mnie wpada, mruczy coś pod nosem, wymijając mnie.

Tym razem to nie trójkąt, nawet nie błyszczy. To wydaje się trwale i... prawdziwe. Robię kilka kroków w tamtą stronę i przyglądam się znakowi wrytemu nad drzwiami. Jest taki zniszczony – i zamalowany – że trudno mi rozpoznać szczegóły. Widzę coś okrągłego, wydłużonego. To może być cokolwiek, ale wiem, że to jest c o ś. Przyprawia mnie o przyspieszone bicie serca, tak samo jak migoczące trójkąty.

Staram się wyglądać naturalnie, zupełnie jakbym wcale nie była zwariowaną podglądaczką. Wyciągam komórkę i szybko robię zdjęcie. Kiedy tylko rozlega się kliknięcie, wsuwam telefon do kieszeni z nadzieją, że nikt nie zauważył, co zrobiłam.

Opuszczam głowę i znów zaczynam odliczanie. Próbuję zapamiętać o symbolach. J e d e n, d w a, t r z y, c z t e r y. J e d e n, d w a, t r z y, c z t e r y.

Kiedy podnoszę wzrok, żeby ocenić, jak daleko jeszcze do skrzyżowania, pośród grupy pieszych przede mną dostrzegam coś złocistego. T o o n! Przed mężczyzną w dresie, niedaleko pani z wózkiem. Rozpoznaję znajomy już teraz jasny kucyk na opalonym karku.

Najwidoczniej to jednak s ą prawdziwe włosy.

Wydają się takie jedwabiste i miękkie.

Zaciskam zęby i przyspieszam. Zbieram się na odwagę. Powinna przynajmniej z nim porozmawiać. Dowiedzieć się, po co przyszedł do mnie w nocy.

Wymijam trzymającą się za rękę parę. Dzielią nas już tylko dwie osoby. Rwie mnie noga, jednak nie zwracam na to uwagi, przestałam też liczyć. Co tam mój chód, jestem teraz skupiona wyłącznie na n i m. Nie mogę krzyknąć, bo z pewnością bym go wystraszyła, ale znajduję się już tak blisko, że prawie mogę chwycić go za rękę.

Już prawie.

Prawie.

Kiedy chcę go poklepać w ramię, on nagle skręca w wąski zaułek i znika.

– O nie, nie uciekniesz mi – mruczę pod nosem i skręcam za nim. Postanawiam złapać go za wszelką cenę.

Przeszywa mnie ból, gdy uderzam w mur. Siłę uderzenia czuję w kręgosłupie, ugina mi kolana, przewraca na chodnik. Mrugam i próbuję odzyskać ostrość widzenia, ale wszystko zasłaniają mi pochylające się nade mną twarze.

– Coś ci się stało?

– Niech ktoś wezwie karetkę.

– Ona ma atak padaczki!

– Proszę pani? Proszę pani!

– Nic mi nie jest – mamrocze, czując, że policzki nabiegają mi krwią. I chociaż od czasu wypadku ryzyko jest większe, jestem pewna, że to nie żadna padaczka. Pocieram obolałe miejsce na czole i spoglądam przez zmrużone oczy na to, co uznałam za zaułek.

Nie ma tu ż a d n e g o zaułka.

To biuro nieruchomości w budynku z szarego kamienia, jednego z nowszych w mieście, oklejone ogłoszeniami sprzedaży domów i mieszkań.

Ale...

Mam wrażenie, że zaraz umrę ze wstydu, bo chyba z sześć osób pomaga mi wstać. Ich nachalne ręce dotykają mnie, naruszają moją przestrzeń osobistą – od zawsze dużą, teraz dodatkowo powiększoną ze względu na izolację, w której tkwię od kilku miesięcy. Wystawiam ręce, odsuwam ludzi, powtarzając jak mantrę: „Dziękuję, nic mi nie jest, dziękuję, nic mi nie jest, dziękuję, nic mi nie jest”, dopóki nie zostawią mnie samej. Tylko jedna czy dwie osoby oglądają się, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Skaleczyłaś sobie czoło – mówi jakaś kobieta. Wpatruje się we mnie tak intensywnie, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem mnie nie zna. A może ja znam ją? Czy jeszcze gorzej – może zna Reese i Jaya, w końcu to nie jest aż tak duże miasto, i zaraz do nich zadzwoni? To by dopiero była katastrofa. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale zanim zdołam wydusić choćby słowo, kobieta wciska mi w dłoń plaster, odwraca się, kaszle w rękaw, po czym odchodzi.

Patrzę za nią i już mam opuścić wzrok, kiedy zaczyna migotać.

C o t o m a b y ć, d o l i c h a?

Obserwuję ją uważnie – jasnoniebieską plamę wśród przechodniów. Pragnę, żeby znów zamigotała, żeby ktoś jeszcze to zauważył. Chciałabym udowodnić sobie samej, że nie postradałam zmysłów. Mija jednak dziesięć sekund, podczas których nic się nie dzieje, a potem kobieta skręca w lewo i znika mi z pola widzenia.

Opieram się ramieniem o szarą kamienną ścianę i próbuję sobie wmówić, że po prostu zamrugałam albo wyobraźnia splątała mi figła.

Blondyna nigdzie nie widać. To chyba dobra wiadomość, bo nie wiem, czy nie zaczęłabym na niego wrzeszczeć. Chce, żebym do niego przyszła, a ciągle mi ucieka.

Na dodatek w nieistniejące zaułki.

E c h, c i f a c e c i.

Znów otaczają mnie przechodnie, ale coś... coś innego budzi mój niepokój. Nie daję mi spokoju przeczucie, że... o właśnie! Jakiś mężczyzna po drugiej stronie ulicy mnie obserwuje. Ma na sobie bojówki w kolorze khaki i okulary przeciwsłoneczne. Nic charakterystycznego.

I wpatruje się we mnie. Jeszcze tylko tego mi było trzeba.

Spoglądam mu w oczy – jak sądzę, bo ma te głupie okulary – i patrzę z wściekłością, próbując go zmusić, by przestał gapić się na niezdarną dziewczynę, którą jestem. Natychmiast

opuszcza głowę i odchodzi w przeciwnym kierunku. Jak ja nie cierpię robić z siebie idiotki w miejscu publicznym.

Ledwo dociera do mnie szelest zgniatanego w palcach plastra. Zawstydzona ruszam zatłoczonym chodnikiem, zapominam liczyć kroki, skupiam się na tym, żeby nikt nie zauważył mojej zaczerwienionej twarzy.

Na skrzyżowaniu skręcam w nowszą część miasta, gdzie mieści się ośrodek rehabilitacji. Umysł pracuje mi szybciej niż nogi.

Kim, do cholery, jest ten blondyn? Może to dziennikarz? Ale wydaje się zdecydowanie za młody. Poprzedniej nocy dobrze mu się przyjrzałam, jest niewiele starszy ode mnie. Jeśli wziąć pod uwagę statystyki, r a c z e j nie jest seryjnym mordercą. Może to jakiś szaleniec, stalker – tylko jaki to miałoby sens?

A może to po prostu dziwak. Włosy zapuścił, żeby pasowały do kostiumu z poprzedniej epoki, w którym codziennie chodzi. Być może jest maniakiem rekonstrukcji historycznych, jak ci starsi panowie, którzy każdą wolną chwilę poświęcają na składanie modeli pociągów albo malowanie miniatur z wojny o niepodległość. Czy jak ten chłopak z mojej starej szkoły, który miał bzika na punkcie teatru i za każdym razem, kiedy dostawał nową rolę, ubierał się i gadał jak jego postać, dzień w dzień, od rana do wieczora. Co prawda, wykraczałoby to już poza definicję „osobliwego zachowania”, ale nie byłoby znowu aż tak niespotykane. To chyba najlepsze wytłumaczenie, przynajmniej jeśli chodzi o moje poczucie bezpieczeństwa.

Tyle że pan Blond Kitka próbował wywabić mnie w nocy z domu. Po co miałby to robić? Gdyby chodziło mu tylko o odgrywanie postaci historycznej, podszedłby do mnie w ciągu dnia, ukłonił się kapeluszem czy wykonał inny, równie spektakularny gest.

I jeszcze ta migająca kobieta... Kolejny punkt na liście tematów, o których nawet nie chcę myśleć.

Kiedy docieram do gabinetu, zerkam w lusterko mijanego samochodu, żeby obejrzyć zranione czoło. Z jednej strony mam zabrudzone skaleczenie, więc liżę palec i próbuję je doczyścić. Szczypie mnie za każdym razem, gdy dotykam, ale nie zwracam na to uwagi i trę, dopóki brud nie zniknie. Zasłaniam ślad krótką grzywką i przekonuję sama siebie, że nikt tego nie zauważy.

Już mam wchodzić, kiedy dzwoni telefon.

– Elizabeth? – dziwię się cicho. Nie, żeby nigdy nie dzwoniła, kiedyś rozmawiała ze mną dość regularnie, jednak minęło już sporo czasu od ostatniej rozmowy. – Dzień dobry, Elizabeth.

– Masz sekundę? – pyta wesoło, ale i tak jestem kłębkim nerwów.

– Nawet kilka – odpowiadam, spoglądając na ośrodek.

Słyszę, że bierze wdech. Waha się.

– Rozmawiałam dzisiaj rano z twoim wujem – mówi w końcu. – Podobno obudziłaś się w nocy. O drugiej.

Zamieram ze zdziwienia.

– Z Jayem? – „Zdrajca”, myślę i kopię oponę samochodu, przy którym stoję.

– Nie miej do niego pretensji. Uznał, że to może być istotne.

Jakby to wszystko tłumaczyło.

– Nie jest. Przyśnił mi się koszmar, to wszystko.

– Katastrofa?

– Czyżby J a y ci nie powiedział? – Wiem, że zabrzmiało to opryskliwie, ale niespecjalnie się przejmuję. Już i tak mam wrażenie, że żyję w przezroczyście akwarium.

Więcej dowodów nie potrzebuję.

Elizabeth milczy, ale szczerze mówiąc, nawet nie musi się odzywać. Dobrze znam te

słowa: „Tavio, unikasz tematu”.

– Nie – odpowiadam w końcu, zwijając dłoń w pięść. – To nie miało n i c wspólnego z wypadkiem, i dlatego jest zupełnie nieważne.

– Ale to, że we śnie nie pojawił się samolot, nie znaczy wcale, że koszmar nie był związany z traumą powypadkową. Sny rzadko są dosłowne – ba, prawie nigdy.

Zawiesza głos i czeka, aż poprowadzę dalej rozmowę. Znam dobrze te jej sztuczki.

Co nie znaczy, że na mnie nie działają.

– Tonęłam – mówię i odwracam się plecami do ośrodka rehabilitacji, jakby ktoś stamtąd mógł mnie usłyszeć. – Typowy sen. Taki, jaki zdarza się n o r m a l n y m ludziom – dodaję. Kładę nacisk na słowo „normalni”, wyraźnie stawiając siebie poza tą kategorią.

– Opowiesz mi?

Nie chcę mówić o wodzie. Na samą myśl ciarki przechodzą mi po plecach. Prezentuję więc najbardziej okrojoną wersję z możliwych, pomijam całkowicie własne odczucia.

– Dałaś radę zasnąć czy sen dalej cię męczył? – Elizabeth używa słowa „sen” zamiast „koszmar”. Zapewne miało to zabrzmieć bardziej neutralnie, ale wołałabym, żeby nazywała rzeczy po imieniu. Zwyczajne sny nie przerażają tak, że człowiek nie może oddychać ze strachu.

– Zesłałam na dół, wypiliśmy coś, to mnie uspokoiło.

Następuje cisza. Elizabeth wie, że nie powiedziałam wszystkiego, i czeka. Po prostu czeka. W gabinecie też tak czasem robi, doprowadza mnie to do szału.

Ale jest skuteczne.

Zaczynam mówić, niemal wbrew swojej woli.

– Jest... – zdaję sobie sprawę, że kiedy powiem, nie będzie już odwrotu. Nie mogę uwierzyć, że to robię. Opowiadam psychiatrze! Zwierzam się z problemów z facetami. Ale do kogo niby miałabym z tym pójść? Przecież nie do Reese ani Jaya. Po prostu... nie.

A Benson dał mi już wyraźnie do zrozumienia, jakie jest jego zdanie na ten temat. Czuję, że powinnam porozmawiać z jakąś kobietą. Może chromosom romantyczny, który wszystkie mamy, pomoże jej zrozumieć moje dziwne odczucia.

– Jest... taki chłopak. Niedawno zobaczyłam go po raz pierwszy. To znaczy... właściwie po raz trzeci i... – przerywam, żeby zapanować nad nerwami. Muszę zacząć od początku. – Wczoraj po naszym spotkaniu zostałam w samochodzie, a Reese poszła po mleko.

Słucha, nie przerywając, chociaż wydaje z siebie ciche: „Och, Tave”, kiedy dochodzę do momentu, w którym nieznamy pojawił się pod domem o drugiej w nocy. W końcu opowiadam o i n c y d e n c i e pod biurem nieruchomości, tyle że trochę zmieniam szczegóły, żeby nie wyszło, że widzę nieistniejące uliczki i migoczące kobiety.

– I tak po prostu zniknął? – pyta, kiedy moja opowieść dobiega końca.

– Zniknął – potwierdzam i znów ogarnia mnie ten dziwny smutek. – Benson uważa, że powinnam zawiadomić policję – dodaję, bo cisza po drugiej stronie słuchawki wzbudza mój niepokój. – Ale nie uważam, żeby ten chłopak był niebezpieczny. A jeśli... jeśli zadzwonię na policję, on... – przerywam, bo nawet nie chcę wypowiedzieć tego na głos.

– On odejdzie? – pyta Elizabeth, a mnie wypełnia taka rozpacz, że nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa. Mruczę tylko coś niewyraźnie. Po części nienawidzę tego, że ten chłopak wzbudza we mnie tak silne emocje, których nawet nie potrafię zdefiniować. To coś zupełnie innego niż to, co czuję do Bensa. Benson jest jak ciepłe, bezpieczne światło, a ten gość – jak potężne fajerwerki. Oślepiająco jaskrawe, ale znikające w ułamku sekundy.

A jednak te ulotne chwile są jak spływające na mnie szczęście. Ten element akurat mi się podoba.

– Widzę tu bardzo silne emocje – mówi Elizabeth.

– Chyba tak – odpowiadam i już się szykuję psychicznie na tekst, że to efekt uboczny żaloby albo przenoszenie nieodwzajemnionej miłości na niewłaściwy obiekt, albo skutek uszkodzenia mózgu.

Czuję irracjonalną ulgę, kiedy nic takiego nie mówi. Chciałabym go jeszcze spotkać, nawet jeśli logika mi podpowiada, że to zdecydowanie zły pomysł.

Zaczynam się zastanawiać, czy to znak, że mi się poprawia, czy raczej dowód na to, że jestem kompletnie zwichrowana.

– Tave, musimy koniecznie o tym porozmawiać jutro, twarzą w twarz. Zgadzasz się?

– No chyba – odpowiadam i już żałuję, że jej o wszystkim powiedziałam. Ale to moja psychiatra, właśnie o takich szaleństwach p o w i n n a m jej mówić. Tyle że mam wrażenie, jakbym zdradziła cudzy sekret.

Milczenie przedłuża się, ale ja już nie mam siły ciągnąć tej rozmowy.

– Muszę iść – mamrocze, szukając w myślach wymówki. – Mam wizytę u rehabilitantki – dodaję i zmuszam się do śmiechu. – No wiesz, ta d r u g a terapia.

– Okej. Idź... rozciągaj się – śmieje się Elizabeth. – Porozmawiamy jutro.

– Dzięki – odpowiadam sucho i rozłączam się.

Idę w stronę ośrodka, próbując rozszyfrować mieszane uczucia.

Nie zabroniła mi się z nim spotykać i mam wrażenie, że to poszło zbyt gładko. Czuję, że Benson zareagował sensowniej. Może w głębi duszy chciałam, żeby Elizabeth potwierdziła: „Trzymaj się od niego z daleka”.

Nie zrobiła tego jednak. Zastanawiam się dlaczego.

– Cześć, Tave – mówi Jay, kiedy osuwam się na fotel pasażera. Noga mi pulsuje od stopy aż po biodro. Zwykle to Reese mnie odbiera z rehabilitacji, bo Jay pracuje.

– Dzisiaj nie masz laboratorium? – pytam, zapinając pas. Nie jestem zbyt uszczęśliwiona jego widokiem, co wynika z bólu wywołanego terapią oraz ze świadomości, że naskarżył na mnie Elizabeth.

– Jest gorzej – odpowiada, włączając się do ruchu. Głos ma chrapliwy i z trudem powstrzymuje ziewanie. – Muszę przeprowadzić badania w domu.

– Nad wirusem?

Milczy, ale przez tak krótką chwilę, że prawie umyka mi jego odpowiedź.

– Taaa – mówi, ale nie rozwija tematu. – Co zrobiłaś sobie w głowę?

Palcami dotykam skaleczenia, ucinając tym samym wszelkie kłamstwa, które mogłabym próbować mu sprzedać. Najwidoczniej grzywka nie spełniła swojego zadania. – Eee – szukam wyjaśnienia. – Zderzyłam się ze ścianą.

– Pokaż – mówi, kiedy stajemy na czerwonym świetle, i wyciąga rękę w stronę mojej twarzy. Staram się powstrzymać wzdrygnięcie, ale kiedy jego dłoń zamiera w powietrzu, wiem, że mi się to nie udało. Nie lubię, kiedy ludzie mnie dotykają – już nie. Zbyt długo znosiłam lekarzy i pielęgniarki badających mi wzrok, sprawdzających szwy, mierzących temperaturę, oglądających bliznę – no i, rzecz jasna, miliony igieł skierowanych w moje ciało.

Jay nie naciska. Jest dobry w tego typu sprawach.

– Proszę, Jay – mówię, pocierając oczy wierzchem dłoni, bo zaczyna mnie boleć głowa. – I tak czuję się jak totalna idiotka, po prostu zachowałam się dzisiaj jak kompletna niezdarka, naprawdę.

Waha się dłużej, niż to konieczne. Przecież to tylko lekkie zadrapanie.

– Wiem, że rozmawiałaś z Elizabeth – wyrzucam z siebie po chwili. Złość dodaje mi odwagi. Kiedy masz wątpliwości, zmień temat. A najlepiej – rzuć oskarżenie.

Uśmiecha się z poczuciem winy i przechyla głowę niczym psiak przyłapany na podgryzaniu buta.

– Tak naprawdę nie powiedziałem jej nic konkretnego – broni się. – Nie zdradziłem jej nawet, o czym był ten sen.

– A mówiłeś Reese? O czym był? – uściślam.

– Wiesz, że mówię jej wszystko.

Nie mogę mieć o to pretensji, są małżeństwem. I czy jesteśmy rodziną, czy nie, pojawiłam się w ich życiu jako zupełnie obca osoba.

– Zielone – mruczę, patrząc na światło.

– To była zupełnie niezobowiązująca rozmowa. – Jay próbuje mnie udobruchać. – Doktor Stanley dzwoni od czasu do czasu, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku w domu. I tak się akurat złożyło, że zadzwoniła dzisiaj rano – mówi, po czym przerywa i spogląda na mnie. – Nie sądziłem, że to tajemnica. Naprawdę nie chciałaś o tym rozmawiać?

– Nie – mówię, ale moja frustracja narasta. To nie było nic a ż t a k wielkiego. – Tylko odnoszę wrażenie, że nie mam za grosz prywatności.

– Następnym razem cię uprzedzę – stwierdza żarliwie. – Co więcej – na znak pojednania – kiedy wrócimy do domu, idź na górę i zamaskuj zadrapanie makijażem, a ja zrobię mały wyjątek od swojej reguły i o niczym nie powiem Reese. To będzie nasza słodka tajemnica – szepce z uśmiechem. – Rozejm?

Idę mu na rękę i obdarzam wåtłym uśmiechem. I nie, żebym n i e c h c i a ł a, by Reese

się o wszystkim dowiedziała, tylko że ona się martwi. Nieustannie. Nie mam do niej o to pretensji, w końcu jej przyrodni brat zginął w katastrofie lotniczej, a ona odziedziczyła po nim zwariowanego, pokancerowanego dzieciaka. Ludzie reagują dość paranoicznie na śmierć.

Coś wiem na ten temat.

Kiedy wjeżdżamy do garażu, zauważam firankę łopoczącą w otwartym oknie gabinetu Reese. Dzwoneczki wietrzne, które moja ciotka pozwoliła mi zawiesić na ganku kilka tygodni temu, teraz powiewają, poruszane lekką bryzą. Wsłuchując się w ich dźwięk, przyglądam się klasycznemu, pięknemu domowi i czuję, jak mięśnie mi się rozluźniają. Nie wiedzieć czemu, ich dom zawsze działa na mnie kojąco.

– Muszę cię przeprosić – odzywa się Jay, gdy wchodzimy tylnym wejściem – ale mam trochę pracy przed kolacją. – Zrywa poluzowany krawat i przerzuca go przez oparcie krzesła, po czym wchodzi do swojego „gabinetu”. Pomieszczenie przypomina bardziej laboratorium: stoją tam trzy komputery, na ścianach wiszą modele cząsteczek, a jedną z nich przysłania regał z kolorowymi książkami naukowymi, ustawionymi w całkowicie niealfabetycznym porządku.

Główne chemiczne preparaty trzyma w laboratorium – twierdzi, że byłoby zbyt niebezpiecznie przynosić je do domu. Tutaj znajduje się jednak każde możliwe narzędzie do przeprowadzania symulacji i badań.

Przy założeniu, że ten, kto tam wejdzie, potrafi je znaleźć.

Jay siada na krześle i zabiera się od razu do pracy, a ja wchodzę na palcach na górę, żeby nałożyć makijaż na czoło.

Gabinet Reese znajduje się prawie naprzeciwko mojego pokoju. Słyszę, że jest w środku, nuci coś, fałszując. Zakradam się do uchylonego pokoju tak, żeby mnie nie złapała. Kosmetyczka stoi na toaletce. Maskuję skaleczenie najlepiej jak potrafię, wcześniej oglądając je po raz pierwszy w normalnym lustrze.

Nie wygląda aż tak źle, tylko okropnie szczypie.

Nakładam na nie grubą warstwę podkładu, a wtedy jeszcze bardziej mnie piecze. Ale przynajmniej jest teraz prawie niewidoczne. Na koniec przypudrowuję wszystko i oglądam swoje dzieło.

Nie najgorzej.

Tylko że nadal wyglądam na zestresowaną, a tego nie przykryje żaden makijaż. To coś, co widać w oczach. Uważam, że mam do tego pełne prawo. Już jestem zmęczona tymi wszystkimi psychodelicznymi rzeczami, które mi się przytrafiają od dwudziestu czterech godzin. Mam dosyć zastanawiania się nad tym, jak przeprowadzić rozmowę z Elizabeth, by nie stwierdziła, że cofnęłam się bardzo w rekonwalescencji.

Unikając kontaktu wzrokowego z samą sobą, przeczesuję palcami krótkie, ciemne włosy. W efekcie wyglądają na nieuczesane i potargane. Biorę oddech, wyglądam je i zamykam kosmetyczkę.

Kiedyś nie były takie krótkie. Szkoda, że nie rosną szybciej.

Ogolili mi pół głowy przed operacją, a kiedy wreszcie zdjęto mi bandaż, zobaczyłam tam skołtuniony meszek. Włosy na drugiej połowie sięgały do połowy pleców.

Wtedy rozplakałam się po raz pierwszy. Wcześniej czułam się odrętwiała i nieobecna, zupełnie jakby te wszystkie zabiegi medyczne wykonywano na innej osobie. Na kimś, kto nie ma rodziców i szansy na normalne życie.

Nie na m n i e.

Ale włosy? Włosy były moje.

A skoro one były moje, to i reszta także. Uszkodzony mózg, nieżyjący rodzice, wszystko. Przynajmniej z włosami mogłam c o ś zrobić. Postanowiłam wtedy zgolić także i drugą

stronę, żeby było symetrycznie. Nie wiem, czy to była zła decyzja, ale z pewnością ogolona głowa nie kwalifikuje się do miana pięknej.

Moim zdaniem zaczęłam wyglądać jak szaleniec.

Dwieście lat temu golono głowy wszystkim „pacjentom” w przytułkach dla umysłowo chorych, żeby zapobiec wszawicy. Przez pierwsze tygodnie po operacji, za każdym razem, gdy widziałam swoje odbicie w lustrze – krótką szczecinę i szpitalną koszulę – czułam się jak więzień staroświeckiego domu wariatów.

Co było całkiem trafnym określeniem.

Ostrożnie macam bliznę wzdłuż głowy, dotykam palcem wypukłości. Lekarze powiedzieli, że z czasem stanie się gładza i mniej zauważalna, ale zostanie już na zawsze. Ma mniej więcej dwadzieścia centymetrów długości i ciągnie się ukośnie od miejsca tuż za czołem ku prawej stronie głowy. Na szczęście kiedy włosy urosły na dwa-trzy centymetry, niemal całkowicie ją przykryły. Mam teraz dziesięciocentymetrową fryzurę, a włosy są na tyle ciemne, że jeśli nie przeczeszę ich palcami, nikt nie zauważy blizny.

W miejscach publicznych niczego takiego nie robię. Jestem uważna.

Może jednak przydałaby się wizyta u fryzjera.

– Jak było na rehabilitacji? – pyta Reese, a ja podskakuję. Dobrze, że chociaż odczekała, aż usunę wszystkie ślady mojego wyczynu.

– Jak to na torturach – mruczę i odsuwam kosmetyczkę. Noga mnie n a d a l boli.

– A jak poszła wczorajsza sesja z doktor Stanley? – ciągnie. Najwyraźniej nie wiedzą, że mają ją nazywać Elizabeth. Zawsze mówią o niej „doktor Stanley”.

– Dobrze – odpowiadam, zdejmując bluzę. Przez tę całą adrenalinę zrobiło mi się gorąco. Powietrze płynące od otwartego okna chłodzi moją podrażnioną skórę.

– Czyli robisz postępy?

Spoglądam na nią podejrzliwie. Zwykle aż tak szczegółowo mnie nie wypytuje. Albo po prostu nigdy nie zwróciłam na to uwagi, a dzisiaj co chwila wpadam w paranoję.

– Tak tylko pytam – wyjaśnia pospiesznie. – W przyszłym tygodniu muszę wyjechać z miasta na spotkanie z klientem. Zastanawiałam się, jak byś zareagowała na moją kilkudniową nieobecność.

– Nie ma absolutnie żadnego problemu – odpowiadam odrobinę za szybko. – Jay jedzie z tobą?

– Chciałabym. Ma nowy projekt, nie ma mowy, żeby dali mu teraz tydzień wolnego. – Reese opiera się o futrynę, wydaje się zamyślona. Rozżalona. Gdyby nie to, że odpowiada na moje pytanie, mogłabym pomyśleć, że mówi do siebie.

Prostuje się raptownie, spogląda na mnie i się uśmiecha. Szeroko.

Lubię ją, naprawdę, ale za bardzo się stara. Jay zachowuje się bardziej naturalnie, łatwo z nim usiąść i pożartować. Nawet kiedy jesteśmy we trójkę, też jest w porządku. Za to kontakty z samą Reese kosztują mnie sporo wysiłku.

– Kolacja będzie gotowa za dziesięć minut – mówi wesoło. – Zrobiłam lasagne.

Uśmiecham się, a ona bierze to za entuzjazm z powodu makaronu. To całkiem zrozumiałe, jest pyszny, ale śmieję się ze słowa „zrobiłam”. Moim zdaniem zrobił go facet z działu garmazeryjnego delikatesów. Reese może sobie najwyżej przypisać zasługi za włożenie go do piekarnika i ustawienie timera.

Może to jest pieczenie, ale na pewno nie r o b i e n i e. Kiedy mama robiła lasagne, spędzała długie godziny w kuchni, zagniatając ciasto, krojąc pomidory, szatkując oregano. Nic nie było z paczki ani z puszki. Ani z delikatesów. Dla mamy przyrządzanie jedzenia stanowiło sztukę samą w sobie. Lasagne Reese to coś innego, zupełnie jak wszystko w moim nowym życiu.

Czasami mam wrażenie, że znajduję się na egzotycznym obozie wakacyjnym i po kilku wieczorach przy świecach i nocach pod jedwabną pościelą wrócę do Michigan, a rodzice będą na mnie czekać w naszym domu, tak typowym dla klasy średniej.

Niekiedy wszystko wydaje mi się takie inne, że jeszcze boleśniej odczuwam utratę starego życia.

Depresyjne uczucie.

Na szczęście najczęściej jestem gdzieś pośrodku.

– Uwielbiam – mamrocę w końcu.

Reese bawi się rogiem wyłożonej na wierzch bluzki, a ja niemal wyczuwam kłębiące się w jej głowie myśli. Widać, że stara się wymyślić, co tu jeszcze powiedzieć.

Wycofuję się z tej pełnej napięcia sytuacji, zerkając za okno na spienioną rzekę Piscataqua, i mało nie podskakuję z zaskoczenia. Serce od razu przechodzi na najwyższy bieg.

– Wiesz co, Reese? Gorąco mi. Chyba wyjdę na chwilę na zewnątrz.

– Kolacja za dziesięć minut! – woła za mną. – Musisz jeść.

Ledwo rejestruję, że coś do mnie mówi.

Wyskakuję na dwór, omiatam wzrokiem okolicę, szukam. „Błagam, niech się nie okaże, że się spóźniłam”, proszę w myślach.

Nie spóźniłam się.

Nadal tu jest. Kuca nad brzegiem.

W ogóle nie zwraca na mnie uwagi, kiedy podchodzę. Mrugam jak oszalała, upewniając się, że faktycznie go widzę. Że jest prawdziwy.

Ale jak zwykle nie migocze, nie błyszczy. Nie tak jak tamta kobieta pod biurem nieruchomości czy trójkąt na budynku. To po prostu... on. Prawdziwy, z krwi i kości. Czuję ulgę z tego powodu, ale i strach.

Nie ma płaszcza ani kapelusza, ale nie zamienił ich na dzinsy i T-shirt. Ma na sobie lnianą koszulę, włożoną luźno w brązowe płócienne spodnie, jego bose stopy są częściowo zagrzebane w kamienistym piasku. Rozglądam się dookoła, ale nie widzę żadnych butów. Skoro jednak jest tak szalony, że dwa dni z rzędu przychodzi pod mój dom bez zapowiedzi i zaproszenia, to równie dobrze może nie nosić obuwia.

W marcu.

Gdy mu się tak przyglądam z powietrzem zamarznętym w płucach – nie jestem pewna, czy w ogóle bije mi serce – on unosi rękę i wsuwa za ucho kosmyk tych swoich jedwabistych włosów. A potem pochyla się, a lniany materiał napina mu się na plecach, i podnosi kamyk. Leniwym ruchem ręki bierze zamach i wypuszcza kamień, aż ten podskakuje na powierzchni rzeki.

Zniknął gdzieś jego bezruch.

Wzbiera we mnie gejzer złości i pragnienia. Zbliżam się do niego. Nie jestem pewna, co jest silniejsze – uczucia, które mnie powstrzymują, czy te, które pchają mnie do przodu.

Ale już stoję obok.

Nie podnosi wzroku. W żaden sposób nie daje po sobie poznać, że jest świadomy mojej obecności.

To tylko potęguję moją złość.

– Widziałam cię – mówię na tyle głośno, żeby mnie usłyszał. Nie chcę zwracać na siebie niczyjej uwagi, a już na pewno nie Reese. – Wczoraj. To znaczy dzisiaj. O drugiej w nocy.

Czekam, aż się wytłumaczy, zacznie się bronić. Nawet kłamać. Ale on milczy.

– A potem jeszcze na Park Street. Nie podoba mi się, że mnie śledzisz, chcę, żebyś przestał. – Zęby mi niemal dzwonią od tego kłamstwa, ale zanim je wypowiedziałam na głos, nie wiedziałam, że jest kłamstwem.

A jednak wydusiłam to z siebie, Benson byłby ze mnie dumny.

Chłopak ciągle milczy. Podnosi tylko kolejny kamień i puszcza go tak samo jak pierwszy.

– Mówię poważnie – dodaję.

Co nie jest prawdą.

– Chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju.

„Chcę, żebyś ze mną porozmawiał”.

Nie rusza się. I milczy.

– Hej! – wyrzucam z siebie, krzyżując ręce na piersi. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Schyla się po kolejny kamyk, a wtedy przesuwam się do przodu, żeby mu przeszkodzić.

– Nie możesz o tak... – zaczynam, po czym spoglądam mu w twarz i zamieram.

To najpiękniejsza twarz, jaką w życiu widziałam.

Zielone oczy patrzą na mnie ze spokojem tak głębokim jak wody jeziora Michigan. Ma niemal kwadratową szczękę, ale zarys ust łagodzi kanciaste linie, resztę robią czarne jak smoła rzęsy. Kiedy się nim upajam, zza ucha wypada mu kosmyk złotych włosów i rzuca cień na policzek. Zasyłam powietrze i chociaż staram się uformować jakieś słowa, język odmawia mi posłuszeństwa.

Zupełnie jakby wyczuwał, jakie wrażenie na mnie wywarł, odwraca się, patrzy na wodę, a ja znów mogę się ruszać.

– Proszę o wybaczenie – mówi. Głos ma głęboki, ale łagodny. Mmm, czekolada. – Żle do ciebie podszedłem. Zepsułem to. – Mówi trochę inaczej niż my – może to obcy akcent, ale nie potrafię go przypisać do żadnego miejsca.

Nie wiem, czego się spodziewałam, w każdym razie na pewno nie natychmiastowych przeprosin. Wymówki, protesty – na to byłam gotowa. Jestem zdumiona tym, że się przyznał, i przez chwilę stoję z rozdziawionymi ustami.

– Powinienem był przedstawić się w tradycyjny sposób. – Spogląda mi prosto w oczy, a ja nie jestem w stanie odwrócić wzroku.

– Tak, to byłoby lepsze niż stawanie przed moim oknem o drugiej w nocy – odpowiadam z trudem.

– Przestraszyłem cię.

I znów ta prostolinijność. Chcę zaprzeczyć – upierać się, że wcale się nie bałam. Tylko że owszem, bałam się. Byłam przerażona, ale i podekscytowana.

– To nie mnie powinnaś się lękać.

Przyglądam mu się uważnie. Jest w nim... coś. Coś z n a j o m e g o, widzę to teraz, kiedy jestem blisko.

– Czy ja... czy my się znamy?

Uśmiecha się. Muszę się cofnąć, bo wstaje, a wtedy koszula opada mu do przodu i przez głęboki dekolt widzę kaloryfer na brzuchu. Nie jestem jedną z tych dziewczyn, które lecą na mięśnie i opaleniznę – wolę jednak szare komórki niż mięśnie – ale nie potrafię odwrócić wzroku. Mam wrażenie, że jego ciało zostało skonstruowane specjalnie po to, bym mogła je podziwiać. Gdy się prostuje, koszulka opada mu na pierś. Przenoszę wzrok wyżej.

I wyżej.

Nie jestem niska, mam metr siedemdziesiąt dwa, ale on jest o dobre piętnaście centymetrów wyższy ode mnie. Teraz w leniwym geście rozciąga nad głową szczupłe ramiona.

– Nie – mówi, a w jego oczach migocze jakiś chochlik. – Ale mnie poznasz.

Stoimy.

Wpatrujemy się w siebie.

Bez końca.

Ta dziewczyna, która traci język w gębie na widok obcego chłopaka, ślini się, gdy widzi jego idealną sylwetkę, to nie mogę być ja. Czuję, że to wszystko jest jednocześnie takie... właściwe i niewłaściwe, i aż mam ochotę uciec przed sobą i przed tą sprzecznością.

– Jestem Tavia – mówię, wyciągając rękę. Muszę c o ś zrobić, to napięcie doprowadza mnie do szału, a sama nie wiem, czego chcę. I czego nie chcę.

Najwyraźniej to jedno i to samo.

Patrzy na moją dłoń, ale ją ignoruje.

– Wiem, kim jesteś.

Oczywiście, że wie. Czekam.

I czekam.

Czy wymusi na mnie pytanie?

– Powinniśmy porozmawiać – stwierdza, pochylając się, by podnieść leżący na piasku płaszcz, a potem wsuwa ręce w rękawy. – Są rzeczy, które muszę ci pokazać, a zostało mi niewiele czasu.

– Nie wiem, jak się nazywasz – wyrzucam z siebie.

Obdarza mnie teraz pełnym uśmiechem, ukazuje szerokie zęby i maleńkie zmarszczki

w kącikach oczu.

– Jesteś piękna, wiesz o tym? – mówi. Nogi mi się trzęsą, kiedy unosi rękę do mojej twarzy, a jego palce zatrzymują się milimetr od mojego policzka. – Podobasz mi się taka – szepce. Przymykam powieki, czekając na dotyk.

Jednak ten nie następuje.

Po kilku sekundach otwieram oczy, zawstydzona. On jednak na mnie nie patrzy.

– Dlaczego to robisz? Nic z tego nie rozumiem.

– Żałuję, że nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić, ale to nastąpi. Z czasem. Musisz mi zaufać. Wiem, że nie zrobiłem nic, by sobie na to zasłużyć – dodaje, zanim zacznę protestować. – Ale proszę, proszę – zaufaj mi.

Moja głowa kiwa sama z siebie, chociaż ja przygryzam wargę i zaraz ją puszczam, bo zęby napotykają obolałą, spękaną skórę. Głupie morskie powietrze. Dzięki temu odzyskuję przejrzystość myślenia i zwalczam potulność, która wypełnia mi umysł.

– Bez obrazu, ale dlaczego miałabym ci ufać? – pytam. – Nic mi nie mówisz i ciągle uciekasz. Musisz ze mną porozmawiać.

– Następnym razem – mówi, a w jego głosie wyczuwam cień obietnicy. – Wiesz, że dzisiaj nie mogę dłużej zostać. Obiecuję – dodaje. – Następnym razem przyniosę coś, co pomoże ci zrozumieć. Zgoda?

– Nie możesz tu przyjść ponownie – ostrzegam. – Nie w ten sposób. Oboje będziemy mieć kłopoty.

Kiwa głową z powagą, zupełnie jakby się tego spodziewał.

– Nie szukaj mnie – mówi. – Ja cię znajdę.

Zdaje się, że nic więcej od niego nie uzyskam. Ma rację, nie może tu dłużej zostać. Nie teraz.

– Dobrze – zgadzam się i cała drzę, kiedy to mówię. Boję się tego, na co właśnie przystałam.

Odwraca się i długi płaszcz wydyma się na moment, po czym opada z szelestem, okręcając mu się wokół nóg.

– Bądź bezpieczna – mówi.

Czy raczej tak mi się wydaje, bo słowa padają tak cicho, że mogłam je sobie tylko wyobrazić.

– Zaczekaj! – Biegnę za nim.

– Wkrótce – odpowiada, nie odwracając się. – Wkrótce.

– Ale... – Nie wiem nawet, co powiedzieć. Zupełnie nad niczym nie panuję – nad sytuacją, nad nim. Nad sobą.

Śmieje się cicho, a mnie ogarnia złość. Odwraca się jednak i podchodzi do mnie, patrząc mi filuternie w oczy.

– Skoro imiona są dla ciebie takie ważne, nazywam się Quinn – mówi z uśmiechem. – Quinn Avery.

Quinn Avery.

Dwa proste słowa, a tyle znaczą.

Gdzie jesteś? – Ręce mi się trzęsą, kiedy piszę SMS do Bensaona.

Biblioteka. Zaraz wychodzę – odpowiada mniej więcej minutę później.

Musimy pogadać. – Czuję się dziwnie, pisząc do Bensaona – chłopaka, który tak mi się podobał jeszcze tydzień temu – w sprawie chłopaka, który najwyraźniej podoba mi się w t y m tygodniu.

W sprawie d r u g i e g o chłopaka, który mi się podoba w tym tygodniu. To takie dziwne – kiedy Quinn jest w pobliżu, nie potrafię skupić się na czymkolwiek innym. Zupełnie jakby zawładnął moimi zmysłami. Unoszę się na obłoku, co jest tak samo cudowne, jak i przerażające. Kiedy odchodzi, wracam na ziemię i sama już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Zdaję sobie sprawę, że powinnam zrezygnować z Bensaona, bo nie mam u niego szans, ale nasza znajomość jest jak pożar lasu – wszystko zaczęło się od niezauważalnej iskry, która przerodziła się w pożogę. Nie mogę ugasić tych uczuć, nawet gdybym chciała.

A teraz zamierzam powiedzieć mu o Quinnie? Co ja najlepszego robię?

Mimo to aż się we mnie gotuje od poczynionego odkrycia – nieznajomy ma jednak jakieś imię i chce się jeszcze ze mną zobaczyć! Komu miałabym o tym powiedzieć? Dochodzi dwudziesta, przecież nie zadzwonię do psychiatry – znowu.

Staram się nie myśleć o tym, co jeszcze powiedział. „To nie mnie powinnaś się lękać”. Cały dzień się bałam, teraz potrzebuję kilku minut, może nawet godziny szczęścia.

Udaje mi się przekonać Reese, że zapomniałam o zadaniu domowym. Pożycza mi samochód, żebym mogła pojechać do biblioteki. Mam niecałe pół godziny do zamknięcia. Kiedy dojeżdżam na miejsce, zostawiam auto na parkingu i wchodzę do środka tak szybko, jak pozwala mi na to obolała noga. Rozglądam się w poszukiwaniu Bensaona. Nic mnie nie obchodzi, czy zrozumie. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy wysłuchiwałam jego peanów na cześć Dany McCraven i dałam sobie radę. Teraz on może posłuchać m n i e.

„Tak jest lepiej”, przekonuję sama siebie. „Teraz każde z nas ma kogoś”. Tylko czemu na samą myśl czuję się dziwnie pusta?

Benson opiera się o blat i rozmawia cicho z Marie. Serce mi podskakuje na jego widok, mierzę go wzrokiem – wykorzystuję okazję, zanim się zorientuje, że już jestem. Ma na sobie tę samą popielatą kamizelkę i jasnozieloną koszulę co wcześniej, ale podwinął rękawy, ukazując silnie zarysowane przedramiona. Kiedy patrzę, przesuwa okulary wyżej i robi minę do Marie.

Czuje się tak swobodnie wśród książek.

I wygląda tak uroczo.

Przełykam ślinę, przypominając sobie, po co tu przyszłam.

Kiedy tylko Benson mnie dostrzeża, zamyka usta, a ja zauważam dziwną melancholię w jego oczach. Szybko jednak znika, ustępując niesymetrycznemu uśmiechowi. Muszę pamiętać, że się o mnie martwi. Że daję mu dodatkowe powody do zmartwień. Benson jest taki niezmienny i łagodny – czasami można zapomnieć, że to facet, który swoje uczucia chowa naprawdę głęboko.

Podchodzę bliżej, próbując unikać kontaktu wzrokowego z Marie, zanim przywita mnie swiergocząco i zacznie wypytywać, jak minął dzień. Nie mam dzisiaj dla niej czasu.

– Witaj, Marie – rzucam pospiesznie, nie patrząc jej w oczy, i odwracam się do Bensaona.

– K o n i e c n i e muszę znaleźć jedną książkę przed zamknięciem biblioteki. Pójdę do tyłu, dobrze? – dodaję wymownie.

– Jasne, pomogę ci – mówi Benson, patrząc na mnie pytająco. Opiera rękę na moim

ramieniu i prowadzi mnie na tyły pomieszczenia, gdzie rzadko kto zagląda – chociaż i tak w bibliotece jest teraz zaledwie garstka ludzi. Większość to dzieciaki stłoczone wokół komputerów.

Kieruję kroki ku ciemnej alejce – sprawdzimy najpierw, czy nikt tam nie stoi – i przesuвам palcem po grzbietach nowszych książek w miękkich oprawach oraz zniszczonych obwolotach starych tomów. Myślę, że w tej bibliotece nigdy nie pozbywano się książek. Żadnych. Nad nami świeci lampa z pojedynczą żarówką, oświetla drobinki kurzu unoszące się przy delikatnym powiewie z grzejnika.

Teraz, kiedy mija moje zdenerwowanie, czuję się podekscytowana. Próbuję ukryć zakłopotanie, wyciągając z kieszeni pomadkę i smarując sobie usta.

– O właśnie, to mi o czymś przypomniało – mówi Benson i też sięga do kieszeni. – Przyniosłem ci drugą.

– Co? – Patrzę na niego, nie rozumiejąc.

– Pomadkę. Znalazłem ją w samochodzie po tym, jak odwoziłem cię ostatnio do domu. Przyniosłem ci, teraz będziesz miała dwie. – Wyciąga rękę, na której leży tubka wiśniowego balsamu, identyczna z tą, którą trzymam w dłoni. – Podwójna przyjemność – dodaje z uśmiechem.

– To nie moja. Muszę kupić sobie nową, ale jeszcze tego nie zrobiłam. – Spoglądam na niego, unosząc brwi. – Widocznie należy do którejś z twoich dziewczyn – dodaję, siląc się na wesołość. Zastanawiam się, czy Dana uległa w końcu jego urokowi.

Nie, żeby to miało jakieś znaczenie.

Nic mnie to nie obchodzi.

N i c a n i c.

– Nie, leżała na twoim fotelu, znalazłem ją, kiedy wysiadłaś – nalega i nie zabiera ręki. – Musiała wypaść ci z kieszeni.

Nie rozumiem, dlaczego tak się upiera.

– Benson, nie wezmę pomadki jakiejś obcej dziewczyny, to obrzydliwe. T a nie należy do mnie.

Patrzy na mnie z dziwną miną.

– Ale...

– Słuchaj, to nieważne. Po prostu ją wyrzuć. Muszę teraz z tobą porozmawiać.

– Twoja strata – mówi i podrzuca pomadkę. Tubka okręca się kilka razy w powietrzu i spada, a wtedy on ją łapie. – I tak powinnaś zmienić markę. Narzekasz, że ta ci już nie służy.

– To ta sól w powietrzu – odpowiadam, zakręcając balsam. Ten, który wyjęłam z kieszeni. Ten, co do którego mam pewność, że nie dotykał cudzych warg.

Szczerze mówiąc, jeśli całował się z nią, zanim posmarowała sobie usta, na pomadce mogą się znaleźć także i jego zarazki. Czuję coś dziwnego w żołądku, co wcale mi się nie podoba. Kręcę zamknięciem tubki, żeby zająć czymś ręce.

Może także po to, by nie musieć patrzeć na Bensaona.

Zaciskam palce na plastikowym opakowaniu i nagle moja dłoń robi się pusta, a palce stykają się ze sobą.

– Jasna cholera! – Cofam gwałtownie rękę.

– Co się stało? – pyta Benson, nie patrząc na mnie. Nadal podrzuca swoją pomadkę.

– Zniknęła.

– Co zniknęło?

– Pomadka!

Waha się, po czym wzrusza ramionami.

– Poszukaj na podłodze – mówi.

– Benson!

– Co?

Czekam, aż na mnie spojrzy.

– Trzymałam pomadkę w dłoni, a ona zniknęła.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, otwiera usta, żeby coś powiedzieć, po czym je zamyka i tylko się we mnie wpatruje. Szuka czegoś w moim wzroku.

– Z n i k n ę ł a, rozumiesz? – Z trudem panuję nad oddechem. – Trzymałam ją, a ona dosłownie rozplynęła się w powietrzu.

Benson milczy przez kilka sekund, a potem przełyka ślinę i podaje mi swoją tubkę, uśmiechając się blado.

– No to masz drugą – mówi.

– Benson...

– Jezu, Tave – odpowiada ostro. – To tylko balsam do ust. Weź albo nie. Nie jest mój.

Ten nagły wybuch wstrząsa mną i chwilę później zdaję sobie sprawę, że mam mokre policzki. Nie tyle płaczę, ile lzy ciekną mi z oczu strumieniami, jak gdyby wylewały się ze mnie wszystkie emocje. Dobre i złe, ekscytujące i przerażające. Tyle się dzisiaj zdarzyło, wszystko teraz ze mnie uchodzi.

Jestem zakłopotana. Czuję się wykończona.

Wrywam Bensonowi z ręki tę głupią pomadkę – później ją wyrzucę – i otwieram torebkę, szukając jednej z wielu paczek chusteczek, które w niej trzymam. Odkąd zginęli moi rodzice, zdarza mi się często – co politowania godne – popłakiwać w miejscach publicznych.

Kiedy pociągam nosem, Benson podnosi wzrok i twarz mu się zapada z żalu. Wyciąga rękę, dotyka moich ramion.

– Och, Tave. Przepraszam! Jestem kretynem. Ja...

Przerywam mu, machając gwałtownie ręką. Sięgam do torebki i wyciągam pomadkę. Żeby się upewnić, unoszę dłoń, rozprostowuję palce i pokazuję tubkę, którą właśnie dał mi Benson.

Dwie. Trzy, jeśli liczyć tę, która dopiero co zniknęła.

Czuję, że tracę panowanie nad sobą. Zmuszam się do wzięcia kilku oddechów, a wtedy przychodzi mi do głowy coś straszego. Rękę, niemal zdrętwiałą ze strachu, wkładam ponownie do kieszeni.

Początkowo nic nie czuję, ale sięgam głębiej, do dolnego narożnika, gdzie zwykle gromadzą się farfocle.

Wyciągam kolejną tubkę.

Benson miał rację. Z a w s z e mam ją w kieszeni.

Podaję mu trzy pomadki. Mechanicznie wyciąga rękę.

Kładę mu je na dłoni. Musi to zobaczyć.

Jeśli to zobaczy, znaczy, że nie oszalałam.

Albo przynajmniej – że nie mam halucynacji.

Ponownie wkładam rękę do kieszeni i patrząc Bensonowi prosto w oczy, wyciągam następną tubkę. Umieszczam ją obok tamtych trzech.

Czwarta. Sięgam ponownie.

Piąta.

Szósta.

Nie chcę, żeby znowu otwierali mi mózg.

– Przerażasz mnie. – Benson przewierca mnie wzrokiem.

– Cii! – Przykładam palec do ust. – Patrz.

– Tave...

– Patrz.

Mój poważny ton w końcu go przekonuje. Obserwuje sześć moich pomadek z dość sceptycznym wyrazem twarzy, jakby czekał, że podskoczę i zawołam: „Mam cię!”.

Chciałabym.

Chciałabym, żeby to było takie proste.

Mija kilka minut, oczy mnie bolą od wpatrywania się w tubki. Benson bierze wdech i czuję, że już ma coś powiedzieć, kiedy jedna z pomadek po prostu znika.

Benson wydaje z siebie okrzyk i upuszcza pozostałe. Odsuwa się – niemal mnie przy tym przewracając – a tubki rozsypują się dookoła.

– Matko przenajświętsza!

– Cii! – nakazuję szeptem, zasłaniając mu usta dłonią, i podchodzę bliżej.

Stoję teraz tuż przy nim.

Podnoszę głowę, nasze twarze dzieli zaledwie kilka centymetrów. Mam wrażenie, że serce mi się zatrzymało. Opuszczam powoli rękę, jego usta wydają się takie miękkie pod moimi palcami. W końcu już tylko jeden mój palec dotyka jego dolnej wargi. Jak zza mgły dochodzi mnie przyspieszony, nierówny oddech Bensona. Czuję, jak wbija we mnie swój palący wzrok.

Nie jestem pewna, które z nas pierwsze robi ruch, po tym wszystkim nie wiem nawet, jak to się stało. Nagle chwytam jego włosy, przyciągam go do siebie, a on trzyma mnie za kark, przysuwa bliżej i przechyla mi głowę, by zbliżyć moje usta do swoich. Całuje mnie łapczywie, jego wargi szukają, domagają się i zabierają.

Tylko jak mogą zabierać to, co sama ochoczo im daję?

Drży cały, gdy robi krok do przodu, przywiera do mnie, przyciska do regału. Grzbiety książek wbijają mi się w plecy, kiedy nasze ciała się stykają, napierają na siebie, oplatają się. Chwytam miękki materiał jego kamizelki, wbijam palce w żebra. Nadal trzyma mnie za szyję, za głowę – palce wplata mi we włosy, przysuwa moje usta bliżej swoich – a nasze ciała tkwią w uścisku.

Odrywam się na moment, żeby nabrać powietrza, ale zaraz wracam do jego warg. Wydaje z siebie cichy, gardłowy jęk, na dźwięk którego pragnę przytrzymać go mocniej, całować głębiej. Nie wiem, jak długo to trwa – wieczność, a jednocześnie zbyt krótko – a potem Benson odsuwa głowę i wzdycha przeciągle. Obejmuje dłońmi moją twarz, opiera czoło o moje i oboje ciężko dyszymy. Jego oddech jest taki gorący... Kiedy wydycham powietrze, czuję, że pachnie nim.

Wiem, że teraz wszystko się zmieni.

Na lepsze? Mam nadzieję.

– Czy to jest ten moment, w którym powinienem przeprosić? – pyta. Głos ma tak cichy, tak słaby, że mam ochotę znów się rozpłakać.

– A jest ci przykro? – szepczę. Nie wiem, jaką odpowiedź chciałabym usłyszeć.

– W życiu – mówi ledwo słyszalnie.

Wypełnia mnie dziwna radość, ale nie przytłaczająca, lecz spokojna. Łagodna.

– Więc nie przepraszaj.

Benson odsuwa się, zabiera ręce i kładzie je na biodrach, po czym spogląda na półkę po lewej stronie.

– To nie był dobry moment. Płakałaś, a ja... Powinienem... N i e powinienem...

– Benson – przerywam. – Jest okej.

– Nie jest. Nie chciałem...

– Benson – mówię, bardziej stanowczo. Robię krok w jego stronę i wsuwam dłonie pod jego ręce, odrywając je od bioder. Splatam palce z jego palcami. – Jest o k e j. – Nie chcę zadawać tego pytania, ale wiem, że muszę. – Czy to dlatego tak bardzo nie lubisz Quinna?

Ciężko przełyka ślinę i dopiero potem odpowiada.

– A więc ma już imię?

– Tak.

– To jedna z przyczyn – przyznaje w końcu. – Ale pozostałe są równie istotne. Mam trudności z racjonalnym myśleniem.

– A Dana McCraven?

Czerwieni się jak burak.

– Wymyśliłem ją sobie – wyznaje. – Nie chciałem, żebyś zauważyła, jaki jestem beznadziejnie zakochany.

– Naprawdę? – Jestem zszokowana.

I szczęśliwa.

– Zapytałaś któregoś dnia, a ja... wymyśliłem nazwisko. Nie chciałem, żeby się z tego zrobiło takie wielkie kłamstwo. To miało mi pomóc utrzymać dystans – mamrocze. Podnosi na chwilę wzrok, a mnie serce zaczyna walić jak oszalałe na widok emocji, jakie kryją się w jego oczach. – Jak widać, bezskutecznie.

– M n i e przekonałeś – odpowiadam ze śmiechem.

– Dana McCraven nie umywa się do ciebie – szepcze i się uśmiecha.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? – „Mogliśmy się tak całować już od paru miesięcy!” – mam ochotę wykrzyknąć.

– Nie chciałem stracić tego, co między nami było – odpowiada niepewnie. – Naprawdę cieszyłem się, że przychodzisz tu codziennie.

Zaczynam uśmiechać się szeroko jak zakochana wariatka.

Podobam się Bensonowi.

Ja!

Od zawsze.

To mała pozytywna iskra w moim świecie, który ostatnio stał się taki pogmatwany. Mam wrażenie, że zapomniałam, co się robi z dobrymi wiadomościami.

Oczywiście akurat w tej chwili mój wzrok musi paść na leżącą na podłodze pomadkę.

– Benson! – Zaciskam palce na jego dłoniach, być może nawet je miażdżę. – Nie ma ich!

Na podłodze leży tylko jedna, samotna, niewinnie wyglądająca tubka.

Odwracam się ponownie do Bensaona i z trudem powstrzymuję się przed chwyceniem go za koszulę i potrząśnięciem.

– Przecież je widziałeś! Nie wymyśliłam sobie tego! Było ich sześć, powiedz, że tak! – wołam coraz głośniejszym głosem. Zaczyna mi pocierać ramiona i uciska mnie.

– Tak, widziałem je. Były tu. – Ma szeroko otwarte oczy i zaciśnięte zęby, kiedy wpatrujemy się w posadzkę, na którą spadły wszystkie tubki. Zupełnie jakby miały się nagle pojawić.

Podrywamy się, gdy bibliotekę wypełnia płynący z głośników głos Marie:

– *Za pięć minut zamykamy. Bardzo proszę o przynoszenie książek. Za pięć minut zamykamy.*

– Muszę iść. Obiecałam Reese, że zaraz wrócę.

Zaciska zęby tak mocno, że mam ochotę pogłaskać go, rozluźnić.

– Musimy o tym pogadać – mówi po chwili. – Jutro.

– Jutro pracujesz. Może spotkamy się...

– Nie tutaj – przerywa mi zdecydowanym tonem. – Może u mnie?

„U niego” – na samą myśl przebiega mi po plecach przyjemny dreszcz. Ale kiedy Benson się schyla, by podnieść ostatnią pomadkę, natychmiast przytomnieję.

– Zadzwoń, że jestem chory, jeśli będzie trzeba – mówi. Przeczesuje ręką włosy i wpatruje się w jakiś punkt w oddali. – Rozgryzę to – stwierdza cicho, a potem odwraca się i chwyta mnie delikatnie za rękę. – Razem to rozgryziemy.

Kiwam głową, karmiąc się jego pewnością. Moja się rozplynęła.

– Masz. – Podaje mi pierwszą z brzegu książkę. – Wypożycz ją. Wtedy Marie nie będzie zadawała pytań.

– Okej. – Przyciskam książkę do siebie i ruszam, ale odwracam się jeszcze. Tak bardzo chciałabym go znów pocałować.

Pochyla się lekko w moją stronę.

Czuję jednak, że to niewłaściwe. Teraz, bez namiętności tamtej pełnej emocji chwili, mam wrażenie, że dzieli nas mur, którego nie da się przeskoczyć. Ostatecznie ściskam go tylko za rękę i odchodzę bez słowa. Zmuszam się do tego, by nie patrzeć do tyłu, zupełnie jakby przed chwilą cały mój świat nie stanął na głowie – tam, za regałem starych, zakurzonych książek.

Dopiero kiedy wyjeżdżam z parkingu, zdaję sobie sprawę, że nie powiedziałam Bensonowi o Quinnie. I że od momentu, w którym moje usta zetknęły się z wargami Bena, ani razu o Quinnie nie pomyślałam.

– To jak, widziałaś znowu tego swojego tajemniczego... eee... c h ł o p a k a?
 Żadnego udawania, żadnego powitania, żadnej gadki szmatki. Elizabeth od razu przechodzi do rzeczy.

– Krótko – odpowiadam. Słowa wypływają z moich ust, zanim uświadomię sobie, że wszystko miało miejsce na terenie ogrodu wujostwa. Czy powie Reese i Jayowi? Czy zmusi mnie, żebym zadzwoniła na policję? Powinna. Przynajmniej tak mi się wydaje. Mój umysł nadal wypełnia szczęście i niepewność związana z Bensonem, z trudem rejestruję takie szczegóły jak gdzie i kiedy.

– W miejscu publicznym?

Kiwam głową z nadzieją, że nie zauważy kłamstwa.

– No dobrze. – Elizabeth mówi powoli, jakby rozmyślała nad kolejnymi słowami, jakby dawała sobie dodatkowe sekundy na podjęcie decyzji. – To co tak konkretnie cię w nim pociąga? Bo rozumiem, że jednak czujesz pociąg? – dodaje z cieniem uśmiechu i stuka długopisem w notes z wyraźnym roztargnieniem.

Zmuszam się do tego, by zapomnieć chwilowo o Bensonie i skupić się na Quinnie.

– Ja... ja nie wiem. On... – zawieszam głos, ale uczucia wylewają się ze mnie, zanim nawet zorientuję się, co mówię. – Przy nim czuję się jak zupełnie ktoś inny. Wiem, że to nie ma sensu, ale tak właśnie jest. Wzbudza we mnie poczucie szczęścia z... z powodu, że żyję. – To brzmi tak żałośnie. I chociaż zdaję sobie z tego sprawę, emocje we mnie wzbierają, czuję ból, o którego istnieniu nie wiedziałam, dopóki on go nie odpędził – w taki sam sposób, w jaki odrywa mnie od ziemi, uwalnia, bym mogła wzlecieć wysoko.

Ciężko przełykam ślinę. Skąd to wszystko się bierze? Przecież ledwie zamieniłam z nim wczoraj kilka słów, a z Bensonem dosłownie się migdałam.

To tak, jakbym była dwiema osobami naraz – tą, która nie potrafi przestać myśleć o Bensonie, i drugą... która ciągle myśli o Quinnie. Milczę dość długo – myślę, że kilka minut – a Elizabeth wpatruje się we mnie intensywnie, obracając długopis w palcach. Czy zakochałam się w obu? Czy tylko wykazuję symptomy „społecznie nieakceptowanego zachowania”, o którym ciągle mówią mi neurologi?

– Tavia – odzywa się Elizabeth po chwili, odkładając notes i długopis na ławę, którą mam przed nosem. – Mam wrażenie, że jest coś, o czym mi nie mówisz. Z tego, co zdradziłaś, wnioskuję, że powinnam martwić się o twoje bezpieczeństwo, a jednak ty nie podzielasz tego niepokoju. Czy chciałabyś powiedzieć mi coś jeszcze o tym chłopaku?

– Jest inny. – Gram na zwłokę.

– Przystojny? – Elizabeth unosi brew, a w jej głosie słyszę cień dziewczęcego zainteresowania. Nie mogę powstrzymać uśmiechu, być może nawet odrobinę się rumienię, wspominając jedwabiste blond włosy i bladozielone oczy. Idealną urodę.

Robi mi się gorąco.

Opisuję go Elizabeth bardzo ogólnikowo: wysoki, jasnowłosy, opalony. Ale to wszystko niedomówienie. On jest czymś więcej. Palcami muskam krawędź stolika, przysuwam do siebie notes i długopis.

– Ma takie spojrzenie – dodaję i nawet nie patrzę, jak moje palce kreślą zarys jego twarzy, te wyjątkowe kanciaste rysy, tak dla niego charakterystyczne.

Jestem w połowie szkicu, kiedy dociera do mnie, że rysuję.

R y s u j ę .

Ręce zaczynają mi drżeć tak bardzo, że nie jestem w stanie kontynuować. Przyszłam tu,

myśląc o Bensonie, a teraz rysuję Quinna. Robię to pierwszy raz od wypadku i...

Ciskam długopis na ławę.

– Tavia. – Elizabeth mówi tak cicho, że ledwo ją słyszę, ale uczeplię się jej słów, jakby od tego zależało moje życie, trzymam się mocno, by odpędzić atak paniki, która zaraz mnie zdławi. – Nic się nie stało. To tylko szkic. Narzędzie, dzięki któremu przekazujesz mi, co widziałaś...

Podnoszę wzrok, zaczynam wreszcie rozumieć. To ona położyła na stoliku ten notes. Na tyle blisko, żebym mechanicznie po niego sięgnęła. Żebym zaczęła rysować, nawet się nad tym nie zastanawiając.

– Zrobiłaś to celowo.

Na jej ustach pojawia się cień uśmiechu. Kiedy się odzywa, ton ma swobodny, zupełnie jakbyśmy omawiały wystrój wnętrza jej gabinetu.

– Być może. To tylko narzędzie. Masz ochotę dokończyć?

To ciche pytanie mnie uspokaja. Zerkam na szkic i robię to, o co mnie prosi, chociaż kreska nie jest już tak pewna jak wcześniej. Nie rysuję długo – tylko tyle, by Elizabeth poznała go w tłumie lub... w rzędzie podejrzanych.

Tylko tyle, bym przekonała się, że potrafię to zrobić.

– To naprawdę świetne – mówi, gdy odkładam długopis. – Masz prawdziwy talent.

Wzruszam ramionami.

– To musi być wyjątkowa osoba, skoro udało mu się przełamać twoją blokadę artystyczną – dodaje cicho. – Jak ma na imię?

– Quinn. Quinn Avery. – Po raz pierwszy wypowiedziałam na głos jego imię i nazwisko, odbija się echem w mojej głowie, wywołując mrowienie, zupełnie jakby doszło do wyładowań.

Elizabeth kiwa głową.

– A więc z nim rozmawiałaś. To dobrze.

– Jest... jest coś jeszcze – mówię, nagle pragnąc za wszelką cenę zmienić temat.

Wolałabym chyba porozmawiać o Bensonie, poradzić się Elizabeth. Tylko jak by to wyglądało? Nie ma mowy. – Ja chyba... chyba mam przywidzenia – wyrzucam z siebie, zanim sparaliżuje mnie strach.

Elizabeth pochyla się do przodu.

– Co widzisz?

Spoglądam jej w oczy.

– Trójkąty.

Przechyliła nieco głowę, ale nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Trójkąty?

– Na jego domu – dodaję, żeby nie było, że postradałam zmysły. Nie zamierzam jej mówić, że są wszędzie. Te są przecież inne. – Był nad drzwiami domu, pod którym zobaczyłam go po raz pierwszy.

– Widziałaś ten trójkąt jeszcze później?

– Na innym budynku, przy Fifth Street – to w starej dzielnicy. Lubię tam spacerować.

Na początku wcale go nie zauważyłam, ale potem znalazłam na zdjęciu.

– Pokażesz mi?

Kiwam głową i wyciągam telefon. Odszukuję właściwą fotografię i powiększam białe drewno nad drzwiami.

– Tutaj – szepczę.

Elizabeth patrzy, mruży oczy, patrzy ponownie. Nic nie mówi, ale wiem, że go nie widzi. Czuję ucisk w żołądku, mam ochotę zwinąć się w kłębek na sofie.

Jeszcze kilka razy przybliżyła i oddała zdjęcie, po czym oddaje mi aparat.

– Dlaczego nie chciałaś mi powiedzieć?

– Bałam się – przyznaję szeptem.

– Czego się bałaś?

– Że uznasz mnie za wariatkę. Albo jeszcze gorzej: wyślesz z powrotem do neurologa – mówię. Następuje dłuższa chwila milczenia, a potem słowa same się ze mnie wylewają: – Po wszystkim, co się zdarzyło, pewnie akurat tym powinnam się najmniej przejmować. Ale kiedy człowiek ma wrażenie, że wszystko w jego organizmie szwankuje i zostało mu tylko zdrowie psychiczne, to... gdybym i to jeszcze straciła... – Nie jestem w stanie dokończyć. Żadne słowa nie oddadzą rozpaczy, jaka wiązałaby się z utratą zmysłów.

To rozpacz, która wisi nade mną i czeka, by mnie pochłonąć.

– Nie uważam cię za wariatkę – mówi Elizabeth łagodnie, ale ze stanowczością, która świadczy o tym, że nie kłamie. Albo że przynajmniej w y d a j e jej się, że nie kłamie. – Poczyłaś ostatnio takie postępy, spodziewałam się wręcz, że zaczniesz doświadczać pewnych... pewnych zmian.

– Co to znaczy: „zmian”? – Coś jak kieszenie pełne niekończących się pomadek? Czy o tym też powinnam jej powiedzieć?

Jednak wiem, że nie mogę. Przywidzenia? To można jakoś wytłumaczyć. Halucynacje są dość powszechnym skutkiem ubocznym poważnego uszkodzenia mózgu. Magiczne kieszenie już czymś takim nie są.

– Chciałabym jeszcze porozmawiać z tobą o niektórych rzeczach. O Quinnie, trójkątach – mówi, uciekając od odpowiedzi. – I wiesz, Tavia, mogą ci się przytrafiać dalsze zagadkowe sytuacje. Różne niewytłumaczalne sprawy. Nie ma w tym nic złego. Chciałabym, byś wiedziała, że możesz mi zaufać. Zrobię, co w mojej mocy, żeby twoje życie wróciło do normy. Po to jestem.

Kiwam głową, ale bez przekonania. Nie to, że jej nie ufam, tylko tu chodzi o coś większego, zupełnie niemożliwego. Może sama to rozpracuję, a wtedy wyjaśnię jej wszystko, zanim wyśle mnie do neurologa.

Albo wezwie policję.

Co się robi z ludźmi, którzy wyczarowują z kieszeni balsam do ust?

– Jak myślisz, dałabyś radę narysować coś jeszcze przed naszym następnym spotkaniem? – pyta Elizabeth. Ton jest lekki, swobodny, ale obie wiemy, że stąpamy po cienkim lodzie, gdy w grę wchodzi moja blokada artystyczna. Jeśli będzie naciskać zbyt mocno, lód pęknie. J a pękne.

– Być może – mamroczę. Nie mam zamiaru nic więcej obiecywać.

– Mogłabym zachować sobie ten rysunek do twojej następnej wizyty? – pyta, wytrącając mnie z zamyślenia.

Podnosi kartkę, a mnie zalewa fala zaborczości. Walczę z pragnieniem, by wyrwać jej notes. Biorę głęboki wdech i napominam siebie, że przecież skoro udało mi się narysować raz, to mogę i drugi. Mogę zrobić dziesięć takich rysunków. Albo nawet sto.

Zresztą, to tylko kilka dni.

Dlaczego więc czuję taki ból, jakby zabierała mi ten obrazek na zawsze? Jakby zabierała j e g o?

Kiedy nasza sesja dobiega końca, zaczyna padać deszcz. Elizabeth proponuje mi podwiezienie, ale odmawiam. Mam sporo do przemyślenia, a spacer w deszczu nadaje się do tego wprost idealnie. Udało mi się też przewidzieć pogodę i zamiast kurtki zabrałam płaszcz przeciwdeszczowy, więc nie zmoknę za bardzo. Elizabeth nalega, twierdzi, że zmarznę. Ostatecznie daję za wygraną, gdy oświadczam, że idę do biblioteki.

Kiedy docieram do parkingu, podnoszę wzrok i widzę jakiegoś mężczyznę, na wpół zasłoniętego krzakiem. Opiera się niedbale o ścianę jednego z budynków naprzeciwko biurowca, w którym mieści się gabinet Elizabeth, i chyba jeszcze mnie nie zauważył. Ale wygląda znajomo.

Dopiero gdy unosi rękę, by poprawić okulary przeciwsłoneczne – okulary w deszczu? – zdaję sobie sprawę, że to ten sam facet, który się we mnie wpatrywał, gdy zderzyłam się ze ścianą. Czyżby kolejny stalker? A może powinnam dopisać paranoję do listy zaburzeń psychicznych wywołanych uszkodzeniem mózgu? Z pewnością mieszka gdzieś w pobliżu i teraz, kiedy go raz zauważyłam, będę go widywać ciągle. To coś podobnego do zakupu nowego auta – wtedy człowiek wszędzie widzi ten sam model. Ale i tak jestem wystraszona, pochylam głowę, chwytam paski plecaka, okręcam się na pięcie i ruszam w przeciwnym kierunku.

Chwilę później zaczyna mi burczeć w brzuchu. Tak się denerwowałam wizytą – nie wspominając już o emocjach związanych z Bensonem – że zapomniałam zjeść śniadanie. Teraz jestem okropnie głodna.

Ostatnio często czuję głód. Potworny. Kiedy wróciłam wczoraj do domu po rozmowie z Quinnem, zjadłam chyba dwa razy więcej lasagne niż zwykle. Miałam zapytać o to Elizabeth, ale tyle się zdarzyło w tym tygodniu, że wypadło mi to z głowy. Rozumiem, że to znak zdrowienia, moje ciało zapewne potrzebuje więcej paliwa na odbudowę. Tak czy inaczej, żołądek domaga się teraz jedzenia.

Chciałabym iść do biblioteki, może moglibyśmy później coś zjeść z Bensonem. W końcu powiedział, że powinniśmy się spotkać. Ale ostatecznie zwycięża zdrowy rozsądek – uznaję, że przemoczona, ubłocona dziewczyna pojawiająca się w pracy chłopaka nie zachęca do umówienia się na randkę. Najpierw muszę iść do domu. Może Reese pożyczylaby mi samochód, żeby mogła podjechać do biblioteki, teraz już naprawdę leje.

Wcześniej nie zależało mi na tym, żeby ładnie wyglądać dla Bensona. Ale teraz...

Wracam do domu, bezszelestnie otwieram drzwi wejściowe i jestem już na którymś stopniu, kiedy słyszę głos Reese.

– To nie jest dobra pora, Liz. Tavia wyszła rano, nie mówiąc, dokąd idzie. Dotarła w ogóle na wasze spotkanie? – Chwila ciszy. – Chociaż tyle.

Przestraszona, odwracam głowę w stronę kuchni i nadstawiam uszu, gdy słyszę swoje imię. Kroki Reese zmierzają w moją stronę, instynktownie chowam się, a ona wchodzi z telefonem do pokoju i wygląda przez okno.

Sprawdza, czy nie idę.

– Znowu ten blondyn?

Liz. E l i z a b e t h? Żołądek mi się ściska, a serce wypełnia poczucie zdrady. Wszystko im mówi! Psychiatrzy nie powinni tego robić. Zaciskam zęby, ale schodzę cicho na dół.

– Narysowała go? – słyszę. – To cudownie!

Przyciskam kolana do piersi, ukryta w cieniu krętych schodów. Staram się nie wydawać żadnego dźwięku, nawet nie oddychać.

– Jesteś pewna? Wygląda jak chłopak z opisu Soni? Ale –

moment, r o z m a w i a ł z nią? Przecież to nie ma sensu! Czy możliwe, że doszło do jakiejś

pomyłki? – Zastanawia się przez chwilę. – Poczekał, zapiszę. Quinn? Okej. A-ver-y – mówi powoli, pisząc. – Sprawdzę go. Nie kojarzę tego nazwiska, ale sama wiesz, ile mamy kartotek. Zawsze mogę zadzwonić z prośbą o przysługę. Mam w archiwum kogoś, kto potrafi trzymać język za zębami.

Słyszę, że coś pije, przelika pospiesznie i znów się odzywa.

– Trójkąt Przyziemców? W jego domu? Sądzisz, że on wie, kim jest?

Aż mi się robi niedobrze, gdy słyszę wszystkie moje tajemnice wypowiedane przez Reese.

– Masz rację, pewnie tak. Chętnie sprawdzę ten na Fifth Street. Udało ci się zobaczyć numer domu na zdjęciu? Może ten, kto tam mieszkał, należał do Curatoriatu. Może zostało tam coś, co moglibyśmy wykorzystać. Koniecznie musisz podrzucić mi ten rysunek – to może być przełom, którego tak potrzebujemy.

Rysunek... Co mnie podkusiło, żeby zostawić go u Elizabeth!?

– Jak myślisz, ile mamy czasu do momentu, w którym trzeba będzie ją wybudzić? – Następuje dłuższa chwila ciszy. Słyszę kroki, co oznacza, że Reese znów zaczęła chodzić po pokoju. – Martwię się, że to wypali jej mózg. Zawsze się o to martwiłam. Obie wiemy, że z uszkodzonym mózgiem okaże się nieprzydatna. A co, jeśli ona sama powoli zacznie się wybudzać?

Przerywa, przez dłuższy czas słucha tego, co mówi Elizabeth. Mijają sekundy, a ja zaczynam oblewać się potem. Zastanawiam się, o czym – u licha – moja psychiatra jej mówi. W końcu Reese mruczy „uhm” i rzuca:

– Jeśli to naprawdę on, Tavia musi być... – Kroki ustają. – Liz, sądzisz, że ona jest zbyt pokiereszowana, żeby się wybudzić?

Przełykam ślinę. Nienawidzę słowa „pokiereszowana” w ustach Reese, chociaż sama często tak siebie nazywam.

Ciotka wzdycha.

– Chciałabym podzielać twój optymizm. Ale ona pozwala ci się zbliżyć do siebie bardziej niż mnie. Dzięki Bogu, że jesteś, w przeciwnym razie nic byśmy nie wiedzieli. – Staje inaczej, opiera rękę na biodrze. Pozycja siły. – Te trójkąty wszystko zmieniają. On coś wie. Jakie jest prawdopodobieństwo, że należy do Reduciatu? Ech, zapomnij resztą. Wszystko to złe wieści. Nie, nie, dzisiaj to za wcześnie. Zwłaszcza że jesteśmy już tak blisko. C h y b a jesteśmy już tak blisko.

„Nie dzisiaj. Cokolwiek chcę mi zrobić, nie nastąpi to dzisiaj. Czy ulga to właściwe uczucie w obliczu tego wszystkiego?”

– Przyspieszę wyjazd. Nie dam rady pojechać dzisiaj tak, żeby się góra nie dowiedziała, ale mogę zrobić to jutro. Zakładam, że rysunek odpowiada naszemu opisowi – mówi Reese, a potem wydaje z siebie kilka mruknięć i bierze głęboki wdech. – Musimy ją uważnie obserwować. Jeśli sama to wszystko rozpracuje, w najlepszym wypadku ją stracimy.

W najgorszym – wyniszczy ją to tak, że stanie się beużyteczna.

„Wyniszczy mnie?”

– Mam nadzieję – mówi Reese po dłuższej chwili milczenia. W jej głosie słychać melancholię, której nijak nie potrafię połączyć z treścią rozmowy. – Nie możemy jej ukrywać w nieskończoność. Już i tak się niepokoję. Moje źródła przekazują mi sprzeczne informacje, a to zwykle oznacza, że coś znaleźli i teraz próbują to ukryć. Wiemy, co się stanie, jeśli zaczną drążyć – dodaje i chociaż nie wiem dlaczego, czuję, jak po plecach przebiega mi dreszcz przerażenia. – Z pewnością możemy utrzymać ją przy życiu przez kolejny tydzień, ale potem... wszystko się może zdarzyć.

„Utrzymać mnie przy życiu?!” Nie mogę oddychać. Zupełnie jakbym dostawała cios za ciosem. Ciemność wkrada się w krawędzie mojego pola widzenia, mam ochotę wymiotować, czuję, że zaraz zemdleję.

Reese odwraca się i wchodzi z powrotem do kuchni. Kulę się jeszcze bardziej, kryję się głębiej w cieniu.

– Trzymajmy kciuki, żeby nasz kontakt w Phoenix okazał się właściwy. Jeśli tak nie będzie, zostaniemy bez żadnych tropów, trzeba będzie działać po omacku. A to zapewne sprowadzi się do ucieczki. Nienawidzę uciekać – wzdycha. – Tak, wiem. Małymi kroczkami. Wkrótce się odezwę.

Słyszę, że się rozłącza, a potem moich uszu dobiegają znajome dźwięki: Reese wkłada płaszcz, chwytając brzęczące klucze, słysząc szmer otwieranych drzwi garażowych.

Odrywam się od ściany i kucam pod oknem. Rozsuwam żaluzje na tyle, by widzieć, jak Reese wyjeżdża na ulicę.

Kiedy znika mi z pola widzenia, odliczam do dziesięciu, a potem uciekam z domu. Biegnę chodnikiem. Napędza mnie adrenalina, w końcu jednak muszę zwolnić, czuję klucze w boku. Oddycham szybko, zapomniałam zupełnie o głodzie.

Rozglądam się, przez chwilę niepewna, gdzie się znalazłam. Próbuję rozpracować w myślach rozmowę, którą słyszałam, ale nie ma w tym żadnej logiki, nic tu nie ma sensu. Nie wiem, co o tym myśleć, mam ochotę jedynie osunąć się na ziemię i płakać.

To, co usłyszałam, przez cały czas rozbrzmiewa w mojej głowie, a im bardziej się nad tym zastanawiam, tym mniej sensu widzę. Dlaczego Quinn miałby mieć jakikolwiek związek z moją przeszłością? Chyba pamiętałabym, że się już wcześniej spotkaliśmy.

„Chyba?”

Od operacji moje wspomnienia są dość wybiórcze, ale od kilku miesięcy pamiętam w zasadzie wszystko. J e g o na pewno bym nie zapomniała. To niemożliwe. Wiem przecież, jakie wywiera na mnie wrażenie.

Chyba że to właśnie d l a t e g o tak na mnie działa.

Ale jaka jest w tym rola trójkątów? Przecież to tylko dziwnie błyszczące figury. Mam ochotę jęknąć głośno. Po co w ogóle wspominałam o nich Elizabeth? Co za głupota!

Idę, nie zastanawiając się dokąd, nie zauważam nawet mijanych ludzi. Nie mam pojęcia, co robić. Poczucie zdrady kłuje mnie w sercu. Czuję się samotna, nie wiem, komu mogę zaufać.

Zawsze ufałam Elizabeth.

Teraz nie mam komu.

Mam tylko siebie.

I Bensona.

Zanim zdążę to przemyśleć, trzymam w ręku komórkę, a w uchu słyszę dźwięk wybieranego numeru.

– Proszę, odbierz. Proszę, odbierz – szepczę po trzecim, czwartym sygnale.

– Tave?

– Benson... – Rozglądam się dookoła, po czym rzucam cicho: – Możesz do mnie przyjechać? Mam kłopoty.

Benson parkuje przy budynku, w którym mieszka, a zanim dojdzie do moich drzwi, ja już wyskakuję i przestępuję z nogi na nogę, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w środku.

– Wszystko w porządku? – pyta, pocierając mi delikatnie ramiona. To pierwsze słowa, jakie wypowiedział, odkąd po mnie przyjechał.

Na początku było dość niezręcznie. Nie wiedziałam, czy mam go powitać pocałunkiem, czy może udajemy, że nic się nie zdarzyło. Nie miałam pojęcia.

Więc milczałam.

I nic nie zrobiłam.

– Taaak. Nie – mamroczę. „Jak brzmiało pytanie?” – Możemy wejść?

Otwiera drzwi i zaprasza mnie do środka. We wspólnym pokoju siedzi sześciu chłopaków, trzech gra na konsoli na olbrzymim telewizorze, jeden, na krześle pod oknem, patrzy na mnie i uśmiecha się zalotnie.

– Nowa dziewczyna? – pytanie kieruje do Bensa, chociaż nie spuszcza wzroku z mojej twarzy.

– To nie jest moja dziewczyna – odpowiada beznamiętnie Benson i nawet na niego nie patrzy. Kładzie mi rękę na ramieniu i kieruje mnie w stronę schodów. Sztywniej, próbując zwalczyć poczucie zranienia na dźwięk tych słów.

– To doskonała wiadomość dla mnie – mówi ten chłopak i uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Niepełnoletnia – mówi Benson.

– Nieprawda – szepczę.

– Uwierz mi, lepiej, żeby Dustin tak sądził – odpowiada, również szeptem. – Jedyne na świecie prawiczki, który uważa się za uwodziciela. Jest tak zdesperowany, że podrywa wszystko, co się rusza, byle tylko utracić dziewictwo.

Parskam śmiechem.

– Nie śmieję się – odpowiada Benson znużonym głosem, kiedy wchodzimy na piętro. – Dzielę z nim pokój. – Otwiera drzwi, a ja patrzę zdumiona na dwie ściany tak ciasno pokryte rozneglizowanymi kobietami, że można by to uznać za tapetę.

– Ślicznie – mówię sucho.

– Ostrzegalem – odpowiada, kręcąc głową, i pokazuje na drugą połowę pomieszczenia. – To jest moja część.

Pokój Bensa wygląda właśnie tak, jak się tego spodziewałam. Mało mebli, ale schludnie, plus zbiór plakatów i bibelotów. Benson zabiera koszulkę polo przerzuconą przez oparcie fotela i pokazuje ręką, żebym usiadła.

– No i? – pyta, zajmując miejsce na skraju łóżka. Koszulkę ciska na poduszkę.

Zapada cisza.

– Widziałam Quinna – wyrzucam z siebie. Najpierw muszę się ze wszystkiego wypowiadać, dopiero potem mogę wyjaśnić całą resztę.

Benson się krzywi.

– To dlatego przyszedłam do biblioteki – dodaję i zaciskam usta. To nie były właściwe słowa. „Cześć, chłopaku, z którym się wczoraj całowałam. Przyszedłam do ciebie wyłącznie z powodu innego chłopaka. A potem się całowaliśmy. A jeszcze później zaczęłam wyciągać z kieszeni magiczne pomadki. Teraz natomiast uciekam przed spiskiem, w wyniku którego być może zostanę zamordowana”. Wydaję z siebie jęk i ukrywam twarz w dłoniach. – Wiem, że to strasznie żenujące, ale muszę ci o nim opowiedzieć, w przeciwnym razie reszta nie będzie miała sensu. Zupełnie.

– Słucham – mówi Benson i chociaż głos ma spięty, nie wyczuwam w nim złości.
– Ma na imię Quinn – ciągnę ostrożnie.
– Wspominałaś już. Więc... rozmawialiście? – pyta, ale nadal na mnie nie patrzy.
– Powiedziałaś mi, że numer, który wywinał mi pod domem, jest niedopuszczalny.
Cień uśmiechu.
– Odparł, że to się już więcej nie powtórzy?
Coś w tym rodzaju.
– Mniej więcej. – Te słowa mają posmak kłamstwa, a ja nie lubię okłamywać Bensaona. –
On dość dziwnie mówi.
– Mam wrażenie, że wszystko, co on robi, jest dziwne.
Akurat w tej kwestii muszę przyznać mu rację. Postanawiam zrelacjonować całą
rozmowę z Quinmem.
– „Są rzeczy, które muszę ci pokazać”? Co to ma znaczyć? – pyta Benson.
– Nie wiem, ale... mam nadzieję, że się dowiem przy następnym spotkaniu.
– N a s t ę p n y m? Już je planujesz, prawda? Mimo że powiedział coś o ucieczce
i o ludziach, których powinnaś się obawiać.
Rzucam mu wściekle spojrzenie.
Benson zaczyna bawić się zamkiem leżącego na łóżku plecaka.
– Nie potrafię tego zrozumieć, Tave – mówi w końcu, unikając mojego wzroku. – Jesteś
taka logiczna, inteligentna. Zupełnie jakby to wszystko się rozplynęło, gdy pojawił się ten gość.
Powinnaś poczuć się urażona, ale wyrzuty sumienia podpowiadają mi, że on ma rację.
Odkąd ten chłopak wkroczył do mojego życia, ledwo poznaję sama siebie, nie wiem, dlaczego
podejmuję takie, a nie inne decyzje. – Nie chodzi o to, że nie jestem inteligentna – oponuję
automatycznie. – Chodzi o coś innego, czego nie umiem wyjaśnić. Ja po prostu w i e m, że on
nie zrobi mi nic złego. Musisz mi w tej kwestii zaufać.
– Jak on wygląda? – pyta Benson po chwili.
– Dlaczego wszyscy chcą to wiedzieć? – Przewracam oczami.
– Komu jeszcze powiedziałaś?
– Elizabeth to ze mnie wyciągnęła.
– Powiedziałaś p s y c h i a t r z e?
– Na tym polega jej praca – mamroczę, chociaż nadal jestem zła, że jej wszystko
wyśpiewałam.
– No więc?
– Ale co?
– Jak on wygląda?
Nie wiem, czemu tak mu na tym zależy, ale szybko wymieniam podstawowe cechy.
– Nie ma rogów, skrzydeł ani kłów – dodaję na koniec.
– A co powiedziała o nim Elizabeth?
– W zasadzie jakby mnie zachęcała – bąkam z nagłym poczuciem winy.
Unosi sarkastycznie jedną brew.
– Do jasnej cholery, co się powinno zrobić, kiedy psychiatra jest bardziej szalony niż
pacjent?
– Myślę, że przede wszystkim nie zabijać pacjenta – odpowiadam beznamiętnym głosem.
Wreszcie doszliśmy do powodu, dla którego do niego zadzwoniłam.
Zrywa się na równe nogi i wpatruje we mnie.
– Nie rozumiem. Tave?
– Po sesji z Elizabeth wróciłam do domu. Reese nie słyszała, że wchodzę, bo właśnie

z nią rozmawiała przez telefon. Tylko że nazywała ją Liz, a nie doktor Stanley. Mówiły o bardzo dziwnych rzeczach. – Kiedy opowiadam, Benson opada na podłogę tuż przede mną i masuje moje lodowate ręce. Staram się odtworzyć tamtą rozmowę, jak najlepiej potrafię. Zamykam oczy, skupiam się na jego dotyku, próbuję przypomnieć sobie każdy wyraz, każde zagrożenie, to, że ich zdaniem za tydzień mogę już nie żyć. Słowa zaczynają mi ciążyć, a każde wypowiedane zdanie sprawia, że stają się coraz bardziej realne.

– Tave? – odzywa się Benson, kiedy kończę.

Waha się, a ja czuję rozbawienie – wiem, że martwi się, że mógłby powiedzieć coś, co mnie jeszcze bardziej zaniepokoi. Dawno już minęliśmy ten punkt.

– Myślisz, że tą osobą, która cię szuka, jest Quinn?

Myliłam się.

Oplatam mocniej jego dłonie i zaciskam zęby tak gwałtownie, że aż gryzę się w policzek. Krzywię się z bólu, dotykam językiem obolałego miejsca.

– Nie – mówię tylko, bez dalszych wyjaśnień.

– Tave, musisz przynajmniej wziąć taką opcję pod uwagę.

Zanim dokończy zdanie, ja już kręcę zawzięcie głową.

– Nie. On by mnie nigdy nie skrzywdził.

– Tego n i e m o ż e s z w i e d z i e ć. – Benson pochyla się do przodu. – Różni ludzie mogą chcieć twojej krzywdy. Ludzie, których nigdy byś... Nie możesz tego wiedzieć.

– To może być ktokolwiek. Na przykład ta kobieta, która podeszła, kiedy uderzyłam się w głowę, albo... – Podnoszę głos, gdy tylko o tym pomyślę. – Ten facet w okularach przeciwsłonecznych. Widziałam go dwukrotnie i...

– A Quinna widziałaś już trzy razy, z czego dwa p o d t w o i m d o m e m – przerywa mi.

– On nie... – zawieszam głos i ukrywam twarz w dłoniach. – Jak mam ci to wyjaśnić, skoro nawet nie potrafię wyjaśnić tego sobie? – Opadam na podłokietnik. – Jestem taka zmęczona.

– Poczekaj – mówi. – Zaraz wracam.

Co?

Układam się w zaskakująco wygodnym fotelu, a Benson wychodzi z pokoju, zostawiając uchylone drzwi. Głowa mnie zaczyna boleć, przypominam sobie, że wracałam do domu, ponieważ nie jadłam obiadu... ani śniadania. Muszę zacząć o siebie dbać, na samej kofeinie nie wyżyję.

W przeblysku rozsądku zaczynam się zastanawiać, jak tragiczna jest sytuacja. Moja lekarka zdradza zaufane informacje... mojej opiekunce, która przyjęła mnie pod swój dach właściwie bez żadnego przygotowania i od ośmiu miesięcy mnie utrzymuje. A także, z jakiegoś powodu, mnie ukrywa. I przygotowuje się do ucieczki. Ze mną? Czy beze mnie? A może po tym, jak się już mnie pozbędzie? Nie wiem.

Tak czy inaczej, wszystko sprowadza się do jednego.

Czy Elizabeth próbuje chronić mnie przed Quinnem? To nie ma sensu, dlaczego miałyby mówić, że moje spotkania z nim są w porządku, gdyby wiedziała, że jest niebezpieczny? Nie chcę wierzyć, że Benson może mieć rację – że Quinn stwarza zagrożenie. Nic mi tu nie pasuje.

Zerkam na biurko Bensaona, próbując zaprzątnąć swoją uwagę czymś innym. Na blacie stoi małe zdjęcie w ramce. Pochylam się i biorę je do ręki, żeby się przyjrzeć. Widzę Bensaona, może mieć ze dwa albo trzy lata, ze starszym chłopakiem i kobietą. To pewnie jego mama i brat, dość często o nich mówi.

Patrzę badawczo na ich twarze. Benson nie jest w ogóle podobny do brata, nie licząc

brązowych włosów. Ma rysy swojej mamy. Kwadratową szczękę, silnie zarysowane kości policzkowe, szeroko rozstawione oczy. Wszyscy się uśmiechają. Mam wrażenie, że powinnam być zazdrosna, a nawet pełna pretensji. Benson ma rodzinę – bez ojca, ale zawsze. Moja rodzina nie żyje.

Oczywiście absolutnie nie życzę mu czegoś takiego. Cieszę się z jego szczęścia, co sobie uświadamiam, odkładając ramkę na miejsce. Dobrze, że tak jest. Elizabeth twierdzi, że empatia to najważniejszy element naszego człowieczeństwa.

Elizabeth.

Opieram głowę i próbuję skoncentrować się na rodzinie Bensona. Mam nawet chęć wyobrazić sobie scenę z udziałem nas wszystkich, ale wydaje się taką mrzonką... Powieki mi ciężą, pozwalają, by się zamknęły. Tylko chwilę odpocznę.

Nie słyszę kroków Bensona, dopiero na dźwięk zamykanych cicho drzwi otwieram gwałtownie oczy.

– Proszę. – Benson podaje mi duży plastikowy pojemnik. – Oszczędzałem je od Halloween. Chłopaki wymyśliły, że powinniśmy mieć przygotowane słodczyce, chociaż mówiłem, że w okolicy nie mieszkają żadne dzieci. Nakupowaliśmy mnóstwo tego, tyle mi zostało.

Podnoszę wieczko. W środku jest pełno minibatoników, na ich widok od razu zaczynam się ślinić. Pochłaniam około pięciu sztuk i dopiero teraz stres zaczyna odpuszczać.

– Dzięki – mówię, odwijając kolejnego miniaturowego snickersa.

Pochyla się do przodu, opiera dłonie na moich kolanach. Kciukami kreśli kółka na dżinsach, łagodząc moje zdenerwowanie. Tymczasem ja opycham się nieprzyzwoicie czekoladą i opowiadam.

– Co ja mam zrobić, Benson? – pytam w końcu. Razem ze zdenerwowaniem uleciała moja energia i stanowczość. Mam wrażenie, że moje kości są miękkie jak makaron. W tym momencie nie wiem, czy byłabym w stanie utrzymać się na nogach, nawet gdyby od tego zależało moje życie. – One zakładają, że za tydzień nie będę już żyła.

Przybliża się jeszcze bardziej i przesuwa dłonie w górę moich ud. Nie protestuję – tak jest dobrze. Ciepło bijące od jego dłoni wydaje się przenikać przez moje dżinsy, aż do skóry. Mrowięją mi palce, co mi przypomina, że jednak nie jestem całkowicie odrętwiała.

Jeszcze nie.

– Nie będę ci serwował pustych słów – mówi cicho. – Ani traktował cię protekcyjnie. Ale musisz wiedzieć, że cokolwiek się wydarzy, pomogę ci. Będę przy tobie. – Pochyla się. Na widok jego zbliżającej się twarzy krew w uszach zaczyna mi pulsować.

Jest bliżej.

Coraz bliżej.

– To będzie niebezpieczne – próbuję oponować, ale wydaję z siebie ledwie słyszalne dźwięki. To ostatnia okazja, żeby się odsunąć, zaprotestować. Nie chcę jednak tego robić, teraz potrafię się skupić tylko na jego twarzy i ustach. Mój ośmielony język wymyka się i dotyka dolnej wargi.

– Nie obchodzi mnie to.

Przymykam powieki i...

– Aaaaach taaaaaaaak!

Na dźwięk napastliwego głosu podnoszę gwałtownie głowę. W progu stoi Dustin.

– To nie jest twoja dziewczyna. I co jeszcze powiesz? – Śmieje się wymownie, a ja czuję ogromne zażenowanie.

– Wynoś się stąd – warczy Benson.

– Następnym razem, brachu, przywieś skarpetę na drzwiach. Znasz zasady – szydzi, twardo stojąc w miejscu. Moja twarz oblewa się purpurą.

Zaciskam dłonie na oparciu fotela, bo moje zakłopotanie sięga zenitu.

– Przywieś skarpetę, jeżeli chcesz... Aaaaaaa! – Strumień wody zalewa twarz Dustina tak mocno, że chłopak aż się cofa. Jego bulgoczący krzyk mnie przeraża. Woda przestaje lecieć.

Przyciskam dłonie do klatki piersiowej, a Benson kopniakiem zatrzaskuje drzwi i podnosi się, by je zamknąć na zasuwę.

– Jezu, Ryder. Co to miało być?! – wrzeszczy Dustin po tamtej stronie. – Krew mi leci z nosa, mogłeś mnie zabić! – Nadal krzyczy, ale dla mnie równie dobrze mógłby być delikatnie brzęczącą muchą.

– Benson? – odzywam się cicho.

– Przepraszam – mówi. – Powinienem był je zamknąć, ale byłem tak skoncentrowany na przyniesieniu ci czegoś do jedzenia i...

– Benson... – powtarzam.

– On nie myślał. Nigdy tu nie wchodzi, tylko w nocy, do spania, i...

– Benson, ja to zrobiłam! – piszczę.

Wreszcie odwraca się i spogląda na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Woda. – Z trudem ściszam głos. – Ja to zrobiłam!

– Dobrze, przejdzie mu. Prawdę mówiąc, zasłużył sobie na to. Przyda mu się orzeźwienie.

– Nie, ja s t w o r z y ł a m tę wodę.

– Stworzyłaś? – To mu zamyka usta.

– Tak samo jak pomadki – odpowiadam pomału. – A myślałeś, że skąd się tu wzięła?

– Och – mówi i przeczesuje włosy palcami, po czym krzyżuje ręce na piersi. –

Tak. Chyba powinniśmy o tym porozmawiać.

Nic jednak nie mówi, tylko wyciąga telefon komórkowy.

– Cześć, Marie. Tu Benson – odzywa się po kilku sekundach. – Mówiłem, że się spóźnię, ale czuję się coraz gorzej, chyba nie powinienem dzisiaj w ogóle przychodzić do pracy. Tak, wiem. Przepraszam. Oczywiście, że będę. – Przyciska guzik kończący rozmowę i przez dłuższą chwilę wpatruje się w aparat, a potem wsuwa go do kieszeni spodni i patrzy na mnie.

Zaczynam się wiercić. Jest taki wysoki, a ja z tego fotela wydaję się sobie bardzo mała. Zupełnie jakby to wyczuwał, wyciąga rękę.

– Chodź tutaj.

Chwytam jego dłoń, podciąga mnie i odwraca. Chwilę później masuje delikatnie moje ramiona i kark. Wzdycham i opuszczam głowę, podczas gdy on rozmasowuje napięcie, z którego nawet nie zdawałam sobie sprawy.

Chociaż powinnam.

– Lepiej? – szepcze po pewnym czasie. Twarz trzyma tuż nad moim prawym ramieniem, blisko ucha. Kolana mi się trzęsą i żeby odpowiedzieć, muszę odchrząknąć.

– O wiele – wyduszam z siebie w końcu. Nadal trzyma ręce na moich plecach i na ułamek sekundy zaciska palce, a potem zaczyna przesuwając je w dół, wzdłuż żeber, i zatrzymuje się w talii.

Po krótkiej chwili przesuwając je jeszcze niżej i opiera na biodrach.

Jego oddech ogrzewa mi szyję, gdy przysuwa usta i muska skórę tuż nad moimi łopatkami. Przeszywa mnie dreszcz.

Benson zamiera.

– To dobry dreszcz – szepczę.

Obejmuje mnie, jedną ręką w talii, drugą na skos przez klatkę piersiową. Zaciska palce na moim ramieniu, przyciąga mnie do siebie.

Chwytam go gwałtownie.

Nie całuje mnie. Stoimy tylko, trzymając się tak, jakby w każdym momencie świat mógł nas od siebie oderwać.

Zastanawiam się, ile w tym prawdy.

– Powiedz, co mam zrobić – Benson szepcze mi do ucha, a wibracje, które czuję na twarzy, wysyłają falę ciepła aż do stóp.

Zamykam oczy, opieram czoło o jego policzek – odrobinę szorstki, jak zawsze podejrzewałam. W oczach wzbierają mi łzy, ale mrugam szybko – teraz nie pora na płacz.

– Sama chciałabym to wiedzieć. Przez ostatnie miesiące próbowałam poskładać życie do kupy, a teraz nie wiem nawet, co to oznacza! Jestem taka zagubiona, Benson. Nie mam pojęcia, co powinnam myśleć, co robić, komu zaufać. Nie ufam s a m e j s o b i e. Nie wiem, kim jestem!

– Jesteś piękną dziewczyną – mówi cicho, po czym rozplata nasze ręce i odwraca mnie do siebie. – Mądrą, odważną i silną. – Jestem teraz zwrócona do Bensa, ujmuję moją twarz w dłonie, rozgrzewa mi policzki. – Zupełnie nie mogę ci się oprzeć – kończy. – Reszta to szczegóły.

Uśmiecham się blado, bo tylko tyle potrafię z siebie wykrzesać, a on pochyla się, całuje mnie w czoło, w oba policzki, a potem dotyka nosem mojego nosa. Z trudem oddycham, tak bardzo go pragnę. Stoi na tyle blisko, że czuję jego oddech na wargach. Moment, w którym nasze usta się stykają, to wyjątkowa i wzniosła chwila. Ciepłymi, delikatnymi dłońmi obejmuje mnie w pasie, przysuwa do siebie i zagłębia się w moje usta. Przywieram do niego, chcę więcej. Bliżej.

Głębiej.

Jego twarz znika, ale ręce ciągną mnie w dół – siedzi na fotelu, który kilka minut wcześniej zwolniłam, i bierze mnie na kolana. Przeszywa mnie dreszcz, gdy osuwam się bezwładna w jego ramiona, obejmując kolanami jego uda, a on chwyta mnie za kark i przyciąga. Łapię go za koszulę – muszę się czegoś przytrzymać – a wtedy z ust Bensona wydostaje się cichy jęk. Pocałunek pogłębia się, a pod jego niespotykaną delikatnością wyczuwam nawałnicę namiętności.

Wszystko, czego pragnęłam od naszego pierwszego spotkania, przeradza się w krótką chwilę czystego szczęścia.

A ja chcę jeszcze więcej.

Rozpościeram palce na jego piersi, przez chwilę przypomina mi się klatka piersiowa Quinna – przelotny widok jego skóry, kiedy poprzedniego wieczoru podnosił się na nogi.

Odsuwam od siebie ten obraz.

To moment Bensona.

I mój.

Nasz.

Mijają wieki, a ja leżę wygodnie, opierając głowę o jego ramię, on gładzi mnie bezmyślnie po biodrze. Cukier w końcu dotarł do mojego krwioobiegu, mój organizm działa jak dobrze naoliwiony mechanizm, siedzę i napawam się ciepłem bijącym od jego ciała.

– Dlaczego nie możemy zostać tu na zawsze, nie myśleć o niczym innym? – pytam sennie, oczy mam cały czas zamknięte.

– Chciałbym, żeby tak było.

Odchylam głowę i dotykam jego nosa.

– Przy tobie czuję się odważniejsza.

– To dobrze. – Uśmiecha się. Chwila ciszy. – Chyba?

Śmieję się i jest to dla mnie obcy dźwięk. Kiedy ja się ostatni raz śmiałam?

– Dobrze.

– No więc... Chociaż mógłbym całować cię cały dzień – mówi, składając pocałunek na moim czole. – I całą noc. – Teraz na nosie. – I kolejny dzień. – Na brodzie. Zaczynam trząść się od powstrzymanego chichotu. – Musimy o tym wszystkim porozmawiać.

Z żalem zsuwam się z jego kolan i siadam tam, gdzie on siedział wcześniej – na łóżku.

– Potrafię stwarzać różne rzeczy, Benson. Z niczego. – Nie jestem pewna, czy mówiąc to głośno, czuję się lepiej, czy gorzej. To brzmi idiotycznie. Jak szaleństwo. Jak słowa pacjenta po poważnym uszkodzeniu mózgu, w wyniku którego doszło do paranoicznych urojeń. – Pomyślałam, że może to coś związanego z moimi... kieszeniami. Ale woda nie pochodziła z kieszeni.

– Jak rozumiem, to całkiem nowa umiejętność? – pyta.

– Owszem, chyba że mam poważne problemy z pamięcią.

Kiwa głową. Jestem wdzięczna, że nie bierze pod uwagę takiej możliwości.

– Ale pomadki zniknęły, kiedy... kiedy skończyliśmy – mówię i czuję, że policzki nabiegają mi gorącem. – Więc... chyba pojawiają się i znikają?

– Podłoga jest sucha – stwierdza Benson, pokazując głową podłogę pod drzwiami, gdzie sprowadziłam potop na jego kolegę. – A nie sądzę, żeby wykładzina tak szybko schła. Mogłabyś stworzyć coś innego?

– Co masz na myśli?

– Coś i n n e g o – powtarza. – Nie wiem. Ołówek. Banknot jednodolarowy. Studolarówkę. Cokolwiek.

Na przykład wodę, w której ktoś mógłby się utopić? To wszystko jest tak bliskie ostatniemu sennemu koszmarowi. Cokolwiek potrafię zrobić, wcale mi się to nie podoba.

Jednak nie mogę tego zbagatelizować.

Biorę głęboki wdech i odsuwam od siebie strach. Muszę się dowiedzieć.

Tylko że nie mam pojęcia, co dalej.

Ostatecznie uznaję, że najlepiej będzie powtórzyć scenę z wczorajszego wieczoru.

Opuszczam rękę z zamiarem włożenia jej do kieszeni, ale zanim tam dotrze, moje palce zaciskają się na czymś wąskim, twardym.

– O cholera! – wołam, zaskoczona, i opuszczam ołówek. Upada na podłogę obok naszych stóp. Nie spodziewałam się, że to będzie takie proste. Chyba mi się to nie podoba.

– Mam go – szepcze Benson, pochylając się.

Przytrzymuje ołówek między dwoma palcami i uważnie mu się przygląda. Patrzy na mnie, a potem wyciąga kartkę z plecaka i pisze swoje imię. Później układa ołówek z powrotem na podłodze, a kartkę tuż obok niego.

Powietrze wypełnia zupełnie nowy rodzaj napięcia.

Minuta.

Dwie.

Trzy.

Mijają cztery minuty. Koniuszki palców mi zbieleły, tak mocno przyciskam je do ud. I nagle, bez ostrzeżenia, ołówek znika.

A wraz z nim imię Bensona z kartki.

– No dobrze – mówi Benson tonem, który brzmiałby nawet dość swobodnie, gdyby nie to ostre, nerwowe zabarwienie. – Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego twoja pomadka jest taka nieskuteczna.

Czyż nie wspominałam, że muszę ją nakładać praktycznie co pięć minut? Ale jak miałam się domyślić, że ona d o s ł o w n i e znika?

– Zrób to jeszcze raz – szepcze Benson przez usta tak zaciśnięte, że na ten widok aż bołą mnie zęby.

– Nie – odpowiadam cicho.

Nie mogę. Po prostu nie mogę. To wszystko jest takie przerażające, chciałabym, żeby się rozpląnęło.

Benson patrzy na mnie tak, jak gdyby chciał coś powiedzieć, a potem odwraca się gwałtownie i chwyta pojemnik ze słodyczami. Odwija z papierka batonik milky way, wpycha go do ust i zanim zacznie żuć, już zabiera się do kolejnego. Niektórzy ludzie jedzą pod wpływem emocji, Benson najwyraźniej je podczas myślenia.

Nagle przypomina sobie chyba o moim istnieniu, podaje mi pudło, a ja wyciągam trzy batoniki. Przez kilka minut przeżuujemy w milczeniu. Podejrzewam, że słodyczne pozwalają mu się skoncentrować – tak samo zresztą jak i mnie. Ta cisza jest nawet przyjemna, przerywa ją jedynie szelest papierków.

Benson opiera się na łokciach, splata palce i wpatruje się we mnie badawczo, aż muszę się powstrzymać przed nerwowym kręceniem. Chciałabym, żeby chwycił mnie za rękę. Może nawet przesunął palcami po udach. Zrobił coś, by mi przypomnieć, że nadal tu jest.

Ale on tylko siedzi, milczący, oddalony.

– Jestem pewien, że to wszystko jakoś się ze sobą wiąże – mówi po chwili, a ja kiwam głową. To jak układanie puzzli, w których brakuje połowy elementów.

Oraz pudełka z rysunkiem.

Nie mówiąc już o śmierci, która grozi ci, jeśli nie ułożysz obrazka odpowiednio szybko.

– Tylko nie wiem, jak miałyby się ze sobą wiązać – przyznaję.
– No wiesz, możesz stwarzać różne rzeczy. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, zapewne chciałby cię jakoś wykorzystać, prawda? – Przełyka i odsuwa od siebie nadjedzony batonik, jakby nagle zupełnie stracił apetyt.
Teraz z kolei ja zrobiłam się głodna. Zaczynam odwijać kolejnego kit kata.
– Może oni cię ukrywają przed tymi ludźmi.
– Po co? Żeby mogła wyczarować wielki stos diamentów, który zniknie w ciągu pięciu minut? – mówię z ustami pełnymi czekolady.
Benson wzrusza ramionami.
– Może po... nie wiem, odpowiednim szkoleniu – przestałoby znikać?
– Może masz rację – odpowiadam, łowiąc snickersa. – Ale dlaczego w takim razie nic mi nie powiedzieli?
– Stres, urazy powypadkowe. – Benson rozkłada ręce. – Ale z tego, co zrozumiałem, przynajmniej Reese chce ci powiedzieć.
– Być może. – Nie chcę, żeby robił z nich pozytywnych bohaterów. W przeciwnym razie, na kogo mam się wściekać?
– A co z Quinnem? – pyta Benson cicho, a moje zakłopotanie natychmiast powraca.
– Ale co: co? – Udam obojętność i staram się nie zmiażdżyć w palcach batonika. To nie fair, Bensonowi należy się szczerą odpowiedź. Tylko gdybym taką znała, najpierw udzieliłabym jej sobie.
Waha się, a potem podnosi wzrok i spogląda mi prosto w oczy.
– On musi coś wiedzieć. Zdaniem Reese trójkąt wszystko zmienił, a po raz pierwszy zobaczyłaś go na domu Quinna, prawda?
– Tak, nad drzwiami.
– I chyba powiedział, że nie może ci tego wyjaśnić, ale przyniesie coś, żeby ci pokazać, prawda? – Benson milczy przez chwilę. – Może chce ci pokazać, co potrafi zrobić.
Naciągam rękawy na dziwnie lodowate dłonie, bo przychodzi mi do głowy pewna myśl.
– Może on też potrafi to co ja.
Benson krótko kiwa głową.
– Być może.
Kimkolwiek Quinn tak naprawdę jest, tkwi w tym po uszy. Benson ma rację. Nie chcę jednak rozmawiać z nim o Quinnie, nie po tym... Ale jaki mam wybór?
– Uważasz, że powinnam mu powiedzieć, że już wiem?
– Chyba musisz się zastanowić, jak bardzo mu ufasz – odpowiada cicho.
„W stu procentach”.
Ta myśl pojawia się sama z siebie, mam wrażenie, jakby ktoś niewidzialny szeptał mi do ucha. Automatycznie się odsuwam, ale oczywiście nikogo tu nie ma. Staram się zwalczyć to dziwne uczucie, pocieram ręce, żeby pozbyć się gęsiej skórki.
– Tave... – Benson waha się, a ja już wiem, o co chce zapytać. – Kim... kim on dla ciebie jest?
Przełykam ślinę i patrzę na Bensa – na chłopaka, który pomógł mi przetrwać ostatnie cztery miesiące, nie wspominając już o minionych czterdziestu ośmiu godzinach. Owszem, są jeszcze Reese, Jay oraz Elizabeth – chociaż teraz nie jestem pewna, czy mieli na względzie moje dobro – ale to Benson postawił mnie na nogi. Benson, z którym zaczęłam się całować dwadzieścia cztery godziny temu.
Wolałabym rozmawiać z nim na jakikolwiek inny temat, byle nie na ten.

– Nie wiem – szepczę w końcu, spuszczać wzrok.

– Nawet teraz? Po... po tym wszystkim? Ty n i e w i e s z?

Wzruszam jednym ramieniem. Sama nie jestem z tego zadowolona.

– Chodzi o to, że... – przerywa, zaciska mocno palce. – Nie jestem pewien, czy dam radę, jeśli dla ciebie to tylko... tylko zwyczajne całowanie. Gdybym tego właśnie chciał, świetnie. Byłoby przyjemnie. Ale... dla mnie to coś więcej – kończy, podnosząc wzrok. Spogląda mi w oczy przez krótką chwilę, a potem się odwraca. – T y znaczysz dla mnie więcej.

„Ty dla mnie też!” Mam na końcu języka te słowa, ale nie jestem w stanie ich wypowiedzieć – dopóki na polu bitwy znajduje się więcej niż jeden chłopak. Nie mogę zrobić kolejnego kroku. Nie byłoby to uczciwe wobec Bensona, ale także wobec mnie samej.

A przecież to powinno być takie proste. Nie istnieje żadna przyczyna, dla której miałabym w ogóle lubić Quinna, a co dopiero mówić o obsesji, jaka mnie ogarnęła. Przecież wiem, kogo pragnę: Bensona. Dlaczego więc czuję ból na samą myśl, że miałabym już nigdy nie zobaczyć Quinna?

Na dole rozlega się trzaśnięcie drzwiami i wrywa mnie z zamyślenia. Zerkam na zegar.

– Cholera jasna! Muszę iść. Reese i Jay zaczęły się zastanawiać, gdzie się podziewam, a nie mogę do tego dopuścić – paplam z roztargnieniem, chwytając za plecak. – Mógłbyś odwiedzić mnie do domu? Wysadź mnie ulicę wcześniej, żeby Reese niczego nie podejrzewała.

– Chcesz wrócić? Tave, nie rób tego. To niebezpieczne. Zostań tu ze mną – mówi poważnym tonem, ale zaraz rozluźnia atmosferę. – Obiecuję, że nie pozwolę, by Dustin cię obmacywał, kiedy zaśniesz, jeśli tego właśnie się obawiasz. Każę mu spać na sofie. Zresztą i tak najczęściej tam zasypia.

– Nie mogę – mówię i nawet ja słyszę, że mój głos brzmi na zupełnie pokonany. – Nie wzięłam nic ze sobą. Nie wiem nawet, z czym mam się zmierzyć. Potrzebuję czasu.

Benson chwyta mnie za rękę w geście rozpaczy.

– Myślę, że nie masz zbyt wiele czasu, Tave.

– Trochę jednak mam – odpowiadam, ściskając jego dłonie. – To tylko jedna noc.

– A jutrzejsza?

– Jutro będę musiała podjąć decyzję.

Pomimo gwałtownych protestów w związku z deszczem – który oczywiście zaczął padać dwie minuty po tym, jak weszłam do samochodu Bensona (co za beznadziejna pogoda!) – wysiadłam w pewnej odległości od domu. Chciałam stwarzać pozory normalności.

Powiedział, że mam na siebie uważać, a wtedy zaczęłam się pochylać do pocałunku.

Ale się zatrzymałam.

Nie mogę tego robić – n i e m o ż e m y – dopóki wszystko się nie wyjaśni.

Idę powoli, deszcz spływa mi po karku i zacina prosto w twarz. Ten ziab mnie otrzeźwia. Jest tak przeszywający, że niemal zdrapuje mi skórę z policzków i osadza twardo w rzeczywistości, przypomina, że jestem t u t a j. Że żyję.

Kiedyś wystarczyły proste rzeczy: powiew świeżego powietrza, zapach pieczonego chleba, śmiech dzieci.

Teraz potrzebuję zdecydowanie ostrzejszych „przypominaczy” i przyznaję, że mnie to nieco przeraża.

Kręci mi się w głowie. Już samo poczucie zdradzenia przez Reese i Elizabeth było dramatyczne. O reszcie trudno nawet myśleć spokojnie.

Potrafię stwarzać przedmioty z niczego.

Przedmioty, które znikają po pięciu minutach.

„To wcale nie jest takie złe”, próbuję przekonywać samą siebie, gdy skręcam pod dom. „Oddycham. Jestem zdrowa”. I to raczej się nie zmieni. Przynajmniej w najbliższej przyszłości.

Na przykład d z i s i a j.

Na widok domu – czy raczej miejsca, które do dzisiejszego popołudnia uważałam za swój dom – wracają wspomnienia.

Prawdę powiedziawszy, widzę to, czego wcale nie ma, ludzie jednocześnie na mnie polują i mnie ukrywają, i – och! – przestały mnie obowiązywać prawa fizyki. Czy to neurochirurdzy mi to zrobili? Czy potrafiłam to wcześniej? Umieram czy ktoś próbuje mnie zabić?

Nie jestem nawet pewna, po której stronie stoją ciotka i wujek.

Sięgam do klamki, ale nie jestem w stanie jej nacisnąć. Siadam więc na ganku, na górnym stopniu, ledwo osłonięta przed ulewą, obejmuję kolana i przyciągam je do klatki piersiowej. Od wielu godzin huczy mi w głowie. Ciągłe zmagam się z tymi samymi problemami, zmartwieniami, podejrzeniami, mój mózg jest już fizycznie zmęczony.

Wszystko, co wiąże się z Quinnem i Bensonem, wpływa na moją psychikę. Nie wiem, czy dam sobie radę ze zmianą relacji z Bensonem, nawet jeśli to zmiana na lepsze. On jest moją opoką, jedynym stałym elementem w tornadzie życia.

Ale te jego wargi na moich ustach...

Zabieram gwałtownie rękę, która gładziła miejsce po pocałunku, napawała się tamtymi chwilami. Cudownymi chwilami.

Nie teraz.

Najpierw muszę rozpracować Quinna.

Quinna, w którym być może się zakochałam.

Wiem, że to brzmi jak wariactwo, ale jeszcze nigdy w życiu nie czułam tak potężnych emocji. To jak burza piaskowa – istnieje niebezpieczeństwo, że mnie pochłonie, jeśli będę się opierać. Przy Quinnie czuję się jak ktoś, kim na pewno nie jestem – ktoś, kto lubi podejmować ryzyko, bagatelizować zdrowy rozsądek, rzucać wszystko, by poczuć ekscytację.

Już wcześniej czułam się obca we własnym ciele, nie podoba mi się to.

Gdyby chodziło jedynie o sprawy sercowe... Jednak Quinn ma odpowiedzi, jestem tego pewna. On mnie z n a. Widzę to po sposobie, w jaki na mnie patrzy. Zupełnie jakby słyszał moje najskrytsze myśli, znał moje najgłębiej skrywane tajemnice. To, czego sama o sobie nie wiem.

Tydzień temu zupełnie zwyczajnie podkochałam się w Bensonie. W niezawodnym, spokojnym Bensonie. Teraz nasz związek wszedł w bardzo intensywny fizycznie etap, a ja mimo to mam obsesję na punkcie innego faceta, którego nie mogę znaleźć, z którym nie mam kontaktu – a jednak to właśnie przy nim ożywam bardziej niż kiedykolwiek od czasu śmierci rodziców.

To dla mnie za wiele, wszystko dzieje się zbyt szybko – i z jednym, i z drugim.

Co ja mam zrobić?

Obserwuję, jak deszcz smaga drzewa i krzaki, jak nasila się z każdą sekundą. Stanowi idealne odzwierciedlenie moich emocji.

Prostuję się gwałtownie, bo z tyłu otwierają się drzwi.

– Tavia? To ty? – Reese wygląda na zewnątrz. – Wszystko w porządku? – Marszczy delikatnie czoło, wydaje się zmartwiona, ale szczerze. Kto by pomyślał, że jeszcze parę godzin temu spiskowała z psychiatrą.

W ustach mi zaschło, nie mogę wydusić słowa. Reese siada obok mnie na schodach.

– Jasne – wyduszam z siebie i z zaskoczeniem przyjmuję fakt, że mój głos brzmi całkiem normalnie.

Reese nie jest chyba do końca przekonana. Pewnie nie potrafię kłamać tak dobrze jak ona.

– Długi dzień – ciągnę i uśmiecham się słabo.

Bierze wdech, jak gdyby wciągała powietrze przez słomkę, waha się.

– Gdzie byłaś? – pyta, a słowa wychodzą z jej ust bardzo szybko, z pewną trudnością. – Zniknęłaś na cały dzień.

Rzadko pyta. Elizabeth jej zabroniła. Nie zadaje pytań, gdy wychodzę, nie domaga się informacji, gdzie jestem. W końcu mam osiemnaście lat. Kiedyś sądziłam, że Elizabeth mnie chroni, ale teraz znam prawdę: zapewnia mi fałszywe poczucie bezpieczeństwa, żeby mnie zmylić. To nie jest wolność, a zaledwie złudzenie wolności.

Teraz Reese złamała zasady. Zadała pytanie.

Staram się zrozumieć, co to oznacza, ale tylko mnie głowa zaczyna boleć.

– Z Bensonem – mamroczę, zbyt zmęczona, żeby wymyślić jakieś kłamstwo.

– Czy... czy wy się pokłóciliście? Wyglądasz źle. To znaczy blado – poprawia się.

– Nie jadłam obiadu. – Smutne, ale prawdziwe. Może lepiej bym sobie ze wszystkim radziła, gdyby żołądek nie musiał się wiecznie domagać jedzenia. Teraz burzy się i burczy, mimo stosu batoników, które zjadłam z Bensonem.

A może właśnie z i c h powodu.

– Tave – napomina mnie Reese, wstając. – Nie możesz pomijać posiłków, twój organizm potrzebuje składników odżywczych. Jeszcze... – zawieszają głos.

Ale ja niemal słyszę te niewypowiedziane słowa, tak jakby je wykrzyczała.

„Nie wyzdrowiałaś”.

Reese bardziej niż inni unika rozmowy o moich obrażeniach. Wcześniej nawet mi się to podobało. Dzięki temu czułam się pewniej, jak gdyby widziała m n i e, a nie chodzącą kupkę szwów i blizn.

Teraz nie wiem już, co mam o tym myśleć.

– ...nie przestałaś rosnać – dodaje bez przekonania.

„Jasne, nie przestałam rosnać”. Nie rosnę od trzech lat. Przyjmuję jednak jej argumenty i idę za nią do kuchni. Trajkocze coś o pracy, podgrzewając mi wykwinną zupę krem z dyni

pizmowej i kurczaka z wolnego chowu. Przypuszczam, że to jej wersja potrawy poprawiającej nastrój. Nabieram łyżką gęstą, złocistą ciecz, ale smakuje jak mdły kleik. Nie mogę się zmusić, by dotknąć posmarowanego masłem chleba na zakwasie, który leży obok na szklanym talerzyku, chociaż wygląda apetycznie. Mój żołądek jest zupełnie pusty, nie wiem, jak można jednocześnie odczuwać tak wielki głód i całkowity brak apetytu.

Podnoszę wzrok i widzę, że Reese badawczo mi się przygląda. Z sąsiedniego pokoju dobiegają dźwięki jakiegoś meczu. Wołałabym, żeby Jay tu przyszedł, przerwał tę maskaradę. Obie z Reese tańczymy wokół siebie, oszukując się nawzajem, żadna z nas nie chce odkryć prawdy. Więc kontynuujemy taniec. Śmiejemy się. Uśmiechamy.

Nagle przypominam sobie, że z Jayem też już nic nie będzie szczere, i mam wrażenie, że zupa, którą dopiero co zjadłam, kwaśniej mi w żołądku.

Czy on wie?

W głowie słyszę jego wczorajsze słowa: „Mówię jej wszystko”. Tylko czy ona odpowiada tym samym?

„Będę musiała ukrywać się przed jednym i drugim”. Na samą myśl robi mi się niedobrze.

– Tavia – zaczyna Reese cicho. – Pamiętasz tę podróż, o której ci mówiłam?

– Jasne. – Nagle jestem bardzo zainteresowana moją miseczką.

– Chciałam jechać jutro – mówi z wahaniem, a ja trzymam łyżkę tak mocno, że aż palce mi bieleją. – Ale jeśli wolisz, żebym została...

– Nie! – wyrzucam z siebie zbyt głośno, ogarnięta paniką.

– Mogę zostać – zapewnia mnie, ale słyszę w jej głosie desperację i wiem, że to ostatnia rzecz, na jaką miałyby ochotę.

– Nie – powtarzam, teraz spokojniej. – Obiecuję, że nie zapomnę o jedzeniu. Ja tylko... zaczytałam się w bibliotece i straciłam poczucie czasu. – Jest w tym nawet sporo prawdy. Całkowicie straciłam poczucie czasu.

A także miejsca.

I zdrowego rozsądku.

Otwiera usta, jakby miała zmienić zdanie i zdradzić mi prawdziwe powody swojego niepokoju. Ostatecznie jednak tylko kiwa głową.

– To ważny wyjazd – mówi. – Zajmie mi najwyżej dwa dni.

– Dokąd jedziesz? – pytam i zamieram w oczekiwaniu.

Odpowiada po chwili wahania.

– Do Phoenix. Mam tam klienta, z którym trzeba się spotkać osobiście.

Przyznaję, że jestem dość zszokowana tym, że jednak wyznała mi prawdę. Czy coś w rodzaju prawdy.

Co tak naprawdę znajduje się w Phoenix? To musi być coś, co ma związek ze mną, w przeciwnym razie nie poruszyłaby tego tematu podczas rozmowy z Elizabeth.

Nie znam nikogo, kto by tam mieszkał, ale...

– Nic mi nie będzie. – Zmuszam się do uśmiechu. – Zresztą Jay zostaje.

Reese zerka w stronę czubka głowy Jaya, widocznego zza sofę, i jej wzrok od razu łagodnieje. Nie mam pojęcia, jakie role odgrywają, ale widzę, że naprawdę go kocha. Nie wiedzieć czemu, czuję się z tym lepiej. Ludzie, którzy się kochają, nie mogą chcieć mnie skrzywdzić. Po prostu nie.

Przekonuję samą siebie, że to sensowny argument, chociaż wiem, że jest szalony.

Nie, nie szalony.

Zaledwie nierozsądny.

– Jedź, proszę – mówię, a ona znów zwraca uwagę na mnie. Nie jest do końca

przekonana, więc wyciągam ciężką amunicję. – Nie chcę wam sprawiać kłopotu. – Mówiąc to, przysmykam powieki. Kiedyś to była prawda, ale wprawiała mnie w takie samo zakłopotanie jak teraz kłamstwo. Zawsze uważałam, że sprawiam im kłopot.

Ale nie. Jestem elementem jakiegoś projektu, a to jeszcze gorsze. Dzisiaj jednak wykorzystam to do swoich celów.

Reese kiwa głową, a jej ciepłe palce przykrywają moje tak, jak to robiły często w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy.

Przez cały czas w szpitalu.

Mam ochotę wymiotować.

– Dobrze, pojedę – mówi, a ja wiem, że to nie koniec.

Zwijam lnianą serwetkę i rzucam ją na stół przed sobą.

– Co?

– Doktor Stanley chciałaby się z tobą jutro zobaczyć.

Zasycha mi w ustach.

– Po co? – wyrzucam z siebie od razu.

– Dzwoniła dzisiaj po południu, powiedziała mi, że chce dokończyć waszą dzisiejszą rozmowę. – Widzę, że Reese bardzo starannie doбира słowa. Tak, by nie zdradzić, że wie w s z y s t k o, o czym dzisiaj rozmawiałam z Elizabeth.

Wpatruję się w miskę, próbując powstrzymać złość. Znam prawdę. Uważają, że nie będę się odpowiednio zachowywać – a może nie p r z e ż y j ę – podczas nieobecności Reese. Chcą mnie niańczyć.

Może tego właśnie mi trzeba.

– Kiedy chcesz. Ona się dostosuje.

– Ale...

– To pewnie będzie krótkie spotkanie – same podstawowe rzeczy.

Nic nie mówię.

– Pójdiesz, Tave? – pyta w końcu.

Zamieram. Coś przebija przez to pytanie. Jakiś cień emocji. Już wcześniej to słyszałam. To ewidentny znak, że ona się o mnie martwi. Tak n a p r a w d ę.

Nie ośmielę się w to wierzyć.

– Jak chcesz – mamrocę. – I tak nie mam nic do roboty. – Równie dobrze możemy się nawzajem okłamywać.

Udaję, że boli mnie głowa, i posłusznie połykam dwie białe tabletki, które kładzie mi na dłoni. Twierdzi, że to zwykły tylenol, widzę zresztą wyżłobione w pastylkach litery, ale i tak zastanawiam się, czy nie jest to coś innego.

Paranoja.

Muszę z nią walczyć. N a p e w n o jej się nie dam.

Jednak kiedy wchodzę po schodach na górę, do mojego pokoju, nogi mi się trzęsą i powstrzymuję chęć pokonania kilku stopni naraz. Ostatecznie zwycięża poczucie przegranej, rzucam się na łóżko i klnę pod nosem, a rama skrzypi upiornie na znak protestu.

Leżę w ciemnym pokoju przez dobre pół godziny i wpatruję się w sufit, kiedy wreszcie słyszę, jak Reese ucisza Jaya, gdy przechodzą na palcach obok moich drzwi. Lepsza okazja może się nie trafić. Ledwo znikają mi z pola widzenia, wyglądam na korytarz, a potem idę za nimi, bezszelestnie stawiając stopy na dywanie.

Drzwi do sypialni zostawili uchylone na kilka centymetrów, ale ich głosy są wyraźnie słyszalne wśród dźwięków przesuwanych wieszaków z ubraniami.

– Wezmę taksówkę. Jeśli Daniel zadzwoni... powiedz mu, że jestem chora.

– Najpierw powinniśmy powiedzieć Tave. – Jay wydaje się dziwnie poważny.

– Nie mogę. Nie mogę... – Głos jej się rwie. Mimo tego wszystkiego, co zdarzyło się w ciągu ostatnich paru dni, jestem zszokowana, gdy zdaję sobie sprawę, że ona płacze! Silna, niemal pozbawiona emocji Reese. – Nie rozumiesz, jak to było ostatnim razem. Nie piszę się na to. Muszę być pewna, zanim zaczniemy działać. Muszę w i e d z i e ć, że to on.

– Sammi...

– Nie, J a y – syczy.

– Samantha – szepcze, ale Reese nie protestuje. – Chodź tutaj.

Kiedy znów się odzywa, jego głos jest stłumiony, wyobrażam sobie, że ją trzyma, zatapia twarz w jej karku.

– Co tylko chcesz – mówi. – Powiedz mi po prostu, co mam zrobić.

Ręce mi się trzęsą. Wycofuję się i uciekam do swojego pokoju. „Powiedz, co mam zrobić”. Te same słowa kilka godzin wcześniej wypowiedział do mnie Benson. Nie podoba mi się to podobieństwo.

Przecieram oczy wierzchem dłoni, powstrzymując łzy. Mam serdecznie dosyć poczucia bezradności. Nikt mi niczego nie mówi, próbuję sama wszystko rozszyfrować, mając jedynie połowę potrzebnych informacji. Nienawidzę tego!

Mrugam w ciemności, bo nagle przychodzi mi coś do głowy.

Do kitu z tym czekaniem na Quinna. Przecież wiem, gdzie mieszka – jutro to j a pójdę do niego.

Czuję ból w płucach i nie mogę oddychać.

„Obudź się!”

„Obudź się!”

Wreszcie szarawe światło świtu przedostaje się pod moje powieki i siadam na łóżku, wyprostowana, z trudem łapiąc powietrze. W głowie mi się kręci, płuca nadal wydają się obolałe, oddycham najszybciej jak potrafię.

Znów ten sen o tonięciu. Znów machałam bezładnie rękoma, próbując dosięgnąć różnych przedmiotów.

Teraz widzę w tym sens. Próbowałam uchwycić się tego, co stworzyłam – tak jak pomadkę, wodę i ołówek. Mój umysł rozszyfrował to szybciej niż ja sama.

Mrugam, by pozbyć się obrazu mętnej, ciemnej wody, zaczynam widzieć ostro mój pokój, oświetlony wschodzącym słońcem. Koszula nocna przesiąkła potem, ale jest mi tak zimno, że nie czuję palców rąk ani nóg. Wlokę się do łazienki, przez kilka minut stoję drżąc pod strumieniem parzącej wody, aż wraca czucie w kończynach.

Wtedy sobie przypominam, że Reese dzisiaj wyjeżdża.

„Samantha”. Podstawiam twarz pod gorący prysznic i pozwalam, by zagłuszył tamte słowa Jaya.

Reese i Jay są na dole, piją kawę. Reese czeka na taksówkę, która zawiezie ją na lotnisko, a Jay ma przed sobą normalny dzień pracy.

Po wczorajszej ulewie wstał słoneczny, pogodny dzień. Idealnie, dzisiaj planuję długi spacer.

Kryję się na górze, dopóki oboje nie wyjdą. Wiem, że to z mojej strony tchórzostwo, ale potrzebuję całej swojej odwagi, żeby uporać się z pozostałymi problemami. Wreszcie słyszę trzask zamykanych drzwi i charakterystyczny dźwięk zasuw.

Poszli sobie.

Podchodzę na palcach do końca korytarza i ostrożnie odsłaniam krawędź firany. Widzę, jak całują się na pożegnanie, i znów ogarniają mnie sprzeczne uczucia. Potem Jay idzie pieszo w swoją stronę, a taksówka odjeżdża w przeciwnym kierunku.

Od razu znika ciężar z serca i oddycham z łatwością – po raz pierwszy od czasu... nawet nie wiem od kiedy.

Ubieram się, po czym schodzę na dół. Na stole stoi dzbanek z ciepłą kawą – na dwie, może trzy filiżanki. Zgrzytam zębami na widok tego ewidentnego wyrazu troskliwości i wyłączam podgrzewacz, marząc, by tak samo łatwo wyłączyć umysł – albo jeszcze lepiej: wszystkie kłopoty.

Przyczepiony do lodówki liścik dusi w zarodku to marzenie.

Dr Stanley. 10:00. Nie zapomnij!

Jak mogłabym zapomnieć.

Sięgam po klucz do domu i zatrzymuję rękę przy wiszącym niewinnie pęku kluczy Reese.

Dotykam palcem potężnej obręczy – przysięgam, ona ma więcej kluczy niż woźny z mojej dawnej szkoły – i ręka zaczyna mi drżeć, bo w głowie pojawiają się rozmaite możliwości.

Przerażające możliwości.

Nie biorę kluczy.

Jeszcze nie.

Kiedy staję na ganku, zimny wiatr przesywa mnie na wylot i już prawie wracam

po wiatrówkę. Mimo jasnego, słonecznego nieba wieje wyjątkowo mocno. Uznaję, że nie mam aż tak daleko, a kiedy ruszam w drogę, dochodzę do wniosku, że lodowate powietrze rozpędza mgłę, która zasnęła dzisiaj moje myśli.

A to lepsze niż kawa.

Prawie zastygam w pół kroku na widok faceta w okularach przeciwsłonecznych. Raz to nic, dwa razy to może być po prostu zbieg okoliczności, ale trzy? Bez przesady. I nie zbliżyłam się nawet do Park Street ani do gabinetu Elizabeth. Opiera się o znak rzadko używanego przystanku autobusowego dwa domy dalej, ale mnie czymś takim nie zwiedzie. Wiem, że mnie obserwuje.

Zachowuję się, jakbym go nie zauważyła, chociaż serce mi wali, a puls przyspiesza tak, że zagłusza szum wiatru. Nie jestem w stanie przejść obok niego, na wyciągnięcie ręki. Rozglądam się więc pospiesznie, obserwując go kątem oka – oboje udajemy, że się nie widzimy.

Kiedy skręcam w kolejną uliczkę, ktoś zrównuje się ze mną, jestem jednak tak pochłonięta oczekiwaniem na faceta w okularach, że dopiero po dobrych trzydziestu sekundach zdaję sobie sprawę, że to Quinn. Całkiem stylowy, cały w ciemnych szarościach i czerni.

– Quinn! – szepczę i zatrzymuję się nagle. Czuję pulsowanie krwi aż w koniuszkach palców. – Właśnie do ciebie szłam.

– Chodź ze mną – mówi kącikiem ust, jak gdyby nie chciał, by ktokolwiek zauważył naszą rozmowę.

Ogarnia mnie wściekłość – czyżby się mnie wstydził? – ale postanawiam odpędzić ją od siebie. Przyspieszam kroku, by go dogonić.

– Quinn, muszę z tobą porozmawiać o...

– Mamy wszak kłopoty – przerywa mi.

– Słucham? – „Wszak? Co to ma być, do cholery?”

– Odkryli nas – mówi, po czym po raz pierwszy na mnie spogląda. – Wiesz o tym.

Ciężko przełykam ślinę i kiwam głową. Jego słowa potwierdzają moje podejrzenia. Oczywiście nie wiem do końca, kim są ci o n i – czy to Reese i Jay? A może ludzie, przed którymi próbują mnie chronić? Facet w okularach przeciwsłonecznych? Jedno jest pewne: k t o s mnie odnalazł.

– Musimy udać się do Camden. Nie ma powodów, dla których mielibyśmy dłużej zwlekać.

Zaciskam zęby, nie chcę się na niego złościć, a jednocześnie nienawidzę tego, jak mną dyryguje. Moimi emocjami. Jestem bezradna, nie potrafię mu się oprzeć, i tego też nienawidzę.

Ale nie dam za wygraną.

– Powiedziałeś, że coś mi pokażesz. Coś, co pomoże mi zrozumieć. – Chcę przerwać to wszystko, oprzeć ręce na biodrach i powiedzieć, że nie zrobię ani kroku dalej, jeśli nie udzieli mi odpowiedzi. Jednak zerkam przez ramię i w oddali widzę coś ciemnego: jestem pewna, że to facet w okularach przeciwsłonecznych. Nie chcę dać mu okazji, by nas dogonił.

Co więcej, przyspieszam.

– Camden. Wszystko czeka w Camden.

– Ale c o tam jest? I g d z i e jest to Camden? – wyrzucam z siebie. Podenerwowanie wynikające z tajemniczości Quinna wraz ze świadomością, że ktoś mnie śledzi, stanowią niezbyt pozytywną mieszankę.

– Tam się spotkamy – mówi, zupełnie jakbym nie zadała żadnego pytania.

– Dlaczego nie możesz ze mną normalnie porozmawiać? – pytam, zrozpaczona.

Milczy i tylko wydłuża krok.

– Nie mów nikomu – syczy.

– Quinn! – Próbuje chwycić go za rękę, gdy skręca z cichej alejki w główną ulicę, uczęszczaną przez turystów, ale w ostatniej chwili umyka przed moim dotykiem. Staram się iść za nim, ale wszędzie jest pełno ludzi, między którymi on zgrabnie manewruje. Czuję skurcze w chorej nodze, są jak ostrzeżenia. Nie jestem pewna, czy dogoniłabym go, nawet gdybym miała dwie zdrowe nogi.

Klnę pod nosem. Przeklinam siebie, Quinna, moje serce i jego oszalałe bicie. Dlaczego on nie może siedzieć w jednym miejscu? Albo przynajmniej udzielić mi prostej odpowiedzi? W normalnym języku? Doceniam, że zostawił mnie w lepszym miejscu niż pusta ulica, na której się przed chwilą znajdowaliśmy, bo trudno zgubić ogon, gdy nie można się wtopić w tłum, ale nie tego chciałam! On coś wie, a ja muszę się tego dowiedzieć. Mam podejrzenia – w zaistniałej sytuacji całkiem słuszne – że moje życie wisi na włosku, a ten sobie ucieka. Co za palant.

Sądząc po kierunku, w którym poszedł, zmierzamy w to samo miejsce, do którego chciałam dotrzeć, zanim go spotkałam. Tym razem nie pozwolę mu uciec. Dzisiaj k t o ś musi mi wreszcie c o ś powiedzieć.

Wybieram okrężną drogę i po sześciu skrętach jestem niemal pewna, że zgubiłam gościa w okularach. Przez pewien czas idę prosto, ale co chwila się rozglądam. Nikogo nie ma, czuję pewną ulgę. Znów zmierzam w przyjętym kierunku i po kolejnych dziesięciu minutach docieram do celu: widzę delikatesy, pod którymi zaczęły się te wszystkie dramatyczne wydarzenia.

Ale domu Quinna tam nie ma.

Biały ganek, trójkąt, nawet wesołe bordowe i złociste tulipany – wszystko zniknęło. Teren porasta trawa i kilka drzew, wydaje mi się, że stanowią część ogrodu, należącego do budynku po prawej... i to od dłuższego czasu.

Czas leci, a ja stoję na środku parkingu i rozmyślam o wszystkich dziwnych rzeczach, które widziałam w tym tygodniu: o domu, Quinnie, trójkątach, uliczce, która rozplynęła się w powietrzu, migającej kobiecie, znikającej pomadce i ołówku.

„Benson też to widział”, przypominam sobie. „Niektóre z tych rzeczy”. Broda mi drży, gdy powstrzymuję łzy rozpaczy. Zaciskam pięści i nagle czuję w jednej z nich coś lodowatego, ciężkiego. Rozpościeram palce i upuszczam ich zawartość na ziemię, zupełnie jak gdyby mnie paliła.

To medalion, który nosiła moja mama – dostała go od babci. Miała go na sobie w samolocie, później już nigdy go nie widziałam. Nie byłam w stanie zapytać, czy się znalazł.

A teraz leży na ziemi. Ja sama go stworzyłam. Zupełnie nieświadomie.

Jak wodę – tę, która mogła zabić kolegę Bena.

Z przerażenia cała się trzęsę. Jak można uciec od samej siebie?

– Nie jestem wariatką – szepczę, a moje słowa unosi wiatr. Stoję w miejscu i wpatruję się w plecione srebro tak długo, dopóki medalion nie zniknie.

Czuję się wyczerpana. Nie tylko z powodu długiego spaceru w celu zgubienia ogona, ale ze względu na wszystko, co się wydarzyło. Co nadal ma miejsce. Idę powoli, powłóczę nogami, które w końcu prowadzą mnie do gabinetu Elizabeth – ta wita mnie tak, jak gdyby to był zupełnie zwyczajny dzień.

A nie jest.

Nawet nie wspomina, że spotkanie odbywa się na jej prośbę, a nie moją.

Ani że Reese wyjechała.

Jestem tu wyłącznie po to, by utrzymywać grę pozorów, by udawać, że wszystko jest normalne – a ja nadal o niczym nie wiem. Emocje się we mnie kotłują, jestem zła, sfrustrowana i zagubiona, a rozpacz powoli zjada mnie od środka. Wiem, że powinnam coś zrobić, tylko nie wiem co.

Najpierw muszę przejść co najmniej piętnastominutowy krzyżowy ogień pytań, a potem mogę uciekać. Chwilowo jestem skazana na moją kłamliwą psychiatrę, którą próbuję przekonać, że wszystko ze mną w porządku.

Nie jestem dobra w oszukiwaniu, ale całkiem nieźle idzie mi zachowywanie informacji dla siebie. Tak więc mamy kompletny impas, siedzę w milczeniu na sofie i staram się nie wbijać w Elizabeth wściekłego spojrzenia.

Ale duszę to w sobie.

Z jednej strony, chciałabym wszystko z siebie wyrzucić, ale po tym, co zdarzyło się wczoraj, wiem, że to niemożliwe. Szydę z siebie w myślach: w końcu o mały włos, a zdradziłabym jej, że wyczarowuję przedmioty z powietrza.

Ciekawe, co powiedziałyby Reese? Pamiętam całkiem poważne pytanie mojej ciotki: „Czy ona jest zbyt pokiereszowana?”. A gdybym przyznała się do wszystkiego, czy Elizabeth odpowiedziałaby twierdząco?

– Tavia, dlaczego nie chcesz rozmawiać? – pyta Elizabeth, kiedy pozwalam sobie na zbyt długą chwilę milczenia. Jest spokojna i opanowana, ale przysięgam, że czuję, jak w środku buzuje gorąca lawa.

A może to tylko moja wyobraźnia.

W końcu jak miałabym dojrzeć różnicę?

– Nie mam o czym rozmawiać – wyrzucam z siebie. Moja cierpliwość została już wystawiona na próbę, kiedy Quinn nie odpowiedział na żadne pytanie. – Nawet nie wiem, po co tu przyszłam. Czuję się d o b r z e!

Pocieram kark, boli mnie od tych kłamstw, straciłam spokój.

Elizabeth wzdycha i brzmi to całkiem naturalnie, ale ja wiem swoje.

– Tavia, nie wiem, co się zmieniło, ale czuję, że mi nie ufasz.

„Ty kłamczucho”.

Prostuje się, a potem pochyla do przodu i opiera łokcie na kolanach.

– Nie wiem, jak mam cię przekonać, że chcę wyłącznie twojego dobra. Kiedyś w to wierzyłaś.

Owszem. I chciałabym, żeby nadal tak było. Ona nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo tego pragnę.

– Nie przyniosłaś żadnego nowego rysunku. – Głos ma spokojny, zwyczajny. Głos psychiatry.

„Bo tamten pokazałaś Reese i Jayowi”.

– Miałam lekcje do odrobienia – mamroczę, wpatrując się w palce, które splatam tak

mocno, że zaczynają boleć. „Lekcje, tworzenie przedmiotów z niczego, problem związany z dwoma chłopakami, z których każdy zawładnął połową mojego serca – wybierz sobie, co tylko chcesz”.

– Widziałaś się jeszcze z Quinnem? – pyta i nawet nie daje mi szansy, by zaprzeczyć. – To całkiem naturalne, że człowiek chciałby zachować nowe uczucie w tajemnicy. Takie wyjątkowe. Ale wiesz, że mnie możesz powiedzieć wszystko.

„Pewnie”.

Przesiewam wydarzenia ostatnich dni, zastanawiając się, czy jest coś, co mogę jej powiedzieć – coś, dzięki czemu będzie dalej łykać moje kłamstwa.

Waham się zbyt długo, więc włącza się jej lekarska intuicja i od razu się na mnie rzuca.

– Porozmawiaj ze mną, Tavia – prosi. – Wiem, że dzieją się z tobą dziwne rzeczy. Jestem tu po to, żeby pomóc ci je zrozumieć. – Wyciąga rękę i chwyta mnie za nadgarstek, zanim zdołam się odsunąć. Zaciska palce na mojej skórze. – Chciałabym, żebyś wszystko zrozumiała, Tave. Ale musisz dać mi jakiś punkt zaczepienia.

– N-nie mam o czym rozmawiać – upieram się, wrywając rękę. Ale nawet jeśli jękanie mnie nie zdradziło, i tak widać, że nie mówię prawdy. – Nie widziałam go.

Elizabeth przygląda mi się badawczo przez dłuższy czas, aż zaczynam się wiercić pod jej spojrzeniem. Nie podoba mi się ten wzrok.

I nie dlatego, że wydaje się niebezpieczny – wręcz przeciwnie, daje wrażenie b e z p i e c z e ń s t w a.

Elizabeth jest tak samo dobrą aktorką jak Reese, albo nawet lepszą. Patrzę jej w oczy i widzę jedynie prawdziwą czułość, autentyczną troskę i chęć pomocy.

A może tak bardzo bym sobie tego życzyła, że t w o r z ę taką iluzję?

Albo tak łatwo jest mnie oszukać. Ostatnie osiem miesięcy stanowiłoby potwierdzenie tej teorii.

Tylko to spojrzenie...

– Skończyliśmy? – pytam ledwo słyszalnym szeptem, ale to wystarczy, by mój wzrok oderwał się od oczu Elizabeth, przerwał ten hipnotyzujący wpływ. Teoretycznie to dopiero połowa spotkania, ale miałyśmy niepisaną zasadę, że mogę wyjść, jeśli czuję taką potrzebę.

A właśnie taką czuję.

– A jak uważasz? – pyta.

Nie patrzę na nią. Nie mogę. Tylko kiwam głową, podnoszę leżący obok sofy plecak, po czym ruszam do drzwi.

– Ja... rozmawiałam ostatnio z twoją ciotką – odzywa się Elizabeth, zatrzymując mnie w pół kroku.

Powstrzymuję szydercze prychnięcie.

Z ledwością.

– Wiem, że wyjechała na parę dni w ważnych sprawach służbowych. – Elizabeth waha się, a ja czuję nagle mrowienie. Odwracam się, a moje palce, oparte na klamce, aż się rwą, by ją nacisnąć i uciec.

Coś buzuje w powietrzu – jakieś iskry zmiany – i to mnie przeraża.

– Kiedy wróci, wypróbujemy nową metodę... terapii – mówi. – Myślę, że ci się spodoba – dodaje.

Kiwam głową, a moja ręka napiera na klamkę i daje mi wreszcie możliwość tej jakże wyczekiwanej ucieczki. Wyślizguję się na korytarz przez zaledwie uchylone drzwi, z nadzieją, że nie zauważą moich drżących kolan.

A więc naprawdę zamierzają to zrobić, „wybudzić” mnie, czy jak to się nazywało –

zrobić to, co być może wypali mój mózg.

Mam wizje rażenia mnie prądem i aplikowania żrącego kwasu, ale staram się je od siebie odsunąć. Przecież nie zrobiłaby czegoś takiego!

Z drugiej strony, co ja, do diabła, mogę wiedzieć o tym, do czego jest zdolna Elizabeth.

Powstrzymuję chęć ucieczki z budynku, w moich uszach brzmi jeszcze echo jej słów: „Nie wiem, jak mam cię przekonać, że chcę wyłącznie twojego dobra. Kiedyś w to wierzyłaś”.

Czy jestem aż tak naiwna, że wierzę we wszystko, co usłyszę?

Być może.

Wychodzę spod markizy chroniącej główne wejście do budynku i stwierdzam, że oczywiście znowu pada. Chronię się przed wiatrem i mżawką, naciągając na głowę kaptur, a tym samym zasłaniam sobie częściowo widok. Przez to prawie nie zauważam faceta stojącego w północnym rogu parkingu.

Zapewne zignorowałabym go zupełnie, gdybym – mimo wywołanego paniką oszołomienia po wyjściu z gabinetu – nie rozpoznała tej twarzy.

A raczej tych okularów przeciwsłonecznych.

Ogarnia mnie przerażenie, staram się na niego nie patrzeć, tylko ruszam w stronę biblioteki.

Gdy znów go dostrzegam, idzie niedbałym krokiem dobre dwieście metrów za mną, ale to już drugi skręt, a on ciągle podąża tą samą drogą. Jego czarna bluza, niemal identyczna z moją, wtapia się w niewielką grupę pieszych, ale mimo to łatwo go zauważyć.

Nieważne. Nie chcę popadać w paranoję. Istnieje minimalne prawdopodobieństwo, że po prostu idziemy w tym samym kierunku.

Dwukrotnie.

W ciągu tego samego przedpołudnia.

Waham się przez chwilę, a potem skręcam w lewo, zamiast w prawo – to tylko nieznacznie wydłuży mi drogę, a nie chcę poprowadzić go prosto do biblioteki.

Zwalniam, dochodząc do pierwszej przecznicy na mojej nowej trasie, i wyglądam za róg. Na razie go nie widać.

Wolniej.

Wolniej.

Kieruję się w prawo, obserwując chodnik spod opuszczonych rzęs. Już mam zniknąć za zakrętem, kiedy on nagle wychodzi zza rogu, rozgląda się dookoła. Szybko się odsuwam i znów przyspieszam.

Przerażenie napędza moje nogi, czuję mrowienie w stopach i zastanawiam się przelotnie, czy to na pewno był dobry pomysł, żeby zwolnić i się z nim zrównać. Być może powinnam była jednak zaufać intuicji i uciekać, póki jeszcze miałam ku temu okazję.

Problem polega na tym, że ja już nie ufam intuicji. Pomyliłam się co do Reese, pomyliłam się także co do Elizabeth.

I chociaż może nie popełniłam błędu w kwestii Bensona, to jednak niewłaściwie odczytywałam jego zachowanie.

A już kompletnie nie mam pojęcia, co moja intuicja mówi na temat Quinna.

Jestem jednak pewna, że ten facet w okularach mnie śledzi. Mam ochotę się ukryć. Uciec. Albo... coś z r o b i ć. To instynkt, którego nie poznaję – zupełna nowość dla mnie, a może coś, o czym zapomniałam po długich miesiącach bezradności, gdy leżałam przykuta do szpitalnego łóżka i mozolnie dochodziłam do siebie. Teraz jednak wyraźnie go odczytuję. „Zrób coś”.

Ale co?

„Stwórz coś”. Wreszcie doznaję olśnienia, wiem już, czego dotyczy ten impuls. Odrzucam tę możliwość. O nie. Nie ma szans.

Chowam się w wejściu kolorowego sklepu ze słodyczami, z nadzieją, że może uda mi się zgubić faceta w okularach. Po mniej więcej minucie mija mnie bardzo wysoki mężczyzna, który zmierza w kierunku przeciwnym niż ten, z którego przyszłam. Postanawiam iść za nim, wykorzystać go jako żywą tarczę. Idę do końca, a potem skręcam w kolejną ulicę.

Gram na zwłokę, majstruję coś przy zamku plecaka, a potem wciskam się w tłum tak blisko niego, że niemal depczę mu po piętach. I chociaż pochyla głowę, otula się płaszczem, jakby był zmęczony – a może chory – nadal jest wielki, dzięki czemu czuję się bezpiecznie, ukryta w jego cieniu.

Dopóki nie zaczyna migotać.

Tak samo jak tamta kobieta w dniu, w którym zderzyłam się z budynkiem.

Wciążam powietrze, ale nadal stawiam kroki. Rozglądam się, jednak nikt inny nie zauważył migotania. Patrzę na wysokiego mężczyznę, jego szerokie, barczyste plecy. Nadal mnie

osłania.

Mrużę oczy, skupiam na nim wzrok, czekając, aż znów zamigocze.

I absolutnie nie spodziewam się, że całkowicie zniknie.

Zatrzymuję się gwałtownie i ktoś na mnie wpada, aż się chwieję.

– Uważaj, jak chodzisz – mówi kobieta, nawet na mnie nie patrząc. Wymija mnie i idzie dalej ze swoim chłopakiem.

Odwracam się na pięcie. Nikt inny się nawet nie zatrzymał.

Nie zauważyli jego zniknięcia? Przecież był taki wysoki, a teraz można by pomyśleć, że w ogóle go tu nie było. Jakby... wymigotał się z tego świata.

Zaciskam palce na paskach plecaka i patrzę do przodu, staram się iść równym krokiem.

„Muszę dotrzeć do Bensaona”, myślę. „On mi pomoże”. Zdrowy rozsądek zaczyna brać górę nad paniką, odliczam kroki, żeby nie rzucać się w oczy kuśtykaniem.

„Jeden, dwa, trzy, cztery. Jeden, dwa, trzy, cztery”.

Zupełnie straciłam z oczu mój ogon, ale nie odważę się odwrócić.

Już tylko dwie przecznice dzielą mnie od biblioteki, kiedy zaczyna lać potężny deszcz.

– Cudownie – mruczę pod nosem. – Po prostu przecudownie.

W kilka sekund jestem przemoczona do nitki – jakby świat postanowił zrobić mi na złość – ale widzę już budynek biblioteki, moje schronienie. Chociaż tak naprawdę nim nie jest, bo facet w okularach także może wejść do środka.

Jednak tam jest Benson, a przy nim czuję się bezpiecznie.

Po plecach ścieka mi strużka potu, a adrenalina napędza każdy mój krok. Pcham drzwi wejściowe tak mocno, że uderzają w ścianę po drugiej stronie. Oczywiście wszyscy ludzie w bibliotece natychmiast na mnie spoglądają.

Rewelacja.

Jestem kompletnie przemoczona, wchodzę do środka, świadoma, że wyglądam jak zmokła kura. Robię może ze trzy kroki i już Benson jest przy mnie. Mam ochotę zarzucić mu ręce na szyję i tulić się, dopóki nie przestanę się trząść.

To pragnienie jest tak szokujące, że niemal zamieram. Nie powinnam pragnąć Bensaona tak bardzo, zwłaszcza po porannym spotkaniu z Quinnem. Quinnem, o którym myśl przyprawia mnie o bolesną tęsknotę, przy którym kręci mi się w głowie z błogości.

Dlaczego więc pragnę Bensaona?

Nie wiem. Ale ciągle wracam do wspomnienia jego palących warg na moich ustach, jego zaborczych ramion, ciepłego ciała stykającego się z moim. Podnoszę wzrok i wiem, że w moich oczach widać to pożądanie. Nie mam siły, by je ukryć.

– Wszystko w porządku? – pyta z wyraźną troską. – Ciężki dzień?

„Nie mów nikomu”.

– Coś w tym rodzaju – mamroczę.

Otwierają się drzwi wejściowe i ponad ramieniem Bensaona dostrzegam czyjeś ciemne włosy. Przesuwam się o pół kroku w prawo, by skryć się za szczupłą, co prawda, sylwetką Bensaona, i zerkam uważnie.

Czarna bluza i okulary przeciwsłoneczne.

Znalazł mnie.

– Możemy iść do ciebie? – pytam z rozpaczą w głosie. – Teraz? Proszę!

– No jasne – odpowiada, chociaż wydaje się zdezorientowany. Nie zadaje jednak żadnych pytań, tylko prowadzi mnie zygzakiem pomiędzy stołami ku maleńkiemu stanowisku pracy.

Oglądam się pospiesznie, po czym siadam na krześle naprzeciwko Bensaona i wciskam plecak pod stół. A potem przesuwam się na skraj siedzenia, by pozostać jak najmniej widoczną.

– Jeśli chodzi o wczorajszy dzień, możemy znaleźć jakieś bardziej odosobnione miejsce – szepcze Benson. Jego stanowisko nie ma nawet drzwi, więc każdy mógłby z łatwością nas podsłuchać. – Jeśli chcesz, możemy stąd wyjść...

– Nie chodzi o to – bąkam. Już na samo wspomnienie wczorajszych wydarzeń zaczyna mi huczeć w głowie. To było połączenie czegoś cudownego z czymś tragicznym. Prostuję się i za chwilę zgniatam piłeczkę antystresową – najpierw w jednej, potem w drugiej dłoni. Przekładam ją sobie z ręki do ręki i dopiero po jakimś czasie zdaję sobie sprawę, że s t w o r z y ł a m ją zupełnie nieświadomie. Przerazona, rzucam piłkę na biurko. Toczy się niewinnie po nierównej powierzchni i zderza ze stertą papierów.

Benson pochyla się do przodu, chwytając mnie z ręką i stara się zignorować żółtą piłeczkę.

– Wszystko dobrze?

Kiwam głową nieco rozpaczliwie i zabieram rękę. Myśli mi się kotłują, jego dotyk tylko pogorszyłby sprawę. Zaczynam się zastanawiać, czy tak właśnie wygląda załamanie nerwowe.

– Jesteś pewna? Bo wiesz... trochę się spociłaś. – Spogląda wymownie na moje czoło, a ja już wiem, że nawet nie poczułam, jak kropla potu ścieka mi po policzku. Wycieram ją rękawem, czuję się jak flądra.

– Benson? – W gardle mi zasycha, nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Tak? – odzywa się po dłuższej chwili.

– Pamiętasz tego faceta, o którym ci mówiłam? – wyduszam z siebie, zanim zęby mi się tak zacisną, że nie przejdzie przez nie żadne słowo.

– Masz na myśli... Quinna?

– Nie. – „Błagam, nie wspominaj Quinna, nie rozmawiajmy o nim, jeszcze nie teraz”. – Chodzi mi o gościa w okularach przeciwsłonecznych, którego widziałam już parę razy.

– Taaa...

– Śledzi mnie, odkąd rano wyszłam z domu. Najpierw do starej dzielnicy, potem do gabinetu Elizabeth. A teraz jest tutaj i... – zamykam usta. Gadam bez senesu.

– Czy widział... – Benson waha się, a potem kończy zdanie szeptem. – Czy widział, jak coś r o b i ł a ś?

– W sensie tworzenia? Nie! – Ale przypominam sobie medalion i dodaję cicho: – Wydaje mi się, że nie.

– Okej. To chyba dobrze, prawda? – pyta i zerka mi przez ramię w głąb biblioteki.

– Może to Reese i Jay go wysłali.

– A dlaczego mieliby zacząć cię śledzić? – Benson wydaje się zdezorientowany.

– A dlaczego mieliby wypalić mi mózg? – ripostuję. Oba pytania są równie istotne. – Chodzi o to, że on za mną szedł, a teraz jest tutaj. Musisz mi pomóc się stąd wydostać.

– Pokażesz mi, który to? – pyta Benson.

Gdyby to było takie proste.

– Wolę udawać, że go nie widzę.

– Słusznie. Powiedz mi, jak wygląda.

– Ma ciemnobrązowe włosy i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Nosi okulary przeciwsłoneczne i czarną bluzę.

I jedno, i drugie mógł zdjąć po wejściu do biblioteki.

Próbuję przypomnieć sobie więcej szczegółów, ale niezwykle ciężko jest opisać kogoś, komu rzucało się jedynie ukradkowe spojrzenia.

– Brązowe buty. Ma brązowe buty. Wysokie, sznurowane, jak martensy albo trapery.

– Okej. – Benson zapisuje coś na samoprzylepnej karteczce. – Zaraz ci poszukam – mówi odrobinę głośniej i wstaje.

Już otwieram usta, żeby zaprotestować, kiedy zdaję sobie sprawę, że Benson udaje. Idealnie. Patrzę, jak odchodzi – całkiem naturalne, prawda? – i mój wzrok od razu pada na tego mężczyznę. Siedzi przy narożnym stoliku i symuluje czytanie.

Odwracam głowę, boję się, że wyczuje moje spojrzenie, jeśli będę gapić się zbyt długo. Jestem pewna, że Benson go zauważy.

Siedzę przy biurku, wdychając i wydychając powietrze, staram się uspokoić. Jestem tu z Bensonem. On mi pomoże.

Już się niemal wyciszyłam, kiedy ze stołu znika nagle żółta piłeczka, o której już prawie zapomniałam. Wydaję z siebie pisk i odsuwam się gwałtownie.

Dziesięć sekund później Benson dotyka mojego ramienia, a ja prawie wyskakuję ze skóry.

– Przepraszam – mówi na widok mojej reakcji, ale w jego głosie wyczuwam zdziwienie.

– Już dobrze – staram się mówić szeptem. – Naprawdę, już dobrze.

Przygląda mi się przez moment, a potem siada i kładzie duży tom na biurku.

– Widziałem go – mówi cicho, przerzucając strony, by udać, że mi coś pokazuje. – Myślę, że powinnaś wracać do domu.

– Do domu? Dlaczego?

– Jest na tyle blisko, że dojdiesz pieszo, i pewnie bezpieczniej niż tutaj. – Zerka spod oprawek okularów na bibliotekę. – Reese wyjechała, prawda? Ja jakoś odwrócę uwagę tego faceta, spotkamy się u ciebie. Będziemy tylko we dwoje, porozmawiamy o wszystkim, co wiemy, może do czegoś uda nam się dojść.

– A jeśli on jest niebezpieczny? Może zrobić ci krzywdę.

Benson śmieje się ponuro.

– To budynek państwowy, wierz mi, na pewno nie będzie chciał tu wszczynać awantury. Zresztą on już w i e, jak cię odnaleźć. To tylko tymczasowe rozwiązanie, żeby zyskać na czasie.

Kiwam głową z wahaniem.

– Dobrze. Ale przyjdiesz, prawda?

Szept Bensa jest pełen emocji, niemal jak spojrzenie jego niebieskich oczu.

– Zawsze do ciebie przyjdę.

Po raz setny zerkam zza firanki, ale Bensaona ciągle nie ma. Opadam na sofę, zrzucam narzutę i owijam się nią, jakby miała mnie chronić. Zdjęłam mokrą bluzę i wytarłam włosy ręcznikiem, ale i tak wstrząsają mną potężne dreszcze, chociaż mam wrażenie, że nie mają nic wspólnego z temperaturą. Zamykam oczy. Tak bardzo bym chciała, żeby wszystko było takie proste jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką.

Gdy żyli moi rodzice.

A ja byłam obiecującą młodą artystką.

I nikt mnie nie śledził.

I nie miałam żadnych dziwacznych mocy, których nie potrafiłam kontrolować, ani dziwnych wizji, które mogą pozostać bez wyjaśnienia.

Gdy słyszę delikatne pukanie, gwałtownie otwieram oczy, zaplątuję się w narzutę i uderzam kolanem w stół. Benson wślizguje się do środka przez uchylone drzwi i zamyka je za sobą.

– Jestem pewien, że go zgubiłem. Ale miałas rację. Ledwo wyszłaś, on wstał z krzesła i już miał za tobą iść.

Dostrzega moją twarz, narzutę na podłodze, chwiejający się stół.

– Och, Tave. Wszystko będzie dobrze – mówi, przyciągając mnie do siebie. Wiem, że na pewno wyczuwa moje drżenie, ale jestem zbyt zmęczona, by czuć zażenowanie z tego powodu. Opiera twarz na moim karku – to jedyne źródło ciepła w całym moim organizmie. – Tak mi przykro w związku ze wszystkim, co cię spotkało – szepcze, a jego wargi muskają moją wrażliwą skórę. – To więcej, niż może unieść jedna osoba. Zwłaszcza taka jak ty.

Pozwalam sobie tak stać, opierając się o niego, czerpiąc z niego siłę, dopóki nie znajdę własnej. Tylko jedną sekundkę. Dwie. Trzy.

– Jak się go pozbyłeś? – wyduszam z siebie w końcu.

– Wylałem na niego kawę. Marie zgodziła się pomóc. Zaczęła się wokół niego krzątać, a ja w tym czasie się wymknąłem. – Benson podnosi wzrok i spogląda mi w oczy. – Nie wiem, ile czasu w ten sposób zyskaliśmy, ale udało mi się tu dostać bez niego.

– Samochód zostawiłeś przed domem?

– Przyszedłem pieszo – w zasadzie to nawet przybiegłem. Nie jest daleko.

Śmieję się. Nie jest to śmiech radosny, raczej znużony. Ale najważniejsze, że jeszcze potrafię się śmiać.

– No dobrze – mówi Benson. – Powiedz mi, co się wydarzyło dzisiaj u Elizabeth.

– Nic – odpowiadam nerwowo, unikając nawet najmniejszej wzmianki na temat spotkania z Quinnem. „Nie mów nikomu” – te słowa nadal dźwięczą mi w uszach. – Ja kłamałam, ona kłamała, było mnie więcej tak, jak się tego spodziewałam.

– A kiedy wyszłaś, ten facet w okularach przeciwsłonecznych już na ciebie czekał.

Kiwam głową i przypominam sobie, że dzisiejszy dzień przyniósł mi także spotkanie z wysokim mężczyzną, który rozpląnął się w powietrzu. Na samą myśl boli mnie głowa, nie jestem gotowa o nim rozmawiać. Jeszcze nie teraz.

– On chyba wie, co ja potrafię. W przeciwnym razie to nie miałyby sensu. – Nagle zaczyna mi burczeć w brzuchu. – Jesteś głodny? – pytam, wślizgując się z jego objęć i kierując się do kuchni.

– Nie – odpowiada, ale idzie za mną.

– Ja umieram z głodu – mówię i chwytam to, na co zwykle nawet nie patrzę: jogurt Reese, puszkę ananasów w plastrach i salami genueńskie. Nie mam pojęcia, co to za salami, ale i tak

zamierzam je zjeść. – Myślisz, że to przed tym facetem Reese i Jay próbują mnie ukryć? – pytam, otwierając wszystko naraz.

– To możliwe. – Benson nie patrzy mi w oczy. Myślę, że chce ukryć przede mną swój strach.

– Cóż, miło mi było cię poznać – mówię kpiąco, chociaż w moim głosie słychać cień zdenerwowania, pewne rozgoryczenie, które wcale mi się nie podoba.

– Hej. – Benson patrzy na mnie. – To, że masz ogon, nie znaczy jeszcze, że zaraz zginiesz. W końcu nie próbował ci nic zrobić, prawda?

Wzruszam ramionami.

Benson zaciska usta, pochyla się do przodu i opiera łokciami o stół.

– Załóżmy, że facet wie, co potrafisz robić – a myślę, że masz rację – dodaje, zanim zacznę bronić swojej teorii. – Uważasz, że Reese i Jay też wiedzą? Elizabeth? Twoi lekarze? Jak głęboko sięga ten cały Truman show?

Zamieram z plasterkiem ananasa przed ustami. „Jak głęboko to sięga?”

– Cholera, nie wiem. Reese, Jay i Elizabeth wydają się skoncentrowani na Quinnie i trójkątach. Nie wiem nawet, co w nich takiego szczególnego poza tym, że ja je widzę, a Elizabeth nie.

– I to wszystko zaczęło się dziać mniej więcej w tym samym czasie co twoje tworzenie przedmiotów, prawda?

Wolałabym nawet o tym nie myśleć, ale – jak rozumiem – nie mam większego wyboru. Muszę stawić temu czoło.

– To musiałby być wyjątkowy zbieg okoliczności. Tyle że nie widzę związku.

– Reese wyjechała z miasta, a Jay spędza mnóstwo czasu w pracy, prawda? – Benson wyraźnie do czegoś zmierza.

Potwierdzam, zabierając się do salami. Zwijam w rulon jeden z plasterków i ostrożnie nadgryzam. Mmm, całkiem dobre.

– Co kombinujesz? – pytam, gdy już przełknę kęs.

– Może chcieli zapewnić ci bezpieczeństwo podczas jej nieobecności. No wiesz, dodatkowe oczy i uszy. – Benson także bierze plaster wędliny i wkłada sobie do ust, ale jestem pewna, że to odruchowy gest i pewnie nawet nie czuje smaku.

– Coś w rodzaju ochroniarza? – Podoba mi się to tłumaczenie, chociaż – jeśli to prawda – oznaczałoby, że Reese i Jay znów mnie okłamują.

No ale...

– Tak – odpowiada, nadgryzając plasterek.

– Sama nie wiem – zastanawiam się. – Te moje „magiczne” zdolności są w sumie żenujące. Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, by chronić osobę, która tworzy znikające przedmioty? To musi być coś więcej.

Benson patrzy na mnie w milczeniu.

– A kiedy byłaś dzieckiem, potrafiłaś zrobić... nie wiem, coś niesamowitego?

– Jasne. Usunęłam wzrokiem szybę w terrarium węża tuż przed tym, jak dostałam list z wiadomością, że przyjęto mnie do Hogwartu.

Benson tylko unosi brwi.

– Matko, miałam normalne dzieciństwo. Nie ma we mnie niczego, co by mnie wyróżniało z tłumu.

Kiedy sięgam po kolejny kawałek salami, jego ręka przechwytuje moją dłoń i zaciska na niej palce tak mocno, że niemal sprawia mi to ból.

– To nieprawda – szepcze, a potem – zupełnie jak gdyby nic się nie wydarzyło – puszcza

moją rękę i mówi dalej: – A istnieje choć cień prawdopodobieństwa, że twoi rodzice mieli związek z jakąś przestępczością zorganizowaną?

Zanim zdołam zasłonić usta ręką, wydobywa się z nich szyderczy śmiech.

– Nie sądzę. Uwierz mi, to nie ten typ ludzi. Zresztą nie mieliśmy takich pieniędzy, jakie mają ludzie wplątani w brudne interesy.

– A Reese i Jay?

To mnie otrzeźwia.

– W sumie wcale by mnie to nie zdziwiło. Zwłaszcza Reese. Jest bardzo skryta, jeśli chodzi o pracę. – Waham się, ale ostatecznie werbalizuję podejrzenie, które męczyło mnie od chwili, w której Jay nazwał Reese Samanthą. – A jeśli... jeśli to wcale nie jest moja rodzina?

– Czy to w ogóle możliwe?

– Niestety tak. Nie znałam ich wcześniej. Każdy mógł zająć ich miejsce. Zresztą to dość dziwne: tak bardzo zaangażowali się w moje życie, chociaż jeszcze osiem miesięcy temu w ogóle w nim nie uczestniczyli.

– Nie spotkałaś ich przed katastrofą?

– To trochę... skomplikowane. – „Jak wszystko w moim życiu”. – Są dalekimi krewnymi, kontaktują się z nami zaledwie od dziesięciu lat, a do tego mam mgliste wspomnienia sprzed wypadku. Wydaje mi się, że pamiętam Reese, ale minęło tyle czasu – równie dobrze mogę pamiętać kogoś, kto był do niej podobny.

– A twoi dziadkowie nie mogą ci w tym pomóc?

– Moja przyszywana babcia zmarła parę lat temu. Tak się składa, że to właśnie na jej pogrzebie widziałam Reese po raz ostatni. Ale była zapłakana i miała twarz zakrytą woalką, więc w zasadzie najbardziej zapamiętałam tę woalkę. Była przezroczysta, tego jestem pewna, ale i tak przesłoniła mi wszystko.

– A rodzeństwo? – pyta Benson, chociaż podejrzewam, że dobrze wie, jaka będzie odpowiedź.

– Jak wiesz, jestem jedynaczką, mój ojciec też nie miał rodzeństwa, dopóki dziadek nie ożenił się z mamą Reese. Ale ona mieszkała w zasadzie u swojego ojca.

– I nigdy z nikim się nie kontaktowałaś? W domu?

Moje wspomnienia z Michigan są najbardziej mgliste ze wszystkich. Nazwiska i numery telefonów zupełnie się zacierają. Ale to coś więcej, trudno to wyjaśnić komuś, kto nadal ma rodzinę.

– Kiedy tracisz... wszystkich... nikt nie patrzy na ciebie normalnie. Nawet lekarze i pielęgniarki, którzy przecież mnie nie znali, rzucali mi takie okropne spojrzenia.

– Pełne litości? – szepcze Benson.

– To coś więcej niż litość. – Czuję wzbierające pod powiekami łzy i potrząsam głową. – Moi rodzice... – Głos mi się załamuje, muszę wziąć wdech i spróbować ponownie. – Gdyby żyli, nic takiego by się nie wydarzyło. – Tak myślę, bo przecież pewności nie mam. Ale przynajmniej mogłabym się zwrócić do nich o pomoc. – Nadal starałam się uporać z tym, co się stało, kiedy Reese i Jay zaproponowali mi wspólne mieszkanie. Przyjęłam propozycję – mówię i zdaję sobie sprawę, że jestem pełnym odludkiem.

Gdybym zniknęła, jak ten wysoki facet pod sklepem ze słodyczami, nikt by tego nie zauważył.

Ta świadomość doprowadza mnie do rozpacz.

– Nie chciałam wracać – mówię w końcu. – I być kimś gorszym niż wcześniej.

Benson pociera kciukiem moją dłoń.

– Nie jesteś gorsza. Inna? Być może, nie znałem cię wcześniej. Ale na pewno nie gorsza.

Posępnie kiwam głową. Uratował mnie przed łzami, ale ledwo. Bo czuję się gorsza. Wszystko jest takie... gorsze.

– W takim razie... – Benson ratuje mnie po raz kolejny. – Załóżmy, że Reese i Jay mówią o sobie prawdę – a tak faktycznie może być. Jak myślisz, jakim cudem cię dostali? Miałaś dopiero siedemnaście lat, sąd nie przyznałby opieki pierwszej lepszej osobie podającej się za krewnego.

– Na mocy testamentu moich rodziców – mówię. – Tak mi się wydaje. Czy trudno podrobić dowód osobisty?

– Myślę, że potrzeba czegoś więcej – stwierdza Benson.

– Nie wiem. Jak się ma pieniądze, wszystko można załatwić. A jeśli są przestępcami, z pewnością mają fundusze.

– No dobrze, przyjmijmy, że tak jest. – Benson rozkłada ręce. – W takim razie gdzie są prawdziwi Reese i Jay?

Aż się zapowietrzam. O tym nie pomyślałam. Nie, nawet nie chcę się nad tym zastanawiać.

– Czy to nie zbyt naciągana teoria? Mieliby zabić moich krewnych?

– Nie sądzę. – Benson nie daje mi wypowiedzieć na głos czarnych myśli. – Być może mieszkają na farmie w Kansas ze sfałszowanym świadectwem zgonu i nie mają pojęcia, że żyjesz.

– Twoje rozumowanie wydaje mi się całkiem wiarygodne. Czy to bardzo żałosne?

– Tak czy inaczej dojdziemy do tego. Razem – dodaje, wbijając we mnie wzrok. – Nie wycofuję się. Cokolwiek postanowisz, będę z tobą.

– No dobrze. – Pochyliłam się do przodu i zbieram na odwagę. – Może trzeba wykorzystać nieobecność Reese.

– W jakim sensie?

Ciężko przełykam ślinę, bo nagle zdaję sobie sprawę, jak poważny jest krok, który zamierzam zrobić.

I jak bardzo jestem zdecydowana.

– Mam pewien pomysł – mówię.

Benson przewraca oczami.

– Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że wcale mi się nie spodoba.

– To zależy – odpowiadam pozornie niedbałym tonem – od tego, jak się zapatrujesz na kwestię włamania.

Wypróbowałam dwa razy każdy klucz, a drzwi do gabinetu Reese nadal pozostają zamknięte. Uparcie. Sfrustrowana opieram głowę o futrynę, mam poczucie całkowitej porażki. Benson stoi obok, krzyżuje ręce na piersi i się nie odzywa.

– Przepraszam – mówię, totalnie przygnębiona. – Sądziłam, że któryś z tych kluczy będzie pasował.

– To zrozumiałe – odpowiada z cieniem dowcipu w głosie. – Chyba nigdy w życiu nie widziałem tylu kluczy w jednym miejscu.

– Prawda? – Krzywię się i unoszę potężny pęk.

– Może powinnaś stworzyć wielki młot? Albo piłę łańcuchową?

– I zniszczyć drzwi? – wzdycham. – To byłby dopiero dowód.

– Racja. – Benson spogląda na gałkę. Widzę wyraźnie zarysowane mięśnie jego twarzy.

A potem podejmuje decyzję, kuca i wyciąga portfel z tylnej kieszeni. – Pozwolisz?

– Na co?

Wyjmuje z portfela dwa wąskie patyczki, chwilę się z nimi mociuje, rozkłada je i ustawia.

– Czy to w y t r y c h? – pytam, wstrząśnięta.

– Być może – odpowiada i wsuwa jeden ostrożnie w zamek.

– Kieszonkowy, a raczej portfelowy wytrych? – naciskam.

– Złota zasada klubu walki – mruczy, skupiony na zadaniu.

– Klub walki, akurat! – mówię cicho, przyglądając się, jak sprawnie manewruje przy zamku.

Manipuluje jeszcze przez chwilę, potem przekręca jeden patyczek, a wtedy ustępuje gałka. Drzwi otwierają się bezszelestnie, widać zawiasy są dobrze naoliwione.

– Proszę – oznajmia, składa wytrych i chowa go na dno portfela.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – Patrzę na niego z niedowierzaniem. I chyba także z podziwem.

Tylko wzrusza ramionami. Domyślam się, że innej odpowiedzi nie otrzymam.

Biuro Reese wygląda... normalnie.

Nie, żebym nigdy w nim nie była. Kiedy pracuje, często zostawia otwarte drzwi. Krótco po tym, jak z nimi zamieszkałam, zapytałam ją, dlaczego ciągle je zamyka. Uśmiechnęła się i poklepała mnie po ramieniu. „Mam tu mnóstwo tajemnic zawodowych” – powiedziała, a potem westchnęła, odwróciła wzrok i dodała: „Prawda jest taka, że robię to głównie z nawyku”.

Z nawyku, już w to wierzę.

Biorę głęboki wdech i przechodzę przez próg. Panuje tu idealny porządek, na biurku leżą równiuteńko ułożone stosy papierów, w rogu stoi szafka na dokumenty, a na niej doniczka z kwiatami. Na wiszącej na ścianie korkowej tablicy tkwią szpilki i samoprzylepne karteczki.

Najpierw idę do szafki. Zamknięta.

Jakżeby inaczej.

Benson pochyla się nad mahoniowym biurkiem.

– Może szuflada? – mamrocze i otwiera płaską szufladkę. – Bingo – stwierdza z uśmiechem, wyjmując kluczyk na kółku.

– Co to? – pytam.

W odpowiedzi podchodzi do popielatej szafki i wkłada kluczyk do zamka. Stoi tak blisko mnie, że wyczuwam zapach jego dezodorantu. Oddycham głęboko.

Przekręca klucz.

Rozlega się kliknięcie i zamek ustępuje.

– Cudownie – mruczy Benson, stukając palcami o palce.

– Ty maniak biblioteczny – mruczę, głównie po to, by pokryć rozczarowanie, bo odsunął się i zrobił mi miejsce.

W szafce jest pełno teczek podpisanych w większości starannymi literami Reese, na niektórych widzę jednak obce pismo. Mam wrażenie, że wyszło spod męskiej ręki, ale raczej nie Jaya. Zastanawiam się, z kim jeszcze Reese pracuje. Nie widziałam, żeby ktokolwiek kręcił się po domu. A już na pewno nie w okolicach jej biura. Te podpisy to nazwiska. Sprawdzam przody szuflad opisane kolejnymi literami alfabetu.

– Zaczniemy od początku – mówię bez wyrazu i zaczynam przeglądać literę A. – Reese powiedziała Elizabeth, że sprawdzi, co ma w dokumentach na temat Quinna. To pewnie tutaj. – A-r, A-t, A-u, A-v, A-w. Nie. Żadnego Avery’ego – mówię i sprawdzam jeszcze sąsiednie te czki na wypadek, gdyby jednak nie były ułożone alfabetycznie. Przerzynam na chwilę, zaznaczając ostatnie miejsce palcem. – Jak widać, on może nie mieć z tym nic wspólnego. – To bardziej pobożne życzenie niż logiczny wniosek, ale co mi zostało?

– Albo podał ci fałszywe nazwisko – mówi Benson. Opiera się o biurko Reese i wydaje się przy tym melancholijnie zamyślony.

Ignoruję zarówno jego słowa, jak i przyspieszone bicie serca, biorę drżący wdech i zamykam szufladę opisaną literami A-F. Czas na właściwe zadanie. M o j ą teczkę.

M-T.

Michaels.

Trzecia od góry.

Mam wrażenie, że szuflada świeci jak neon. Przeraza mnie myśl, że miałabym ją otworzyć, a jednocześnie niczego bardziej nie pragnę.

Benson przysuwa się bliżej i stuka lekko w mebel, bo ja stoję nieruchomo.

– Po to tu przyszedłeś – szepcze. Dotyka delikatnie mojego ramienia, a ja próbuję wchłonąć jego siłę.

Po dłuższej chwili kiwam głową i wysuwam szufladę. Moim oczom ukazują się dziesiątki kremowych teczek. Na ich widok świat wokół się rozplywa.

Tavia Michaels.

Wiedziałałam, że tu będzie, w końcu to był powód, dla którego włamaliśmy się do gabinetu Reese. Żeby zdobyć odpowiedzi! Ale potwierdzenie boli jak nie wiem co.

Wyciągam dokumenty, wpatruję się w nie z przerażeniem i fascynacją.

Teczka jest zwyczajna. Kremowa, z niewielkim znaczkiem graficznym w prawym górnym rogu: przedstawia piórko unoszące się nad płomieniem. Zerkam do szuflady, pozostałe te czki też są oznaczone w podobny sposób. Nie wiem, co to oznacza, ale nie mam czasu na snucie teorii.

Muszę zajrzeć do środka.

Teczka jest całkiem opasła, nie wiem, czy powinnam się tym martwić, czy raczej z tego cieszyć. Otwieram ją i patrzę na swoje zdjęcie z drugiej klasy szkoły średniej.

Ekm, niezbyt dobre zdjęcie. Druga klasa była dość dziwnym etapem.

– Wow! – odzywa się Benson z uśmiechem, obejmując mnie. – Ale byłaś słodziuuutka!

– Przymknij się – mówię i udaje mi się złagodzić napięcie. Opieram się lekko o jego ramię i przerzucam stronę.

Metryka. Karta ubezpieczenia. Wyniki ze szkoły. Kopia testamentu moich rodziców. Właśnie to, co spodziewałabym się znaleźć u osoby, która otrzymała prawo opieki nad nastolatką po wypadku.

A po tym wszystkim – zdjęcia moich prac. I to nie były zdjęcia, rozpoznaję: sama je

robiłam!

– Skąd ona to ma? – pytam głośno, wyjmując kilka fotografii.

– Hej, t y to malowałaś? – pyta Benson, pokazując olej na płótnie przedstawiający moją mamę, która siedzi przy oknie i kroi truskawki.

– Taaa – wyduszam z siebie.

To jeden z moich najlepszych obrazów. Jakimś cudem udało mi się uchwycić... kwintesencję mojej mamy. To, jaka jest. Była.

Teraz nie mogę o niej myśleć. Przełykam rozpacz – odpycham ją od siebie – i odwracam zdjęcie, żeby usunąć sprzed oczu jej obraz.

Jednak zdjęcia się nie kończą. Jest ich mnóstwo.

– Jesteś naprawdę dobra – mówi Benson, wyjmując mi z ręki jedną fotografię, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

Uświadamiam sobie, że nigdy nie widział moich rysunków. Sztuka była dla mnie wszystkim przez tyle lat. Teraz Benson jest tak ważnym elementem mojego życia, sztuka już nie.

Dziwne to i takie nienaturalne.

– Zrobiłam te zdjęcia i wysłałam do szkoły artystycznej, która zabiegała o to, żeby mnie przyjąć – wyjaśniam, głównie po to, żeby oderwać się od smutnych myśli. – Skąd się wzięły u Reese?

– Eee, do Huntington? – pyta Benson ostrożnie.

– Tak, skąd... – Głos mi zamiera, bo widzę pierwszy dokument pod stosem fotografii.

To list, który dostałam z Huntington.

Nie. To b r u d n o p i s tego listu.

Z widniejącymi na marginesie notatkami poczynionymi pismem Reese.

– Ale... ja nie wysłałam tego do New Hampshire, tylko do Nowego Jorku.

– A co jest trudnego w przekierowaniu maila?

– Mieli stronę internetową. Podany był numer telefonu. D z w o n i ł a m do nich! – prawie krzyczę. To z powodu Huntington wsiadłam do tamtego samolotu. Jeśli to oszustwo...

– No dobra. – Benson wyciąga komórkę z kieszeni. – Jaki był adres ich strony? – Otwiera przeglądarkę internetową, a ja podaję mu adres pozbawionym wyrazu głosem.

– Sprawdźmy – mówi Benson, gdy pokazuje mu się strona. – Akademia Sztuk Pięknych w Huntington. Strona nadal istnieje. I jest numer telefonu.

Wpatrujemy się oboje w ekran.

– Ja mogę zadzwonić – proponuje Benson.

Boję się cokolwiek powiedzieć. Mimo że odkryliśmy już tyle rzeczy, to może być prawdziwy przełom.

Benson spogląda na ekran komórki, marszczy czoło z namysłem.

Kiwam głową, czuję, że nerwy mi puszczają.

Odczekuje kilka sekund, być może daje mi szansę na zmianę zdania, a potem dotyka ekranu i unosi telefon do ucha.

Nic.

Nic.

Nic.

Nagle aparat na biurku Reese rozdzwania się przenikliwie.

Kolana się pode mną uginają, osuwam się na podłogę, nie mam siły woli, żeby utrzymać się w pionie.

– Przecież ja z nimi rozmawiałam! – krzyczę piskliwie, ledwo poznaję własny głos. – Z kobietą, i to nie była Reese – dodaję, zanim Benson zdoła cokolwiek powiedzieć. – W ogóle

nie brzmiała jak Reese. Rozmawiałam z nią s z e ś ć r a z y! Nie ma mowy, żeby to była Reese. Ani Elizabeth. Była raczej energiczna i słodka, coś w typie cheerleaderki. Jak... jak... „Jak Barbie. Jak sekretarka Elizabeth. Ta, która stara się ze mną nie rozmawiać i która rzadko kiedy jest na miejscu, nawet gdy mam umówione spotkanie”.

W uszach czuję pulsującą krew.

„Jeden, dwa, trzy, cztery. Jeden, dwa, trzy, cztery”.

– To wszystko jedno wielkie oszustwo – mówię spiętym głosem. – Po co... mieliby to robić?

Słyszę, jak Benson kilkakrotnie powoli wdycha i wydycha powietrze.

– Myślałem o tym – mówi.

– Wiedziałaś?! – prawie krzyczę.

– Nie, nie – odpowiada, masuje mi ręce, pociera w górę i w dół, żeby mnie uspokoić. –

Nic nie wiedziałem o szkole. Chodzi o to, że myślałem o katastrofie w świetle tego wszystkiego, co się wydarzyło.

– No i? – pytam, kiedy cisza robi się zbyt ciężka.

– Przykro mi o tym mówić, wiem, że to świeża sprawa i w ogóle, ale może... może to wcale nie był zbieg okoliczności, że znalazłaś się na pokładzie tego samolotu.

– Nie rozumiem. Że niby ktoś... – Ledwo zaczynam mówić, kiedy dociera do mnie, co miał na myśli. – Nie – szepczę. – Nie ma mowy.

– Tavia, po tym wszystkim, co się stało, powinnaś przynajmniej rozważyć taką możliwość.

Ogarnia mnie czarna rozpacz.

– Nie. Nie! N i e j e s t e m aż tak ważna, żeby ktoś miał z mojego powodu rozbijać c a ł y samolot! Wiesz, ilu ludzi wtedy leciało? – Z trudem powstrzymuję krzyk.

– Dwieście pięćdziesiąt sześć osób – odpowiada szeptem. Oczywiście, że to sprawdził.

– To był wypadek – mówię drżącym, ledwo słyszalnym głosem.

Benson milczy, ale nie spuszcza ze mnie wzroku. Kiedy dochodzę do wniosku, że dłużej nie wytrzymam tego spojrzenia, odzywa się:

– Nie sądzę, Tave.

Osuwam się na posadzkę, pokonana. Co innego stracić rodziców w tragicznym wypadku, z tym nauczyłam się już żyć. Ale morderstwo?

Morderstwo, którego ofiarą miałam być j a?

– Benson – wypowiadam jego imię przez wysuszone gardło. – Jestem nikim.

– Nie jesteś nikim. – Obejmuje mnie, przytula do siebie, zanurzam w nim twarz. Gładzi mnie po krótkich włosach. – Sama pomyśl. Ktoś musiał cię znaleźć, kiedy mieszkałaś w Michigan. Ten ktoś dokonał sabotażu, próbował cię zabić ze względu na to, co potrafisz. Wszystko pasuje.

Jak ułał.

Co za potworność.

Chyba zwymiotuję.

– W takim razie dlaczego jeszcze żyję?

– Może... może coś się zmieniło.

– Czy to j a się zmieniłam? – Głos mam tak pusty, że nawet ja to słyszę. Nie jestem w stanie spojrzeć Bensonowi w oczy.

– Nie rozumiem.

– Wszystko zwariowało po tym wypadku. Czy to katastrofa mnie zmieniła, czy zawsze taka byłam? Czy to wtedy przerodziłam się w coś... w coś dziwnego? – Podnoszę wzrok

na Bensaona. – Przeżyłam katastrofę, ponieważ mam szczególne zdolności, czy mam te zdolności, bo przeżyłam katastrofę?

– A to ma jakieś znaczenie? – szepcze.

Spoglądam na moją teczkę.

– Być może. – Kiedy patrzę na moje nazwisko – Tavia Michaels, czy to naprawdę jeszcze jestem ja? – podejmuję decyzję. – Muszę stąd odejść, Benson. Muszę uciekać. Od nich, od wszystkich.

– Nie możesz stąd odejść, Tave.

Gwałtownie podnosimy głowy. W progu stoi Elizabeth.

Z bronią.

Wycelowaną prosto w nas.

Nie myślę.

Nie mam na to czasu.

W głowie powstaje pewien obraz – mgliste migawki – i nagle ni z tego, ni z owego pojawiają się metalowe pręty, otaczają Elizabeth, oplatają jej ręce, wytrącają pistolet z dłoni. Więcej metalu. Jeszcze więcej. To żelazo. Żeliwo, zdaję sobie sprawę. Uczucie wydaje się znajome, jakbym to już kiedyś robiła.

Teraz nie mogę się powstrzymać. Kolejne metalowe pręty otaczają Elizabeth, jej ramiona. Ciężar przygważdża ją do ziemi.

– Tavia, ty... jasny gwint, co ty zrobiłaś? – Benson wpatruje się z przerażeniem w niesymetryczną konstrukcję blokującą ruchy kobiety.

– Nie wiem. Po prostu... stało się.

„Znowu”. Co ze mną nie tak, że krzywdzę ludzi, i to całkiem nieświadomie?

Odsuwam od siebie wątpliwości, zbieram dokumenty z podłogi.

– Chodź! Mamy tylko pięć minut.

– Tavia! Poczekaj! Porozmawiaj ze mną! – woła Elizabeth, ale ignoruję ją, wybiegam na korytarz i pędzę do swojego pokoju. Benson biegnie za mną. – Nie rozumiesz, co to wszystko znaczy! Nie wiesz wszystkiego!

– Tavia, poczekaj. Musisz zwolnić i to przemyśleć. – Benson jest błądliwy jak ściana, słowa płyną z jego ust potokiem. – Co konkretnie chcesz zrobić?

Ledwo go słyszę. Pakuję do plecaka bieliznę, skarpetki i ulubione dżinsy.

– Muszę się stąd wydostać. Potrzebuję odpowiedzi – mamrocę pod nosem, bardziej do siebie niż do niego. Na dywan upada czerwone bikini i nie czuję nawet krzty zawstydzenia, kiedy wzrok Bena przesuwa się na skąpy strój, zanim zdołam go chwycić i upakować z resztą ubrań.

D a w n o już minęliśmy ten etap.

– Tavia, pytam poważnie. Dokąd chcesz iść?

– Wszystko jedno. Daleko. Tylko to się liczy. Muszę uciekać!

– Dokąd? – pyta. Chwyta mnie za ramiona i zmusza, bym na niego spojrzała.

Nie chcę, wzrok mi ucieka na sufit, jego barki, okno – wszędzie, byle nie patrzeć w te ciepłe niebieskie oczy. Potrząsa mną delikatnie i już dłużej nie mogę go unikać. Podnoszę wzrok.

– Dokąd? – powtarza pytanie. – I co zrobimy z nią? – Wskazuje głową w stronę gabinetu Reese, skąd dobiegają wołania Elizabeth, błagającej, bym wróciła.

– Benson, oni zamordowali moich rodziców. Reese, Jay i Elizabeth – oni w s z y s c y są w to zamieszani. Zmusili mnie, żebym wsiadła do tego samolotu! Wiem, że Reese i Elizabeth pracują razem, próbują coś ze mnie wydobyć, a kiedy to się uda, w y p l a m i m ó z g. – Z mojego gardła dobywa się szloch, bo ogarnia mnie fala bezradności. – Jeśli nie ucieknę, mogę od razu uznać się za martwą.

Nic nie mówi, ale poluzowuje uchwyt, a kiedy odsuwam się, by dokończyć pakowanie, nie próbuje mnie powstrzymać.

– Mogę pomieszkać u ciebie przez kilka dni? – pytam pod wpływem impulsu.

– Chyba tak. Tylko...

Nie mam pewności, czy zniósłabym to, co chce powiedzieć. Jestem już tak przytłoczona tym wszystkim, że palce mi się trzęsą, gdy wsuwam je w skarpetkę i wyciągam pieniądze, mój osobisty majątek.

Niecałe czterdzieści dolarów.

Mam przerąbane.

Może Benson mi coś pożyczyć?

Nie. Nie mogę. Nie mogę go już o nic prosić.

Może nawet nie powinnam u niego pomieszkiwać. Co będzie, jeśli jego też postanowią zamordować?

– Pójdę sprawdzić, czy Reese i Jay nie mają jakichś pieniędzy w sypialni. – Czy raczej powinnam powiedzieć prawdę: „Pójdę sprawdzić, czy jest co ukraść Reese i Jayowi”.

Ale co mam zrobić?

Pewnie gdybym została do tego zmuszona, mogłabym wyczarować pieniądze i coś za nie kupić, ale pięć minut później i tak by zniknęły, więc nadal byłaby to kradzież, prawda? Potrafię krzywdzić ludzi i kraść. Co się ze mną dzieje, do cholery?!

Skoro już mam coś komuś zabrać, niech to spotka przynajmniej Reese i Jaya – wiem, że stoją po stronie zła.

Dlaczego więc mam wyrzuty sumienia?

Może dlatego, że mama nie byłaby ze mnie dumna. Na samą myśl o mamie mam ochotę się skulić i umrzeć.

Zerkam w stronę, z której nadal dochodzą krzyki Elizabeth, po czym stoję przed drzwiami sypialni ciotki i wuja. Sięgam do gałki, przekręcam ją, drzwi otwierają się bez trudu.

Nie zamknęli ich na klucz.

Ufają mi.

Ten wniosek jest tak sprzeczny z tym, co robię, że zatrzymuję się w pół kroku, z ręką na gałce, i próbuję odzyskać jasność myślenia. Dlaczego mieliby mi ufać? Uważają, że jestem taka naiwna? A może sądzą, że mają mnie pod kontrolą i nie stanowią żadnego zagrożenia?

Czy rzeczywiście mają mnie pod kontrolą? Po wszystkim, co się wydarzyło, sama nie wiem, kim i jaka jestem.

A oni najwyraźniej to wiedzą.

Popycham gałkę, w cichym pokoju rozlega się szmer przesuwanych po dywanie drzwi. Sypialnia jest urządzone w stylu art déco, stoi w niej błyszczące czarne łóżko, obok niego srebrne szafki nocne. Zastanawiam się, czy zostawię ślady na dywanie, po czym uznaję, że to nie ma znaczenia, i podchodzę najpierw do szafki Reese, a potem Jaya.

Po stronie Reese stoi jedynie lampka, co mnie wcale nie dziwi. Moim zdaniem stoliki nocne odzwierciedlają charakter człowieka bardziej niż jakiekolwiek testy kliniczne. Ascetyzm, elegancja i zorganizowanie. Cała Reese.

Zaglądam do płytkiej szufladki i znajduję starannie ułożone siedemnaście dolarów.

Strona Jaya przynosi mi większe zyski – czterdzieści sześć dolarów – ale też bardziej pogniecione. Pewnie minęło już sporo tygodni albo nawet miesięcy, odkąd po raz ostatni porządkował zawartość wypróżnianych co wieczór kieszeni.

Mam około stu dolarów.

Na długo nie wystarczy, ale to już coś na dobry początek.

Odwracam się, Benson czeka na mnie w drzwiach. Wydaje się zaniepokojony.

Wcale mu się nie dziwię. Wykorzystałam swoje paranormalne zdolności, żeby unieruchomić dorosłą kobietę, a teraz wykradam pieniądze i uciekam jak wariatka.

Wymijam go, nawet na niego nie patrząc, i wpycham gotówkę do kieszonki plecaka. Rozglądam się po pokoju, zastanawiając się, co jeszcze mogłabym ze sobą wziąć. Czy zabranie laptopa, którego mi podarowali, byłoby kradzieżą? Wydaje mi się gorszym przestępstwem niż podwędzenie pieniędzy, chociaż technicznie rzecz biorąc, komputer należy do mnie.

Zamieram. A jeśli jest na podsłuchu?

To znaczy nie tyle na podsłuchu, ile może zamontowali w nim coś, dzięki czemu będą mogli mnie zlokalizować? Tego typu urządzenia regularnie pojawiają się w programach kryminalnych. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, ile w nich przesady, a ile prawdy.

Hm.

Podaję pospieszną decyzję, chwytam go i pakuję do plecaka, a potem zapinam zamek, zanim się rozmyślę.

Staram się nie patrzeć na moje przybory do rysowania. Znow są dla mnie ważne, a nawet niezbędne – mam wrażenie, że bez nich nie znajdę Quinna.

A muszę go znaleźć, jeśli chcę się czegoś dowiedzieć.

Nie mogę jednak wziąć tego wszystkiego, po prostu nie mam tyle miejsca.

Muszę też podjąć decyzję: Phoenix czy Camden?

Quinn powiedział, żebyśmy się spotkali w Camden, z kolei zdaniem Reese w Phoenix znajduje się coś ważnego, coś, co ma związek ze mną. Tylko... Phoenix to wielkie miasto. Nie wiedziałabym, gdzie zacząć poszukiwania. Nigdy tam nie byłam.

Wzdycham. Jakimś cudem zawsze kończy się tym, że jestem zmuszona zaufać Quinnowi. Temu samemu, który ciągle ucieka i nigdy nie odpowiada na żadne pytania.

Przy którym serce mi wali jak oszalałe, a krew pali w żyłach.

A więc Camden.

– Jestem gotowa – mówię do Bensona. Nienawidzę, gdy tak mi się trzęsie głos. Czuję się słaba, zdezorientowana. A przecież potrafię stworzyć coś z niczego, powinnam czuć się silna!

A jednak tak nie jest.

– Tavia, my... – Benson przerywa i nerwowo przygryza wargi. – Powinniśmy opuścić ten dom – kończy, chociaż wiem, że nie to chciał powiedzieć.

Wychodzimy na korytarz, a wtedy Elizabeth zaczyna krzyczeć.

– Chyba cię znaleźli, Tave! Grozi ci niebezpieczeństwo! Zależy im na tobie bardziej niż na jakimkolwiek innym Przyziemcu. Oni...

– Przyziemcy – szepczę i nie słyszę reszty zdania. Już wcześniej spotkałam się z tym określeniem, Reese użyła go podczas rozmowy telefonicznej z Elizabeth. Ale wiem, że chodzi o coś więcej. Jakieś echo w zakamarkach mojego umysłu. „Przyziemcy... przyziemcy...”

– Musimy iść. – Benson ciągnie mnie lekko za rękę.

– Proszę. – Elizabeth odzywa się cichszym głosem, ale wyraźnie przeznaczonym dla moich uszu. – Nie wiesz, jak wykorzystać swoją moc, żeby się obronić.

Wstrzymuję powietrze i okręcam się na pięcie, by na nią spojrzeć. Ona w i e.

Czuję na języku cztery słowa. Zanim spróbuję je powstrzymać, wypływają z moich ust:

– *Sum Terrobligatus; declarare fidem.*

Elizabeth otwiera oczy tak szeroko, że widzę białka wokół jej źrenic.

Ale nie odpowiada.

Wzbiera we mnie gniew. Pochylam się, by podnieść pistolet, który wcześniej upuściła, i wymierzam go prosto w nią.

– *Declarare fidem!* – Ręka mi się trzęsie. Ręka, która – mam wrażenie – wcale do mnie nie należy.

„Co to za słowa? Co ja robię?” Przetykam szloch, bo wszystko, co do tej pory sądziłam o sobie, nagle rozbija się w pył.

Jestem potworem.

– Curatoriat – szepcze Elizabeth.

– Co ty powiedziałaś? – pyta mnie cicho Benson.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam, także szepcem.

Bo tak rzeczywiście jest. Nie wiem, ale jestem pewna, że powinnam to wiedzieć! Tak samo jak powinnam rozumieć wszystkie słowa wypowiedziane przez Elizabeth. Odsuwam od siebie te myśli, odbezpieczam pistolet. Jego trzask rozchodzi się dziwnym echem po gabinecie.

– Chcesz, żebym ci zaufała, dlaczego więc mierzyłaś do mnie z broni?

– Ponieważ nie miałam pojęcia, co wiesz o swojej mocy – odpowiada bez wahania i przekręca szyję pod nienaturalnym kątem, żeby na mnie spojrzeć. – Jaką masz nad nią kontrolę.

Wcale mi się to nie podoba, ale co mogę zrobić? Mogłam okazać się niebezpieczna. Mogłam ją nawet zabić. Zaczynam się zastanawiać, czy trzymała ten pistolet w gabinecie, czy denerwowała się za każdym razem, gdy wchodziłam do jej poczekalni.

Dodajmy: pustej poczekalni.

Z a w s z e jest pusta.

Jestem taką idiotką.

Dlaczego zawsze wszystko do mnie dociera, kiedy jest już za późno?

Poczekalnia była pusta podczas k a ż d e j mojej wizyty. Nie liczę sporadycznej obecności sekretarki Barbie. Zawsze pusta. Nawet kiedy pojawiałam się bez zapowiedzi. Wydawało mi się po prostu, że nikogo tam nie ma, bo prawdę powiedziawszy, kto chciałby zostać przyłapany na kręceniu się pod gabinetem psychiatry?

A jednak powinnam była wcześniej zwrócić na to uwagę.

– Chcę dowiedzieć się wszystkiego – mówię gorączkowo. – Jeśli skłamię, już nigdy mnie nie zobaczysz.

Ku mojemu zdziwieniu Elizabeth się uśmiecha. Nie jest to okrutny, kpiący uśmieszek, ale raczej łagodny, pełen u l g i. Zupełnie tego nie rozumiem i na chwilę wytrąca mnie to z równowagi.

Zapieram się palcami stóp o podłogę, żeby zyskać większą równowagę – to stara sztuczka z jogi.

– Nie skłamię – odpowiada, nieruchoma niczym posąg, co pewnie nie jest łatwym zadaniem.

Przełykam kulę w gardle. Teraz zaczyna mnie ogarniać poczucie winy.

– Masz innych pacjentów oprócz mnie? – Zaczynam od tego, do czego już sama doszłam.

– W tej chwili nie.

Kołyszę się na piętach, zszokowana jej szczerością.

– Jesteś prawdziwą lekarką?

– Psychiatrą? Tak. – Śmieje się lekko, ale zaraz krzywi, bo przesunęła się i ją zabolalo. – Możesz mi wierzyć, studia medyczne to nie była bułka z masłem.

– Dlaczego więc pracujesz dla Reese? I nawet nie próbuj zaprzeczać – ostrzegam. – Słyszałam, jak wczoraj rozmawialiście przez telefon.

– Cudownie. Po prostu cudownie – mamrocze Elizabeth, ale zaraz skupia się z powrotem na mnie. – Nie zaprzeczam, że pracuję z Reese – odpowiada ostrożnie. – Ale jeśli mam być całkowicie szczerą, nie pracuję d l a niej. Obie pracujemy dla Curatoriatu.

I znów to nieznane słowo. Ignoruję je, udaję, że dobrze wiem, co znaczy.

– Po co ta maskarada?

– Żeby dać ci szansę na wyzdrowienie, zanim...

Nagle drzwi wejściowe otwierają się z hukiem, przerywając jej w pół słowa.

– Nie strzelaj! – krzyczy Jay. – Tavia, proszę! Przecież nie chcesz tego zrobić!

Przenoszę broń to na Jaya, to na Elizabeth. Wyczuwam za plecami Bensona, domyślam się, że błaga mnie w myślach, bym zachowała ostrożność. Teraz jest ich jednak dwoje, nie wiem,

które z nich stanowi dla mnie większe zagrożenie.

Uznaję, że Jay. Elizabeth jest chwilowo uziemiona, chociaż wiem, że metal zacznie wkrótce znikać. Odwracam się do Jaya, zdążył już wejść na górę.

– Nie strzelaj – mówi, unosząc jedną rękę. Drugą trzyma się za bok. – To tylko ja. Jakby to była jakaś różnica.

– Mark, ona wie – odzywa się Elizabeth.

„Mark?”

– Liz – napomina ją, patrząc z niepokojem. I zmęczeniem. Sprawia wrażenie, jakby nie spał od wielu dni. Ja pewnie wyglądam podobnie. Przerzuca spojrzenie to na mnie, to na Elizabeth, usilnie próbuje dojść do tego, co tu się dzieje.

Nie zamierzam mu w tym pomagać.

– Dlaczego przyszedłeś? – pytam dramatycznym szeptem i podchodzę do niego, celując z pistoletu.

– Ponieważ włamałaś się do gabinetu Reese – odpowiada, unosząc ręce przed sobą.

– Skąd to wiesz?

– Na wszystkim w tym domu jest założony alarm, Tave. To dlatego oboje się tu zjawiliśmy.

Zgrzytam zębami. O tym nie pomyślałam.

– Dlaczego, do cholery, wszystko jest tak pilnowane?

– Zważywszy na to, że...

– Tavia! – W głosie Bensona wyraźnie słychać panikę. Na sekundę odwracam wzrok od Jaya i widzę, że metal przytrzymujący Elizabeth zaczyna się rozpląwać.

Zamykam oczy i tworzę nowe pręty, słysząc tylko cichy okrzyk bólu Elizabeth.

– Tave, Jay!

Natychmiast celuję w wuja, który najwyraźniej postanowił wykorzystać moją nieuwagę. Uniósł rękę, ale ledwo zaczynam mu mierzyć w serce, mruczy pod nosem jakieś przekleństwo i opuszcza dłoń.

Wokół jego kostek tworzą się pęta, oplatają barierkę wzdłuż schodów, unieruchamiają go w jednym miejscu.

– Przestań, Tavia, to głupota – mówi. Wydaje się bardziej zły niż przerażony.

Zaciskam zęby i celuję w niego z pistoletu. Nienawidzę siebie za to, chociaż wiem, że nic innego mi nie zostało.

– Nie próbujcie nas gonić, w przeciwnym razie skorzystam z tego albo... zrobię coś gorszego – dodaję, czując się idiotycznie. Oni chyba jednak boją się tego, co potrafię. – Chodź, Benson – mówię, zarzucając plecak na ramię. – Czas na nas.

– Nie idź z n i m! – woła za mną Elizabeth. – Wiesz, kogo musisz odnaleźć, i to nie jest Benson!

– Nie zamierzam cię słuchać – syczę.

– Proszę, Tavia. Nie pozwól, żeby mydlił ci oczy. Kto inny jest ci przeznaczony. Wiem, że to czujesz.

Zatykam uszy i zaczynam schodzić na dół.

– Tavia, zaczekaj. Nie odchodź – prosi Jay, a ja prawie się odwracam, słysząc panikę w jego głosie. – Moja praca... Znaleźliśmy powiązania między Reduciatem a wirusem. Jeśli odejdiesz, nie jestem pewien, czy...

– Nie mogę... już nie mogę was słuchać! – krzyczę, przerywając mu w pół zdania. – Nie wierzę w ani jedno wasze słowo! – „A jeśli teraz nie wyjdziemy, kto jeszcze się tu zjawi? Ile osób jestem w stanie powstrzymać za pomocą ulotnych magicznych sztuczek?”

W drodze do garażu rozglądam się po salonie i kuchni. Tyle wspomnień. Dobrych. Niezręczne, ale dziwnie matczyne chwile z Reese. Wesołe momenty z Jayem, kiedy po raz pierwszy w życiu czułam się tak, jakbym miała brata.

Wszystko to kłamstwa.

Zanim gniew zdoła mnie pochłonąć, odwracam się plecami do wszystkiego i zatrząskuję drzwiami do dawnego życia.

Ledwo znajduję się poza domem, broń Elizabeth wypada mi z łokciem na beton.

Benson otwiera usta – zapewne wolałby, żebym zabrała pistolet ze sobą, ale uciszam go spojrzeniem. Nie mogę. Po prostu nie mogę. Wystarczy, że jestem niebezpieczna sama w sobie, nie chcę być jeszcze uzbrojona.

Akceptuję moją decyzję i wyciąga z kieszeni wielki pęk kluczy.

– Już dokonaliśmy włamania, co powiesz na grand theft auto?

– Uważasz, że powinniśmy wziąć beemkę Reese? – pytam i od razu zdaję sobie sprawę, jak głupio brzmi to pytanie. Zupełnie jakby to była najgorsza rzecz ze wszystkich, które się dzisiaj wydarzyły.

– Nie wiem. – Benson ciężko przełyka ślinę. – Tylko że ja zostawiłem samochód pod biblioteką, a nie chcę cię na nic narażać. Pewnie mogłabyś stworzyć wóz, ale...

– Zniknie po pięciu minutach – przerywam mu, zanim zacznę rozważać taką możliwość.

– Właśnie – przytakuje. – Zresztą to auto jest czarne, nie rzuca się w oczy. Będzie idealne.

Patrzę na błyszczący, elegancki wóz.

– Powiadomi policję.

– Nie zrobi tego.

– Benson, ten samochód kosztował osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Uwierz mi, na pewno wezwie gliny.

– Nie – mówi, odwracając się do mnie. – Sama będzie cię gonić. A żeby to zrobić, najpierw będzie musiała zdobyć auto. Żadnej policji. Nie zaryzykuje, bo sprawa się wyda.

– To stawianie wszystkiego na jedną kartę – mówię cicho.

– Trudno, zaryzykujemy.

Waham się, nie chcę jeszcze bardziej krzywdzić Reese i Jaya.

– Tavia – popędza mnie Benson. – Oni mogli mieć udział w zabójstwie twoich rodziców.

– Dobrze – odpowiadam, przełykając ból wywołany wspomnieniem. – Ale ja poprowadzę. Bo jeśli ktoś ma ukraść samochód, niech to będzie ja.

Przez pierwsze minuty jazdy milczę ja i milczą moje myśli. Trzymam się cichych uliczek, unikam miejsc, w których ludzie mogliby nas szukać. Czy raczej m n i e.

Benson pisze SMS.

– Do mamy – wyjaśnia.

Jestem tak pełna wyrzutów sumienia, że nie mam miejsca na więcej.

Nie wiem, dokąd jedziemy. Bardzo szybko zrezygnowałam z wcześniejszych planów, żeby zatrzymać się u Bensa. Teraz chodzi mi tylko o to, by oddalić się od domu Reese i Jaya. Samanthy i Marka. Zyskać czas, pomyśleć, coś zaplanować. Znaleźć sposób, by utrzymać nas przy życiu.

Nie zabijając przy tym nikogo.

Przejeżdżamy przez starą dzielnicę, ale nie widać, żeby ścigali nas Jay, Elizabeth czy facet w okularach przeciwsłonecznych. Dobrze, że jestem zajęta prowadzeniem, w przeciwnym razie obsesyjnie wypatrywałabym świecących trójkątów na każdym mijanym budynku. Ledwo dochodzę do tego wniosku, a dostrzegam znak – za chwilę minie Fifth Street. Pod wpływem nagłego impulsu wciskam mocno hamulec i skręcam w prawo tak gwałtownie, że Benson prawie ląduje mi na kolanach.

– Jezu, może byś tak ostrzegła następnym razem – marudzi, rozcierając miejsce, w które wbiła mu się gałka zmiany biegów.

– Przepraszam – mówię. I chociaż rzeczywiście mi przykro, wiem, że moje słowa nie zabrzmiały szczerze. Podejrzewam, że czas na subtelności dawno minął, więc tylko zatrzymuję się pod starym domem i pokazuję palcem na drzwi. – Widzisz to? – pytam, tłumiąc ogromne zdenerwowanie.

Jeśli wcześniej nie sprawiałam wrażenia przerażającego szaleńca, to teraz z pewnością.

– Ale co? – pyta mnie ostrożnie.

– Trójkąt. – Błady, lecz jest. – Widzisz go?

– Gdzie? – Benson mruży oczy.

– Nad drzwiami. Taki szarawy.

Pochyla się nad moimi udami, przybliża nieco, przywiera do mnie. Wstrzymuję oddech.

– Ja... – zawiesza głos i przez ułamek sekundy pozwalam sobie marzyć, że i on dostrzega tajemniczy kształt. – Nic nie widzę, Tave.

Przełykam rozczarowanie i w milczeniu ruszam. Dojeżdżam tylko do następnej przecznicy i znów zatrzymuję samochód.

– Wszystko w porządku? – pyta, muskając palcami moją dłoń.

Łzy szczypią mnie pod powiekami, ale nie pozwalam im popłynąć.

– Nie... nic nie jest w porządku.

– Co się stało? – pyta łagodnie.

Broda mi się trzęsie, zaciskam zęby, żeby przerwać to drżenie.

– Ty... musisz wysiąść. Dojdiesz stąd pieszo do domu.

Benson opiera się o siedzenie, krzyżuje ręce na piersi i unosi brwi.

– Doprawdy?

– Benson, mówię poważnie. Ja... muszę jechać, a ty zostajesz.

– Co ty powiesz? – rzuca niemal lodowatym tonem.

– Uciekam przed jakimś gangiem o paranormalnych zdolnościach. Widziałeś sam, co zrobiłam Elizabeth i Jayowi – matko, co prawie zrobiłam twojemu koledze z pokoju. Jestem szalenie niebezpieczna, nie powinieneś przebywać ze mną, a co dopiero z ludźmi, którzy

chcą m n i e z a b i ć.

Milczy przez dłuższą chwilę, a potem odwraca się do mnie, wyciąga ręce i obejmuje moje uda swoimi długimi palcami.

– Spójrz na mnie.

Nie chcę. Nie chcę czuć tego kojącego ciepła płynącego od jego dłoni. Nie chcę myśleć, co ono oznacza.

Lub czego nie znaczy.

Ale Benson milczy, czeka.

Unoszę brodę, próbuję wydawać się twarda i silna. Jak ktoś, kto skopałby mu tyłek, gdyby próbował z nim dalej jechać. Obawiam się jednak, że trzęsąca się dolna warga psuje cały efekt.

– Nie zostawię cię – szepcze. – Ja... dopiero zrozumiałem, ile dla mnie znaczysz. Wiem, że to niebezpieczne. – Przerywa i zaciska usta. – Zapewne o wiele bardziej niebezpieczne, niż się spodziewasz. Ale jadę z tobą.

Jego druga dłoń przywędrowała teraz do mojej twarzy, ujmując mój policzek, zmusza, bym na niego spojrzała. Opieram się, cały czas mam zamknięte oczy, ale wkrótce daję za wygraną. Wpatruje się we mnie tak intensywnym, pewnym spojrzeniem niebieskich oczu, że rozplywa się strach ściskający mój żołądek.

– Jeśli wyrzucisz mnie z samochodu i odjedziesz, będę musiał wrócić pieszo do biblioteki – a dodam, że to ładnych parę kilometrów – wziąć auto, a potem jeździć cały dzień i szukać cię. – Zdobywa się na blade uśmiech. – Oszczędź nam obojgu zachodu, co?

– Nie wiesz, w co się pakujesz – protestuję.

– D o s k o n a l e w i e m , w c o s i ę p a k u j ę .

Całuje mnie delikatnie, przelotnie, mogłabym uznać, że nawet mnie nie dotknął, gdyby nie to, że moje usta niemal płoną żywym ogniem.

Odsuwam się, zanim zupełnie stracę rozum. To nie fair.

– Nie... nie denerwuje cię to, że połowę czasu spędzam, myśląc o Quinnie? No wiesz – dodaję, mamrocząc: – O ile nie myślę o tobie.

Jego twarz znajduje się blisko mojej, wiem, że powinnam się odwrócić – pozwolić mu odejść – ale po tylu stresujących wydarzeniach pragnę kontaktu. Pragnę B e n s o n a . Zamykam mi usta pocałunkiem, z mojego gardła dobywa się cichy jęk, gdy zaciskam palce na jego szyi, przyciągam go do siebie.

– Uważasz, że się boję drobnej konkurencji? – pyta kpiąco, odsuwając się lekko.

– Ja... – Moje myśli kotłują się wokół Bensa i Quinna, ale zamykam oczy, całuję go, trzymam, poddaję się temu, jak smakuje.

Rozdziela nas ogłuszający hałas, coś rozbija tylną szybę i uderza tuż za moim ramieniem z głuchym łoskotem, który rozchodzi się echem po całym fotelu.

– Jedź! – wrzeszczy Benson. Ruszam spod chodnika i słyszę, że kolejne kule uderzają w karoserię, auto się trzęsie, a ja próbuję utrzymać się po właściwej stronie jezdni.

Benson klęczy, twarz ukrywa za zagłówkiem i tylko zerka do tyłu, gdy biorę szaleńczy zakręt.

– To ten facet z biblioteki! – woła.

– Jak nas znalazł? – pytam i rozlega się pisk opon, bo pokonuję kolejny skręt. – To kilometry stąd!

– Nie wiem, widocznie... Nie wiem, może śledził mnie do twojego domu? – Siada z powrotem, przypina się pasem. Nie dziwię mu się.

Skręcam najpierw w prawo, potem w lewo, z nadzieją, że nie natknę się na ślepą uliczkę.

– Może jest pieszo, ale porusza się na skrót, po podwórkach. Musimy wyjechać z tej dzielnicy.

Kiwam głową i rozglądam się w poszukiwaniu drogi wyjazdowej.

– Ten facet powinien biegać w maratonach. Jest naprawdę szybki.

– Ja jestem szybsza – stwierdzam. Wreszcie wyjeżdżam na główną ulicę i przyciskam gaz.

Chwilę później Benson zerka ponownie przez ramię.

– Nigdzie go nie widać. Ale jestem pewien, że dobrze sobie obejrzał nasz samochód.

– Czyli oblanie go kawą nie okazało się aż tak skuteczne? – pytam, rzucając mu kąpiące spojrzenie. Coś – być może adrenalina – przywróciło mi tupet i poczucie humoru. A może tupet i humor przychodzą samoczynnie, kiedy siada się za kierownicą tak świetnego samochodu.

– Chyba nie. – Benson uśmiecha się półgębkiem, ale teraz to on wygląda na zdenerwowanego.

Zorientowałam się już, gdzie jesteśmy, jeszcze raz skręcam w prawo i zmierzam ku autostradzie.

– To twoja ostatnia szansa – mówię, zatrzymując się na czerwonym świetle jakieś półtora kilometra przed wjazdem na wielopasmówkę. – To nie jest zabawa, Benson. Jeśli ze mną pojedziesz, nie będzie odwrotu.

– Już nie ma odwrotu – mówi, wbijając wzrok w przednią szybę.

– Benson? – pytam, kiedy dojeżdżamy do drogi numer 95. – Wiesz, gdzie jest Camden? Ot, taki detal.

– Chodzi ci o Camden w Maine?

– A jest jakieś inne?

– Nic mi o tym nie wiadomo. W każdym razie nigdzie w okolicy.

– W takim razie chodzi mi o to.

– No to wiem. Ładne, zabytkowe miasto... Mniej więcej pięć albo sześć godzin stąd. Na wschód. A właściwie północny wschód. Wzdłuż wybrzeża.

Idealnie.

– To zacznijmy od Camden – stwierdzam, włączając kierunkowskaz.

– Skąd ta decyzja?

„Nie mów nikomu”. Te słowa nadal rozbrzmiewają w mojej głowie tak, jakby Quinn siedział z tyłu i krzyczał mi je do ucha.

– Przeczucie.

* * *

– *Pojechali w kierunku wschodnim – mówi ten, którym pogardzam.*

Staje przed moim biurkiem.

Zerkam na swoje odbicie, zniekształcone w ciemnym szkle.

– *Zdejmij je. Nienawidzę nie widzieć twoich oczu – mówię ostro. Na tyle ostro, na ile pozwala mi szept.*

Z zakłopotaniem zdejmuję okulary przeciwsłoneczne. Co za baran, myślę. Większość istot ludzkich to barany. Ale to nie ich wina, zawsze chcieliśmy, żeby tacy byli.

– *Udało ci się wpakować w nich parę kulek? – pytam, gdy wreszcie widzę jego oczy.*

– *Jeszcze jedna-dwie i mógłbym w nią trafić.*

Uśmiecham się nieznacznie.

– *Idealnie. Przerazona, zmuszona do ucieczki. Uwielbiam ją w takim stanie.*

– *Czy mam wprowadzić ludzi?*

– *Jeszcze nie – odpowiadam, wyobrażając ją sobie. Spanikowana. Popelniająca błąd*

*za błędem. Zachowująca się jak istota ludzka, za którą nadal się uważa. – Trzymaj się blisko. –
Unoszę brew. – Nie chcesz zobaczyć, co będzie dalej?*

Nie jestem pewna, dlaczego nie mówię Bensonowi prawdy o Camden. O tym, po co tam jedziemy. Może to awersja do dramatów. Przecież nie powiem facetowi, z którym się całuję, że ma spędzić kilka godzin w ukradzionym przeze mnie samochodzie, ponieważ szukamy faceta, o którym moje serce nie potrafi zapomnieć. To byśmy mieli dopiero niezręczną ciszę.

Zamiast tego rozmawiamy o wszystkim i o niczym, z pominięciem wydarzeń ostatniego tygodnia. Benson skutecznie odwraca moją uwagę, gdy za długo milczę. Kiedy panuje cisza, moje myśli kotłują się, zastanawiam się, kim – a może czym – tak naprawdę jestem.

Właściwie czuję ulgę, że Elizabeth pojawiła się obok nas z bronią w ręku, że facet w okularach przeciwsłonecznych próbował mnie zabić. To oznacza, że nie postradałam zmysłów. Z drugiej strony, zakułam dzisiaj w kajdany moją psychoterapeutkę i opiekuna prawnego, a potem ukradłam samochód, żeby od nich uciec. Jest we mnie coś, dzięki czemu potrafiłam to zrobić. Coś, czego nie rozumiem – w środku tkwi osoba, której nie znam. Teraz podaję w wątpliwość dosłownie wszystko – moje życie, samą siebie, wspomnienia. Jaka część tego była kłamstwem? Czy i ja jestem kłamstwem?

Delikatny dotyk palców Bensona, kiepski żart, pokazanie zabawnej tablicy reklamowej – to wszystko przywraca mnie do rzeczywistości. Kiedy wysiądziemy z samochodu, znów będę musiała myśleć o kataklizmie, w jaki przerodziło się moje życie. Zanim to jednak nastąpi, śmiejemy się z Bensonem, rozmawiamy, dogadujemy sobie, ukryci w naszym małym światku zamkniętym karoserią czterodrzwiowego samochodu.

Ze względu na roboty drogowe i korki pięć-sześciogodzinna podróż przeradza się w osiem godzin jazdy. Za każdym razem, gdy musimy zwolnić, niecierpliwie bębnię palcami o kierownicę. Benson regularnie zerka do tyłu, ale na razie nikt nas nie śledzi. Przynajmniej jedno chwilowo mamy z głowy, skupiam się teraz wyłącznie na dojechaniu do celu.

Camden to Quinn.

A Quinn to informacje.

Nie jestem pewna, na czym mi bardziej zależy. Nie potrafię porzucić myśli o byciu z Quinнем mimo ostatnich dwóch dni z Bensonem. Przy Quinnie czuję, że żyję, w sposób, jakiego nie doświadczyłam ani razu od czasu katastrofy – zupełnie jakby jakaś część mnie pozostawała uśpiona i tylko on potrafił ją obudzić.

No i jeszcze to poczucie, że go znam. Nie mogę się tego pozbyć.

Mam nadzieję, że kiedy znajdziemy go w Camden, wszystko się wyjaśni. Może go znam, może z a w s z e go znałam.

Tak czy inaczej będzie miał odpowiedzi na moje pytania. Muszę w to wierzyć.

Jay próbował się do mnie dodzwonić czterokrotnie. To znaczy cztery razy, zanim wyłączyłam telefon. Muszę się pozbyć komórki. Nienawidzę sytuacji, w której każda możliwa decyzja będzie zła. I tego, że nie mogę już ufać Jayowi. Chyba trzymałam się wątpliwej nadziei, że tylko Reese i Elizabeth są zamieszane w to wszystko, a Jay nie ma o niczym pojęcia – tak jak ja.

Po czasie, który wydaje mi się wiecznością, wjeżdżamy do Camden. Ludzie właśnie zamykają sklepy i wracają do domów.

Budynki są stare i dość niskie, najwyżej dwupiętrowe. Nigdzie nie widać żadnego sklepu sieciowego ani kolorowych ścian frontowych, do których przywykłam w Portsmouth. Wszystko ma schludny, ale nieco przytłumiony ceglasty odcień. Zupełnie jakby całe miasto zostało przeniesione w lata pięćdziesiąte. Drzewa rzucają cień na czyste chodniki, sprzedawcy zamiatają wejścia i chowają tablice z cenami. W zamkniętych drzwiach nie ma krat, co sprawia wrażenie,

jak gdyby nigdy nie działa się tu nic złego.

Może tak jest. Może właśnie dlatego Quinn mnie tu sprowadził.

„Dziwne”, myślę. I jakże klasyczne. Gdybym przyjechała tu w innych okolicznościach, zapewne zaczęłabym eksplorować miasto w poszukiwaniu historycznych budowli i ciekawych domów, tak samo jak robiłam to w Portsmouth. Ale jeśli powinnam zwrócić uwagę na coś szczególnego, to jeszcze to nie nastąpiło. Quinn uważał chyba, że wiem, o czym mówi, kiedy kazał mi tu przyjechać.

Czy byłam tu wcześniej?

Miasto nie wydaje mi się znajome. Rozglądam się po sklepach, szukając symboli, jednak nic nie widzę. Zresztą zapada już zmrok, może powinnam sprawdzić jeszcze raz, za dnia.

– Znów musimy zatankować – mówię, patrząc na wskaźnik.

– Teraz moja kolej – stwierdza Benson, gdy podjeżdżam na przykurzoną stację benzynową. Wysiąda i podchodzi do dystrybutora.

– Co zrobimy, kiedy skończą nam się pieniądze? – pytam, kiedy licznik nabija kolejne dolary.

– Mam kartę kredytową – odpowiada Benson nonszalancko, ale widzę, że też się tym martwi.

– Nie są w stanie jej wytropić? – wzdycham i opieram się o drzwi od strony kierowcy.

– Jest jeszcze druga opcja, Tave... – zaczyna z wahaniem i już wiem, co chce powiedzieć.

Staralam się unikać tej rozmowy od momentu, w którym zdałam sobie sprawę, jak mało mam pieniędzy.

– Jeśli będziemy zdesperowani, mogłabyś... no wiesz.

– Znikną po pięciu minutach, to nadal będzie kradzież.

– Powiedziałem: zdesperowani. Nie mówię, że teraz.

Patrzę na swoje buty, gdy Benson zamyka zbiornik paliwa. Cały bak, za który zapłacił swoimi – zapewne bardzo skromnymi – studenckimi funduszami. Dla mnie.

– To nawet nie chodzi o kradzież – wyrzucam z siebie, bo uważam, że ze względu na skradziony samochód, o który się właśnie opieramy, należą mu się pewne wyjaśnienia. – Wszystko zaczęło się, kiedy po raz pierwszy użyłam... swojej mocy, czy jak to nazwać. Jeszcze zanim sama zrozumiałam, co się dzieje. Jak z tą pomadką. Od tamtego momentu wszystko się posypało. To znaczy, nie z tobą, ale cała reszta. I dlatego uważam, że nie jest zbyt dobrym pomysłem wykorzystywanie moich „zdolności” – ostatnie słowo wymawiam szeptem. – O ile nie będziemy mieć innego wyboru. To nieprzewidywalne i n i e b e z p i e c z n e.

– Decyzja należy do ciebie – mówi Benson, obejmując mnie lekko. – Nie będę naciskał. – Rozgląda się po parkingu i przysuwa bliżej. – Ale jedźmy stąd – szepcze. – Wolę nie kręcić się w miejscach publicznych, bo być może nasze twarze i nazwiska trafiły już do głównych wiadomości.

Wzdycham, nie podoba mi się, że najbardziej prawdopodobnym zakończeniem naszej „przygody” może być lista poszukiwanych przestępców.

– Chcesz, żebym teraz ja poprowadził? – pyta, a ponieważ mam skurcze w łydkach, zgadzam się na propozycję. Siada na miejscu kierowcy i patrzy na mnie – dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że oczekuje wskazówek, dokąd ma jechać.

Tylko że ja nie wiem. Teraz, kiedy dojechaliśmy do Camden, jestem tak samo mądra jak Benson. W końcu wjeżdża na drogę i jedzie w kierunku, w którym wcześniej zmierzaliśmy.

Po kilku minutach dociera do mnie, że ostatnie dwa domy, które minęliśmy, znajdowały się w sporym oddaleniu od siebie, a przed nami nie widać już żadnych zabudowań. Dopiero co byliśmy w mieście i nagle znaleźliśmy się za nim.

- Benson?
- Taaak?
- Chyba już nie jesteśmy w Camden.

Przygląda się bujnej trawie porastającej pobocze i gęsto rosnącym drzewom, których nie rozświetlają nasze reflektory.

– Chyba nie – potwierdza. Po raz pierwszy, odkąd zdecydował się ze mną jechać, wydaje się niepewny.

- Co robimy?
- To ty chciałaś tu przyjechać – mówi, spoglądając na mnie. – Sądziłem, że masz jakiś plan.

– Niezupełnie. – Nagle jestem bardzo zainteresowana rozpościerającym się za oknem krajobrazem.

– Ale nie możemy stąd wyjechać, prawda?

– Raczej nie.

Marszczy czoło na moment, a potem włącza kierunkowskaz i skręca z szosy.

– Co tam jest?

– Nocna kryjówka – odpowiada, zerkając w lusterko wsteczne. Zjeżdża z drogi gruntowej w stronę zagajnika. – Nikt za nami nie jechał, a drzewa powinny nas zasłonić.

– Myślisz, że ten facet z bronią nadal nas ściga?

Benson milczy, a zegar w mojej głowie odlicza długie sekundy.

– Uważam, że ktoś, kto jest tak zdesperowany, że do nas strzela, z pewnością nie odpuści bez walki – odpowiada spokojnym, rzeczowym tonem, od którego po plecach przechodzi mi dreszcz. – Ale po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło, jestem wykończony. A gdybyś ty pozwoliła sobie poczuć coś przez chwilę, też doszłabyś do podobnego wniosku.

Nie mam siły, żeby oponować, to takie oczywiste.

– Jeżeli się nie wyśpimy, jutro będziemy do niczego, a wtedy z pewnością nie uciekniemy żadnemu zabójcy – dodaje, tym razem łagodniej, i unosi rękę, by pogłaskać mnie po twarzy.

Spoglądam na leżący pod nogami plecak i dociera do mnie, o czym zapomniałam: o kocach, poduszkach. Ale nie miałam czasu na planowanie ucieczki.

– Musimy wyłączyć silnik, prawda?

– Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie paliwa.

– Zrobi się zimno.

– To niewielka przestrzeń, ogrzejemy ją naszymi ciałami.

Kiwam głową, odrętwiała. Owszem, rano nie byłam zbyt optymistyczna co do przyszłości, ale z pewnością nie spodziewałam się, że przyjdzie mi spędzić noc w kradzionym aucie, w zupełnej głuszy, zastanawiając się, czy zasnę z powodu zimna.

Benson pozwala mi wybrać miejsce, więc rozkładam niemal poziomo fotel pasażera, a on kładzie się z tyłu, prostopadle do mnie. Ma rację – mimo że jestem przykryta kurtką, czuję, jak ciepło bije od jego ciała znajdującego się zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy.

Przez co w ogóle nie chce mi się spać.

– Rano wszystko będzie wyglądało lepiej – mruczy Benson, na wpół sennie.

– Już gorzej nie może wyglądać – szepczę, ale tak cicho, żeby mnie nie usłyszał.

Kiedy zaczyna miarowo oddychać, pozwalam popłynąć łzom. „Quinn!”, krzyczę w myślach. „Jestem tu! Tak jak chciałeś. Gdzie się podziewasz?”

Nie oczekuję, że prędko zasnę. Spodziewam się, że przez długie godziny będę się użalać nad samą sobą. Nie wspominając już o niewygodzie w aucie. Dodajmy: z i m n y m aucie. Ale kiedy otwieram oczy i widzę pokryte śniegiem drzewa, skąpane w nieziemskiej poświacie, wiem, że to musi być sen. Widok cudownej sukni okręcającej mi się wokół nóg potwierdza to podejrzenie.

Chodzę bez celu po niezbyt gęstym lesie, płatki śniegu znaczą moją skórę lodowatym chłodem, ale ciało pozostaje ciepłe. Długi tren sukni omiata śnieg i zostawia płytki ślad wijący się między drzewami, które obchodzę i wymijam, szukając czegoś bez pośpiechu.

Pierwsze, co dostrzegam, to jego profil. Jak zwykle włosy ma związane na karku, ale kilka pojedynczych kosmyków spada na jego opalone policzki. Ramiona przykrywa peleryna – otacza jego ciało czernią, niemal zlewa się z drzewem, o które jest oparty. Odwraca głowę i spogląda na mnie zielonymi oczami. Moje serce podskakuje gwałtownie i aż mi zapiera dech na jego widok. Wwierca we mnie wzrok, wnika w moją duszę. Przygląda mi się chwilę – jakby odkrył we mnie coś, co go zaskoczyło – a potem na jego twarzy zakwita uśmiech. Wyciąga rękę w rękawiczce, a kiedy złącza palce, między nimi pojawia się czerwona jak krew róża.

– Wiedziałem, że do mnie przyjdiesz.

Słowa Quinna przerywają niewidzialną barierę, puszczam się biegiem, a moje bose stopy bezszelestnie przemykają po miękkim śniegu. Róża upada na ziemię, kiedy on rozkłada ramiona, odzwierciedlając mój gest. Wyciągamy ręce do siebie.

Wyciągamy.

Wyciągamy.

Uderzam w jego ciepłą klatkę piersiową, a on obejmuje moje policzki, przyciąga bliżej, chwyta za kark. Nie mam czasu, żeby unieść powieki, a już jego wargi znajdują moje. Ma tak miękkie usta... Zupełnie jak gdyby uczucie przerwało w nas tamę, uwalniając wszystkie tęsknoty i każde, nawet najmniejsze, pragnienie. Przesuwa koniuszki palców wzdłuż mojego ciała, a potem kładzie je na plecach, przysuwa mnie do siebie. Chwytam go za koszulę, cienki biały len schowany pod peleryną, i ciągnę w dół.

A może to ja się unoszę.

Cokolwiek, byle być bliżej. Tak blisko, jak blisko mogą być dwie dusze, nie stając się jednym. Jego usta odrywają się od moich, ale zanim zdołam zaprotestować, wędrują ku szyi, całują wgłębienie, w którym czuć pulsowanie krwi. Przeczesał palcami jego włosy, ściągam wstążkę, kosmyki oplatają mi dłoń, jedwabiste i miłe w dotyku – tak jak od dawna przypuszczałam.

Quinn odsuwa się ode mnie niechętnie, ujmuje moją twarz w dłonie i wbija we mnie świdrujące spojrzenie.

– Są rzeczy, które muszę ci pokazać – mówi, a ja zamieram, bo z jego głosu przebija wyjątkowa powaga.

– A więc pokaż – szepczę, co kosztuje mnie więcej wysiłku, niż mogłabym podejrzewać. Moje słowa są kłębkami mgły, która wisi między nami nienaturalnie przez kilka chwil, dopóki zablakany wietrzyk jej nie rozwieje.

Quinn znów przyciąga mnie do siebie, zatrzymuje usta tuż przy moim policzku.

– Są rzeczy, które muszę ci pokazać – szepcze ponownie, a jego wargi muskają czubek mojego ucha, aż przechodzi mnie dreszcz.

Odsuwa się i widzę w jego oczach dziwny cień. Opuszcza ręce i cofa się kilka kroków.

A potem się odwraca.

I odchodzi.

– Quinn? – mówię ledwo słyszalnie. To mój sen, nie może tak sobie odejść. – Quinn?
– Teraz mój głos odbija się echem od drzew, aż drgają lodowe sople. – Quinn! –
Od przenikliwego krzyku trzęsą się już całe drzewa, a sople spadają z łoskotem na ziemię.
Unoszę suknię i próbuję za nim biec, jednak zapada zmrok i chwilę później już niczego nie mogę dostrzec w ciemności.

Wyciągam ręce i brnę po omacku, dłonie ocierają się boleśnie o ostrą korę każdego napotkanego drzewa. Wkrótce czuję, że po rękach płynie mi gęsta, ciepła krew.

Ciągle wołam go po imieniu, wiem, że jeśli go znajdę, uda mi się umknąć tej ciemności. Chłód, który jeszcze kilka minut wcześniej nie był w stanie mnie dotknąć, teraz w gryza się w moje kości, aż w końcu chwieję się i upadam.

Śnieg zapada się pode mną, ziąb dramatycznie narasta. Macham rękoma, a kiedy unoszę twarz, zdaję sobie sprawę, że znów wrócił sen o tonięciu. Lodowata woda przenika mnie na wskroś, czarna toń zalewa mi głowę.

„Quinn... Quinn...” Ból wycisza moje myśli i wreszcie się poddaję.

Zatykam usta dłonią, żeby nie krzyczeć, i próbuję zorientować się, gdzie jestem.

W bmw Reese.

Bezpieczna.

Żyję.

Przewracam się na fotelu i leżę w ciemności. Nie śpię. Ogarniają mnie fale silnych emocji, tworzą wiry, cała się trzęsę. To przytłaczająca mieszanka strachu, tęsknoty i desperacji.

Ta desperacja dotyczy nie tylko pragnienia, by zobaczyć się z Quinmem, ale także, by uzyskać odpowiedzi, wyjaśnienia. Nic nie wiem, a ta niewiedza wiąże mi ręce niczym żelazny łańcuch.

Dostrzegam jakieś drgnięcie na zewnątrz. Szyby są zaparowane od naszych oddechów, przecieram zamglone szkło rękawem.

Coś się rusza.

„Znaleźli mnie!” Natychmiast tężeję i już mam trącić łokciem Bensaona, by się obudził, kiedy przed oczami migają mi złote włosy.

– Quinn. – Tym razem prawdziwy. Wypowiadam jego imię ledwo słyszalnym szeptem.

Podchodzi bliżej, stoi pod samochodem, wbija we mnie swój wzrok. Kiwa na mnie palcem, odwraca się i odchodzi.

Zwalniam blokadę drzwi, jej dźwięk wydaje się ogłuszający w panującej dookoła ciszy. Na szczęście Benson ani drgnie. Staram się wymknąć tak, by go nie obudzić, jednak gdy tylko otwieram drzwi, górne światło zalewa wnętrze samochodu.

– Co się dzieje? – pyta ochryple, podpierając się łokciami.

– Muszę na stronę – kłamię. – Śpij dalej.

Od razu zamyka oczy. Wychodzę i uderza we mnie zimne powietrze. Śnieg pada mocno, świat wydaje się wyciszony, jak to zwykle bywa przy intensywnej śnieżycy.

Otulam się ramionami i próbuję dojrzeć coś w ciemności przez ogromne płatki śniegu. Nigdzie jednak nie widzę Quinna.

Mam nadzieję, że nie popełniam błędu. Quinn nie wywabiłby mnie przecież, żeby narazić na niebezpieczeństwo. W i e m to. Ale i tak rozglądam się dookoła i serce mi ścisza żal, bo wszędzie panuje cisza i bezruch.

Zerkam na samochód. Benson będzie się niepokoił, jeśli zniknę na długo. Postanawiam uzyskać informacje jak najszybciej i kieruję się w stronę, w którą – jak sądzę – poszedł Quinn. Śnieg pokrył już ziemię kilkucentymetrową warstwą, zostawiam na nim ślady. Jeśli się

pospieszę, będę mogła po nich wrócić.

Idę pochylona, przyglądam się badawczo przykrytej puchem ziemi, kiedy nagle dobiega mnie czyjś głos:

– Panienko. Panienko!

„P a n i e n k o?” Odwracam głowę, ale przez moment niczego nie widzę. A potem jakiś delikatny ruch za drzewami przyprawia mnie o przyspieszone bicie serca. Pojawia się twarz, a wtedy moje serce zaczyna naprawdę łomotać.

Wygląda pięknie w świetle księżyca, od szyi aż po kostki spowija go ciemna, teraz oprószona śniegiem peleryna. Ma łagodną twarz, niemal pozbawioną wyrazu.

– Wiedziałem, że do mnie przyjdiesz.

Wiatr niesie słowa do moich uszu, przez chwilę wydaje mi się, że na powrót znalazłam się we śnie. Unosi ręce, jakby chciał mnie chwycić w ramiona – tak jak to śniłam – a ja muszę się powstrzymać, by do niego nie pobiec, by nie utonąć w jego objęciach z taką samą desperacją, z jaką to zrobiłam w moim wymyślnym lesie.

Waham się, więc on opuszcza ręce, a chwila mija.

Dlaczego do niego nie podeszłam? Nie jestem pewna, czy znam odpowiedź.

Odwraca głowę, zanim zdołam sprawdzić, czy w jego oczach widać rozczarowanie.

– Ja... Śniłeś mi się – szepczę. W cichym lesie moje słowa brzmią naprawdę głośno. –

Wiesz o tym, prawda?

Jego twarz tężeje, to wystarczająca odpowiedź.

– Stworzyłeś różę w moim śnie – mówię z oczekiwaniem. – Jesteś taki jak ja. Ty... też potrafisz stwarzać przedmioty.

Znów milczy, ale wiem, że mam rację.

– Quinn, proszę, powiedz, kim ja jestem? Kim m y jesteśmy? – Znów przychodzi mi do głowy określenie Przyziemcy, ale rodzi więcej pytań niż odpowiedzi.

– Są rzeczy, które muszę ci pokazać – mówi tylko. – Tędy, proszę. – Odwraca się i wchodzi w las, nie patrząc, czy idę za nim.

Te same słowa. Dziwny akcent. „Są rzeczy, które muszę ci pokazać”, a nie „muszę ci coś pokazać”. Waham się, zanim zrobię krok pomiędzy oplecione pajęczynami, ogołocone z liści drzewa. To jak scena z pierwszego lepszego horroru, który oglądałam. Jednego z tych, w którym głupia dziewczyna ginie tragiczną śmiercią.

Czy nie tego chciałam? Czy nie jechałam taki szmat drogi, żeby się z nim zobaczyć?

Analizuję własne uczucia, próbuję znaleźć jakiś znak, jakiś omen, sama nie wiem co. I chociaż w głowie mi się kręci i czuję mrowienie w palcach – to z podekscytowania, a nie ze strachu.

Rzucam ostatnie spojrzenie na samochód, w którym śpi Benson, wyciągam telefon i go włączam. Cztery nowe wiadomości, trzy od Jaya, jedna z nieznanego numeru. Zamykam powiadomienia i uruchamiam latarkę, po czym wchodzę w mrok – tam, gdzie zniknął Quinn. Przypominam sobie ciemność ze snu, pocieram ramiona, po plecach przechodzi mi dreszcz.

Quinn jest jak błędny ogień, zawsze kilka metrów przede mną – bez względu na to, czy idę szybko, czy wolno. Przestałam go gonić, bo wtedy jeszcze przyspiesza. Uznałam, że lepiej skupić się na omijaniu krzaków i niskich gałęzi, już i tak mam piekące zadrapanie na policzku.

Strach, który odsunęłam od siebie, gdy ruszyłam za Quinnem, teraz do mnie wraca.

Nawet jeśli on mnie nie skrzywdzi, i tak odsłoniłam się całkowicie. No i zostawiłam Bensa bez ochrony. Gdyby ktoś znalazł nasz samochód – facet w okularach przeciwsłonecznych, Elizabeth, cholera wie, kto jeszcze mnie szuka – mógłby z łatwością go zlikwidować, a potem wpakować mi kulkę w plecy.

A co najgorsze, w tym lesie być może nikt nigdy nie odnalazłby mojego ciała.

Na tę myśl znów przechodzi mi po plecach dreszcz, zaciskam pięści i zmuszam się do przyspieszenia kroku. Już za późno na odwrót, muszę zmierzyć się z konsekwencjami swojej decyzji.

Maszerujemy długo, mam wrażenie, że trwa to kilka godzin. Zmierzamy mniej więcej w kierunku Camden, ale nie wychodzimy z lasu. Odrętwiałymi palcami sprawdzam czas na telefonie.

Wysłałam z auta prawie godzinę temu. Jest tak zimno, że ledwo poruszam palcami stóp, a śnieg pada tak mocno, że prawie nie widzę Quinna, który idzie parę metrów przede mną.

– Quinn – wołam cicho, podbiegając bliżej. – Ja już nie mogę – mówię, zaskoczona, że pozwala mi podejść do siebie. – Daleko jeszcze?

On jednak milczy, stoi nieruchomo. Rozglądam się. Wąskie promienie światła mojej latarki przecinają gęsty las. Znajduję się zapewne około trzech kilometrów od samochodu, ale poza tym nie mam pojęcia, gdzie jestem. Staram się nie myśleć o tym, jaka będę zmarznięta, kiedy wrócę.

I jak wysoko wtedy wszędzie słońce.

– Jestem... – chwięję się i przez chwilę próbuję odzyskać równowagę. – Ścigają mnie. S t r z e l a j ą do mnie. Nie mogę ot, tak sobie odejść. Mój... przyjaciel Benson został w samochodzie. Quinn! – wołam szeptem, ale świeży śnieg tłumi moje słowa.

Latarka omiata kopiec ziemi przykrytej śniegiem, spod którego wystają źdźbła zwiędniętej trawy – od razu zwracam na to uwagę. Robię krok do przodu. Quinn idzie za mną.

– Tędy – szepcze. Pokazuje ręką wzgórek, więc idę w jego stronę, a liście i śnieg trzeszczą mi pod stopami.

Nagle stawiam nogi w jakimś dołku przykrytym roślinami, zapadam się po kolana i upadam na tyłek.

– Zbudowałem te schody tak, żeby się nie odznaczały – słyszę nad głową cichy głos Quinna.

– Dzięki za ostrzeżenie – mamroczę. Ziąb nastawił mnie negatywnie. Czuję, że śnieg przesiąknął mi przez dzinsy i zmoczył bieliznę. Cudownie. Lepiej, żeby ten nocny spacer zakończył się czymś dobrym, moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu, a hipotermia z pewnością nie poprawi mi nastroju.

Quinn nic nie mówi, tylko wpatruje się w dal, a ja odgarniam gruz, żeby odsłonić sześć kamiennych stopni prowadzących do zmurszałych drzwi. Wyglądają, jakby zostały wstawione w pagórek.

Wreszcie jakieś schronienie.

Zatrzymuję się, bo coś nie daje mi spokoju. Przyglądam się drzwiom i schodom pokrytym starymi liśćmi i gałązkami. Quinn zna to miejsce, ale nie mógł schodzić po tych schodach, przynajmniej ostatnio. Nie można upozorować czegoś takiego.

– Dlaczego nie przyszedłeś tu wcześniej? – pytam, wpatrując się w dziwny zamek na drzwiach. – Dlaczego, zanim mnie tu przyprowadziłeś, nie uprzętnąłeś wejścia?

– Czekałem na ciebie.

Przez moment patrzę na niego, pozwalam, by spłynął na mnie żar jego oczu. Tylko na chwilę – jest mi tak zimno – a potem z żalem odwracam się i próbuję otworzyć drzwi.

– Są zamknięte – mówię i zaczynam się obawiać, że cała ta wyprawa okaże się nadaremna. Z trudem opieram się frustracji.

– Możesz je otworzyć. Kiedy tylko zechcesz.

– To może na przykład teraz? – mamroczę. Bołą mnie wszystkie palce, chciałabym schować się przed wiatrem, choćby na kilka minut. Zastanawiam się przez moment, czy mogłabym s t w o r z y ć ciepło albo przynajmniej coś, co je produkuje, ale porzucam ten

pomysł. Nie jestem jeszcze aż tak zdesperowana, a sądząc po dotychczasowych doświadczeniach, zapewne spaliłabym przy tym cały las i pół Camden. Głos Quinna przerywa moje ponure rozmyślenia.

– Tym razem wszystko ci wytłumaczę, Becca.

– Tavia! – poprawiam przez zaciśnięte zęby. Mam ochotę go ochrzanić. Całe swoje życie wywróciłam do góry nogami, by się do niego dostać – zresztą nie tylko swoje, Bensona też – a on woła na mnie „Becca”. Powstrzymuję pragnienie, by uciec. Przecież wtedy cała ta eskapada straciłaby sens. M u s z ę się dowiedzieć, co kryje się za tymi drzwiami, chociaż aż kipię od powstrzymywanej złości.

Gdzie tam kipię. B u l g o c z ę.

Może ta złość mnie ogrzeje.

– Widzisz te cztery kołki? – pyta.

Spoglądam i widzę cztery żelazne trzpienie ukryte w głębokim zagłębieniu nad dziwnym zamkiem. Dmucham w dłonie, żeby je ogrzać, a potem wyjmuję kołki. Mają tę samą średnicę, ale są różnej długości. Kucam przed drzwiami, świecę sobie latarką z komórki. W zamku znajduje się sześć otworów, pasują rozmiarem do trzpieni.

– Najdłuższy do trzeciego od dołu – instruuje mnie Quinn, a ja wybieram właściwy kołek i wsuwam go w otwór. Muszę nim trochę pomanewrować, zanim wejdzie do końca.

Thumaczy mi, gdzie mam wsunąć pozostałe trzy bolce, a kiedy wszystkie znajdują się na swoim miejscu, chwytam za dużą gałkę i przekręcam ją w prawo, a wtedy słyszę trzask metalu. Dotykam drzwi, ale mam tak zdrętwiałe palce, że nic nie czuję.

Popycham je, jednak nic się nie dzieje. W końcu napieram na nie ramieniem, aż uchylają się na kilka centymetrów, a ich skrzywienie burzy nocną ciszę. Staram się nie myśleć o wszystkich pałających żądzą zabicia mnie, którzy mogli usłyszeć ten dźwięk.

Oglądam się za siebie. Quinn nie wydaje się tak zdenerwowany jak ja, ale przecież on wie, o co tu chodzi. Drzwi, uwolnione ze skurczonej upływem czasu framugi, przesuwają się na skrzypiących zawiasach, ich zgrzyt drażni moje bębunki. Otwieram tylko tyle, by można było wejść do środka.

Od razu uderza mnie fala zapachów: pleśni, papieru, brudu i wilgoci. Zbiera mi się na wymioty, kaszlę, a potem wciągam do płuc stęchłe powietrze, przywołując się do porządku – przecież chciałam schować się przed śniegiem i ostrym wiatrem. Świecę dookoła latarką, ale światło jest zbyt słabe, niewiele widzę. Głównie skrzynie. Stosy... chyba książek, owiniętych w szary papier, podarty w rogach. Zapewne nadgryziony.

„Nawet o tym nie myśl”.

Ani o tym, że za moment padnie bateria mojego telefonu. Może mogłabym stworzyć latarkę? Tylko czy wiem, jak się to robi? Zgrzytam zębami i postanawiam, że zajmę się tym, jeśli będzie taka konieczność. Mam nadzieję, że jednak nie nastąpi.

Na środku stoi długi drewniany stół, pokryty grudkami ziemi pochodzącej zapewne z sufitu: tworzą go splecione korzenie poprzytykane papierem oraz przedmiotami, których z tej odległości nie jestem w stanie rozpoznać – zupełnie jakby ten, kto zrobił kryjówkę, musiał ją opuścić w pośpiechu. Wchodzę głębiej do ciepłej ziemianki, moje stopy poruszają się bezszelestnie po miękkim podłożu.

Księga, porozrzucane papiery, kilka sztuk szerniałej srebrnej biżuterii. Monety.

Monety?

Przyglądam się im przez zmrużone oczy, po czym biorę jedną do ręki. Metal wydaje się ciężki. Czyste złoto. Nie sądzę, żeby to były prawdziwe pieniądze, ale dotykając ich, czuję się jak złodziejka. Ich lodowata powierzchnia pali mi dłoń.

Odkładam monetę na miejsce i otwieram księgę.

Pokrywa ją warstwa ziemi, jak wszystko na stole. Pochylam się bardziej, by strzepnąć ją z otwartych kartek. Staram się nie poplamić delikatnego papieru, żałuję, że nie mam żadnej szczotki albo szmatki.

Latarka świeci mi na palce, mój umysł rejestruje kilka słów, zanim jeszcze zetnę z nich grudki ziemi.

Podobasz mi się taka.

Czuję ostrzegawcze mrowienie w żołądku, wstrzymuję oddech i staram się nie pokazywać niczego po sobie, tylko oczyszczam księgę i wytyżam wzrok, by odczytać pełne zawijasów pochyłe pismo.

Zanim go powstrzymałam, dotknął mojego policzka i powiedział: Jesteś piękna, wiesz o tym? Podobasz mi się taka. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie przemawiał do mnie w taki sposób!

Oddech mam urywany, uwiązał mi w krtani, ale mój wzrok przerzuca dalszy tekst.

Zwłaszcza pan Quinn Avery, do którego wzdycha każda panna w mieście, chociaż jest jedynie nowo przybyłym. Powinnam była go spoliczkować, odejść, zawstydzić. Ale ja stałam jak oczarowana. Może taka właśnie byłam. Oczarowana jego zielonymi oczami.

Nie patrzę na Quinna, chociaż po tym, co przeczytałam, sądzę, że to nie może być jego prawdziwe imię. Udaję, że nic nie zauważyłam, i ostrożnie przerzucam kartki, szukając strony tytułowej.

Wiem już, co znajdę, ale potrzebny mi jeszcze jeden maleńki dowód. Palce mi się trzęsą, gdy znajduję pierwszą stronę i odczytuję wyryte na niej imię i nazwisko.

Rebecca Fielding.

Becca.

Okręcam się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z Quinnem, zanim zrobi cokolwiek paskudnego, co z pewnością planował. Telefon trzymam przed sobą niczym broń. Promień latarki oświetla jedynie puste miejsce, gdzie wcześniej stał. Nie wiem jeszcze, czy jest zwyczajnym stalkerem, mordercą, czy raczej sprzymierzył się z facetem w okularach i wszystkimi innymi ścigającymi mnie osobami, ale nie zamierzam czekać, by się o tym przekonać.

Chwytam dziennik i biegnę do wyjścia. Nawet nie zaprzątam sobie głowy zamknięciem drzwi. Muszę dotrzeć do Bena!

Zatrzymuję się.

Moje ślady zniknęły.

Kiedy tkwiłam w ziemiance, wszystko na górze pokryło co najmniej pięć centymetrów śniegu, nie mam więc czym się kierować. Jestem zdezorientowana, ale mgliście kojarzę, z której strony przyszliśmy. Jeżeli pobiegnę w tamtym kierunku, powinnam – w najgorszym wypadku – trafić na główną drogę.

Stamtąd już dotrę do Bena. Mam nadzieję, że nastąpi to, zanim zamrznę. I zanim znajdą mnie ci, którzy na mnie polują.

Nawet już nie wiem, kto do nich należy.

Nasłuchuję kroków za sobą, bo biegnę przez las, nie starając się zachowywać cicho. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, płuca boją od lodowatego powietrza, dobrze, że w ogóle dają radę biec. Płatki śniegu kłują mnie w zmarzniętą twarz i zasłaniają widok, aż w końcu mam wrażenie, że biegnę w kółko.

Może tak właśnie jest.

Gdy pomiędzy konarami wysokich drzew dostrzegam światła samochodów, przepełnia

mnie wielka ulga. Jest szosa! Szybciej, niż mogłam się tego spodziewać.

Ale nadal nie jestem bezpieczna.

Znajduję się po drugiej stronie Camden, to dlatego tak szybko znalazłam drogę. Żeby dotrzeć do Bensona, muszę przedrzeć się przez całe miasto.

Nie mam wyboru, biegnę dalej.

Minęła druga w nocy, na ulicach panuje upiorna cisza, tylko paru pijaków idzie zygzakiem, prawdopodobnie do jakiegoś tandetnego hoteliku. Wyróżniam się, to pewne. Podejrzewam jednak, że nikt mnie nie zatrzyma, dopóki nie będzie mnie gonił wysoki chłopak w stroju z czasów wojny domowej.

A wtedy złapią j e g o.

I już mnie nie będzie mógł nękać.

Nie podoba mi się, że lzy płyną mi po twarzy, żłobiąc w policzkach lodowe strumienie. Byłam taka pewna, intuicja podpowiadała mi, że absolutnie mogę ufać Quinnowi. Już wystarczająco paskudne jest to, że nie można zaufać psychoterapeutce i własnej rodzinie. Teraz nie mogę ufać nawet samej sobie.

Być może nigdy nie powinnam.

Jestem tak wyczerpana, że kiedy docieram na drugi koniec miasta, ledwo widzę na oczy. Chodnik kończy się, przeradza w nierówne pobocze pełne zwałów świeżego śniegu. Nagle stopy ślizgają mi się po podłożu i nawet nie jestem w stanie znaleźć słowa, by opisać potworny ból, który czuję w biodrze, gdy twardo ląduję na boku. Zaciskam zęby i wydaję z siebie tylko słaby jęk. Wystarczy sekunda, może nawet pół, i moje spojrzenie wraca w oprószonej śniegiem ciemność, którą mam za plecami.

Jakiś delikatny ruch.

Czyżby Quinn?

Nie wiem, ale natychmiast podrywam się i biegnę, zanim mój umysł dojdzie do tego, co widziały – czy czego nie widziały – moje oczy.

Wreszcie znajduję drogę, przy której zaparkowaliśmy. Boli mnie każdy mięsień, ręce mam tak zdrętwiałe, że z trudem utrzymuję w nich wyłowiony z kieszeni kluczyk. Otwieram drzwi, opadam na fotel kierowcy i natychmiast blokuję zamek. Mocuję się ze stacyjką, kiedy z tyłu dochodzi mnie głos Bensona.

– Co jest grane? – pyta. Nie wydaje się zbyt śpiący. – Coś się stało?

– Quinn mnie znalazł. Odjeżdżamy.

– Quinn? Ale przecież... – waha się, po czym kończy cicho. – Przecież przyjechałaś tu ze względu na niego. On ci się... podoba.

– Już nie – odpowiadam, jednak ból w sercu świadczy o tym, że kłamię.

Płuca mnie bołą, mięśnie nóg też dają o sobie znać, gdy naciskam pedał gazu, ale i tak zmuszam się, żeby nie przekraczać prędkości. Cieszę się, że żyję.

Nie powinnam była w ogóle przyjeżdżać do Camden, to głupota. Quinn zawsze traktował mnie wyniośle i się do mnie nie odzywał. Dlaczego sądziłam, że tym razem będzie inaczej?

Cały mój organizm wypełnia wszechogarniający, najpotężniejszy na świecie smutek, nigdy jeszcze takiego nie doświadczyłam. Jest chyba nawet gorszy niż w chwili, kiedy dowiedziałam się o śmierci rodziców. Wszystko wiruje dookoła, mam ochotę się rozpłakać, przekląć świat za to, że mi go zabrał, kiedy dopiero zaczynałam się w nim rozsmakowywać.

Chcę płakać, ale chyba już za późno. Odszedł.

Zostałam sama.

Jakaś część mojego serca, z której istnienia nie zdawałam sobie dotąd sprawy, rozpada się na tysiąc kawałków.

Następnego dnia w przydrożnej knajpie skupiam się na wiadomościach telewizyjnych. Wszystko, byle tylko nie patrzeć Bensonowi w oczy. Pojawiły się kolejne ofiary tajemniczego wirusa, tym razem w małym miasteczku w Teksasie. Od razu myślę o Jayu. Marku. Czy jak tam, do diabła, ma na imię. Zastanawiam się przez chwilę, czy rzeczywiście pracował nad tym wirusem, czy to też było kłamstwo.

– *Nie wykryto powiązań między ofiarami. Żadnego wspólnego mianownika* – mówi reporterka i wpatruje się w kamerę tak, jakby to była najważniejsza wiadomość w całej historii ludzkości.

Kto wie, może jest.

Wzdrygam się, kiedy dzwoni dzwoneczek zainstalowany na drzwiach wejściowych, i zerkam ukradkiem w tamtą stronę. Tylko jakiś facet we wranglerach. Omiata mnie wzrokiem, a potem rozpromienia się i macha ręką w stronę kobiety przy stoliku.

Znów mogę oddychać.

– Okej, wystarczy tego – odzywa się Benson i uderza pięściami w stół.

Podskakuję na ten dźwięk i prawie wylewam herbatę.

– Tave – mówi ciszej. Zapewne dlatego, że teraz wszyscy w tej podrzędnej knajpce się na nas gapią. Łącznie z kelnerkami. Miejsce jest zbyt kameralne jak na mój gust – to jeden z tych lokali, które ogląda się w starych filmach. Stoliki są poustawiane tak blisko siebie, że wystarczy tylko odwrócić głowę i można się przyłączyć do czyjejś rozmowy.

Co, jak mniemam, dzieje się tu całkiem często.

Nie wiem nawet, w jakim jesteśmy mieście. Wczoraj jechałam tak długo, dopóki nie poczułam się bezpiecznie. No, może nie „bezpiecznie”, ale na tyle bezpiecznie, żeby zasnąć.

Na moment, w końcu miałam na sobie mokre dzinsy.

Benson nie zadawał żadnych pytań, ale odniosłam przygnębiające wrażenie, że w ogóle nie spał podczas mojej nieobecności.

A sądząc po tym, jak się oboje wierziliśmy, kiedy już zaparkowałam, żadne z nas nie spało też za dużo w ciągu tych ostatnich nocnych godzin.

Kiedy wzeszło słońce, przekonałam się, że znaleźliśmy się w kolejnym starym miasteczku podobnym do Camden – żywcem przeniesionym z lat pięćdziesiątych, tyle że z dodatkiem smartfonów. Oni to chyba robią celowo: malują fronty na żywe kolory, stawiają bujane fotele przed sklepami. Widziałam nawet faceta, który zamiatał chodnik.

Ludzie tutaj też zdają się tkwić mocno w swoich zwyczajach, jestem pewna, że nie muszą nawet zamawiać śniadania. „To, co zawsze, Flo” – już słyszę, jak mówią. A Flo kiwnie tylko głową i przyniesie gotową porcję, którą kucharz wcześniej przygotował.

– Porozmawiaj ze mną, proszę. – Benson wyciąga rękę, żeby mnie dotknąć.

Odsuwam się, zanim jeszcze mój zmęczony umysł powróci do rzeczywistości.

– Nie nalegałem. Staralem się dać ci czas. Nie zadałem ani jednego z m i l i o n a pytań, które chciałem zadać. Ale to za t w o j ą sprawą przyjechaliśmy do Camden i nie próbuj mi wmówić, że to było przypadkowo wybrane miejsce – mówi, przerywając mój protest. Nawet nie wiedziałam, że mam siłę oponować. – Wiem, że to miało coś wspólnego z Quinnem. Czekałem cierpliwie, wierząc, że masz jakiś powód, dla którego nic mi nie mówisz. A potem wymknęłaś się w środku nocy pod byle pretekstem i wróciłaś d w i e g o d z i n y p ó ź n i e j. Tak, zauważyłem to. I martwiłem się przez cały czas. A kiedy dotarło do mnie, że wcale nie kucasz za drzewem, już nie mogłem za tobą iść. Wróciłaś ośnieżona, niemal zamarznęta, mówiąc, że znalazłaś Quinna i już go nie lubisz – co, jak wiesz, bardzo mi się podoba – i przez dwie

godziny jechałaś jak wariatka, po czym zaparkowałaś przed barem z goframi w jakiejś zapadłej dziurze i padłaś na przednim siedzeniu bez słowa. Mów, pierniczku.

Słyszając to słodkie przezwisko, zdobywam się na blady uśmiech.

– No, dalej – szepcze, dotykając mojej dolnej wargi. – Poczujesz się lepiej, kiedy mi powiesz. – Przesuwa koniuszek palca pod moim okiem i dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, że łzy płyną mi po policzkach.

Waha się przez chwilę, po czym przechodzi na moją stronę, siada obok, obejmuje mnie i przytula.

– Wyplacz się. Mojej koszuli i tak przydałoby się pranie.

Chichoczę i czkam, przez co jednocześnie śmieję się i płaczę. Siedzimy tak kilka minut, ja z twarzą na ramieniu Bena, on mocno mnie tulący.

– Musisz uważać mnie za kretynkę.

– Wcale nie – odpowiada i próbuje wsunąć mi za ucho kosmyk włosów, ale są jeszcze za krótkie. – Ludzie robią różne głupstwa dla tych, których kochają. – Milknie, a potem dodaje szeptem: – Naprawdę wielkie głupstwa. – Podnoszę wzrok, gdy przestaje mówić, ale po kilku sekundach przyciska mnie mocniej do siebie.

Uśmiecham się blado, ten uśmiech nie sięga głębiej. Kiedy obudziłam się rano, zwinęta nienaturalnie na przednim siedzeniu, z kolanami opartymi o kierownicę, wszystko mnie bolało. Na dodatek mam długi ślad na policzku po jakiejś gałęzi. Nogi mi zeszywniały od biegania, a ramiona – z samego strachu. Cała ta obolałość równoważy odrętwienie, które ogarnęło moje wnętrze.

– Miałaś rację – szepczę do miękkiego materiału jego koszuli. – Jeśli chodzi o Quinna. On jest... jest niebezpieczny... ma obsesję i... miałaś rację.

Benson zaciska gwałtownie ręce na moich ramionach.

– Zrobił ci krzywdę? – pyta, miotając gromy. – Jeżeli cię tknął, zabiję gnojka!

– Nie, nie – zapewniam go, zanim zacznie krzyczeć. – Nic mi nie jest, naprawdę, tylko...

– Powinniśmy wezwać policję?

Łzy gromadzą mi się pod powiekami, gdy pomyślę o tym, jak bardzo Quinn mnie zawiódł. Postanawiam jednak nie płakać – nie zamierzam uronić nad nim ani jednej łzy.

– Właściwie... nic nie zrobił. I nie miałabym nic do powiedzenia policji, bo on się nawet nie nazywa Quinn. Wszystko, co do tej pory mówił, to kłamstwo.

– Tavia, pytam poważnie. Skrzywdził cię?

– Nawet mnie nie dotknął. Zaprowadził mnie tylko do starej... piwniczki chyba. Ukrytej.

– Ukryta piwniczka? – pyta Benson. W jego głosie wyczuwam niedowierzanie.

Otwieram plecak i wyciągam dziennik.

Gwiżdże z podziwem i sięga po stary tom.

– Niezła jesteś – mówi, uśmiecha się szczerze, a ja czuję coś na kształt radości. Pragnę jego uznania, chociaż sama nie wiem dlaczego. Może po prostu potrzebuję, aby ktos uwierzył, że nie postradałam zmysłów.

Mam tylko zdolności parapsychologiczne.

I magiczne.

No i jestem jakimś Przyziemcem.

To mnie przerasta.

– Niesamowite. – Benson przerzuca kartki, a wtedy coś wypada z brzękiem na stół.

– Cholera – mówię, podnosząc złotą monetę. – Nie chciałam tego wziąć.

– Czy to...? – Benson spogląda na mnie.

– Tak mi się wydaje.

Podnosi złoty krążek i patrzy, jak odbija się od niego światło.

– Naprawdę będzie tak strasznie, jeśli to sobie zostawimy? – pyta nerwowo.

– Ja tego nie zanoszę z powrotem – odpowiadam. – Nie zamierzam tam wracać.

– Dziesięć baków paliwa – mówi, chowa monetę do kieszeni i znów zajmuje się księgą. –

Tak sobie po prostu tam leżała? – pyta.

– Wow! Benson, popatrz! – mówię, zamykając dziennik. Na okładce widnieje trójkąt, każdy jego bok ma przynajmniej piętnaście centymetrów długości. – Widzisz go, prawda? – pytam, ogarnięta paranoją.

– Tak – odpowiada cicho. – Trójkąt. Widzę.

Przesuwam palcem po trzech żłobionych bokach, coś dziwnie migocze mi przed oczami i dostrzegam drugą dłoń, która wykonuje ten sam gest.

Mrugam i wizja znika.

Wzdycham w głębi duszy na widok kolejnego znikającego obrazu i otwieram dziennik na pierwszej stronie.

– Zanim weszliśmy do środka, nazwał mnie Beccą.

– Rebecca Fielding – czyta Benson cicho, wpatrując się w pismo pełne zawijasów. –

Tysiąc osiemset czwarty rok.

Przeglądam zawartość księgi w milczeniu. Benson postanowił mi nie przeszkadzać. Ucisk w klatce piersiowej narasta, gdy trafiam na coraz więcej znajomych słów.

– To wszystko tu jest – mówię, przerzucając ostrożnie kartki. Z każdym kolejnym zdaniem zjedzone właśnie gofry zaczynają coraz bardziej ciążyć mi na żołądku. – Wszystko, co do mnie powiedział. Zobacz, tu mówi, że „są rzeczy, które musi jej pokazać”. A tu prosi, żeby mu zaufała. Że wszystko zepsuł i ją przestraszył. A tutaj... – pokazuję palcem na jedną ze stron. – Tutaj jest to, co przeczytałam wczoraj. To, co mi mówił. Słowo w słowo. On ma obsesję na punkcie tej nieżyjącej Rebekki i próbuje urzeczywistniać swoje chore fantazje ze współczesnymi dziewczynami. Ze... ze mną. A może jeszcze z innymi? Może to jakiś cholerny seryjny morderca?

Benson pochyla się nad księgą z posępną miną.

– Dziwaczne – stwierdza.

Wracam do pierwszych stron i nagle moją uwagę przykuwa czyjeś imię.

– Benson! – Czytam akapit i czuję, że krew odpływa mi z twarzy.

– Co? – pyta i patrzy na zdanie, które pokazuję. Po jego minie widzę, że nie ma pojęcia, co mnie tak wzburzyło.

– Tu jest napisane, że kiedy ona zobaczyła go po raz pierwszy, przechodziła właśnie koło jego domu, a on opiekował się młodszą siostrą.

Benson usilnie stara się zrozumieć, ale to nic nie daje.

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Quinna, była z nim mała dziewczynka!

W Portsmouth, kilka dni temu! Myślisz, że on... że on ją porwał? – Serce mi dziko łomocze, gdy sobie pomyślę, na jakiego psychopatę trafiłam.

– Wykluczone. Nie wiem, jak nakłonił to dziecko do zagrania swojej roli, ale gdyby zginęła jakaś dziewczynka, usłyszelibyśmy o tym w wiadomościach.

To wyjaśnienie brzmi całkiem sensownie. Próbuję przejąć od Bensa nieco pewności siebie.

– Ale dom zniknął – myślę głośno. – Kiedy tam wróciłam, już go nie było. Nie był prawdziwy. Więc może dziewczynka też nie była prawdziwa.

– Może i ten cały Quinn jest nieprawdziwy – mówi Benson. W jego głosie wyczuwam cień wrogości.

– Nie – mówię lekceważąco, skupiona na dzienniku. – Mówi do mnie. Wiedział, jak się otwiera drzwi do tej ziemianki. On jest prawdziwy, nie mam co do tego wątpliwości.

– Ten dziennik też – zauważa Benson. – I nie tylko fizycznie – dodaje, stukając palcem w okładkę. – Wydaje się po prostu autentyczny. Myślisz, że Quinn go gdzieś znalazł?

– Nie wiem – przyznaję cicho. – Szczerze mówiąc, nie miałam ani czasu, ani energii, żeby zastanawiać się nad czymkolwiek oprócz tego, że jestem kompletną idiotką.

– Nie jesteś. – Benson gładzi mnie po ręce. – Tacy ludzie jak on zawsze są mili, charyzmatyczni i tak dalej. Wiesz, co zwykle mówią sąsiedzi, kiedy policja aresztuje seryjnego mordercę? „Och, a to był taki sympatyczny człowiek”.

– Nie pocieszasz mnie – mamroczę, kładąc głowę na stole.

– Chodzi o to, że to on jest dziwny, a nie ty.

Niby wiem, że ma rację, ale czuję coś innego.

– Czyli... wychodzi na to, że może Quinn nie ma nic wspólnego z... z tymi całymi... Przyziemcami? – pyta z wahaniem.

Wpatruję się w niego, przez chwilę nic nie rozumiejąc.

– Ach tak – mówię w końcu, już w ogóle pokonana. – A więc fakt, że potrafię stwarzać przedmioty z powietrza, spada nagle na drugie miejsce listy dramatycznych elementów mojego życia. Cudownie. – Składam ręce przed sobą. – Ale nie. On jest taki jak ja, Benson. Uważam, że też potrafi to robić. A przynajmniej wie o moich umiejętnościach.

– Rozmawiałas z nim o tym?

– Coś w tym rodzaju. Uważasz, że on jest współnikiem faceta w okularach przeciwsłonecznych?

– Wyciągnął cię samą – w nocy, w śnieżycę – i porzucił w lesie. Czy współpracuje z tamtym gościem, czy nie, możemy śmiało założyć, że jest niebezpieczny.

Głowa opada mi na ręce.

– No coś ty – mamroczę. Czuję się jak kretyńska.

Benson kołysze się na krześle.

– Może powinniśmy poszukać wiadomości o Rebecce i prawdziwym Quinnie?

Na mikrofilmach – dodaje, unosząc brwi. – Chociaż, zważywszy na epokę, prędzej znajdziemy coś na temat Quinna niż dziewczyny.

– Dlaczego?

– Bo był facetem – odpowiada Benson krótko.

– Racja.

– Myślę, że warto rozejrzeć się w poszukiwaniu lepszego humoru, nieprzemakalnych spodni oraz biblioteki – mówi z uśmiechem, pochylając się nad stołem.

– Dobrze. – Kiwam głową. – Zróbmy to.

Podnosi się i podaje mi rękę. Krzywię się przy wstawaniu, więc chwyta mnie w pasie.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Wyglądasz, jakby cię coś bolało.

– Wyjdę z tego – odpowiadam.

Mam taką nadzieję. Sińce zejda, ale nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogła stracić to cudowne, a zarazem okropne uczucie przyciągania wobec Quinna. Zerkam jeszcze raz na telewizję, gdzie reporterka nadal gada o wirusie. Patrzy prosto w kamerę tą swoją poważną twarzą.

I nagle migocze.

Wydaję z siebie głośny okrzyk, aż Benson się odwraca.

A wraz z nim połowa ludzi w barze.

– Widzieliście? Zamigotała.

Z dziesięć głów obraca się w stronę telewizora.

– Oglądała pani? – pytam starszą kobietę siedzącą nieopodal. – Widziała pani, jak zamigotała?

– Czasami odbiór nie jest idealny. Ale u Flo można oglądać za darmo, więc nie powinnaś narzekać.

– Nie chodzi mi o obraz, tylko o tę kobietę. Reporterkę. – Mój mózg każe mi się przymknąć, żeby nie wydawać się większym szaleńcem, niż jestem, a przynajmniej nie robić scen. Ale najwyraźniej nie mogę przestać. – Ta kobieta, nic poza nią. Tylko ona. Zniknęła na sekundę. Nie widzieliście?

Rozglądam się. Jaka połowa, teraz to już w s z y s c y się na mnie gapią!

– Tave, musimy iść – dociera do mnie głos Bensona. Pochylam głowę i ruszam w kierunku, w którym mnie prowadzi. Trzyma mnie za łokieć i ciągnie do samochodu.

– Co to było? – pyta, kiedy już znajdujemy się poza zasięgiem gości z knajpy.

– Ta reporterka zamigotała. Zupełnie jak kobieta, która mi dała plaster, i mężczyzna pod sklepem ze słodyczami. Nikt oprócz mnie tego nie widzi.

Benson przygląda mi się przez dłuższą chwilę z zaciśniętymi ustami.

– Musimy się stąd wynieść – mówi. – Jeśli Quinn wiedział, że zeszłą noc spędziliśmy w Camden, inni też się mogli o tym dowiedzieć. Czas jechać dalej.

Kiwam głową. Nie jestem pewna, czy mi nie wierzy, czy jest tak samo zszokowany jak ja.

– Mógłbyś teraz poprowadzić?

– Mam kierować beemką? Nie wiem, czy mnie do tego zmusisz – mówi z uśmiechem.

Przewracam oczami. Chyba nie powinno mnie dziwić, że nawet w obliczu śmierci, magii i tajemnicy chłopcy uwielbiają szybkie samochody.

– Hej, bakława, jesteśmy na miejscu – mówi Benson, dźgając mnie w żebra.

Najwidoczniej zasnąłam.

– Naprawdę nazwałeś mnie bakławą? – jęczę i zasłaniam oczy ramieniem przed palącym południowym słońcem.

– Nie zajmuj się nieistotnymi detalami. Znalazłem bibliotekę.

Mamrocze coś i lepiej, żeby tego nie słyszał.

– Podczas jazdy kilka razy dzwonił twój telefon – ciągnie, ignorując moje mamrotanie. – Nie byłem w stanie wyjąć ci go z kieszeni, żeby wyłączyć.

Widocznie byłem tak wykończony, że nawet nie słyszałam dzwonka. Wyciągam komórkę i sprawdzam wiadomości.

Sześć nieodebranych połączeń.

– Jay – mruczę i wsuwam aparat z powrotem do kieszeni. – Ten człowiek łatwo nie odpuszcza.

Wchodzimy do środka, znajdujemy dział z mikrofilmami, a wtedy stwierdzam, że czuję się lepiej. Benson pokazał nie raz, że mogę mu zaufać, a biblioteka – nawet zupełnie obca – wydaje się azylem. Dopóki jestem tutaj, razem z nim, dam radę.

Tak jak Benson przewidywał, w bazie danych jest jedno odniesienie do Rebekki Fielding i siedem do Quinna Avery'ego.

– K a p i t a n Quinn Avery – mówi Benson. – Wychodzi na to, że miał jakiś okręt. – Zapisuje numery, a potem z wprawą wyciąga maleńkie rolki z szuflad. – Proszę – mówi, podając mi pierwszą. – Zaczynaj, a ja wyjmę pozostałe.

Maniacy biblioteczni są najlepsi.

– Tu jest cały artykuł o nim – mówię, przerzucając wzrokiem tekst. – Miałeś rację, był kapitanem okrętu. – Czytam dalej, a Benson otwiera i zamyka szufladki. – Dziwne – mruczę, po czym dodaję głośniejszym głosem, żeby mnie usłyszał: – Tu jest napisane, że kiedy zaczął zyskiwać reputację w branży, nagle zniknął.

– Zniknął? – pyta. Kładzie na stoliku stos filmów i przysuwa sobie krzesło.

Pokazuję na ekran i czytam dalej.

– Tak. Mieszkał na skraju Camden – co wyjaśniałoby, dlaczego ten psychopatyczny Quinn kazał mi tam jechać – i którejś nocy doszło do jakiejś awantury, słysząc było strzały, wielki hałas. Sąsiedzi poszli sprawdzić, zobaczyli cztery ściany podziurawione kulami, w środku wszystko było splądrowane i zniszczone, a dom pusty. – Pochyliam się do przodu i dalej przeglądam artykuł. – Nie znaleziono nigdy ciała, ale po Quinnie oraz córce miejscowego bankiera ślad zaginął. – Odwracam się do Bensaona. – Myślisz, że to była Rebecca?

– Całkiem możliwe – odpowiada, wpatrując się w ekran.

– To chyba byłby poważny skandal, prawda?

– Morderstwo oraz niezalegalizowany związek na początku dziewiętnastego wieku?

O tak.

– Czy to może być zbieg okoliczności?

– Ale co?

– Że prawdziwy kapitan Avery uwiódł kobiety i albo je zamordował, albo sam poniósł śmierć za swoje czyny? – pytam, czując znów ten ucisk w żołądku.

– Zbieg okoliczności? Wątpię. Pytanie, czy nasz Quinn wybrał sobie taką tożsamość ze względu na swoją podłą przeszłość, czy po prostu znalazł postać historyczną, która odpowiadałaby interesującym go zbrodniom.

„Zbrodnie”. Nie podoba mi się użycie tego słowa w odniesieniu do Quinna. Co jest ze mną nie tak? Po wydarzeniach ubiegłej nocy nadal próbuję go usprawiedliwiać?

– Dlaczego ja? – pytam cicho. – Nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną. – Czytam kolejny akapit, po czym zwracam się do Bensaona: – Myślisz, że on znajduje ludzi, którzy też potrafią robić to co ja? Myślisz, że jest ich więcej?

– To możliwe – odpowiada z wahaniem.

„Ciekawe, czy kogoś znalazł. I czy ten ktoś jeszcze żyje”.

Ciężko przełykam ślinę i przesuwam artykuł w dół. Nagle świat wokół zaczyna wirować, a ja zamieram.

To o n.

Szkic, nie zdjęcie, zapewne wykonany już po jego zniknięciu. Ale to na pewno on. Nie jestem w stanie oderwać wzroku od jego oczu. Tych zielonych, łagodnych oczu, które artysta idealnie oddał, mimo że rysunek jest czarno-biały. Dotykam palcami wyrazistych kości policzkowych i muszę powstrzymać oddech, by zdławić w sobie szloch. Moje emocje to huragan próbujący wydostać się na powierzchnię.

– Benson, to on!

– Quinn? Znaczący ten gość, którego widziałas wczoraj?

Nie mogę mówić, tylko kiwam głową. Zanim zdołam to przemyśleć, naciskam przycisk drukowania.

– To niepokojąco dziwna sprawa – mówi Benson. – Jesteś pewna?

– On w ł a ś n i e t a k wygląda – mówię drżącym głosem.

– Ten facet to jakiś hardcorowiec. – Benson pochyla się nad obrazkiem.

Słysząc muzykę Zac Brown Band i po jakichś pięciu sekundach dociera do mnie, że to dźwięk mojej komórki. Mechanicznie wciskam przycisk odbioru i bez namysłu przykładam telefon do ucha, nadal wpatrując się w ekran ze szkicem.

– Taaak?

– Tavia, dzięki Bogu! Proszę, nie rozłączaj się.

Zamieram, słysząc głos Reese. Mam wrażenie, że ktoś wylał mi na plecy kubel lodowatej wody.

– Właśnie wróciłam i Jay mi wszystko powiedział. Proszę, wysłuchaj nas. Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Gdzie jesteś? Proszę, powiedz...

Przerywam połączenie trzęsącym się palcem, czuję, że krew odpłynęła mi z twarzy. Odebrałam rozmowę? Co ja, do cholery, sobie myślałam? Taki błąd może kosztować mnie życie. Mnie o r a z Bensaona.

– Muszę się tego pozbyć – stwierdzam. Sama nie wiem, czy mówię do siebie, czy do Bensaona. Łatwo mi było odsunąć Reese i Jaya w zakamarki pamięci po wyjeździe w Portsmouth, w końcu moje myśli wypełniał Quinn.

Ale telefon to łańcuch, którym jestem do nich uwiązana. Muszę się go pozbyć.

Podchodzę do drukarki, zabieram wydruki i przyciskam je do piersi.

– Muszę iść – mamroczę, niepewna, do kogo się odzywam. I co robię.

Komórka.

Pozbyć się komórki.

Odwracam się w zamyśleniu i prawie krzyczę, gdy Benson kładzie mi rękę na ramieniu. Instynkt każe mi ją zrzucić, ale zdrowy rozsądek przebija się do mojej świadomości i przypominam sobie, kim on jest.

To Benson. Pomaga mi.

Tylko on może mi pomóc.

– Tavia? – Nadal trzyma rękę na moim ramieniu.

Wyciszam oddech, koncentruję się i czuję, że znów wypełnia mnie namiastka spokoju.

– Tak?

– Zaczekaj na mnie – mówi cicho. – Pójdę tylko po rzeczy.

To wszystko, co czuję w związku z Quinnem, Reese, Jayem i Elizabeth mnie przerasta.

Wypełnia mi umysł i serce tak bardzo, że nie ma już w nich miejsca na Bensona. Zresztą nie mogę przebywać obok niego, kiedy tak się czuję.

„Uciekaj!”, krzyczy mój wewnętrzny głos. Oddech mam płytki, przerywany. Jestem zdesperowana, chcę wyrzucić telefon, zerwać kontakt z Reese, a pragnienie jest tak silne, że opór sprawia mi fizyczny ból.

Ledwo Benson się pojawia, ruszam w stronę drzwi.

– Panienko. Panienko? – To nie jest głos Quinna, ale wspomnienie wypowiedzianych przez niego zeszłej nocy słów napęła mnie rozpaczą. Pochylam głowę i przyspieszam.

– Tave! – Benson woła trochę za głośno jak na bibliotekę, ale i tak się nie zatrzymuję.

Wiem, że uciekam, ale mam dosyć. Nie wytrzymam tu ani sekundy dłużej.

– Trzeba zapłacić za wydruki – napomina mnie bibliotekarka.

Szarpię za drzwi i zerkam na Bensona. Stoi przy stanowisku bibliotecznym z desperacją w oczach i pośpiesznie wyciąga portfel.

Teraz albo nigdy.

Wychodzę na ulicę i wiatr uderza mnie w twarz. Zupełnie nie znam tego miasta, ruszam więc w losowo wybranym kierunku, z opuszczoną głową i komórką w zaciśniętych palcach.

Jaka szkoda, że nie mogę zmiażdżyć jej w dłoni.

Oddalam się od biblioteki, a wtedy zatrzymuję się na moment pod ceglana ścianą nijakiego biurowca. Spoglądam na wydruki, teraz pogniecione, bo ściszałam je mocno. Kiedy prostuję kartki, spada wielka kropla deszczu i zamazuje fragment artykułu. Aż zamieram z przerażenia, podbiegam kilka kroków i kucam pod daszkiem, chroniąc się przed deszczem. Dobrze, że nie pada śnieg. Jeszcze.

Patrzę na rysunek i myśli kotłują mi się w głowie. Chłopak wygląda jak Quinn Avery. To nie jest zdjęcie, mogą więc istnieć drobne różnice, ale naprawdę drobne. Identyczne twarze, łącznie z budową kości. Sama rysowałam te cienie pod wyrazistym czołem, zaznaczone kości policzkowe, kwadratową szczękę. Czegoś takiego nie da się uzyskać przebraniem i makijażem.

Nie jestem pewna, czy taki efekt przyniosłaby chirurgia plastyczna.

Kim, do diabła, jest Quinn Avery?

Zupełnie jak na zawołanie zza budynku wyłania się nagle Quinn – naprzeciwko miejsca, w którym kucam. Odwracam głowę i zdaję sobie sprawę, że nawet nie muszę widzieć jego szczupłej sylwetki: ja w y c z u w a m jego obecność. Idzie w moją stronę, moje oczy znajdują jego twarz. Patrzy prosto na mnie, a determinacja w jego wzroku mnie przeraża.

Paraliżuje mnie, kończy mi kamienieją. Nadal zmierza w moją stronę, krok ma długi, swobodny. Kiedy znajduje się jakieś pięć metrów ode mnie, wreszcie się podrywam. Łoskot telefonu, który wypada mi z rąk i roztrzaskuje się na chodniku, nic dla mnie nie znaczy. Okręcam się na pięcie i natychmiast uciekam.

Nie wiem dokąd, wiem tylko, że jak najdalej od n i e g o.

I wtedy rozlega się gwałtowny pisk hamulców.

Otwieram szeroko oczy. Czas zwalnia, gdy patrzę, jak granatowy samochód uderza w Quinna i w jednej chwili przygniata go do ściany. W jednej długiej, niekończącej się chwili. A potem słychać huk, który wypełnia moje uszy i cały świat, gdy ściana wali się, przygniatając

Quinna mnóstwem cegieł.

Ostatnią rzeczą, jaką widzę, zanim wszystko dookoła zacznie wirować, jest dobrze znana mi twarz. Twarz, która oznacza, że nas znaleźli.

Budzę się w kojącej ciemności, powoli wypływam ku pomarańczowemu słońcu, które przedostaje się przez koronę pozbawionych liści drzew. Dopiero po kilku sekundach przypominam sobie, gdzie jestem.

Samochód Reese. Quinn. Benson. Quinn!

Mimo ciągłego oszołomienia próbuję odtworzyć to, co się wydarzyło. Co się wydarzyło po tym...

Po tym, jak samochód uderzył w Quinna.

Po tym, jak samochód z a b i ł Quinna.

Wykluczone, żeby ktokolwiek mógł przeżyć coś takiego.

Tamta scena jeszcze raz rozgrywa się przed moimi oczami, chociaż usilnie próbuję o niej zapomnieć: samochód z wgniecioną maską, cały pokryty rozbitymi cegłami, w wielkiej dziurze ceglanego muru.

Nie chcę tego widzieć. Jego. Krwi.

Zaciskam powieki i staram się odsunąć to wspomnienie. Zapomnieć o ostatnim razie, kiedy otaczała mnie krew i śmierć. Ale zamknięcie oczu tylko pogarsza sprawę. Muszę wyjść z auta. Popycham drzwi, dramatycznie pragnąc odetchnąć świeżym powietrzem, z trudem się powstrzymuję, żeby nie zwymiotować na tapicerkę.

Na szczęście kiedy wystawiam nogi na zewnątrz, w głowie nie łomocze mi tak jak wtedy, gdy obudziłam się ze śpiączki po katastrofie lotniczej.

Tym razem faktycznie tylko spałam.

Udaje mi się wstać, ale kosztuje mnie to więcej wysiłku, niż powinno. Jestem potwornie wyczerpana, jakbym od trzech dni wspinała się w wysokich górach. Czuję się jak w pierwszych tygodniach po wypadku, kiedy nawet najprostszy ruch wymagał herkulesowej siły.

Nie lubię wspominać tamtego okresu.

Chwytam się za brzuch i rozglądam dookoła. Benson. Gdzie on jest? Tutaj? Przecież chyba sama nie prowadziłam?

Dopiero po kilku sekundach przypominam sobie, że postawił mnie na nogi i odciągnął z tamtego miejsca, zanim pojawiła się policja.

I jeszcze ktoś tam był. Ktoś... kogo znam.

Później histeria. Zupełny brak opanowania, jakby ktoś mną zawładnął. Rozpaczliwe łyzy, opowiadanie o Quinnie. Zaciśnięte usta Bena, który wpełznął mnie do auta i nakrył swoją kurtką.

A potem nic.

Na samo wspomnienie po plecach przebiega mi dreszcz. Czuję się zmęczona, ale znów jestem sobą. Już zawsze chcę być tylko sobą.

Jakiś dźwięk wrywa mnie z zamyślenia. Słyszę Bena, chociaż go nie widzę. Zatrzymaliśmy się przy drodze w miejscu, którego nie rozpoznaję. Benson opiera się o drzewo i rozmawia przez telefon.

Kłóci się.

Podchodzę bliżej, próbując wyłapać słowa, ale co chwila milknie, jakby ktoś z drugiej strony słuchawki ciągle mu przerywał.

– ...Nie tak się umawialiśmy. Ale... – Widzę, jak zaciska dłoń w pięść. – Rozumiem – mówi kilka sekund później i rozłącza się bez pożegnania.

– Kto to był? – Mój głos brzmi dziwnie ochryple.

Odwraca się gwałtownie, przestraszony, i wzdycha, gdy okazuje się, że to ja.

– Na drugi raz wydaj z siebie jakiś dźwięk ostrzegawczy, dobrze? – prosi z delikatnym uśmiechem.

– Przepraszam. – Wiem, że to brzmi beznadziejnie, ale co mam powiedzieć? – Wszystko w porządku?

– Tak. Problemy z moim współlokatorem – wyjaśnia, pokazując na telefon.

Kiwam głową. Nie wiem, co ma na myśli, ale mój umysł jest zbyt oszołomiony, żeby się tym przejąć.

– Jak się czujesz?

– Już chyba dzisiaj nie zasnę. – Zdobywam się na uśmiech.

Bezradnie wzrusza ramionami.

– Nie miałem serca cię budzić – wyjaśnia, po czym kładzie mi palec pod brodą. – Martwię się o ciebie, jesteś taka zmęczona.

– Hej – oponuję. – Worki pod oczami to najnowszy trend w makijażu. – Mój dowcip jest jednak wyjątkowo kiepski i nie robi wrażenia.

– Nie chodzi mi o wygląd. – Benson przygląda mi się przez dłuższą chwilę, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie odwracam prowokującego wzroku, więc opuszcza rękę i nic nie mówi.

Ma tak dziwną minę – kryje się w niej więcej emocji, niż jestem w stanie nazwać – że chciałabym uchwycić to na papierze. Może w ten sposób bym go rozgryzła. Żałuję, że nie zabrałam ze sobą węgla. Unoszę dłoń do jego twarzy – opiera się na niej, przytrzymuje ją między swoim policzkiem a ramieniem. Chcę przysunąć się bliżej, ale odchrząkuje i podnosi telefon, więc staję.

– Znalazłem w sieci krótką wiadomość o tym, co się dzisiaj stało – mówi.

– Tak? – Od razu jestem zainteresowana.

– Nie napisali zbyt wiele, tylko tyle, że pusty samochód stał na wzgórzu bez zaciągniętego hamulca. – Spogląda na ekran komórki i dodaje: – Twierdzą, że nikomu nic się nie stało.

– Nikomu nic się nie stało? Ale... – Zamykam usta, żeby nie powiedzieć tego, co miałam na końcu języka. – Jesteś pewien? – Muszę o to zapytać. Dobrze wiem, co widziałam. Te obrazy wryły mi się w pamięć.

– Tak mówi raport. Jest tu informacja, że pracownicy biura wyszli właśnie na lunch, więc w środku nikogo nie było.

– I nie ma nic o... o...

– Nic o Quinnie – kończy za mnie.

Przez dłuższą chwilę stoję w krzyżującym się cieniu drzew. Nie mam pojęcia, co dzieje się z moim życiem. Mam wrażenie, że powoli pęka. Jeszcze się zupełnie nie posypało, ale pełno w nim rys, które prawie się ze sobą łączą.

A już wszystko miało się ku lepszemu.

I teraz jeszcze to.

Zupełnie jakby całe emocjonalne dochodzenie do siebie po katastrofie szlag trafił.

– Widziałam go – mówię.

– Wierzę ci.

– Nie Quinna. To znaczy Quinna oczywiście też, ale... – Biorę głęboki wdech dla uspokojenia skołatanych nerwów, bo mgliste wspomnienie wreszcie nabiera wyrazu. – Widziałam faceta w okularach przeciwsłonecznych. Tego z Portsmouth. Kątem oka, tuż po zderzeniu, ale w i e m, że to był on – dodaję pospiesznie, zanim Benson mi przerwie.

Nawet nie próbuje tego robić. Zupełnie jakby wiedział. W końcu tam był, pewnie też go

widział, tylko nie chciał mi o tym mówić.

Patrzę na Bersona, zmuszam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Czy w s z y s c y w tym uczestniczą? Pytałeś mnie wczoraj, jak głęboko, moim zdaniem, to sięga, a ja nie potrafiłam ci odpowiedzieć. Czy to próba zatuszowania całej tej sprawy?

Benson milczy. Krzyżuje ręce na piersi, ale zaraz zmienia zdanie i wpycha je do kieszeni. Chociaż wszystko we mnie pragnie, by się odezwał, stoję spokojnie i tylko mu się przyglądam. Być może drga mi przy tym oko.

– A jeśli Quinn jest duchem? – pyta w końcu cicho.

Śmiech wrywa mi się z gardła, nie zdołałam go powstrzymać.

– Poważnie? Nie ma mowy. Duchy nie istnieją.

– Nie istnieją też ludzie, którzy potrafią wyczarowywać z powietrza pomadki, ołówki i piłeczki antystresowe. Pomyśl tylko, Tave. To by wszystko wyjaśniało: jego staroświeckie ubranie, kwestię Rebekki Fielding, to, że wjechał w niego samochód i nikt tego nie zauważył.

– Duchy nie istnieją – powtarzam, ale tak cicho, że brzmi to jak szept. W głowie mi aż huczy. Widziałam, jak umiera. Ale czy dostrzegłam krew, czy to tylko wyobraźnia podsunęła mi takie obrazy? Odsuwam od siebie te myśli, próbuję przeanalizować to, co w i e m. Quinn zawsze ma staroświecki strój, pojawia się i odchodzi tak szybko, że właściwie znika, i nigdy nie pozwala mi się wtrącić – zupełnie jakby mnie nie słyszał. A to dziwaczne miejsce, do którego mnie zaprowadził zeszłej nocy, naprawdę wyglądało, jak gdyby nikt tam nie wchodził od...

Od...

„Od dwustu lat”. Umysł zmusza mnie do dokończenia zdania.

– Nigdy mnie nie dotknął – stwierdzam, wpatrując się w Bersona szeroko otwartymi oczami.

Nic nie mówi, tylko przygląda mi się posępnie, jakby wiedział, że to wszystko ma sens.

– Nigdy – nawet gdy rozmawialiśmy – ani razu mnie nie dotknął. – Unoszę głowę. – Czy do tego mam zdolności parapsychologiczne?

– Jak medium? Być może.

– Benson, prawda jest taka, że widzę rzeczy, k t ó r y c h i n n i l u d z i e n i e w i d z ą. Cały czas. Nie mogę temu dłużej zaprzeczać.

Kiwa głową, ale nic nie mówi.

– Uważasz, że to ze względu na operacje?

– Operacje mózgu?

– Tak. Kiedy byłam w szpitalu, trafiłam na idiotyczną stronkę, na której napisano, że uszkodzenie mózgu może wywoływać zdolności parapsychologiczne. Wtedy uznałam to za głupotę, ale teraz sama już nie wiem. – Rozkładam bezradnie ręce.

Benson podsuwa okulary palcem.

– To mało prawdopodobne. Ale co ja mogę wiedzieć? Jak się okazuje, nic.

Coś się tu nie zgadza.

– Tylko że... – zaczynam, a kiedy mówię, moje wątpliwości się rozwiewają. – To nie mogło zostać wywołane w y ł ą c z n i e uszkodzeniem mózgu. Do samolotu wsiałam za sprawą Reese i Elizabeth. One s p o d z i e w a ł y s i ę, że coś takiego się wydarzy. Nie można przewidzieć, że ktoś, kto doznał uszkodzeń mózgu, nagle przerodzi się w... nie wiem, X-Mana czy coś takiego.

– Chciałbym wiedzieć to, co one wiedzą – mówi, wzdychając.

– Ja też. – Opadam na omszały pniak.

Dwa tygodnie temu byłam zwyczajną sierotą ukrywaną przed dziennikarzami, bo jako jedyna przeżyłam katastrofę lotniczą. A dzisiaj? Dzisiaj nawet nie wiem, kim jestem.

– Elizabeth nazwała mnie Przyziemcem – mówię po chwili. – Jak myślisz, co to znaczy? Benson wpatruje się we mnie bez wyrazu.

– Nie wiem.

– Wszystko sprowadza się do Quinna Avery’ego – mówię w końcu. – Tego prawdziwego. Wszystko. Myślę... – Wzdrygam się przed wypowiedzeniem tego na głos. – Myślę, że powinnam wrócić do tego miejsca, do którego mnie zaprowadził.

– Powiedziałaś, że już nigdy tam nie pójdziesz... – odpowiada, ale błysk w oku świadczy o tym, że się zainteresował.

– Wiem, ale wydaje mi się, że może właśnie to trzeba zrobić, żeby wszystko rozszyfrować.

Benson kiwa głową z namysłem.

– Jeśli Quinn miał jakieś odpowiedzi, to z pewnością właśnie tam się znajdują.

– Nie chcę tam iść sama. Pójdziesz ze mną?

– Oczywiście – odpowiada. Słyszę w jego głosie ekscytację.

Tamto miejsce przeraża mnie jak nie wiem co, chociaż dla niego to pewnie coś w rodzaju wycieczki.

– Za mniej więcej godzinę zajdzie słońce, ale mogę kupić latarkę w Camden – mówi, po czym rumieni się. – Gdy spałaś, zatrzymałem się w jakimś mieście, które mijaliśmy, i sprzedałem tę złotą monetę. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Skończyły nam się pieniądze na benzynę.

– Takie było jej przeznaczenie – uspokajam go.

Kiwa głową, obejmuje mnie lekko i razem wracamy do auta. Nie mam pojęcia, w jaki sposób ponaddwuletni martwy chłopak – aż się kulę na samą myśl – może nam pomóc, lecz wszystko kręci się wokół niego. M u s i być jakiś związek.

Zresztą jakaś część mnie przeraźliwie pragnie dowiedzieć się czegoś więcej na temat Quinna. Nie ma znaczenia, czy żyje, czy nie – niech sobie nawet będzie duchem – ale to on posiada informacje.

Wyjeżdżam z przesieki, Benson kieruje mnie na właściwą drogę. Włączam tempomat, a wtedy ściska mnie za rękę, puszcza i otwiera dziennik Rebekki. Zaczyna przeglądać strony zapisane pięknym pismem.

– Miałaś okazję przeczytać coś więcej?

– Od rana? A kiedy niby miałam to zrobić? Przed tym, jak umknęłam zabójcy, czy może potem?

Benson przerzuca kartki – powoli, ale na tyle szybko, że nie jest w stanie wiele przeczytać.

– Zobacz tylko – mówi, podsuwając mi księgę.

– Benson, ja prowadzę. Przeczytaj.

– Nie mogę. To szyfr.

– Szyfr? Naprawdę? – Rzykuję, ale maleńkie, idealnie równe literki są zbyt małe, żebym cokolwiek dojrzała.

– Nie tyle szyfr, ile jakiś język, którego nie znam. Niby łacina, ale nie do końca. Może to jakaś stara forma któregoś z języków romańskich?

– Po prostu cudownie – mówię, przygnębiona. – Obcy język, i do tego dziewiętnastowieczny.

– Wygląda na to, że reszta jest w nim napisana – twierdzi Benson. Przegląda dziennik,

aż dociera do pustych stron. – Dziwaczny język plus mnóstwo rysunków.

– A co dzieje się tuż przed zmianą? – pytam, próbując skupić się na drodze.

Benson wraca do wcześniejszych stron, teraz wolniej przewraca kartki.

– Pisze tylko o Quinnie. O tym, jak go kocha. O czymś, co ma jej pokazać, tak jak mówił tobie.

Wzdrygam się na samo wspomnienie, zwłaszcza teraz, kiedy Benson i ja... w zasadzie to kim jesteście dla siebie, skoro Quinn zniknął ze sceny?

Przynajmniej fizycznie.

Niestety, nadal nas prześladowuje.

– Sprawdźmy. Ma się z nim spotkać. To tajemnica. Uważa, że jej się oświadczy. –

Benson odwraca kartkę. – A potem pojawia się ten dziwny język. Tak się zastanawiam...

– Nad czym? – pytam, kiedy wyciąga komórkę, nie kończąc zdania.

– Wpiszę to do translatora Google, zobaczymy, czy coś wyskoczy.

– Niech Google będzie błogosławiony – mamrocze kpiąco.

– Dziwne – mówi po chwili.

– Co?

– To j e s t łacina. Czy coś w rodzaju. Język spokrewniony z łacińskim, ale Google nie tłumaczy, bo prawie każde słowo jest inaczej pisane.

– Myślisz, że dałoby się to jakoś przetłumaczyć?

– Być może. Mogę rozszyfrować rdzenia niektórych słów, ale... – Podnosi wzrok i patrzy na mnie. – To zajmie naprawdę mnóstwo czasu, a i tak nie wiem, ile uda się odczytać.

– A cóż nam zostało? Tylko czas – odpowiadam cicho.

Co jest wierutnym kłamstwem.

Odkąd tamten samochód o mało mnie nie zabił, w głowie cały czas słyszę tykanie zegara.

Nie mam pojęcia, co się stanie, kiedy dojdzie do zera.

Drzwi są nadal uchylone. Tak, jak je zostawiłam.

– Widzisz? – mówi Benson, gdy mu je pokazuję. – To stuprocentowy duch. Nie może niczego dotknąć.

– Możliwe – odpowiadam, bo nie chcę go utwierdzać w tym przekonaniu. Jest nieznośny, kiedy wie, że ma rację.

Czyli zazwyczaj.

Ale to w nim kocham.

„Kocham?” Staram się o tym nie myśleć.

– Myślisz, że ktoś tu wchodził? – pytam przytłumionym szeptem, zupełnie jakbyśmy znaleźli się w świętym miejscu.

– Nie ma śladów – stwierdza. – A w środku nocy przestał padać śnieg. Więc o ile nikt się tu nie zakradł zaraz po twoim wyjściu, chyba jesteśmy bezpieczni.

– Ale nie zostaniemy tu długo – zażegnuję się, naciągając kurtkę.

– Absolutnie – odpowiada lakonicznie.

Zaczynam wchodzić do środka, jednak Benson zatrzymuje mnie i przygląda się mechanizmowi zamykającemu.

– Fantastyczne rozwiązanie – mówi, kiedy wyjaśniam mu, jak to działa. – Zupełnie jak zamek na szyfr. Ten Quinn jest – b y ł – genialny.

Rumienię się. Dlaczego czuję się tak, jakby to do mnie adresowany był ten komplement?

Benson sięga do przewieszanej przez ramię torby i wyciąga olbrzymią latarkę, którą kupiliśmy pół godziny wcześniej. Jest o w i e l e lepsza niż moja żenująca latareczka w komórce.

Komórce, której szczątki leżą na chodniku sto dwadzieścia kilometrów stąd, zapewne dodatkowo przygniecione cegłami. Ta myśl zmniejsza mój strach, nieznacznie, ale zawsze.

Wchodzimy do niewielkiej ziemianki i od razu uderza mnie zapach stęchlizny, a wraz z nim wracają niezwykle wyraźne wspomnienia zeszłej nocy – twarzy Quinna tak blisko mojej, zupełnie niewyglądającej na oblicze ducha.

– Słuchaj, a duchy nie powinny być przezroczyste? – pytam, kiedy Benson świeci dookoła latarką.

– Tego chyba nikt nie wie.

– Wyglądał tak realistycznie – mówię, odrobinę zawstydzona tęsknotą, jaka przebija z mojego głosu.

– Chodź tutaj. – Benson kiwa ręką, żebym podeszła do stołu, na którym znalazłam wczoraj dziennik.

– Obrazy – szepczę, kiedy odwraca rolujące się kartki. – Ostatnio nie miałam czasu, żeby się dokładnie rozejrzeć. – Obrazki są małe, to akwarele przedstawiające Quinna takiego, jakim nigdy go nie widziałam. Uśmiecha się do artysty, ma rozpuszczone, zmierzwione włosy i z zadumą wpatruje się w kojące płomienie paleniska. Aż się zapowietrzam, kiedy Benson odwraca ostatnią kartkę.

Quinn z jakąś kobietą.

Portret przedstawia ich oboje: idących, trzymających się za ręce. Nie widzę jej twarzy, tylko wysoką, szczupłą sylwetkę i brązowe włosy zaplecione w warkocz. Ogarnia mnie silne uczucie zazdrości i napełnia taką wrogością, że robi mi się niedobrze.

– Rebecca? – sugeruje Benson ponad moim ramieniem.

– Prawdopodobnie – odpowiadam słabo i ciężko przelitykam ślinę. Nigdy nie rozumiałam,

na czym polega prawdziwa nienawiść, ale gdy patrzę na ten malunek, zaciskam palce tak mocno, że aż kostki mi bieleją, i myślę, że to właśnie jest to uczucie.

– Cholera jasna! – Benson podnosi zabrudzoną monetę i zdmuchuje z niej kurz. – Tu jest ich pełno.

– Weź je – odpowiadam. – Quinn jest mi to winien za zniszczenie życia.

Podczas gdy Benson próbuje oszacować, ile warte jest wnętrze ziemianki, ja zaczynam myszkować.

– Myślisz, że moglibyśmy wykorzystać twoją latarkę, żeby dostać się do tych skrzyń? – pytam.

– Lepiej stwórz łom – sugeruje.

Zamieram. Nie chcę. Może to przesąd, ale za każdym razem, gdy korzystam ze swojej mocy, dzieje się coś złego. Ale co mam zrobić? Kazać Bensonowi podważyć wieko gołymi rękoma?

Palce mi się trzęsą, gdy wyciągam rękę i wyobrażam sobie żelazne narzędzie. Chwilę później trzymam w dłoni dość krótki łom. Gdy Benson go ode mnie zabiera, odwracam wzrok. Mija parę sekund i udaje się otworzyć skrzynię.

Opadamy na kolana i zaglądamy do środka.

– Cudnie – mówi Benson, unosząc ciężką sakiewkę, w której brzęczy metal. Zerka do skrzyni i gwizdże. – Kurczę, ten gość był naprawdę nadziany!

– Daj mi to – rzucam, wrywając mu woreczek. – Nie będziemy hienami cmentarnymi.

– Przecież to nie cmentarz – zauważa. – A ta sakiewka jest warta kilkadziesiąt tysięcy.

Co najmniej – dodaje z uśmiechem. – Pomyśl, ile to baków paliwa i paczek mieszanki studenckiej.

Rzucam mu złowrogie spojrzenie i odkładam woreczek na ziemię.

Chociaż uwielbiam mieszankę studencką...

– Zobacz tylko. – Wyciągam księgę ze znajomym trójkątem wytłoczonym w skórzanej oprawie. – To kolejny dziennik. – Otwieram go, spodziewając się pełnego zawijasów pisma Rebekki, ale zamiast tego widzę zamaszystą, męską rękę. – To chyba Quinna.

Okładka nie jest podpisana, ale na drugiej stronie znajduje się lista nazwisk i dat, z Quinnem na samej górze. Żadne nazwisko się nie powtarza i nie widać, żeby zostały zapisane według jakiegoś klucza, chociaż sięgają wstecz aż do 1568 roku. Potem widnieją jeszcze trzy nazwiska, ale już bez dat.

Odwracam kartkę i odsuwam księgę na długość ręki, bo witają mnie słowa trzy razy większe niż nazwiska na poprzedniej stronie.

Niech bogowie mają litość nad twoją przekłętą duszą, jeśli przeczytasz ten dziennik, nie będąc moim przyjacielem.

Patrzę na to zdanie z szeroko otwartymi oczyma.

– Benson?

– Tu jest też obraz i zegarek kieszonkowy. Dziwne.

– Benson?

– Zobacz, namalowany dom. Mogę się założyć, że to...

– Benson!

Podnosi wzrok, a wtedy pokazuję mu księgę.

– Czy jestem przyjacielem?

„Przyjacielem ducha?”

Unosi brew.

– Uważasz, że to ma jakieś znaczenie? On nie żyje.

– Ale prześladował mnie przez tydzień! – odpowiadam ostro, chociaż „prześladował” nie jest właściwym słowem.

Benson i tak zamiera.

– Masz rację – mówi, zaciskając usta. – Pokazał ci, jak otworzyć drzwi. To chyba całkiem wyraźny znak, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli to przeczytasz.

Kiwam głową, ale gdy przewracam kartkę, palce mi drżą od napływu adrenaliny. Dalej pismo jest już normalne.

Jestem Quinn Avery. Jestem Przyziemcem. Jestem Twórcą. Jeśli czytasz te słowa, obyś był zaufanym przyjacielem lub moim kolejnym wcieleniem. W tej skrzyni znajdziesz narzędzia konieczne, by mnie przywrócić. A kiedy to zrobisz, odszukaj Rebecę. Nic nie jest ważniejsze. Znajdź ją. Daj jej naszyjnik.

– Rebecca – wypowiadam to imię szeptem, mam wrażenie, że pali mnie w język. Chce, żebym ją znalazła? Jej ducha zapewne. Ale po co? Żeby mogli długo i szczęśliwie wieść swoje widmowe życie? Z trudem rozluźniam palce, zdaję sobie bowiem sprawę, że tak mocno ściskam dziennik, iż zaraz zgmiotę okładkę.

– Czyli... – Benson się waha. – Miałaś rację. On też jest Przyziemcem. Znaczy... był. No, wiesz.

Ignoruję niewypowiedziane słowa, zgodnie z którymi również i ja jestem Przyziemcem. Nie wiem nawet, co to znaczy, i nie mam pojęcia, czy jestem gotowa, by się tego dowiedzieć.

– Ciekawe, czy to, co on stwarza, też znika – zastanawiam się cicho.

– Następnym razem, kiedy zobaczysz jego ducha, po prostu zapytaj – sugeruje Benson, zaglądając do skrzyni.

– On nie odpowiada na pytania – mówię, przerzucając kartki dziennika. Jak się okazuje, nie licząc pierwszych dziesięciu stron, jest pusty.

– Powiedziałaś, że z nim rozmawiasz.

– Bo tak sądziłam, ale wszystko, co do mnie powiedział, znajduje się w dzienniku Rebekki. Zupełnie jakby... – Kładę księgę na kolanach. – Jakby był nie tyle duchem, ile e c h e m przeszłości. Pewnie dlatego nazwał mnie Beccą, chociaż mówiłam, że mam na imię Tavia. – Pamiętam, jak mnie to zdenerwowało. Teraz czuję się dziwnie apatyczna.

Zastanawiam się, co to oznacza, ale tylko przez moment, mam przecież inne sprawy do rozwiązania. Ważniejsze. O w i e l e ważniejsze.

Znów wracam do dziennika.

– Popatrz!

Benson odwraca się i spogląda na to, co pokazuję: dwa starannie narysowane symbole.

– Reese miała taki u siebie w gabinecie – mówię, kładąc palec na rysunku pióra i płomienia z podpisem *Curatoriat*. – Elizabeth użyła tego słowa, podejrzewam, że to nazwa jakiegoś stowarzyszenia.

– Brzmi sensownie – mówi Benson cicho.

– Ciekawe. Nie mam już telefonu, ale parę dni temu zrobiłam zdjęcie bardzo zniszczonego znaku na jednym z budynków w Portsmouth. Był wyblakły, widać było tylko coś okrągłego nad falistymi liniami. To mógł być ten symbol. Ale nie ten – dodaję, przesuwając palec na sąsiednią stronę. – Ten ma zupełnie inny kształt. – To egipski krzyż ankh, tyle że kółko nie łączy się na górze, jedna jego strona wygina się w coś w rodzaju... kija pasterskiego. – *Reduciat* – odczytuję. – Jay i Elizabeth użyli tej nazwy. – Próbuję czytać, ale Benson zabrał latarkę i znów oświetla skrzynię, do której się wcześniej włamał.

– Zobacz – mówi, pokazując mi niewielki obrazek w ramce. Widać, że namalowała go ta sama osoba co pozostałe, ten jest jednak mniejszy i jako jedyne został oprawiony. Przedstawia

żółty dom pośród drzew zmieniających już barwy na jesienne. – Mogę się założyć, że to dom, w którym zginął.

– Nie zginął w tym domu. – Wypowiadam te słowa, zanim się nad nimi zastanowię.

Wpatruję się w Bensaona z otwartymi ustami – skąd to wiedziałam? – i wyjmuję mu obrazek z ręki. Ledwo moje palce dotykają szorstkiej olejowej powierzchni, a spływa na mnie lawina zniekształconych obrazów i mieszanych wrażeń.

– To był podstęp – udaje mi się powiedzieć tylko tyle, bo przez to bombardowanie odczuć straciłam koncentrację. Zaciskam palce na ramce, chwytam ją mocno, a słowa płyną mi z ust i niemal czuję obecność Quinna gdzieś pośród tego zgiełku. Jestem ogłuszona hukami, oślepiąca mgła. – Nigdy nie groziło im niebezpieczeństwo – nie od strzałów – ale musieli... musieli... nie mogę! Benson, pomóż mi! – Wyciągam ręce z malowidłem, jednak nie jestem w stanie go puścić, bo wspomnienie ognia pali mi skórę, a uszy wypełnia huczący szum.

Benson wrywa obrazek i rzuca go na ziemię, a potem mnie obejmuje. Słaniam się, ale ostatekiem sił udaje mi się zmusić zmęczone mięśnie do utrzymania równowagi.

– Co się stało?

– N-n-nie wiem. Dotknęłam obrazka i... jakbym wiedziała, co się tam wydarzyło. Czy raczej, co się nie wydarzyło. – Czarne plamki wirują mi przed oczami, boję się, że zemdleję. Czuję się tak, jakbym przebiegła maraton o pustym żołądku. – Nie zostanę tu ani chwili dłużej – mówię, zasłaniając oczy rękoma.

– Nie ma sprawy. Możemy wrócić kiedy indziej.

Kiwam głową bez słowa – chociaż już nigdy nie zamierzam tu wracać – a Benson podnosi obrazek, wrzuca go z powrotem do skrzyni, wpycha w ciemność, gdzie jego miejsce. Potem zbiera kilka przedmiotów i wsuwa je do skórzanej torby, którą ze sobą przyniosł. Opieram się o niestabilną ścianę i odsuwam wzrok, żeby nie widzieć tego obrazka. Na samą myśl kręci mi się w głowie, jak gdybym jechała na kiepskim rollercoasterze.

„To nie tak powinno być” – ta myśl pojawia się nie wiadomo skąd.

Dziennik wyślizguje mi się z rąk, łapię go pospiesznie, uderzając dłońmi.

– To tylko ja – mówi Benson.

– Chcę to zabrać ze sobą.

– Jasne. O ile nie będzie miał na ciebie takiego wpływu jak ten malunek.

– Nie będzie – stwierdzam. Nie mam podstaw, żeby tak twierdzić, ale jakimś cudem jestem pewna, że to prawda. – Jest mi potrzebny – dodaję.

Te słowa wyszły z moich ust, jednak brzmią, jakbym to nie ja je wypowiadała.

– Chyba nie jestem w stanie prowadzić – mówię, kiedy pół godziny później wśród gwałtownych porywów ostrego, lodowatego wiatru wreszcie dostrzegamy samochód Reese. Znow wracają czarne plamki przed oczami, gdy bez wielkiego przekonania próbuję zetrzeć cienką warstwę śniegu z przedniej szyby. – Potrafisz polować? – Lekko bełkoczę i muszę się skupić, żeby utrzymać się pionowo, kiedy sięgam do kieszeni po kluczyki. Jestem zbyt zmęczona, żeby się martwić, czy ktoś nas nie goni, chociaż po tamtym incydencie z samochodem powinnam być podwójnie czujna.

Zwłaszcza że teraz jestem kompletnie bezużyteczna. Przemarziłszy podczas marszu przez las i Benson niemal musiał mnie nieść razem z ciężką torbą wypełnioną tym, co zabrał z ziemianki. On chyba też nie czuje się zbyt rześko.

– Będziesz wymiotować? – pyta, gdy już pomógł mi usiąść i zapiąć pas. – Wyglądasz, jakby było ci niedobrze.

Zaprzeczam, ale od samego ruchu głową mam mdłości.

– Jedzenie. Głodna.

– Chyba powinnaś coś sobie wyczarować.

– To nie pomoże – protestuję, opierając czoło o szybę, i zamykam oczy. – Zniknie za pięć minut. Nawet to, co zjem.

– Owszem. Ale gdybyś stwarzała jedzenie na okrągło przez dziesięć minut, to ja zdążyłbym dojechać gdzieś, gdzie będzie można kupić coś p r a w d z i w e g o – mówi Benson i błaga mnie wzrokiem, żebym się zgodziła.

Dopiero po kilku sekundach docierają do mnie jego słowa i zdaję sobie sprawę, że to świetny pomysł. Ale i tak oponuję. Na samą myśl, że miałabym zjeść coś, co stworzyłam za pomocą przerażającej magii, robi mi się niedobrze. J e s z c z e b a r d z i e j.

Wytrzymam. W końcu musimy znaleźć jakiś fast food. Frytki. Utrzymam przytomność do czasu, kiedy kupimy dobre, ucziwie posolone frytki. Ich obraz w mojej głowie jest tak realistyczny, że muszę powstrzymać chęć oblizania warg.

Dopiero gdy czuję ciepło rozlewające się po udach, opuszczam wzrok i widzę, że na kolanach mam opakowanie frytek. Idealnych. Chwytam je od razu, chociaż umysł krzyczy, że nie są prawdziwe i nie powinnam ich dotykać. Benson miał jednak rację – muszę coś n a t y c h m i a s t zjeść. Prawie parzę sobie język, gdy wpycham je do ust. Muszę pamiętać, że powinnam je pogryźć. Mijają niecałe dwie minuty i po frytkach nie ma śladu.

– Wyczaruj więcej – mówi Benson i brzmi przy tym bardzo poważnie. Wjeżdża na asfalt i kieruje się z powrotem na Camden.

Tym razem nie protestuję, chwilę później zajadam się kolejną porcją. Frytki mnie rozgrzewają i uzupełniają poziom cukru we krwi szybciej, niż podejrzewałam. Zjadam wszystko, biorę kilka głębokich wdechów i tworzę kolejne opakowanie. Pierwsze wkrótce się rozplynie – zdaję sobie sprawę, że nie mam wyboru. Muszę jeść, żeby cukier znow mi gwałtownie nie spadł. Jestem pewna, że za drugim razem byłoby znacznie gorzej.

Tworzę kolejną porcję i wyczarowuję do tego duży kubek gorącej czekolady. Jem z zapalem, ale już nie tak gorączkowo jak na początku. Wkrótce zaczynam czuć się normalnie.

– Hamburgery czy tacos? – pyta Benson z powątpiewaniem i przenosi wzrok z jednego baru na drugi. Oba wyglądają co najmniej nędznie, ale przynajmniej są otwarte.

– Poproszę hamburgery. Podwójny z frytkami – prawdziwymi – i colą. Ale zwykłą, nie light. – Wpycham sobie do ust kolejną garść frytek i aż się ślinię na myśl o hamburgerze.

Nie ma tu możliwości zakupu czegokolwiek z samochodu, więc Benson kładzie rękę

na klamce i patrzy na mnie poważnie.

– Jedz. Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Pospiesz się – mówię z uśmiechem. Oszukuję swój organizm, nie wiem, jak długo potrwa, zanim się zbuntuje.

Zamieram nagle z garścią frytek w połowie drogi do ust, bo zdaję sobie sprawę, że kilka ostatnich dni do złudzenia przypominało mój stan po wybudzeniu się ze śpiączki. W zasadzie od rana do nocy na przemian jadłam i spałam. Wytłumaczono mi, że mój mózg potrzebuje mnóstwa energii, by dojsć do siebie. Zaczynam się zastanawiać, co teraz kombinuje i co takiego zrobił mi tamten obrazek, że organizm musi aż tak dochodzić do siebie.

Od razu wracają słowa Reese o wypalaniu i znów robi mi się niedobrze. Jaką straszliwą metamorfozę właśnie przechodzę? Próbuję odsunąć od siebie te myśli i wyczarowuję drugą gorącą czekoladę. Mdłości, nie mdłości, muszę cały czas jeść albo będzie dramat.

Mija dwanaście minut, zanim Benson wraca do auta. Zdażyłam zjeść pięć porcji frytek i wypić oba kubki czekolady. Wnętrze samochodu wypełnia się zapachem burgerów, więc strącam magiczne frytki na podłogę i szybko chwytam torby z jedzeniem.

– Uwważaj, Tave! – Benson aż zamiera, kiedy frytki lądują dookoła. – To beemka! Co za facet.

– Za pięć minut i tak znikną – przypominam mu. – Łącznie z tłustymi plamami.

– Ale to jest już prawdziwe – odpowiada niechętnie. – Więc ostrożnie.

Rozkładałam serwetki na kolanach i dopiero wtedy odpakowuję olbrzymiego hamburgera i zatapiam w nim zęby. Przez dłuższy czas żujemy w milczeniu. Powoli czuję, jak mój organizm wraca do normy.

– Miałeś naprawdę dobry pomysł. – Przerywam na chwilę jedzenie, żeby złapać oddech.

– Bez tego na pewno straciłabym przytomność.

– Nawet nie chcę myśleć, jak miałbym się z tego tłumaczyć, gdyby ktoś nas zobaczył tam, przy tej szosie – mówi ponuro.

– Masz rację – mamroczę. Znów jemy. – Dziękuję.

– To tylko jedzenie – odpowiada ze śmiechem.

– Ale naprawdę. – Odwracam się, by na niego spojrzeć. – Dziękuję ci

za w s z y s t k o. Za to, że się nie wystraszyłeś, że wierzysz mi, nawet kiedy zachowuję się jak szaleniak. Za wszystko, Benson.

– Nie ma za co – mówi. Widzę, że nad górną wargą ma kropkę musztardy.

Wyciągam palec, by ją zetrzeć, i uśmiecham się.

– Niedokładnie się wytarłeś – szepczę, gdy jego oczy ciemnieją, czy raczej spojrzenie się pogłębia, i wbijają mnie w fotel. Drżę z nerwów i z radości. Chwyta moją rękę, unosi do ust i całuje każdy palec z osobna.

– To ja dziękuję t o b i e – mówi szeptem z żarliwością, której nie rozumiem, ale którą się napawam. Ukrywam głupkowaty uśmiech za kanapką i oboje kończymy posiłek w milczeniu.

Kiedy jedzenie zostało pochłonięte, a ja jestem tak najedzona, że ledwo się ruszam, wycieram tłuste ręce i biorę dziennik Quinna. Benson kończy swoją kanapkę.

– Posłuchaj tego – mówię, pokazując krótki tekst. – *Z obu bractw zaufać możesz jeno Curatoriatowi, lecz miej przy tym baczenie. Reduciatowi ufać nie należy. Nie zdradzaj swoich sekretów. A nade wszystko nie wspominaj Reduciatowi o Rebecce, jeśli zaś wiesz, gdzie przebywa, zwódź ich.* – Przypominam sobie, że Elizabeth wypowiedziała tę nazwę. – Jak myślisz, co to jest ten Reduciat?

– Nie mam pojęcia – odpowiada, nadgryzając bułkę.

– To musi być coś złego – stwierdzam, przewracając kartkę. – Reese i Elizabeth

niepokoiły się, że Quinn jest... z Reduciatu? Mam jednak przeczucie, że do nich nie należał.

– Wychodzi na to, że tej małej groziło poważne niebezpieczeństwo – zauważa Benson, zerkając mi przez ramię.

– Quinnowi też. Tu jest trochę archaicznego słownictwa, muszę to uważnie przeczytać.

Pisze coś o gromadzeniu złota, żeby *przeciwko klęsce się zbroić*, a tutaj z kolei o *kryciu się w jamach jako zając przez łowców goniony*. – Przerywam i czuję, że ogarnia mnie rozpacz. – To zupełnie jak my, prawda?

– Niestety.

– Nie każe w pełni ufać Curatoriatowi, ale z tego, co widzę, ciągle ucieka przed Reduciatem – mówię i zaczynam się zastanawiać. – Ten Reduciat kojarzy mi się z zakonem Iluminatów. Może to tajne bractwa, które próbują... nie wiem, przejąć rządy?

– Wtedy nie było jeszcze rządów – mówi Benson. – Ani Stanów Zjednoczonych jako takich. Jeszcze nie.

– Racja. Ale nie sądzę, żeby oni wywodzili się ze Stanów. Zobacz – przechylam książkę w stronę Bensaona. – Tu widać rysunek piramidy, a krzyż ankh też pochodzi ze starożytnego Egiptu. – Czytam kolejny fragment, próbując zrozumieć archaiczny język Quinna. – Wychodzi na to, że zarówno Reduciat, jak i Curatoriat stały za wszystkimi egipskimi faraonami – walczyli o władzę. Tutaj jest napisane, że piramidy zbudowano, by pomieścić cały ich dobytek. Coś jak ta ziemianka Quinna i Rebekki.

– To już trochę naciągana teoria. Ale w tamtych czasach ludzie wierzyli w rozmaite legendy.

– No ale w końcu takie właśnie było przeznaczenie piramid, czyż nie? Zostały wypełnione dobytkiem faraonów. Nawet służących grzebano w nich żywcem.

– Niby tak, ale... piramidy? Serio?

Mój palec zamiera na dole strony.

– Piramidy, Benson. Piramidy to trójkąty. Trójkąty, które wychodzą na cztery strony świata.

– Nie bardzo... rozumiem – mówi Benson zmęczonym głosem.

– Skoro Curatoriat i Reduciat mają swoje symbole, to chyba Przyziemcy też powinni je mieć, prawda? To musi być trójkąt. Myślę, że to właśnie dlatego Reese powiedziała, że trójkąt wszystko zmienia. Pomyśl tylko. Gdybyś był starożytnym Egipcjaninem i zobaczył, że ktoś ma taką moc jak ja, co byś zrobił?

– Ukamienował go?

Uderzam go w ramię.

– Albo wybrał na p r z y w ó d c ę. Co więcej – dodaję i rozpromieniam się na samą myśl – może byś nawet uznał, że twoi faraonowie są b o g a m i. Chociaż w rzeczywistości nie są – dodaję pospiesznie. – Wydaje mi się, że to brzmi sensownie.

Tym razem Benson kiwa głową.

– Owszem – potwierdza. – Coś jeszcze tam napisał?

– Trudno to odcyfrować. – Nawet nie staram się ukryć rozczarowania. – Na razie doszłam tylko do jednej rzeczy o tych dwóch bractwach – śmieję się ponuro. – Resztę sobie dopowiedziałam.

– Jesteś pewna, że Quinn nie zginął w tamtej kryjówce? – pyta Benson, zgniatając śmieci.

– Jestem pewna. Mieli tam zginąć. – Z trudem odrywam się od dziennika. – Ale... uciekli.

– Zaczyna mnie boleć głowa, gdy o tym myślę, ale teraz, kiedy się najadłam, ból nie jest aż tak dokuczliwy.

– Skąd wiesz?

– To zupełnie jak przypominanie sobie filmu, który widziało się bardzo dawno temu. Pamiętasz fabułę, ale żadnych szczegółów. A im bardziej próbuję sobie wszystko przypomnieć, tym jest mi trudniej.

– Może Quinn próbował do ciebie przemówić przez ten obrazek. No wiesz, takie nadprzyrodzone przejście pomiędzy światami.

– I wybrał sobie przypadkową, totalnie pokiereszowaną dziewczynę, żeby się skomunikować? – Unoszę brwi z powątpiewaniem.

– Wcale nie przypadkową. Innego Przyziemca. Jak on sam. Może to tylko w ten sposób działa.

Zastanawiam się nad tym i dochodzę do wniosku, że to – co za koszmar – absolutnie prawdopodobne. Przyznaję, nie chcę być Przyziemcem, cokolwiek to oznacza. Nie chcę być nikim szczególnym. Ale jeśli Quinn mnie wybrał, najwyraźniej mogę coś dla niego zrobić.

– Chyba powinniśmy pojechać do tego domu. Do domu Quinna.

– Problem polega na tym, że nie wiemy, gdzie...

– Ja wiem – szepczę, doznając nagłego olśnienia. – Wiem, gdzie on jest.

Benson zerka na zegar na desce rozdzielczej i wcale nie kryje sceptycyzmu.

– Już za późno, żeby gdziekolwiek jechać, a zresztą uważam, że w takim stanie nie powinnaś dzisiaj już niczego robić.

– W takim razie jutro? – Zgadza się. Jestem zmęczona.

– Jeśli tego chcesz.

– Chcę. Muszę... muszę to rozgryźć – mówię. Zaczyna mnie ogarniać spokojna senność.

– Wiem. – Benson wzdycha głośno. Uznaję, że to dziwaczna odpowiedź, ale stwierdzam, że i on jest pewnie wykończony.

– Powinniśmy znaleźć jakieś miejsce do spania. Zaraz odpłynę.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. – Uśmiecha się. Spogląda w lusterko i rusza. – Śpij – mówi, obserwując nieliczne samochody. – Zajmie nam to około dwudziestu minut.

– Dokąd jedziemy?

– Śpij. To niespodzianka.

* * *

Mam wrażenie, że ledwo zamknęłam oczy, a Benson już mnie trąca.

– Jesteśmy na miejscu.

Nie rozumiem, dlaczego mnie budzi tylko po to, by poinformować, że mogę dalej spać, kiedy nagle mój znużony wzrok pada na światło.

Jeszcze nigdy nie byłam tak uradowana widokiem zwykłego hotelu Holiday Inn.

– Tutaj nocujemy? – pytam, prawie przyklejając się do szyby.

– Nie – odpowiada. – Przywiozłem cię tu tylko po to, żeby poszczuć prysznicem.

Możemy jechać dalej.

Dostaje ode mnie kuksańca w ramię, ale mój umysł już się zawiesił na słowie „prysznic”.

Chwytam plecak – czując drobne wyrzuty sumienia, że tylko ja z nas dwojga mam czyste ubranie na zmianę – i zaglądam do bagażnika, próbując oszacować, co jest najważniejsze.

– Dzienniki – postanawiam w końcu. – Muszę je zabrać. I przeczytać. – Mój umysł nadal nie pracuje na pełnych obrotach, tyle tylko udaje mi się wybrać, więc Benson wyjmuje książki.

– Chodźmy do środka. Nie chcę, żeby cię ktoś zobaczył.

– Nic mi nie będzie – mówię, jakby słowa mogły wszystko zmienić. – Gdzie jesteśmy?

– We Freeport. Niecałe sto kilometrów od Camden, ale jeszcze tu nie byliśmy. Staram się zagwarantować nam bezpieczeństwo – kończy cicho.

– I robisz to świetnie – odpowiadam, ciesząc się, że jest taki ostrożny. Ktokolwiek nas

ściga, jest inteligentny i wytrwały, i chociaż generalnie podziwiam te cechy w ludziach, to jednak znacznie mniej je cenię, kiedy mają doprowadzić do... do mojej śmierci. Gdy idziemy przez parking, przybliżam się do Bensona, muskam jego ramię swoim. – Jesteś moim Supermanem – mówię, stukając go w oprawki. – Okulary i w ogóle.

– Nie jestem żadnym bohaterem – odpowiada cicho.

Czuję się ośmielona, więc wsuwam dłoń w jego rękę i splatam nasze palce.

– Jesteś m o i m bohaterem.

Ściska moją rękę i otwiera drzwi, a ja próbuję nie czuć niepokoju na myśl, że właśnie wchodzę do hotelowego pokoju z Bensonem. Sama.

– Może idź się wykup – mówi, zatrzymując się w progu. Zapewne uświadomił sobie to samo co ja. – Pojadę sprzedać część złota.

– Teraz? – Panika na myśl, że sobie pójdzie, jest większa niż strach przed tym, że zostanie.

– Wolę zrobić to w nocy, kiedy trudniej rozpoznać samochód – odpowiada, wbijając wzrok w dywan. – Widziałem po drodze lombard, skupują złoto. Jeśli załatwię to dzisiaj, rano od razu będziemy mogli ruszyć w dalszą drogę.

Jego zakłopotanie dziwnie mnie ośmiela, robię krok do przodu i kładę mu ręce na biodrach.

– Chciałabym jechać od razu – mówię.

– Ja też – odpowiada tak cicho, że ledwo go słyszę. Waha się, a potem przysuwa głowę bliżej mnie. – Jesteś pewna, że wszystko będzie w porządku, jeśli zostaniesz sama na godzinkę? – szepcze.

Tylko co znaczy „w porządku”? Z pewnością nie to samo co wczoraj, co w zeszłym tygodniu czy miesiącu. Chwilowo „w porządku” sprowadza się do tego, że jeszcze żyję.

– Pewnie – mówię, chociaż wiem, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Przytula mnie. Dotykamy się czołami i już sędzę, że na tym się skończy, ale on przesuwa palcem po mojej brodzie i unosi podbródek. Pocałunek jest w zasadzie jedynie muśnięciem warg, ale kojący spokój rozlewa mi się po brzuchu i dociera do kończyn.

– Wykup się. I możesz iść spać. Nie wiem, ile mi to zajmie.

Kiwam głową, chociaż wiem, że nie zasnę, dopóki nie wróci, dopóki nie zyskam pewności, że jest bezpieczny.

– Uważaj na siebie.

– Nie otwieraj nikomu drzwi – ostrzega, mimo że doskonale to wiem.

– Tylko tobie – obiecuję i patrzę mu w oczy, dopóki drzwi się nie zamkną. – Tylko tobie – powtarzam, uwalniając wyszeptane wcześniej słowa.

Pięć minut później wchodzę pod strumień gorącej wody i wzdycham ze szczęścia. Namydłam się dwukrotnie i masuję obolały kark, a potem oglądam moje smętne, poobijane ciało. Różowe blizny z prawej strony w miejscu, w którym dwa złamane żebra przebiły mi skórę, to pamiątka po katastrofie. Blizna na udzie ze śladami po staplerach znaczy fragment, w którym lekarze poskładali najbardziej pogruchotane kości za pomocą metalowej płytki. To wszystko plus drobne – powiedzmy – ślady po rurkach do tracheotomii i karmienia jest mi tak dobrze znane, że już nawet nie pamiętam, jak wyglądałam bez blizn.

Kręcę głową, myśląc o tym, że Elizabeth nazwała mnie Przyziemcem. To ciało, upstrzone bliznami i sińcami, powinno świadczyć o tym, że się myliła. Że była w błędzie. Istota pozaziemska nie mogłaby być tak pokiereszowana. Gdyby nie moja moc, w życiu bym jej nie uwierzyła.

A teraz mam kolejne ślady.

Potężny siniak właśnie zakwita mi na lewym biodrze – to pamiątka po upadku podczas ucieczki przed Quinnem. Krawędzie zaczynają żółknąć, a środek przypomina kolorem bakłażana. Na kolanach i rękach mam zadrapania od chodnika z dzisiejszego dnia, nadal mnie nieco szczypią, bo kilka minut temu mocno je szorowałam.

Szukam wzrokiem miejsca na ramieniu, w którym czuję ból, i dostrzegam tworzące się zarysy sińców. Benson wbił tu palce, kiedy odciągał mnie od tamtego samochodu.

Kiedy ratował mnie przed śmiercią.

Na ich widok kiwam głową z uśmiechem. Nie powiem mu o tym. Czułby się paskudnie. Benson nigdy by mnie nie skrzywdził. Nie celowo.

Czasem myślę, że tylko on.

Mama.

Tata.

Ale ich już nie ma.

Przeszywa mnie nagle poczucie winy, gdy zdaję sobie sprawę, że w ciągu kilku ostatnich dni właściwie nie myślałam o rodzicach. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, że powoli, bardzo powoli Benson zajął ich miejsce. Jest kimś, komu mogę zaufać w każdej sprawie. I nie chodzi o wielkie tajemnice, jak moja moc czy ludzie, którzy próbują mnie zabić, ale o rozmaite głupstwa. Ten moment w czwartej klasie, kiedy śmiałam się tak, że aż zmoczyłam majtki, albo pisklę, które wypadło z gniazda, a ja próbowałam je uratować... i potem płakałam, bo oczywiście nie przeżyło. Wspomnienia, którymi zwykle dzielimy się jedynie z najbliższymi.

Z rodziną.

Prostuję się zaskoczona, bo to słowo przebiega mi pędem przez głowę, a potem osiada w miejscu.

Niby dlaczego Benson nie mógłby zostać moją rodziną?

Przypominam sobie ostrzeżenia Elizabeth i aż czerwienieję z gniewu.

Nikt, a b s o l u t n i e n i k t, nie wykazał się taką lojalnością jak Benson. Jest lepszy niż oni wszyscy razem wzięci.

Stoję pod strumieniem gorącej wody, aż całe ciało mi różowieje, a potem nie spieszę się z ubieraniem. Suszę krótkie włosy głośną suszarką hotelową, wkładam prostą koszulkę oraz legginsy i wreszcie smaruję podrapane ręce i ramiona stojącym w łazience balsamem. To wszystko wydaje mi się luksusem.

Jestem zbyt spięta, żeby zasnąć. Próbuję oglądać telewizję, ale we wszystkich stacjach mówią o kolejnym ataku tajemniczego wirusa – tym razem w niewielkim miasteczku na północ

od granicy amerykańsko-kanadyjskiej.

Stuprocentowa śmiertelność. Aż mi się żołądek kurczy na tę wiadomość.

Słyszę w głowie słowa Jaya: „Moja praca... Znaleźliśmy powiązania między Reduciatem a wirusem. Jeśli odejdziesz, nie jestem pewien, czy...”.

Co chciał powiedzieć? Po raz pierwszy niemal żałuję, że nie zostałam. Że go nie wysłuchałam. Czy coś tak okropnego może być dziełem organizacji, która najwyraźniej nie ma co robić i zajmuje się ściganiem osiemnastoletniej dziewczyny? Wydaje mi się to nieprawdopodobne.

W wiadomościach pojawia się lekarz, opisuje symptomy wirusa i potencjalnych nosicieli. Zamykam oczy, odpływam, nie chcę tego słuchać.

Mam serdecznie dosyć złych wieści.

Wyłączam telewizor i zabieram się do czytania starych dzienników. Od rana nie miałam okazji, żeby chociaż przejrzeć zapiski Rebekki, przerzucam więc kartki do końca, by zobaczyć ten tajemniczy język.

Pismo to samo, tyle że Benson miał rację: nie da się tego odczytać.

Biorę więc do ręki o wiele krótszy pamiętnik Quinna.

Quinn nie wdaje się w szczegóły, jednak jego krótkie notki w zupełności mi wystarczają. Jeśli mam mu wierzyć, obie grupy – bractwa, jak je nazywa – maczały palce we wszystkim, począwszy od rewolucji francuskiej, templariuszy i soboru nicejskiego. Zmieniały historię.

T w o r z y ł y historię.

Powinna zwrócić uwagę na to, jak powszechnym symbolem w całej historii ludzkości był trójkąt. Templariusze, masoni, Egipcjanie. Kurczę, pojawia się nawet na dolarach. Przyjemcy, a za ich sprawą oba bractwa, wyryli głęboki ślad w dziejach cywilizacji.

Jeżeli wcześniej się bałam, to teraz jestem p r z e r a ż o n a.

Nic dziwnego, że zawsze są krok przed nami. W końcu mają t y s i ą c e lat praktyki.

Słyszę dźwięk otwieranego zamka i serce mi podskakuje. Benson zagląda ostrożnie do środka, zapewne sprawdza, czy śpię, po czym wślizguje się do pokoju.

Zerkam na zegar i ze zdumieniem stwierdzam, że od momentu, kiedy wyszedł, minęły już dwie godziny. Ledwo zauważyłam, że upłynęło tyle czasu.

Wchodzi i bez słowa zamyka za sobą drzwi. Przez dłuższą chwilę stoi zwrócony do mnie plecami, a potem się obraca. Unoszę obie ręce do ust, powstrzymując krzyk. Oko robi mu się fioletowe, jutro z pewnością będzie miał wielkiego sińca. Na policzku widać skaleczenie ze smugą krwi. Całości dopełniają potargane włosy i krwawiące przez chusteczkę kostki prawej ręki.

– Jezus Maria, Benson! Co się stało? – Podbiegam, ale wyciąga ostrzegawczo rękę, więc zatrzymuję się w pół kroku.

– Proszę, nie – mówi łamiącym się głosem. – Chyba mam poobijane zębra.

– Co się stało, do diabła?

– Zabieraj rzeczy, musimy stąd spadać.

– Jak to: spadać?

– Niedaleko, ale tu nie jesteśmy bezpieczni. Po drugiej stronie ulicy jest inny hotel.

– Ale...

– Tavia, nie mamy czasu!

Desperacja bijąca z jego głosu podrywa mnie do działania. Obiegam pokój, zbieram wszystko, co zobaczę, i upycham do plecaka. Przyciskam go do siebie i narzucam kurtkę, a Benson otwiera drzwi. Lodowate powietrze owiewa moje bosa stopy, które wsunęłam w tenisówki, ale kiedy Benson odwraca się i pyta, czy jestem gotowa do biegu, potwierdzam

skinieniem głowy.

Pędzimy przez śnieg, starając się nie poślizgnąć na oblodzonym chodniku, i mkniemy z jednego hotelowego parkingu na drugi. Benson prowadzi nas do odległego skrzydła, po czym sięga do kieszeni.

– Stań tutaj, przede mną – mówi, pokazując ręką.

Spełniam polecenie, początkowo zdezorientowana, ale zaczynam rozumieć, co jest grane, kiedy wkłada w zamek swoje miniaturowe wytrychy.

– Nie w y n a j ą ł e ś nam pokoju? – pytam szeptem.

– A chcesz rano być martwa? – ripostuje, okazując całkowicie niepodobną do niego niecierpliwość.

Dopiero wtedy dociera do mnie, jak bardzo się boi.

– Nie – odpowiadam cicho. – Dziękuję.

Chwilę później drzwi są otwarte, a Benson gestem zaprasza mnie do środka. Opuszcza mój plecak na podłogę i zapala światło. Naszym oczom ukazuje się lustrzane odbicie pokoju, z którego właśnie uciekliśmy: inna kolorystyka, jedna lampa mniej, cała reszta zupełnie taka sama.

Zapada ciężka, gęsta cisza.

– Co ci się stało? – pytam w końcu. Mam paskudne podejrzenia, że to moje kłopoty są tego przyczyną. Od razu myślę o facecie w okularach przeciwsłonecznych, któremu udało się wysłedzić nas do biblioteki. A dzisiaj rano widać nie byliśmy wystarczająco ostrożni.

– Możemy o tym nie rozmawiać? – prosi. Ma tak zmęczony głos, że prawie ustępuję, ale przecież nie mogę n i e w i e d z i e ć.

– Tylko ogólny zarys – mówię.

– Pojechałem do lombardu, tak jak ci mówiłem, i wymieniłem złoto na gotówkę. Byłem tak oszołomiony tym, ile pieniędzy udało mi się zdobyć, że zacząłem się zachowywać nieostrożnie. Za mało czujnie. Panowała ciemność, więc... stałem się łatwym celem.

– Och, nie – jęczę, bo już wiem, co dalej nastąpi.

Benson odwraca się i zaczyna opróżniać kieszenie. Na stoliku nocnym pojawia się gruby plik dwudziestodolarówek. A może to są setki?

– Więc nagle wyskoczył jakiś facet – ciągnie znużonym tonem. – Przystawił mi pistolet do głowy i chciał wiedzieć, gdzie jesteś.

– Gdzie j a jestem? – Miałam rację. Czuję ucisk w żołądku. – I co zrobiłeś?

Nie odwraca się, tylko unosi owiniętą w chusteczkę pięść.

– Dałem mu w zęby. – Śmieje się ze smutkiem. – Nie bardzo mu się to spodobało – dodaje, pokazując na podbite oko.

Ciężko przełykam ślinę, zastanawiając się, czy nie złamał sobie kości w rękę.

– Jak mu uciekłeś?

– Udało mi się wymierzyć kilka celnych ciosów, gość wpadł w śnieg, a ja wskoczyłem do auta. Nie strzelał. Zapewne nie chciał mnie zabić, dopóki się nie dowie, gdzie jesteś.

– Benson. – Muskam palcami jego plecy przez mokrą kurtkę.

– Nie. Proszę.

– Dobrze – odpowiadam szeptem, nic nie rozumiejąc.

– Jesteś czysta – mamrocze bez większego przekonania. – A ja brudny. Nie chcesz mnie dotykać.

– Ja... – Tylko co mam niby powiedzieć? Prawda jest taka, że pragnę go dotykać, i to tak bardzo, że ledwo się powstrzymuję. Tyle że nic bym nie wskórała.

– Powinienem się wykąpać – mówi, a ja się odwracam, dając mu prywatność, o którą tak

otwarcie prosi. Po kilku sekundach słyszę zduszone przekleństwo, spoglądam więc i widzę, że udało mu się zdjąć kurtkę, ale ze względu na poharataną rękę męczy się z guzikami koszuli.

– Pomogę ci. – Podbiegam, a on odskakuje niczym przestraszony zając. Wygląda na tak zmęczonego jak ja, zupełnie jakby w ciągu ostatniego tygodnia postarzał się o pięć lat.

Zamieram i przyglądam mu się przez chwilę oczami artysty. Zastanawiam się, czy ja też wyglądam podobnie, czy to dlatego Reese wydawała się taka zmartwiona. Czy na mojej twarzy także wszystko widać, tak jak teraz na jego? Jeśli tak, nie jestem w stanie ukryć moich uczuć.

– Benson – szepczę cicho, ale stanowczo. Uspokaja się, chociaż nadal ma dzikie spojrzenie. Podchodzę powoli, odpinam guziki koszuli z góry na dół, aż pod spodem ukazuje się biała koszulka. Potem rozwijam podwinięty lewy rękaw, i tak już podarty aż do łokcia.

– Dalej sobie poradzę – mówi, ale rzucam mu stanowcze spojrzenie, więc stoi spokojnie, kiedy ostrożnie odsuwam mokry materiał i unoszę dół koszulki.

– Och, Benson – mówię cicho. Cały tors ma pokryty fioletowymi sińcami, które wyglądają tak samo paskudnie jak mój krwiak na biodrze. – Odwróć się. – Ciągnę, ale chwytam za koszulkę i zapiera się bez słowa.

Poddaję się. To nie ma znaczenia. Jeśli jego plecy wyglądają podobnie jak klatka piersiowa, nie wiem, czy chcę to oglądać.

– Jesteś pewien, że nie masz połamanych żeber? – pytam, zszokowana tym, jak został pobity.

Dlatego, że nie chciał mnie zdradzić.

– Niczego nie jestem pewien – odpowiada ochryple.

Powolnym ruchem chwytam go za brodę i odwracam jego twarz, bacznie się jej przyglądając. Zamyka oczy, a ja przygryzam wargę, patrząc na rozdartą skórę na policzku oraz niezauważone wcześniej skaleczenie, które ciągnie się aż po linię włosów. Zapewne pochodzi od wygiętej oprawki okularów.

– Ben – szepczę. Spod przymkniętej powieki wypływa mu łza i żłobi rowek w policzku.

Staję na palcach, pochylam się tak, by się o niego nie opierać, i całowuję łzę. Czuję na języku jej słony smak i w głębi duszy nienawidzę osoby, która zrobiła coś takiego mojemu Bensonowi.

Kucam przy nim, a kiedy siada na łóżku bez napominania i pozwala mi rozwiązać sznurowadła, zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest rozbity psychicznie. Protestuje nieśmiało, gdy zacznym mu zdejmować skarpetki, ale niespecjalnie się opiera.

Wciąga głęboko powietrze, kiedy sięgam do rozporoka.

– Tylko guzik – mówię, pochylając się nad jego ramieniem. – I możesz iść pod prysznic.

Kiwa głową, a ja ostrożnie odpinam mu spodnie i chwytam za – wydawałoby się – nienaruszony łokieć, żeby pomóc mu wstać. Dusi w sobie jęk i idzie do łazienki.

Przez dłuższy czas wpatruję się w zamknięte drzwi. Wzbiera we mnie poczucie winy, wypełnia mnie wstydem. Gdyby nie ja, nie byłoby tu Bensona, nie cierpiałby z mojego powodu. Nie ma co do tego wątpliwości: to wszystko moja wina.

Leżę bezradnie w łóżku i nasłuchuję przez cienkie ścianki, jak Benson wchodzi pod prysznic, a potem spod niego wychodzi. Włącza suszarkę i słyszę, że dmucha, dmucha bez przerwy. Zastanawiam się, czy coś z nią robi, czy tylko zagłusza odgłosy bólu. Mija prawie pół godziny, w końcu otwiera drzwi i wychodzi. Wygląda odrobinę lepiej.

Nie sprawia wrażenia pokonanego.

– Jeszcze nie śpisz? – pyta, unikając mojego spojrzenia. Chowa się za drzwiami tak, że widać tylko jego głowę i ramię. Włosy ma pociemniałe od wody, mokre i dopiero co uczesane. Wygląda młodziej niż zwykle.

– Czekam na ciebie – odpowiadam z łóżka i zastanawiam się, skąd wzięłam odwagę. Splatam palce, niepewna, czy czuję strach, czy raczej ekscytację.

Benson oblewa się rumieńcem. Gasi światło w łazience i wyłania się zza drzwi. Teraz rozumiem, skąd ta nieśmiałość, i powstrzymuję uśmiech. W przeciwieństwie do mnie nie ma czystych ubrań – włożył ponownie koszulkę i bokserki, zapewne wysuszył je w łazience.

– Przepraszam, że jest tylko jedno łóżko – mamrocze, nie patrząc mi w oczy. – Nie miałem czasu sprawdzić, co to za pokój. Ja... ja... ja będę spał na sofie.

– Nie musisz – wyrzucam z siebie. – No wiesz, tu jest sporo miejsca.

– Ja... to chyba nie jest dobry pomysł.

Kiwam głową, próbując ukryć rozczarowanie. Naciągam ciężkie, ciepłe przykrycie, które po nocowaniu w samochodzie, gdzie byłam zmarznięta i przemoczona, wydaje się lekkie jak chmurka. Jednak i tak nie mogę zasnąć.

Benson wyciąga z szafy dodatkowy koc, strzepuje go i rozkłada na sofie, która jest bardziej siedziskiem niż miejscem do spania. Przy jego wroście nogi będą mu zwisały poza krawędź i nie wiem, czy ten obraz jest bardziej zabawny, czy przygnębiający. Pochyla się, a wtedy biała koszulka napina mu się na ramionach i dostrzegam na ciele ciemny kształt. Uśmiecham się do siebie, bo zdaję sobie sprawę, że to tatuaż. To właśnie tego nie chciał mi pokazać przy rozbieraniu. Zastanawiam się, co taki chłopak jak Benson mógł sobie wytatuować.

I czy się teraz tego wstydzi.

Ścieli swoje „łóżko” i przygląda się małej powierzchni do spania. Jaka szkoda, że nie mogę s t w o r z y ć mu czegoś lepszego. Mimo niechęci do korzystania z mojej mocy nie zawahałabym się ani przez chwilę.

Tylko co komu po znikającym łóżku? Czuję się taka bezradna.

Nagle zauważam, że Benson wpatruje się w puchatą poduszkę obok tej, na której ja leżę.

Widzę jego wahanie, ale zwycięża wygoda. Podchodzi i pokazuje palcem.

– Mogę?

– Oczywiście.

Kiedy wyciąga rękę, chwytam go za nadgarstek.

– Zostań – proszę.

Tylko jedno słowo.

Uśmiecha się nerwowo.

– Nie, naprawdę. Oboje lepiej się wyśpimy, jeśli... – zawiesza głos i pokazuje na sofę.

Wycofuje się bez słowa, bo nie wie, co powiedzieć. Chwilę później światło gaśnie, a ja słyszę szelest koca, gdy się kładzie.

Próbuję zasnąć, jednak łóżko wydaje mi się zbyt wielkie i czuję się dziwnie niepewnie.

– Benson? – szepczę po dwudziestu minutach prób uspokojenia skołatanego umysłu.

Natychmiast się podrywa.

– Wszystko w porządku? – pyta z paniką w głosie.

Przeszywa mnie poczucie winy, pewno dopiero co zasnął.

– Zimno mi.

– Podkręcę ogrzewanie – odpowiada bez wahania, odrzucając koc.

– Nie tak – odpowiadam. Serce mi bije tak gwałtownie, że słyszę jego łomot.

– Co takiego?

– Nie tak – powtarzam. – Ben, przytul mnie, proszę. – Zaczynam mocnym głosem, ale kończę ledwo słyszalnie.

– Tave, ja... nie powinienem. Ty nie... – W jego głosie słychać coś dziwnie przypominającego szloch i zanim się spostrzegę, kołdra ląduje obok, a ramiona Bensona

przyciągają mnie gwałtownie. Wydaje z siebie jęk, gdy przytula mnie do obolałych żeber.

– Ostrożnie – mówię. – Sprawiam ci ból.

– Nieważne – odpowiada, muskając wargami moją szyję, zanurzając palce w moich czystych, miękkich włosach. – Tak bardzo cię pragnę, że to nie ma znaczenia. – Przyciska mnie mocno do siebie, wbijając mi palce w plecy. Ten ból jest nawet przyjemny, teraz rozumiem, co on czuje.

Jego usta – brutalne, a zarazem delikatne niczym płatki kwiatów – znajdują moje wargi. Chwytam go za koszulkę i przyciągam do siebie. Nasze nogi splatają się, biodra stają się jednym, jego palce przesuwają się po skórze między moimi spodenkami i bluzką.

Cała płonę, każdy mój nerw wyśpiewuje anielskie refreny, które odbijają się echem w głowie, tłumiąc wszelkie słowa, wątpliwości, lęki. Całuję go namiętnie, nie przejmuję się tym, że ledwo wiem, co robię. To nie ma znaczenia, z Bensonem wszystko jest tak, jak być powinno. Nie przestaję, dopóki oboje nie zaczynamy ciężko dyszeć. Odgarnia mi krótkie włosy z czoła, przyciska moją twarz do swojej cieplej szyi, opiera podbródek na mojej głowie.

Leżymy w milczeniu, nasze serca początkowo biją szybko, a potem zwalniają i uderzają niemal jak w tandemie. Robię długi wydech i chyba po raz pierwszy od wielu tygodni czuję, że moje ciało się rozluźnia. Chcę pozostać na jawie, pragnę napawać się tym, że leżę w ramionach Bena. Bez gorączkowej rozpaczającej większości naszych dotychczasowych zbliżeń, które miały w sobie choćby cień romantyczności. Jednak moja świadomość zbyt szybko odpływa, i kiedy ponownie otwieram oczy, jest już poranek.

W porannym świetle wygląda naprawdę pięknie.

Wiem, że „piękny” to dziwne określenie faceta, ale akurat idealnie pasuje. Promień słońca płynący od okna rozświetla mu końcówki rzęs, a mimo podbitego oka, bez okularów, wydaje się taki chłopiący.

Budzi się powoli i uśmiecha, gdy zdaje sobie sprawę, że go obserwuję.

– Bałem się, że to był tylko sen – mówi z zakłopotaniem.

Musieliśmy być wykończeni, bo właśnie dochodzi jedenasta. Chętnie bym poleniuchowała, a nawet spędziła cały dzień z Bensonem w pokoju hotelowym z prysznicem i jednym łóżkiem, ale świadomość, że udało nam się zgubić ogon na całe dwanaście godzin, wzbudza w nas pragnienie, by ruszyć w drogę i utrzymać tę przewagę.

Zwłaszcza że dzisiaj wracamy do Camden.

Zarzucam plecak na ramię, Benson bierze dzienniki, ale po wyjściu, zamiast kierować się na lewo, skręca w prawo, w przeciwną stronę niż hotel, w którym wcześniej byliśmy. Niż parking, na którym zostawiliśmy auto Reese.

– Dokąd idziesz? – pytam.

– Po samochód – odpowiada z taką samą posępną miną, z jaką wrócił po pobiciu. Jakby wiedział, że stało się coś złego, a za chwilę nastąpi coś jeszcze gorszego.

Początkowo nie rozumiem, czemu wydaje się taki przybity, ale rozgląda się uważnie dookoła, a potem pochyla nad ciemnozieloną hondą i zaczyna majstrować coś przy zamku.

– K r a d n i e s z auto? – pytam przerażona.

Przerywa to, co robi, i podnosi wzrok.

– Popełniłbym niejedno przestępstwo, bylebyś była bezpieczna, Tave – stwierdza z taką żarliwością, że aż mi się robi ciepło. – Powinnas się cieszyć, że nikogo nie musiałem przy tym skrzywdzić.

Próbuję udawać, że wcale nie jestem jego współnikiem, że nie uczestniczę w kolejnym przestępstwie. Siadam na miejscu pasażera, a on waha się, a potem zawraca i kieruje się w stronę hotelu Holiday Inn.

– Chciałem tylko zerknąć.

Przed skrzydłem, w którym mieścił się nasz poprzedni pokój, stoją cztery wozy policyjne i jeden strażacki. Ich światła migają na niebiesko. Mój wzrok pada na czarny dym unoszący się ze zwęglonej kupy metalu, która niegdyś była beemką Reese. Strażak polewa ją wątlm strumieniem wody. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że auto leży na dachu.

Odwracam głowę, by spojrzeć na pokój, w którym o mały włos spędzilibyśmy noc. Wyłamane drzwi leżą na chodniku w kilku kawałkach, ziemię pokrywają drobiny szkła po roztrzaskanym przednim oknie. Z jednej strony pustej framugi wisi podarta zasłonka, w środku dostrzegam oparty o ścianę materac i przewrócony stojak pod telewizor.

– Nie patrz już – mówi Benson, a ja odwracam wzrok.

– Wynośmy się stąd – mówię i wcale się nie wstydzę drżenia w głosie. Chwytam Bensaona za rękę, ale poluzowuję uchwyt, bo przypominam sobie, że to ta poharatana dłoń. W odpowiedzi obdarza mnie zbolałym uśmiechem.

– To dokąd jedziemy? – pyta, gdy wyjeżdżamy na drogę główną.

– Dom był na obrzeżach Camden – mówię, ciężko przełykając ślinę. – Jedź tędy.

Teraz już wiem, kim jest Quinn. W niczym nie przypomina tych, którzy na mnie polują: członków Reduciatu, faceta w okularach przeciwsłonecznych, Reese i Jaya, kimkolwiek są – jest taki jak ja. Jest Przyziemcem.

Jest też duchem, który nie może mnie skrzywdzić. A jednak c o ś zrobić może. Od naszego pierwszego spotkania ma pewną kontrolę nade mną i nad moimi emocjami. Nie powiedziałabym, że zmusza mnie do czegokolwiek, ale mimo wszystko jestem przerażona tym, z jaką łatwością wymknęłam się Bensonowi i poszłam za nim w las.

W środku nocy.

Tyle się mogło zdarzyć, a co gorsza – doskonale sobie z tego zdawałam sprawę. I mimo to poszłam.

A teraz pokój hotelowy. Samochód. Chyba nie rozumiałam, jak brutalni potrafią być ludzie, którzy nas ścigają. Tej nocy, której poszłam za Quinnem, Benson mógł spłonąć żywcem w aucie.

Mógł zginąć przeze mnie.

Kiedy sobie to uświadamiam, uznaję, że trzymanie go za dłoń mi nie wystarcza. Oplatam rękę wokół jego ramienia, przytulam do siebie, lekko opieram na nim głowę, kiedy prowadzi. Potrzebuję czuć ciepło jego skóry, jego oddech, delikatne bicie serca. Znaki świadczące o tym, że żyje.

Że jest mój.

Obiecuję sobie w duszy, że nigdy nie pozwolę, by mi go zabrali.

Jaka szkoda, że nie wiem, kim naprawdę są ci, którzy nas ścigają. Kto stoi za zniszczeniem hotelu. Niestety, jest kilka możliwości. Reese i Jay to raz – ale nie wierzę, że byliby zdolni do czegoś takiego. Przemoc pasuje bardziej do gościa w okularach. Tylko dla kogo on pracuje? Dla Reduciatu? To wszystko byłoby zdecydowanie prostsze, gdybym przynajmniej wiedziała, p r z e d k i m uciekam.

Znajdujemy się około ośmiu kilometrów od Camden, kiedy zaczynam czuć ucisk w żołądku. Powrót do miasta, w którym byliśmy już dwukrotnie, wydaje się zbyt niebezpieczny, mimo że nie udajemy się w to samo miejsce. Przy tak małej miejscowości nie ma większego znaczenia, czy pojedziemy do domu Quinna, czy do jego kryjówki. Ktokolwiek nas śledził, z pewnością wie, że zatrzymaliśmy się w Camden, a potem pojechaliśmy do Holiday Inn. Prawdopodobnie doskonale zdaje sobie także sprawę z naszego pierwszego przystanku w tym mieście. Już widzę oczami wyobraźni, jak nasi przeciwnicy czekają w ukryciu z przygotowaną bronią. To nie jest zachęcająca wizja.

– Gotowa? – pyta Benson, kiedy naszym oczom ukazuje się tablica z nazwą miasta.

Nie wiem, czy bardziej boję się, że ktoś nas tam oczekuje, czy raczej... że nic tam nie znajdziemy. Ani domu, ani odpowiedzi, ani żadnej wskazówki. Jeśli niczego się nie dowiem, nie jestem pewna, czy starczy mi sił, by dożyć następnego dnia.

– Jak najbardziej – odpowiadam.

Kilka minut później skręcamy w uliczkę za miastem i kiedy zabudowa przerzedza się, czuję, że powoli spada mi kamień z serca. Mniej miejsc, w których mógłby czaić się morderca. Chciałabym przeżyć chociaż jeden dzień, w którym nikt nie próbowałby mnie zabić. Chyba nie proszę o zbyt wiele?

Jedziemy teraz zniszczoną boczną drogą, po obu stronach rośnie las.

– Zaraz powinna być lepsza szosa – mówię i pochylam się do przodu, wypatrując asfaltu.

Benson pokazuje na kiepską nawierzchnię, świadczącą o latach zaniedbania, i zaraz zjeżdżamy z łoskotem z krawężnika.

– Jak dobrze, że nie jesteś seryjnym mordercą – mówi z uśmiechem i trąca mnie ramieniem. – To byłoby idealne miejsce, żeby pozbyć się ciała.

„Dziękuję ci bardzo za ten sugestywny obraz”, myślę sobie. Wiem, że ta uwaga miała rozluźnić atmosferę, ale dziwnym trafem tylko pogorszyła sytuację. Teraz wszystko wydaje się

poważniejsze. Bardziej niebezpieczne.

– Przynajmniej nie widać, żeby ktoś nas śledził – mówię. – Mam wrażenie, że to dom przybliży się do nas, a nie my do niego. – Już prawie jesteśmy – dodaję, wypatrując budynku między drzewami. Widzę tylko wąską ścieżkę, na której nie zmieści się nawet mały, kompaktowy samochód.

– Czas ruszyć pieszo? – pyta Benson, a ja kiwam głową, bo nie jestem w stanie wydusić słowa. Gardło mam ściśnięte.

W przeciwieństwie do wczorajszego wieczoru dzisiaj słońce świeci jak szalone i roztopia śnieg, który spadł dwa dni temu. Chciałabym uznać to za dobry omen, ale wiem, że to tylko świadectwo tego, jak bardzo popieprzony jest ten świat.

Ścieżka jest błotnista, pokryta mokrą, śliską trawą, a kiedy poruszamy gałązkami, woda z młodych listków kapie nam prosto na głowy. Nie musimy iść daleko, dróżka kończy się w miejscu, w którym – jak wiem – kiedyś stał biały płot. Nic z niego nie zostało.

Ani z niego, ani z domu.

Czuję wielkie rozczarowanie. Głupotą z mojej strony było sądzić, że dom Quinna nadal tu stoi i wygląda tak samo jak na malowidle. Idę po wieloletniej warstwie opadłych liści i tłumaczę sobie, że przecież dwieście lat to szmat czasu. Mój wzrok pada na ścieżkę prowadzącą do budynku, który teraz istnieje wyłącznie w pamięci – Quinna, ale mam wrażenie, że także mojej.

Podchodzę bliżej do miejsca, gdzie kiedyś stał dom.

Nie ma tu prawie nic, widać jedynie zarys tego, co niegdyś mogło stanowić fundamenty, a teraz jest pokryte zielonym mchem. Po północnej stronie leży sterta kamieni. Myślę, że pochodzą z kominka, chociaż równie dobrze jakieś dzieci mogły je usypać dwadzieścia lat temu. Palce moich stóp też trafiają na kamienie, idę ich śladem z nadzieją, że pozwolą mi określić kształt budowli, która istniała tu w przeszłości. Dopiero kiedy skręcam po raz trzeci pod kątem prostym, zyskuję pewność, że to fundamenty.

– Wow – szepcze Benson, gdy do niego podchodzę. On też doszedł do podobnego wniosku. – A więc to tutaj.

Tak.

C z u j ę t o .

To świadomość czegoś dobrze znanego, której oczekiwałam w Camden. Teraz rozumiem, nie chodziło o miasto. Chodziło o to właśnie miejsce. Quinn chciał, żebym przyszła tutaj.

Zupełnie jakby usłyszał swoje imię w moich myślach, bo nagle wypełnia mnie swoją obecnością, przepelnia mi duszę bezgłośną muzyką, która przypomina wibracje potężnego dzwonu. Plecak ześlizguje mi się z ramienia i stoję przed tym, co kiedyś było frontem domu. Budynek nie był duży, w tamtych czasach nie wznoszono wielkich domów. Ale zupełnie wystarczający dla jednej osoby.

„Dla dwóch”, szepcze mój umysł. Niemal syczę z zazdrości i odpycham od siebie tę myśl. „Dlaczego jestem zazdrosna?” Przecież nie chcę Quinna! On jest nieprawdziwy!

Zresztą jest tu Benson. Benson, który został pobity z mojego powodu. Który ogrzał mnie w nocy swoim ciałem.

Znów spoglądam na zarys ruin i na podstawie tego, co zdążyłam zauważyć na obrazku w kryjówce Quinna, próbuję sobie wyobrazić, jak ten dom mógł wyglądać. Żółty, pokryty gładkimi, drewnianymi deseczkami. Po jednym oknie z każdej strony drzwi.

„I zasłonki”, nagle pojawia się myśl. „Zasłonki w czerwonej kratkę”.

Obraz, który widzę oczami wyobraźni, jest tak wyrazisty, że aż się cofam i zerkam jeszcze raz.

Na dom.

Prawdziwy.

„Nie do końca prawdziwy”, prostuję w myślach, chociaż z otwartymi ustami przyglądam się swojej wizji. Dom jest jak Quinn – wydaje się realistyczny, ale nie może taki być.

Stoję na tym, co kiedyś było gankiem. Rozciąga się na całej długości budynku, zadaszenie jest wsparte na cienkich białych kolumnach. Błyszczące dzwonki wietrzne kołyszają się, poruszane delikatnym wiatrem.

Dzwonki wietrzne.

Takie jak te, które zawiesiłam na ganku u Reese i Jaya.

Sama je tam umieściłam. Znalazłam je kilka miesięcy temu na pchlim targu – Reese zaśmiała się i oznajmiła, że jeśli chcę, mogę powiesić nawet dziesięć.

Więc powiesiłam.

W domu Quinna też były dzwonki.

„Zaczynam dostrzegać związki tam, gdzie ich nie ma”, besztam się w myślach. M n ó s t w o ludzi kolekcjonuje dzwonki.

Oczywiście, ostatnio dostrzegam wiele dziwnych rzeczy, więc może to nie najlepszy argument.

Jednak kiedy patrzę na drzwi wejściowe, aż się zapowietrzam.

Tuż ponad nimi błyszczy trójkąt, i to tak mocno, że razi w oczy. Zuchwale wisi na samym środku, nie ukryje się przed niczym wzrokiem. Równie dobrze mógłby tam widnieć napis: tu mieszka Przyziemiec.

Drzwi kuszą mnie, przywołują, i chociaż racjonalna część mojej natury wie, że nie są prawdziwe, i tak nie jestem w stanie się oprzeć. Robię krok do przodu i wyciągam rękę.

Moje palce zlewają się z klamką. Oczywiście, nie mogę jej dotknąć. Ale...

Zaciskam zęby i ruszam dalej. Gdy przechodzę przez solidnie wyglądające drzwi, czuję mrowienie na skórze. Chwilę później znajduję się w środku. Rozglądam się po pomieszczeniu z rozdziawionymi ustami, zauważam palenisko w kącie i jasnoszarą kamienną płytę nad kominkiem.

Przesuwam wzrok do kolejnego narożnika i przerażona dostrzegam stojącą tam kobietę. Jest odwrócona do mnie plecami i chociaż nic nie słyszę, wyczuwam, że coś nuci. Mam wrażenie, że wszystkie moje zmysły, oprócz wzroku, zostały wytłumione.

Kobieta naciąga narzutę na bogato rzeźbione łoże, a później podrzuca poduszkę, układa ją w dłoniach i kładzie na łóżko.

Nie widzę jej twarzy, ale poznaję ten gruby brązowy warkocz z malowidła. R e b e c c a. Z pewnością mieszkali tu razem.

Znów ogarnia mnie to irracjonalne, nieuzasadnione uczucie zazdrości, i wydaję z siebie jęk. Rebecca odwraca się, zupełnie jakby mnie usłyszała.

Gdy dostrzegam jej twarz, chwieję się i robię krok do tyłu.

Ona jest mną.

Albo kimś, kto wygląda zupełnie jak ja.

To nie ma sensu. Czyżby to była projekcja mojego zwariowanego mózgu?

Dziewczyna wpatruje się przed siebie w zamyśleniu, po czym jej dłonie wędrują do szyi.

Widzę naszyjnik i ogarnia mnie pragnienie, by wyrwać jej to świecące srebro z rąk.

Przyciskam kostki dłoni do ust i zmuszam się, żeby pozostać w miejscu.

Rebecca w milczeniu odwraca się do drzwi, a jej oczy się rozpromieniają.

Trzęsę się cała, powstrzymuję, by nie patrzeć, kto właśnie wszedł do domu.

Wiem, kto to jest.

Q u i n n.

Kapelusz przelatuje mi nad głową i ląduje na łóżku, a mnie ciarki przechodzą po ramieniu, bo czuję, że mnie muska, przechodząc. Chwilę później pojawia się na linii mojego wzroku. Nogi zaczynają mi drżeć, a potem uginają się pode mną. Wypełniają mnie wszystkie te emocje, których nie dopuszczałam do siebie przez ostatnie dni. Wypełniają mnie i przepełniają, bo moje ciało nie jest w stanie ich w sobie utrzymać.

Następny jest płaszcz. Przyciskam pięści do podłogi, gdy zsuwa go z długich, szczupłych ramion i ciska na łóżko, obok porzuconego kapelusza. Wyciąga ręce do Rebekki, ona podchodzi i ich ciała łączą się w uczuciu, którego nie mogę kwestionować. W krtani więźnie mi okrzyk przerażenia, zaciskam usta, by nie wydostał się na zewnątrz.

Słyszę za plecami Bensona, ale ledwo go rejestruję. Jest jak echo z innego świata, jak ktoś, kogo kiedyś znałam.

Powinłam się odwrócić, posłuchać, jednak zamiast tego wbijam wzrok w niezwykle bolesną, słodką scenę, w której Quinn bierze w ramiona inną kobietę. Ujmuje dłonią jej policzek, muska palcem podbródek. Dotykam palcami własnej twarzy, jakbym w ten sposób mogła zmusić jego dłonie, by to mnie pieściły, a nie ją.

Serce bije mi szybciej, po czym gwałtownie zwalnia. Każdy oddech to ogromny wysiłek. Zastanawiam się, czy to agonia, czy ekstaza, bo jestem pewna, że niedługo umrę. Nie zniosę tego dłużej.

Kiedy zdaję sobie sprawę, że to jednak agonia, czuję, jakby moja dusza została nagle wyrwana z ciała, a potem spoglądam na siebie z góry.

Ale tylko przez chwilę.

Osiadam.

Osiadam w dobrze sobie znanym miejscu.

Jestem w domu.

Jestem u siebie.

Zimny metal ciąży mi na szyi, unoszę powieki i mój wzrok napotyka odziany w białą koszulę męski tors. Natarczywe palce przysuwają moją brodę na spotkanie z ciepłymi ustami, a ramię przyciąga mnie do siebie.

Oczywiście. Mój umysł to wie, zanim jeszcze ja się o tym przekonam, a dopiero wtedy serce próbuje nas dogonić.

Quinn trzyma w objęciach tę kobietę.

Tuli Rebeccę.

Całuje m n i e.

Wargi Quinna są miękkie nie do opisania, zaczynam się obawiać, że jednak umrę od nagłego wybuchu ekstazy. Wewnątrz cała się trzęsę, ale dłonie Rebekki, moje dłonie, ze spokojem znajdują koniec jego fularu i ciągną delikatnie. Chustka poluzowuje się, supeł zostaje rozplątany zręcznymi palcami, a mnie wypełnia prymitywna żądza.

Podnoszę wzrok i spoglądam mu w twarz.

A wtedy wszystko nagle staje się jednością: moje palce, oczy i usta.

Mój Quinn.

Przez umysł przepływają mi myśli Rebekki. M o j e myśli. Nie obecne, ale przeszłe. Próbuje z nimi walczyć, ale to wszystko wydaje mi się takie właściwe, takie na miejscu, że ostatecznie poddaję się i pozwalam sobie być Rebeccą.

Znowu.

Nie opieram się, kiedy moje dłonie – dłonie Rebekki – przyciągają do siebie twarz Quinna, kiedy czuję pod palcami jego delikatny zarost. Unosi gwałtownie głowę, próbuję przysunąć go z powrotem do siebie, ale ręce odmawiają mi posłuszeństwa. Nie panuję nad tą sytuacją, to coś, co już się kiedyś zdarzyło, dwieście lat temu. Nie mogę tego zmienić, mogę jedynie odgrywać swoją rolę, myśleć te same myśli.

Ledwo to do mnie dociera, a nasze świadomości łączą się i już nie czuję się, jakbym oglądała film. Teraz znajduję się w samym środku wydarzeń.

Podbiegam do okna i aż wydaję z siebie okrzyk przerażenia, a on obejmuje mnie mocniej. Otacza nas co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn na koniach. Stoją w półkolu, zamaskowani, z pochodniami w dłoniach. Każdy ma przewieszony przez ramię karabin, niektórzy nawet dwa. Nie wiem, czy to lowcy czarownic, czy członkowie Reduciatu, mieliśmy już do czynienia i z jednymi, i z drugimi.

Tyle że jeśli należą do Reduciatu, dobrze wiedzą, jak nas zabić.

Przywieram do Quinna i obserwuję, jak jeźdźcy okrążają cały dom.

Nie będzie możliwości ucieczki.

Lzy szczypią mnie pod powiekami, muszę wziąć kilka głębokich, drżących oddechów, by je powstrzymać. I nie dlatego, że się boję – nie jesteśmy wszak bezbronni – ale ponieważ oznacza to konieczność ucieczki. Mieszkaliśmy tu w tajemnicy przez ponad rok. To była nasza bezpieczna przystań.

Raj na ziemi.

Przyjemcy zawsze muszą walczyć o to, aby być razem, my jednak wyszliśmy z tej walki zwycięsko. Odnależliśmy się, odblokowaliśmy miłość, której istoty ludzkie doznają jedynie w najśłodszych snach.

Dla nas te sny były rzeczywistością.

Lecz ci mężczyźni – te bestie – wszystko to nam teraz zabiorą.

Quinn wplata mi palce we włosy i szepcze:

– Bądź silna. – Muska nosem moje ucho. – Potrzebuję trzydziestu sekund. – Zaciskam dłonie na jego koszuli, czerpię z niego siłę, karmię się nią. Jeszcze jeden oddech i spoglądam mu w oczy.

To musi nastąpić teraz.

Odrywam się od niego, biegnę do drzwi i wypadam w mroźną noc. Lodowaty wiatr uderza mnie w policzki, wciągam zmrożone powietrze do płuc i kaszlę, wstrząsana chłodem.

Obejmuję się rękoma i unoszę głowę, by spojrzeć na stojące dookoła prychnące konie.

I czarne lufy karabinów.

Mierzy ich we mnie kilkanaście. Konie stoją jeden przy drugim w tak zwartym łuku, że nie ma mowy o ucieczce.

Podnoszę wzrok ponad broń, ku twarzom jeźdźców. Są dobrze zamaskowani, lecz nawet najlepszy kamuflaż nie ukryje ich oczu. Te oczy – wszystkie, bez wyjątku – płoną nienawiścią.

Żądzą mordy.

Ani cienia litości.

Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści. Bogowie, miejcie nas w swojej opiece. Oby Quinn był już gotowy.

Rzucam się z powrotem do domu, mój warkocz podskakuje w ciemności, jego końcówka zeszywniała od mrozu. Bez najmniejszego wahania okręcam się na pięcie, modląc się, by dali mi trzy sekundy, bo tyle potrzebuję, żeby zamknąć drzwi.

Słyszę głośny rechot i chociaż gniew daje o sobie znać, wiem, że ich bezdusność ocali mi życie.

Zatrząskuję drzwi, ale dźwięk zostaje zagłuszony dochodzącym zewsząd hukiem wystrzałów. Otwieram usta w przesywającym wrzasku, a wtedy silne dłonie chwytają mnie w stalowy uścisk i pchają w dół. Miękka tkanina zakrywa mi usta i tłumi krzyk, a zielone oczy Quinna napotykają mój wzrok i natychmiast mnie uspokajają, mimo nieustającej kanonady.

Wtem widzę, jak przewraca oczami, ukazując białka, i zaraz spowija nas całkowita ciemność.

– Nie – szepczę, ale słowo to odbija się echem w moim umyśle, nie wychodzi z ust Rebekki.

Nie widzę go. Zniknął!

– Nie! – krzyczę, lecz tylko zaczyna mnie boleć głowa, bo czaszka wypełnia się pogłosem krzyku, który nie jest w stanie wydostać się z krtani.

Moja dusza znów zostaje rozerwana i wracam do poranionego ciała Tavii – mojego ciała – otoczonego ruinami mojego – Rebekki – domu. Coś mnie powstrzymuje, zaczynam się miotać, chcę się uwolnić.

By do niego wrócić.

– Quinn!

– Tavia, przestań. To ja.

– Nie, to nie ty. To nie ty – szlocham. – Zniknąłeś! Wróć! – Przenikliwy głos rozbrzmiewa mi ponownie w uszach, już nie jest uwięziony w czaszce. Domyślam się, że wróciłam do teraźniejszości.

Jestem sobą. Już nie jestem Rebecą.

Jeszcze nigdy tak bardzo siebie nie nienawidziłam.

Trzęsę się i zdaję sobie sprawę – rozpaczliwie powoli – że to Benson mnie przytrzymuje.

– Tave, popatrz na mnie – mówi. Czuję jego palce na brodzie, unosi mi twarz. Niebieskie oczy wbijają się we mnie.

Niebieskie.

Nie zielone.

Niebieskie.

Benson.

Tavia.

Mój umysł nie jest w stanie sobie z tym poradzić, mam wrażenie, że pękam na pół, bo i Tavia, i Rebecca próbują zyskać nade mną kontrolę.

– Tavia, odezwij się!

Boi się.

Ale czego? To ja umieram, nie on.

Trzask suchych liści pod moimi plecami, kiedy osuwam się na ziemię, przywraca mnie do rzeczywistości. Wciążam powietrze do płuc, w głowie mi się kręci.

Czyżbym wstrzymywała oddech?

Znów wciążam powietrze, przynosząc ukojenie obolałym płucom. Najwyraźniej zupełnie przestałam oddychać.

– Już dobrze – szepczę, próbując przekonać nie tylko Bensona, ale i samą siebie.

– Na pewno? – Jego twarz znajduje się blisko mojej, widzę przerażenie w oczach.

Moje ciało to jedna wielka galareta, ale udaje mi się kiwnąć głową.

– Co się stało?

– Uciekliśmy – mówię, zanim jeszcze mój umysł zda sobie sprawę, co się zdarzyło. –

Uciekliśmy! – Wstaję z trudem, odsuwam Bensona, podbiegam do środka ruin i zaczynam kopać. Kamienie i gałęzie łamią mi paznokcie, ale nie czuję bólu. – Pomóż mi – błagam Bensona, rozpacz aż mnie dławi.

– W czym mam ci pomóc?

– W kopaniu.

Zamiera i już myślę, że się do mnie nie przyłączy, ale za chwilę przynosi dwie grube gałęzie. Podaje mi jedną, sam chwyta drugą.

Po dwudziestu minutach i prawie trzydziestu centymetrach ziemi trafiamy na coś twardego.

– Jest – mówię, wzdychając z ulgą.

Nie zwariowałam.

I być może ten jeden jedyny raz mam rację.

Czas pędzi niemiłosiernie, gdy wykopujemy żelazną pokrywę. Jesteśmy ubłoceni i oboje musimy ciągnąć z całej siły, żeby ją podnieść.

Piszczę z przerażenia, widząc kilka wielkich robaków wpełzających spod wieka, ale i tak po chwili opadam na kolana i zaglądam do środka.

– Tam są szkielety? – pyta Benson, próbując dojrzeć coś w ciemnej czeluści.

– Nie, udało nam się uciec – powtarzam. Panika minęła, teraz czuję dziwną pewność siebie i wskakuję do jamy, która nie ma więcej niż metr dwadzieścia na metr dwadzieścia. – Odwróciłam ich uwagę, a w tym czasie Quinn otworzył ten schowek. Schowaliśmy się tu, on stworzył najpierw drewnianą tarczę, żeby zamaskować wejście w podłódze, a potem żelazną, by ochronić nas przed kulami. Ruszyliśmy tunelem, ja tworzyłam nową ziemię, by zasypywać drogę za sobą. Żaden człowiek nie mógłby za nami iść. W ten sposób dotarliśmy do kryjówki!

Benson wpatruje się we mnie z przerażeniem, sama też jestem nieźle wystraszona. Co ja powiedziałam? Tworzyłam nową ziemię? A jednak widzę to w pamięci – czuję to! Pełziliśmy przez tunel, zostawiając za sobą okropny huk wystrzałów. Myślałam o ziemi, wyobrażałam ją sobie, tak jak wszystko, co kiedykolwiek stworzyłam.

I jest tutaj – widzę to tak jasno, jakby wszystko właśnie rozgrywało się przed moimi oczami – blokuje przejście, tłumi dźwięki, zostawia mnie i Quinna w ciszy i ciemności.

Ciemność.

Wspomnienie bycia Rebeccą powoli mi się wymyka, zostawia we mnie pustkę. Odpycham je od siebie, chcę odzyskać swoje ciało.

„Naszyjnik”, mówi jej głos w moim umyśle, zanim się rozplynie.

– Naszyjnik – powtarzam głośno, niemal bezwiednie. – Muszę znaleźć naszyjnik. On... on... da mi odpowiedzi. – To, co mówię, nie ma większego sensu, a jednak wiem, że to prawda. Wyciągam rękę, Benson pomaga mi wyjść z brudnej jamy. Wpełzam na krawędź i zatrzymuję się

na klęczkach, próbując zrozumieć samą siebie.

Kim ja jestem?

Kiedyś odpowiedź na to pytanie była całkiem prosta.

– Tave, proszę. To wszystko nie ma sensu. Co tu się, do diabła, przed chwilą stało?

Na dźwięk mojego imienia – mojego o b e c n e g o imienia – wracam do rzeczywistości i podnoszę wzrok na Bensaona.

– Benson. – Spogląda mi w oczy z przestachem. Przed chwilą ledwo rejestrowałam jego obecność, teraz znów dostrzegam tę twarz, umazaną ziemią. I nagle sobie przypominam. Przypominam sobie, że jest najważniejszą osobą w całym moim świecie. Zarzucam mu rękę na szyję, przywieram do niego, gdy klęka obok. Wystarczy, że będę się go mocno trzymać, a ten huragan uczuć mnie nie zmiecie.

– Tavia, musisz...

Przerywam mu, zakrywając usta moimi wargami. Chwytam go gwałtownie za kurtkę, przyciągam bliżej. Przerzucam nogę przez jego kolana, siadam na nim, udami obejmuję w pasie. Moja twarz znajduje się teraz nad jego twarzą, błaga, by mi przypomniał, kim jestem.

Że jestem Tavią.

Że kocham Bensaona.

Wzdrygam się na tę myśl. Spoglądam mu prosto w oczy – zaniepokojone, zdezorientowane, lustrzane odbicie moich własnych – i zdaję sobie sprawę, że chciałabym patrzeć w te oczy do końca życia. Pieprzyć Elizabeth i jej ostrzeżenia. To mój wybór. On jest moim wyborem.

– Benson – szepczę i znów go całuję. „Kocham go”, uświadamiam sobie, a to odkrycie ożywia mnie, dodaje mi sił, których nie miałam jeszcze dziesięć sekund temu.

Próbuje się odsunąć i coś powiedzieć, ale mu na to nie pozwalam. Przyciskam wargi do jego ust, na tyle mocno, że może go to boleć, ale nie cofam się, on też nie. „To za mało”. Dłonie wsuwają się pod kurtki, dotykają skóry. Jego. Moje. Czuję go pod swoimi udami, napiera na moje biodra, znów ogarnia mnie prymitywna żądza. Więcej.

Benson wydaje z siebie jęk, a ja uświadamiam sobie, że został przecież poturbowany, jednak w tej chwili nie jestem w stanie się tym przejąć. Chcę czuć jego ciało przy swoim, jego przyspieszony puls pod palcami, gdy pieszczę ciepłą skórę karku.

Muszę mieć oparcie.

Benson odrywa się od moich ust, a ja jęczę cicho, bo jego wargi przesuwają się w dół mojej szyi, napawając się mną, kochając, potrzebując mnie tak samo, jak ja potrzebuję jego. Żarliwie, jakbyśmy mieli tylko odrobinę pożyczonego czasu.

Co jest całkiem prawdopodobne.

Nie.

– Nie zostawiaj mnie – udaje mi się powiedzieć, zanim znów przywrę do niego ustami.

– Nigdy – mruczy. Jesteśmy tak blisko siebie, że gdy obejmuję go i przyciągam – wypełniona irracjonalnym strachem, że jeśli tego nie zrobię, on zniknie – mam wrażenie, iż staliśmy się jednym ciałem.

Niemal słyszę w głowie płacz Rebekki, ale odpycham od siebie jej wspomnienie. I wspomnienie Quinna.

Nie pozwolę, by Rebecca zabrała mi Bensaona. Wiem, co ją łączyło z Quinnem. Wiem, co m n i e z nim łączyło. To głębokie oddanie, radość z bycia kochanką, związek z jedyną osobą, która wie wszystko.

Ona doświadczyła tego z Quinnem.

Teraz ja chcę doświadczyć tego z Bensonem.

Moim ciałem wstrząsa szloch i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że zaczęłam płakać. Ledwo to do mnie dociera, a wybucham śmiechem. Śmieję się z kontroli, jaką Rebecca próbuje przejąć nade mną, gdy tylko zapragnęłam kogoś innego niż Quinn.

– Wynos się z mojej głowy! – wrzeszczę, a ona wycofuje się, chociaż nadal wyczuwam jej obecność. Powoli wtapia się we mnie, wiem, że to kwestia czasu, a zamiast jej i mnie będziemy m y.

– Tave – odzywa się Benson, nadal trzymając dłonie na mojej twarzy. Biorę uspokajający wdech i wyciszam się, przyglądając mu się uważnie. Okulary w drucianych oprawkach, nieco przekrzywione, smuga błota na czole, wargi czerwone od moich nieokrzesanych czułości, aż mam ochotę znów je całować.

Chcę coś powiedzieć, jednak zęby mi dzwonią z zimna i zdenerwowania, nie jestem w stanie wydukać niczego zrozumiałego.

– Chodź tutaj – mówi i odpina kurtkę. Przywieram do jego piersi, a on otula mnie jak najlepiej potrafi i trzyma mocno. Szczęknięcie zębami przeradza się w drżenie całego ciała, a potem powoli zamiera. – Jesteś w stanie o tym rozmawiać? – pyta szeptem.

Nie podnoszę głowy, nie mam pewności, czy potrafiłabym to powiedzieć, patrząc mu w oczy.

– Widziałam wszystko. Noc, w której mieliśmy zginąć.

– Widziałas to oczami Quinna?

Kręcę gwałtownie głową.

– Nie, źle to interpretowałam. Nigdy nie chodziło o Quinna, tylko o mnie! Quinn wcale nie próbuje mnie omotać – chce tylko, żebym przypomniała sobie, kim jestem.

– A kim jesteś?

– Rebeccą Fielding. – Wypowiedzenie tego na głos grozi tym, że stracę oparcie w rzeczywistości. Niecały tydzień temu uważałam, że z a k o c h a n i e s i ę w o b c y m f a c e c i e jest szaleństwem. A co można sobie o mnie pomyśleć teraz? – Czy raczej b y ł a m nią. Dwieście lat temu byłam Rebeccą, byłam tutaj. Z Quinnem. Jesteśmy...

„Jesteśmy Przyziemcami”. To słowo w głowie Rebekki. W ustach Elizabeth.

I w dzienniku Quinna.

Ale jest jeszcze inne słowo, które przeraża mnie bezgranicznie.

„Jestem boginią”. Tego jednak nie wypowiadam głośno. Ledwo ośmielam się o tym myśleć, a i tak czuję moc tego określenia, chociaż nie jestem pewna, co oznacza.

Przez wiele miesięcy próbowałam zaakceptować własne ograniczenia, przyjąć, że niektóre moje organy nigdy nie wrócą do formy. Pogodziłam się z tym, że mogę mniej niż kiedyś.

A teraz okazuje się, że jednak nie.

Mogę w i ę c e j, o wiele więcej.

Na zawsze. Jestem wieczna. Mam moc wykraczającą poza ludzką wyobraźnię. To dlatego potrafię stwarzać różne rzeczy. Rebecca też potrafiła, i Quinn. A teraz ja. Żelazna pokrywa, którą wykopaliliśmy z Bensonem, przypomina kraty klatki, w której uwięziłam Elizabeth. Teraz wiem, dlaczego wydawała mi się taka znajoma.

A to jedynie ułamek tego, co potrafię.

Rebecca i Quinn byli ode mnie znacznie lepsi. Moje dzieła znikają, ich przetrwały dwieście lat.

Ale mam w sobie potencjał.

Tylko muszę coś zrobić, nie c o k o l w i e k – coś konkretnego. To najważniejsza rzecz pod słońcem.

Odblokuję moją moc... o ile sobie przypomnę, jak to się robi.

Znów zaczynam się trząść. Świadomość takiej mocy sprawia, że wszystko wygląda bardziej niebezpiecznie, poważniej. Mam nadzieję, że jestem w stanie nad nią zapanować, bo jeśli nie, zniszczy nas wszystkich.

– Nie rozumiem – mówi Benson drżącym głosem. – W dawnym życiu?

– Tak, i to nie jednym. Było ich sto. Tysiąc. Najpierw zobaczyłam Rebecę – tak samo jak zawsze widzę Quinna. Ale potem jakby – nie wiem – moja dusza wydostała się ze mnie i znalazła w Rebecce. Patrzyłam jej oczami, czułam to wszystko, co ona czuła, gdy przyszli ją zabić.

Benson milczy, ale widać, że usilnie rozmyśla, bo zmarszczył czoło.

– To było takie... znajome. Wiem, że już kiedyś znajdowałam się w tym ciele. – „To było jak powrót do domu”, myślę, ale nie mówię tego na głos.

– Czyli teraz... pamiętasz wszystko?

– Pamiętam częściowo. Przebłyski. Nie za wiele – przyznaję. – Ale ona... Bardzo się bała. Ścigają ją, wiesz?

– Kto?

– Reduciat. – Samo słowo wzbudza we mnie strach.

Benson ciężko przełyka ślinę.

– To dlatego mnie ścigają. Bo ona jest mną. Nie mogę pozwolić, żeby mnie schwytali.

Oni, oni... – Nie wiem, jak dokończyć to zdanie. Jednak strach, który ściska mi wszystko w środku, w zupełności wystarczy, bym zrozumiała, że wolę umrzeć, niż dostać się w ich łapy.

Ponownie.

Ponownie?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, co by zrobili – kończę cicho i odsuwam od siebie okropne wspomnienia.

Nie tyle wspomnienia, ile cienie, ślady wspomnień.

– Do Curatoriatu też nie możemy zwrócić się o pomoc. Muszę to zrobić sama – stwierdzam, czując narastającą panikę. Odwracam się do Bensa. – To znaczy nie s a m a – podkreślam na widok rozpaczliwej malującej się na jego twarzy. – Pomożesz mi? Proszę.

Wyciąga rękę, by dotknąć mojego ramienia, ale zmienia zdanie.

– Powiedz, co mam zrobić.

– Potrzebuję...

„Naszyjnika”, słyszę głos Rebekki. Brzmi tak podobnie do mojego.

– Naszyjnika – powtarzam posłusznie. – Tego, o którym Quinn pisał w swoim pamiętniku. Wtedy sobie wszystko przypomnę. – Nie chcę już wpuszczać Rebekki do mojej głowy – i serca – ale nie wiedzieć czemu zdaję sobie sprawę, że naszyjnik da mi nad tym większą kontrolę. Muszę go mieć.

– Myślisz, że jest w tamtej kryjówce?

– Na pewno.

– W takim razie wracajmy do samochodu. – Pomaga mi wstać, jednak palce u rąk i nóg mam odrętwiałe, więc się zataczam. – Spokojnie – mówi, obejmuje mnie i wyprowadza z ruin domu, w którym mieszkałam kiedyś, w dawnym życiu. Opieram głowę o jego ramię. Żałuję, że nie możemy po prostu na kilka godzin zapomnieć o tym wszystkim i wrócić do hotelu. Jakiegokolwiek. Im dalej, tym lepiej.

Ale nie mogę. Muszę odzyskać wiedzę o przeszłości, a potem wynieść się stąd, zanim mnie dogonią. Będę mogła ochronić siebie i Bensaona tylko wtedy, gdy sobie wszystko przypomnę.

„Przypomnij sobie”.

Zrywa się wiatr i kilka kropli roztopionego śniegu spada z drzewa na moją głowę. Nagły chłód szczypie mnie w twarz i przywraca do rzeczywistości. Całkowicie. Chociaż wiem – tak jak wiem, że niebo jest niebieskie, a trawa zielona – że w innym życiu byłam Rebeccą Fielding.

– Ja poprowadzę – mówi Benson. – Nie powinniśmy przebywać za długo w jednym miejscu, zwłaszcza w okolicach tego domu. A raczej tego, co z niego zostało. Jeśli wiedzą o Quinnie, mogą zdawać sobie sprawę z istnienia tego miejsca.

– Sekundkę – mówię, sięgając na siedzenie pasażera. – Może jest w rzeczach, które zabrałeś. – Otwieram torbę Bensaona i zaczynam grzebać w środku.

Pierścień, mała sakiewka, ciągle pełna złota, i niekształtne zawiniątka w chustce.

To musi być to.

Wyczuwam w środku pulsującą energię i wiem, co tam jest, zanim jeszcze moje palce zaczną szarpać rzadkie szwy na poźółklej chustce.

Naszyjnik.

Tutaj.

Mój.

Ręce mi się tak trzęsą, że nie jestem w stanie rozwinąć zawiniątka.

– Benson? Pomożesz?

Bierze ode mnie delikatny materiał i trzyma go przez kilka sekund, a potem rozsypuje nitki i naszym oczom ukazuje się ciężki wisior, połyskujący srebrem i czerwienią.

To naszyjnik z moich wizji.

Benson wpatruje się w niego ze zdenerwowaniem.

– A więc on przywróci ci pamięć?

– Chyba tak.

Próbuje coś powiedzieć, ale głos mu się łamie. Milczy przez moment.

– A co potem? – pyta w końcu, jednak nie patrzy mi przy tym w oczy.

Robię krok do przodu, on przysuwa naszyjnik do siebie, jakby nie chciał mi go oddać, ale ja nie tego pragnę. Przesuwam dłońmi po jego ramionach tak samo, jak on to robił wielokrotnie.

Powoli.

Spokojnie.

Wiem, że muszę mu pomóc się z tym uporać. Żeby uwierzył, że nadal go potrzebuję – potrzebuję chłopaka, który pomógł mi przejść przez piekło ostatniego tygodnia. Przecież nie prosił się o to, z pewnością nie miałby z tym nic wspólnego, gdybym nie pojawiła się nagle w jego życiu. Gdybym nie pojawiła się w bibliotece z prośbą o pomoc.

P o m o c. Gdyby tylko wiedział, w co się pakuje.

Zastygam w bezruchu, słowa cisną mi się na usta i nie jestem w stanie ich powstrzymać.

– Benson, gdybyś mógł wrócić do dnia, w którym się poznaliśmy, gdybyś wiedział o wszystkim, co się potem wydarzy, wycofałbyś się?

Spogląda na mnie pustym wzrokiem.

Myśli.

Naprawdę myśli.

Czuję ukłucie złości na to jego wahanie, ale dławię je w sobie. To istotne pytanie, nie można potraktować go lekko.

– Nie – szepcze w końcu.

– Ja też nie. A to – pokazuję na jego dłoń zaciśniętą na naszyjniku, którego cienki łańcuszek wypływa mu spomiędzy palców – to niczego nie zmieni. Nie obchodzi mnie, czego pragnie Rebecca. Benson, ja chcę ciebie. Ten naszyjnik ma tylko dać nam odpowiedzi.

– Nie rozumiesz – mówi szeptem. – Twoje uczucia się zmieniają.

– Benson, odłóż ten wisior! – warczę.

Z łoskotem upuszcza zawiniątko na maskę samochodu, niespokojny i zdezorientowany. Ledwo naszyjnik wymyka mu się z rąk, wsuwam dłoń w jego kurtkę, pod koszulkę. Wstrząsa nim dreszcz, gdy moje palce dotykają jego nagiej skóry.

– Benson? – Serce mi łomocze jak oszalale.

Patrzy na mnie, a ja mam wrażenie, że mogłabym utonąć w bólu kryjącym się w jego oczach.

– Kocham cię. C i e b i e. – Całuję jego dolną wargę, to bardziej delikatne muśnięcie niż pocałunek. Ciarki przechodzą mi po plecach i powstrzymuję uśmiech.

Powiedziałam to.

Szczerze.

Staję na palcach, całuję zadrapania na jego twarzy, potem nos, policzki. Przesuwam ręce na jego kark, przyciągam go do siebie, całuję delikatnie, drażnię wargami.

– Ona nie zmieni tego, co czuję – szepczą moje usta przy jego ustach.

– Nie możesz tego wiedzieć – odpowiada cicho. W jego głosie czai się rozpacz, którą pragnę ukoić.

Splatom palce z jego palcami i przyciskam do serca.

– A jednak wiem. Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła, i nie raz udowodniłeś, do czego możesz się posunąć. Dla mnie. – Całuję kostki jego rąk, jedną po drugiej, omijając czerwoną, popękaną skórę na prawej dłoni. – Teraz ja udowodnię to samo tobie.

Patrzę na niego. Twarz ma spiętą, pełną emocji, których nie potrafię odszyfrować. Bierze drżący wdech i odsuwa rękę. Odwraca się i podnosi Iniane zawiniątko.

– Mogę? – pyta niemal z nabożną czcią.

– P-proszę – mamroczę.

Unosi naszyjnik, rubiny błyszczą w promieniach słońca. Łańcuszek jest długi, przytrzymuje go jedną ręką i gestem nakazuje, bym się odwróciła. Chwilę później naszyjnik wisi przed moją twarzą, ciągle na jego palcach. Waha się, czuję przy uchu jego oddech, słyszę, jak wypuszcza i nabiera powietrze z głośnym świstem.

– Bez względu na to, co się teraz wydarzy – szepcze. – Ja też cię kocham.

Przekłada mi naszyjnik przez głowę i wypuszcza go z rąk.

W tej samej chwili, w której metal dotyka mojej skóry, przed oczami zaczynają mi wirować kolory – jaskrawe, boleśnie oślepiające. Wbijam palce w ramię Bensaona, próbując przytrzymać się czegoś, by nie dać się porwać.

Ale nawałnica szaleje wyłącznie w mojej głowie. Zamykam oczy przed światem, próbuję zapanować nad burzą, uciszyć ją do znośnego poziomu. Ból narasta, a ja szukam jakiejś deski ratunku.

„Rebecca robiła to wcześniej. Wie, jak sobie z tym poradzić”.

Z rozpaczą poddaję się jej całkowicie i jakimś cudem przejmuję ode mnie ten natłok wspomnień.

Krystalizują się, ale nadal oglądam je jak film w przyspieszonym tempie. Sceny migają mi przed oczami przez ułamek sekundy i znikają, zanim zdolał je zarejestrować. Wkrótce wraca światło i dzikie wirowanie, najwyraźniej Rebecca też nie jest w stanie sobie z nimi poradzić.

– Benson! Nie mogę tego zatrzymać!

Ciśnienie w mojej czaszce rośnie, chwytam się za skronie, pragnę, by to wszystko zwolniło, dało mi chwilę wytchnienia. Sekundę na złapanie oddechu. Czuję, że Rebecca też do tego dąży, ale bezskutecznie. Ciśnienie narasta, już niemal rozsadza mi czaszkę, boję się, że za moment głowa mi dosłownie wybuchnie.

„Z uszkodzonym mózgiem okaże się nieprzydatna”. Przypominam sobie słowa Reese. Teraz rozumiem, czego się obawiała.

Ktoś krzyczy, mam wrażenie, że to ja.

Ktoś kładzie na mnie ręce, obejmuje mnie, ale chociaż mam otwarte oczy, widzę jedynie ciemność. Obrazy zmieniają się jeden za drugim i już mam dać za wygraną, kiedy pomiędzy zamazanymi scenami dostrzegam złoty błysk.

– Pomóż mi, Quinn – szepczę przez zaciśnięte zęby, które dzwonią, gdy mówię.

I wtedy pojawiają się jego oczy, nieruchoma zieleń pośród mdłego morza wspomnień. Skupiam się na tych oczach i szalone turbulencje wyciszają się nieznacznie.

To wystarczy.

Próbuję zapanować nad odczuciami, przypomina to płynięcie przez smołę w kierunku bładziutkiego światła. Najważniejsze, że świeci. Oczy Quinna pomagają mi utrzymać równowagę, mój umysł łączy się z umysłem Rebekki – jesteśmy teraz jednym – i już wiem, co robić. Wspólnym wysiłkiem nasze myśli niczym sieć oplatają energię, która została we mnie wtłoczona, kielznają ją i powstrzymują. Wypełnia każdy centymetr mojego ciała, mogę przysiąc, że skórę mam napiętą do granic możliwości, ale tym razem jestem w stanie nad tym zapanować.

Mój oddech uspokaja się, a kiedy znów mrugam, wita mnie rozmyta zieleń. Upływa jeszcze dłuższa chwila, zanim jestem w stanie dojrzeć wyraźnie rozświetlone słońcem liście, ale w końcu wraca ostrość widzenia. Głowę mam na kolanach Bensaona, leżę na rzadkiej trawie tuż obok hondy. Próbuję się ruszyć, lecz wszystko mnie boli. Po kilku sekundach daję za wygraną i odwracam wzrok na mojego towarzysza.

Wokół panuje nieruchoma cisza, Benson przerywa ją ogłuszającym szepczeniem.

– Nic ci nie jest?

Kręcę głową. Boli tak, jakby trafił we mnie piorun, ale poza tym wszystko jest dobrze. A nawet lepiej niż dobrze.

Jestem taka p e ł n a.

Nie mam słów, żeby to opisać, a w każdym razie takich, by Benson był w stanie to zrozumieć. Wcześniej sama bym tego nie rozumiała, to przekracza możliwości ludzkiego

umysłu.

Ja przekraczam możliwości ludzkiego umysłu.

„Jestem kimś innym”. Głowa dalej boli, więc zamykam oczy, bo słońce stępi mi zmysły. Teraz już wiem, kim jestem.

– Nadal boli?

Nie próbuję zaprzeczać.

– Nie tak bardzo jak wcześniej. – Już samo mówienie budzi we mnie chęć zwinięcia się w kulkę. – Zupełnie jakby ktoś wtłoczył mi do głowy całą bibliotekę i nie było już na nic miejsca – wyrzucam z siebie.

– To dlatego krzyczałaś?

Patrzę na niego oczami Tavii i po raz pierwszy, odkąd dotknęłam naszyjnika, widzę go wyraźnie. Jest blady, na czole ma krople potu. „Co ja takiego zrobiłam?”

– Przepraszam, Benson. – Chociaż nie wiem dokładnie za co. Za to, że go wystraszyłam? Że przeze mnie znalazł się w tej sytuacji?

Za wszystko?

– Krzyczałaś bez przerwy – szepcze, a głos mu drży. Nie patrzy mi w oczy. – Myślałem, że coś w tobie pęknie i umrzesz. Naprawdę.

– Ja też tak myślałam – odpowiadam i chwytam go za rękę.

Przezesuje włosy palcami, w jego wzroku pojawia się przebłysk zdecydowania.

Nie mam siły, by to roztrząsać.

Przez kilka minut, które wydają się długie niczym godziny, leżę skulona z głową na jego kolanach. Ból ustępuje, powoli, bardzo powoli. Jest jak odpływ oceanu. Wpatruję się w liście, brązową ziemię, zmierzwiłone żółtą trawę, co odwraca moją uwagę na tyle, by umysł powoli uporządkował sobie wszystko to, czego się dowiedziałam.

Czym jestem.

– Jestem taka, jak mówili – szepczę, dzieląc się swoją wiedzą ze światem.

– Kto? – pyta Benson. Jego głos drży, ledwo słychać go na wietrze.

– Elizabeth. Jay. Nie kłamali. Jestem Przyziemcem. Boginią. – To słowo wychodzi z moich ust po raz pierwszy i wcale nie jest tak przerażające, jak sądziłam. Nie aż tak.

– Jak... Bóg? Przez wielkie B?

– Nie, to coś innego. – Przez umysł przesuwały się obrazy, utrudniając myślenie słowami. – Jestem boginią, która tworzy. Ale... przekłętą. Ja... zrobiłam coś złego. Dawno temu.

Benson milczy, a ja mam potrzebę mówienia. Gdy z moich ust padają słowa, poznaję to, czego się dowiedziałam – co więcej, jakimś cudem zmniejsza to ciśnienie w mojej czaszce.

– Potrafię tworzyć rzeczy z niczego. Jestem twórcą, tak jak Quinn. Razem jesteśmy twórcami, życie po życiu, od wieków. Mogę stworzyć wszystko. Wszystko – powtarzam ze zdumieniem.

– Bogini – mówi Benson tak cicho, że gdybym nie leżała z uchem przyciśniętym do jego brzucha, pewnie bym go nie usłyszała.

Czuję, że zbiera mi się na śmiech.

– Na przykład drzewo – śmieję się histerycznie. – Górę. Budynek. Puf, i już. Wszystko.

– Piramidę – mówi Benson, idąc moim tokiem myślenia.

– Tak. Byłam twórcą Ziemi, jednym z wielu. Stworzyliśmy krajobrazy całego świata. Należał do nas. Został nam подарowany przez... nie wiem. Kogoś potężniejszego. Silniejszego. Ale zgubiła nas zachłanność. – Wyduszam z siebie konkretne wspomnienia tak, jakbym ścisnęła stalową bryłę gołymi rękoma. Z tego wysiłku cała zaczynam drżeć. – Stworzyliśmy istoty ludzkie. Jako... jako służących. Przesadziliśmy. Zostaliśmy przekłęci.

– Przez kogo?
– Nie wiem.
– Pamiętasz to?
– Nie, ale wiem, że Rebecca to pamiętała. – „Quinn jej powiedział”. – Zawiedliśmy jako zarządcy – te słowa stanowią część orędzia wypalonego w mojej pamięci. – Zabrano nam nieśmiertelność. Staliśmy się śmiertelni, ale nasze dusze zostały związane z ziemią. Żyjemy i odradzamy się pośród istot, które sami stworzyliśmy. Szukając, wiecznie szukając.
– Czego?
– Naszych *diligo* – mówię, wypróbowując na języku nieznane słowo.
– Co to znaczy?
– Naszych kochanków – odpowiadam, nie patrząc mu w oczy. – Związanych z ziemią, związanych ze sobą. *Reus ut terra, reus una*.
„Quinn”.
Ale...
Nie.
– Reduciat próbuje zabić Przyziemców, zanim znów spotkają się ze swoimi kochankami.
– To dlatego próbują zabić ciebie? – pyta Benson cicho.
Potrząsam głową.
– W moim przypadku to coś więcej. Ja... ja coś wiem. Znam tajemnicę. Sekret, który może wszystko zniszczyć.
– Jaki sekret? – pyta Benson. Oddycha z trudem.
– Nie pamiętam. To coś, o czym nie powiedziałam nawet Quinnowi, bo było zbyt niebezpieczne. To właśnie próbowali zniszczyć jeźdźcy, którzy po nas przyjechali. Tę wiedzę. To coś o... o Reduciacie i Curatoriacie. Auu! – jęczę. – Ledwo zaczynam o tym myśleć, a ból głowy powraca. – Zmuszam się, by wziąć głęboki wdech, i zanurzam twarz w koszuli Bensona.
– Te nazwy mają łacińską genezę – odzywa się, a ja spoglądam na niego, nic nie rozumiejąc. – No co? – pyta nieśmiało. – Sprawdziłem w telefonie po tym, jak przeczytaliśmy o nich w dzienniku Quinna. *Curare* to „opiekować się, utrzymywać”, a *reduco*...
– Redukować – wpadam mu w słowo z goryczą w głosie. – Usuwać, zabijać.
– Nie – poprawia mnie cicho. – To znaczy „prowadzić”.
Milczę, próbując zrozumieć nową informację, ale mój mózg jest zbyt zmęczony.
– To pewnie dlatego ich symbolem jest ankh. Ankh jako symbol wieczności, a laska pasterska jako oznaka zwierzchnictwa.
– A ten drugi?
– Drugi?
Myślenie sprawia mi tyle bólu.
– Pióro i płomień.
Benson przygryza wargę i przez moment wpatruje się w niebo.
– Może to feniks? No wiesz, one umierają i rodzą się na nowo, zupełnie jak Przyziemcy.
– Za każdym razem silniejsi – dodaję, niepewna, skąd pochodzą te słowa. – Jeżeli Curatorium odnosi sukces, Przyziemcy rosną w siłę.
Nawet nie wiem, co to oznacza, ale milknę z samego wysiłku.
– Jesteś w stanie usiąść? – pyta po chwili.
– Być może.
Pomaga mi się podnieść i pozwala mi się oprzeć o siebie. Bolą mnie mięśnie i znów jestem głodna. Sztywnieję, bo zdaję sobie sprawę, że za każdym razem, gdy robię coś, co ma związek z tym, że jestem Przyziemcem, odczuwam wielki głód.

– Chce mi się jeść. Ciągle – oznajmiam bez wyrazu.

– Słucham?

– Od czasu katastrofy jestem wiecznie głodna. Zwłaszcza odkąd zaczęłam używać swojej mocy. – Spoglądam na Bensona. – Reese i Jay próbowali zmusić mnie do tego, żebym więcej jadła. Nawet Elizabeth mówiła, że powinnam pokonać poczucie winy i zacząć jeść. Oni wiedzieli, wiedzieli, że organizm Przyziemca domaga się jedzenia.

– To brzmi sensownie – mówi Benson powoli. – Robisz coś z niczego, więc jak podejrzewam, twój umysł pracuje na zwiększonych obrotach. To z pewnością wymaga zastrzyku energii.

– Ale tak się dzieje dopiero od czasu katastrofy. Zawsze byłam Przyziemcem, nie można nim zostać ot, tak. Wszystko zaczęło się po wypadku. Co tam się stało takiego, że ta część mnie się... wybudziła?

Benson wzdycha.

– Nie mam pojęcia, Tave. Właśnie dociera do mnie, jak niewiele wiem o czymkolwiek. Czyżby był zły? A może jest tylko zdezorientowany i sfrustrowany, tak jak ja?

Nie jestem w stanie myśleć.

– Powinniśmy jechać. Muszę coś zjeść i koniecznie trzeba się stąd wynieść.

– Chyba potrzebujesz jeszcze paru minut – mówi Benson i przytrzymuje mnie, bo chwieję się na nogach.

– Możemy nie mieć paru minut. Jestem pewna, że ktoś wie o istnieniu tego miejsca. – Zaczynam bełkotać, więc biorę głęboki wdech i skupiam się na mówieniu: – Nie możesz lekceważyć żadnego z bractw. To przynosi zgubę.

Wspomnienia Rebekki przefruwają mi przez głowę niczym świetliki, świecąc i gasnąc losowo. Spotkanie z Quinnem, nasze życie, ucieczka, kryjówka, pisanie dziennika.

D z i e n n i k.

– Potrzebuję dziennika – mówię. – Rebekki. – Ruszam do drzwi samochodu, Benson podrywa się, by mi pomóc. – Muszę się upewnić... – Chwytam księgę i kartkę w poszukiwaniu dziwnego języka. Uśmiech zakwita mi na twarzy. Zaczynam się śmiać, odrzucam głowę, mój śmiech rozbrzmiewa pośród drzew. – Potrafię to przeczytać! Och, Benson, ona była genialna! To nie łacina, a przynajmniej nie typowa, jak mówiłeś. To łacina ludowa. Ona jest... – Staram się odzyskać szczegóły z banku pamięci – jest jak szafa, do której drzwi mogę zaledwie uchylić. – Pochodzi z Rzymu. Ze starożytnego Rzymu. – W głowie mi huczy od wysiłku, jaki kosztowało mnie uzyskanie tej informacji.

Gdy Benson parska, zaskoczona podnosi wzrok.

– Potrafisz czytać łacinę ludową? – pyta. – *Sermo vulgaris*?

– Nie ma tam nic wulgarnego – oponuję.

– Nie. Tak to się po prostu nazywa. Czytałem o tym w zeszłym semestrze. Pochodzi z osiemsetnego roku naszej ery, kiedy Rzymianie próbowali stworzyć uniwersalny język w całym cesarstwie. To jak podstawa w s z y s t k i c h języków romańskich. A ty ją rozumiesz. – Śmieje się. – Bosko.

Spoglądam na dziennik i poważnieję.

– Tu są wszystkie niezbędne informacje. Zostawiła go dla mnie w kryjówce. To nasza osobista piramida, jak pisał Quinn w swoim pamiętniku. Miejsce, w którym schowaliśmy nasze rzeczy, żeby kiedyś móc sobie wszystko przypomnieć. Stworzyliśmy ją w tym właśnie celu. Żebyśmy mogli polegać na sobie, a nie na żadnym z bractw. Po tamtej nocy wyjechaliśmy stąd i nigdy już nie wróciliśmy.

– Ale uciekłaś. Nie zginęłaś. Co się stało?

– W końcu umarłam – mówię i coś we mnie pęka, pojawia się wspomnienie. Mam ochotę wymiotować, wepchnąć je pięścią z powrotem. „Błagam, nie pytaj. Błagam, nie pytaj”. Jeżeli zapyta, wróć tamte doznania, będę musiała przeżywać wszystko na nowo. Nie jestem pewna, czy to wytrzymam.

– Jak umarłaś?

Spoglądam na niego i ogarnia mnie jakże znajomy chłód. Powoduje totalne odrętwienie. Istnieje wyłącznie w mojej głowie, ale skutecznie mnie paraliżuje.

– Utonęłam. W jeziorze.

Koszmar ostatnich chwil życia Rebekki odtwarza się w moim umyśle raz za razem, aż cała się trzęsę z zimna. Nie znam szczegółów, nie wiem gdzie, kiedy i dlaczego. Wiem tylko, że to oni za tym stali – Reduciat. Ta świadomość pali mnie jak ogień i topi ciekłą warstwę lodu. – Ścigali mnie. Przez ponad dwieście lat. Mnie, właśnie mnie. Zabijali tyle razy... Myślę... myślę, że to oni rozbili nasz samolot.

Palce Bensona zaciskają się na mojej dłoni.

Dziwna energia napędza teraz moje ciało.

– Oczywiście, Benson. To logiczne.

– Logiczne – powtarza lakonicznie.

– Odrodziłam się. Nie tylko teraz, sto razy. Tysiąc. – Opieram się o niego z jękiem, uświadamiając sobie bezmiar życia, od czego aż boli mnie głowa. Otwieram gwałtownie oczy. – Polują na mnie w każdym życiu, żeby zamknąć mi usta, żeby tajemnica nie wyszła na jaw – cokolwiek to jest! Curatoriat mnie zlokalizował, skusił superszkołą, żeby chronić – do czasu, gdy odzyskam pamięć. Ale ci z Reduciatu się dowiedzieli i spowodowali katastrofę. Wszystko po to, by tajemnica się nie wydała. – Otwieram szeroko oczy, bo nagle dociera do mnie powaga sytuacji. – Zabiją każdego, byleby mnie dostać. K a ż d e g o, kto stanie im na drodze.

Na przykład Bensona.

– Musisz go znaleźć, prawda? – pyta Benson po chwili. Jego twarz to kwintesencja rozpacz.

– Kogo?

Ręce ma lodowate.

– Quinna. Kimkolwiek teraz jest.

– Quinna? – Nie wiem, jakim cudem nawiązaliśmy do tego tematu. Wydaje się taki obcy. Niewłaściwy. Nie potrzebuję Quinna. Potrzebuję Bena.

Prawda?

Kiedyż to w moim umyśle pojawiły się wątpliwości w tej kwestii?

I jak mogę się ich pozbyć?

– Skoro ty się odrodziłaś, to on także, prawda?

– Naturalnie – mówię, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. W tym momencie jest. – Przyjemcy nigdy nie umierają – ich dusze przenoszą się z jednego ciała do drugiego.

Benson zaciska palce wokół moich dłoni, czuję uderzenia jego pulsu.

Nie uderzenia.

Łomot.

– W takim razie musisz go odnaleźć. To... to jedyny sposób na zapewnienie ci bezpieczeństwa.

Wpatruję się w niego ze zdumieniem i przerażeniem. Nie opuszczę Bena, ale umysł aż krzyczy, że z Quinnem będę bezpieczniejsza. Skąd Benson może to wiedzieć?

– Ja... ja nie stanę ci na drodze – ciągnie szeptem. – Wiedziałem, że wszystko się zmieni, kiedy sobie przypomnisz przeszłość. I chociaż...

– Nie – przerywam. – Nie, Benson. Nie tego chcę. – Odsuwam od siebie wahanie i niepewność. Jestem panią siebie. Mogę być boginią, a bractwa mogą sądzić, że istnieje ścieżka, z której nie wolno mi zbroczyć. A jednak się mylą. Mam wolny wybór i zamierzam z niego skorzystać.

– Ci ludzie ścigają cię ze względu na tajemnicę, którą znasz od dwustu lat. Uważasz, że teraz nagle zrezygnują? – Benson potrząsa głową, jakby był rozczarowany samym sobą. – Powinniście być razem. A ja... – Głos mu się łamie, zaciska ręce, a kolejne słowa wypowiada z wyraźnym wysiłkiem: – Ja ci pomogę.

Głowa mi ciąży, ale zmuszam się, by ją podnieść i spojrzeć mu w oczy.

– Nie, Benson. Nie pragnę jego. Pragnę c i e b i e.

– Ale... teraz jesteś Rebeccą.

Unoszę dłonie i ujmuję jego twarz.

– Nie jestem Rebeccą. B y ł a m, owszem, ale teraz nią nie jestem. Jestem Tavią i kocham cię, Benson.

Milczy przez dłuższą chwilę.

– To nie jest takie proste – mówi szeptem.

– Może być.

– Ludzie próbują cię zabić, Tave. To jest ważniejsze.

Dotykam kciukiem jego policzka, tuż pod skaleczeniem.

– N i c nie jest ważniejsze od ciebie.

– Ale w domu, po wizji, powiedziałeś... – Jego głos brzmi rozpaczliwie, a moje serce ściska chłód.

– J a nic nie mówiłam – wyjaśniam wkurzona. Jak może myśleć, że tak łatwo z niego zrezygnuję?! – To R e b e c c a powiedziała mnóstwo rzeczy, zanim znów odzyskałam nad sobą kontrolę. To było to, czego ona chce. Ale tym razem to nie ona decyduje, tylko j a.

Benson patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, zamyka usta, zaciska zęby, mięśnie zarysowują mu się na policzkach.

– Ja tylko... założyłem... no wiesz, w końcu przeżyłaś z nim stulecia, prawda?

– Tak, ale...

– Wszystko, co robiłaś w ciągu ostatnich trzech dni, sprowadzało się do spotkania z Quinnem, rozpracowania Quinna, wypełnienia tajemniczego zadania, które ci zlecił. Tobie, nie Rebecce. – Benson zaciska dłonie na moich ramionach – nie tyle trzyma mnie, ile trzyma mnie na odległość. Chwytam go za ręce i poluzowuję uścisk. Wydaje się zawstydzony, dopóki nie podchodzę bliżej, nie kładę mu głowy na ramieniu i nie obejmuję go najlżej jak potrafię.

– Myślałam, że mogę być w nim zakochana. Owszem. Uznałam, że ta rozpaczliwa desperacja to miłość. Może to i był rodzaj uczucia, ale nie taki, jakiego oczekuję. – Odsuwam się i patrzę na Bensaona. – Rebecca zawsze już będzie we mnie. Zapewne z czasem mogą się też pojawić inne osoby. Ale nie pozwolę, by decydowały o moim życiu. – Pochylam głowę tak, bym mogła spojrzeć mu w oczy. – Nie chcę go, Benson. Chcę ciebie. Nie kocham go. – Biorę głęboki wdech. – Kocham c i e b i e.

Ta chwila ciągnie się i ciągnie. Świat znieruchomiał. Benson wpatruje mi się w oczy, szukając prawdy. A może kłamstwa.

Ale go nie znajdzie. To, co czuję do Quinna, już zawsze będzie mi towarzyszyło – rozumiem teraz, że nie jestem w stanie pozbyć się części samej siebie, zwłaszcza tak ważnej jak moje dawne istnienia – jednak z długiego procesu zdrowienia po katastrofie wyciągnęłam jeden wniosek: należy przeżywać każdy dzień tak, jakby był ostatnim dniem życia.

I jeśli dzisiaj jest ten ostatni dzień, chcę go spędzić z Bensonem.

Wydaje się wstrząśnięty, więc chwytam go za kark i przyciągam jego usta do swoich. To go wytrąca z transu, obejmuje mnie, przytula. Słyszę jęk bólu, ale nie wypuszcza mnie z ramion. Całuje mocno, jakby chciał udowodnić, że należę do niego – lepiej, niż zrobiłby to za pomocą słów.

Jego palce gładzą mnie po głowie najpierw blisko blizny, potem po niej. Zamieram, czekając, aż... Nawet nie jestem pewna na co. Aż się odsunie? Zacznie ją badać? A przynajmniej zadawać pytania. Ale on ociera się policzkiem o moje czoło, a jego dłonie delikatnie wędrują dalej, zupełnie jakby nic nie zauważył. Przesuwa palce ku mojej twarzy, ogrzewa mi wilgotną skórę.

– Tave – szepcze.

– Tak? – odszeptuję. Moje palce znajdują wrażliwe miejsce na jego szyi i cały drży.

Pochyla się tak, by jego usta znalazły się przy moim uchu.

– Ucieknij ze mną.

– Nie rozumiem.

– Zejdźmy do podziemia – mówi, chwyta moją dłoń obiema rękami i zaciska ją tak mocno, że jedno ze skaleczeń na kostce otwiera się i wypływa z niego kropelka krwi. – Ci ludzie, którzy cię ścigają – Reduciat, Curatoriat czy kimkolwiek są – znajdą cię, jeśli tu zostaniesz. A kiedy znajdą, z a b i j ą. – Opuszcza wzrok i kołysze się na stopach. – Miałem zaproponować, żebyś wzięła wszystkie pieniądze i odeszła szukać Quinna, ale jeśli... jeśli naprawdę mnie chcesz...

– Chcę, Benson – przerywam mu, żeby nie miał nawet najmniejszych wątpliwości w tej kwestii.

– W takim razie pójdę z tobą. Ale musimy działać szybko i kompleksowo. Ci ludzie co chwila nas znajdują. A ja nie pozwolę, żeby cię skrzywdzili. Musimy zejść do prawdziwego podziemia, Tave. Tak konkretnie. Pozbędę się telefonu, porzucimy samochód, zmienimy tożsamość, w s z y s t k o. – Strach w jego oczach dławi moją radość.

– A twoja rodzina? To już nie będzie tak jak z wyjazdem z Portsmouth. Jeżeli dzisiaj uciekniemy, nie wiem, czy będziemy mogli wrócić. Kiedykolwiek.

– Nie będziemy mogli – odpowiada zdecydowanie.

– Już podjąłeś decyzję.

– Wczoraj. Uznałem, że ucieknę, z tobą albo bez ciebie. Tkwię w tym po uszy. Byłoby pewnie bezpieczniej, gdybyśmy poszli w przeciwnych kierunkach – wzdycha. – Ale prawdę powiedziawszy, jestem gotów zaryzykować wszystko, byle być z tobą.

– Ja już nie mam rodziny, Benson, ale ty... Nie mogę udawać, że twoja sytuacja jest taka sama. Być może już nigdy nie zobaczysz mamy ani brata.

Spogląda w dół, w jego oczach kryją się żywe emocje.

– Nie mogę... nie mogę żyć ich życiem. Są więzy silniejsze od krwi. Teraz t y jesteś moją rodziną.

To te same słowa, które pojawiły się w moich rozmyślaniach zaledwie wczoraj – ostateczne potwierdzenie, którego potrzebuję.

Ja i Benson.

Benson i ja.

Zmierzymy się ze światem i zwyciężymy.

– Musimy iść. – Ściska mnie za rękę. – Teraz.

Kiwam głową, nagle jestem pewna słuszności naszych planów.

– Czym pojedziemy, skoro musimy porzucić samochód? – K r a d z i o n y samochód. Może policja go znajdzie i odda właścicielowi.

– Może Greyhound^[*]? – sugeruje. – Nie będzie to luksus, ale uciekniemy wystarczająco daleko, żeby się zastanowić, co dalej. Możemy zostawić hondę parę ulic od najbliższego dworca. Ty wybierz miasto, do którego pojedziemy – dodaje i podchodzi bliżej. – Dokąd tylko chcesz.

– To nie ma znaczenia, dopóki będziemy razem.

Całuje mnie w czoło i wyciąga telefon z kieszeni. Teraz już w ogóle wygląda jak Superman, którego zawsze mi przypominał.

– Sprawdzę, gdzie tu jest jakiś dworzec, a potem wrzucę komórkę do śmietnika.

– Naoglądałeś się za dużo filmów.

– Być może – śmieje się. – Jednak w filmach dobrzy bohaterowie zawsze zwyciężają, prawda?

Odwracam się, by wsiąść do auta, ale Benson trzyma moje ręce.

– Kiedy znajdziemy się w autokarze, musimy porozmawiać. Poważnie porozmawiać.

– Jasne – odpowiadam. Serce zaczyna mi bić szybciej na widok jego miny.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać już teraz.

Na dźwięk tego głosu odwracamy się gwałtownie, jednak przed nami roztacza się widok na pustą polanę. Chwilę później dookoła słychać charakterystyczny odgłos odbezpieczanych pistoletów. Przywieram do Bensona, omiatając wzrokiem zarośla. Jestem pewna, że nikt z nich nie wyjdzie, za to za chwilę zostaniemy zastrzeleni. I wtedy zza drzewa wyłania się Jay.

[*] Największa autokarowa firma przewozowa w Ameryce Północnej. Oferuje przejazdy między miastami w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Meksyku (przyp. tłum.).

– Tylko bez nerwów – mówi cichym, spokojnym głosem, aż mam ochotę go uderzyć. Mój umysł gorączkowo próbuje ułożyć jakiś plan obrony.

Żelazo, superspluwy, szkło kuloodporne... o ile byłabym w stanie stworzyć coś tak zaawansowanego technologicznie. Obawiam się jednak, że to poza moimi możliwościami.

I jest tu Benson.

Nie będę ryzykować jego życia.

Nie mogę.

Na tym polega problem z miłością.

– Proponuję rozejm – odzywa się Jay i moja uwaga znów skupia się na nim.

W wyciągniętej dłoni trzyma coś, w czym rozpoznaję kilka organicznych proteinowych batoników, które Reese zawsze ma pod ręką.

Ogarnia mnie dziwna nostalgia. To już nigdy nie będzie moje życie.

– Nikt z nas nie chce cię zabić, Tavio – mówi Jay, zupełnie jak gdyby czytał mi w myślach. – To wszystko – jego ręka zatacza łuk, wskazując broń ukrytą przed naszym wzrokiem za drzewami – to tylko środki ostrożności. Myślę, że to zrozumiało po tym, co zrobiłaś mnie i Elizabeth.

Rusza powoli do przodu, jakby podchodził do przestraszonego żrebaka. Mimo tego, co przed chwilą powiedział, chyba się mnie nie boi. Sprawia wrażenie, jakby raczej martwił się, że to ja boję się j e g o.

Co jest prawdą. Jestem przerażona. Ale nie chcę, by się o tym dowiedział.

Słońce rozświetla polanę z taką zawziętością, jakby chciało zrekompensować ostry chłód ostatnich kilku dni, ale i tak czuję, że w moich żyłach płynie lodowata woda.

– Wiem, że musisz jeść. – Jay nadal podaje mi batony proteinowe. – Nie jestem pewien, co robiłaś, ale widziałem wystarczająco wielu Przyziemców, by rozpoznać to spojrzenie. Jakies pięć minut dzieli cię od omdlenia.

Chociaż każdy mój nerw gotowy jest do natychmiastowej ucieczki, zmuszam się, by spojrzeć mu w oczy, a następnie robię dwa kroki do przodu, wrywam batony i natychmiast wracam do Bensona. Rozdzieram opakowanie i zaczynam jeść, nie spuszczać wzroku z Jaya.

Szczerze mówiąc, wygląda okropnie. Podkrążone oczy to coś więcej niż tylko brak snu. I skórę też ma dziwną, jakby urosła o rozmiar i teraz na nim smętnie zwisa. Niemal rozpuszcza się.

– Dobrze się czujesz, Jay? – pytam między kęsami.

Nie odpowiada, tylko wykonuje delikatny ruch ręką, a wtedy Reese i Elizabeth wyłaniają się z zarośli z taką samą ostrożną powolnością. Rozpakowałam już kolejny batonik i odgryzłam spory kawałek, ale na ich widok zasycha mi w ustach.

Choć wiem, że mówiły prawdę.

I że moja ucieczka prawdopodobnie była błędem.

Ale nadal mierzą z pistoletów do mnie i do chłopaka, którego kocham. Trudno nie traktować ich jak wrogów. W każdej chwili mogą strzelić.

– Chcemy tylko porozmawiać – mówi Reese, zanim zdązę się odezwać.

– To po co to robicie? – pytam, kiedy po drugim batonie nie ma już śladu, czyli po zaskakująco krótkim czasie, i otwieram następne opakowanie. – Myślałam, że należycie do Curatoriatu. Nie powinniście pomagać Przyziemcom?

Nie powinni?

Tak twierdzili.

Rebecca uważała, że zasługują na zaufanie b a r d z i e j niż Reduciat, tylko co to za wyznacznik?

– Pomagamy – odpowiada Reese. – I za wszelką cenę próbujemy utrzymać cię przy życiu, ale wcale nam tego nie ułatwiasz.

Początkowy szok zaczyna mijać, przestałam się bać.

Teraz jestem wkurzona.

– Gdybyście zdradzili mi choć podstawowe informacje, może nie byłabym tak zestresowana. Macie pojęcie, czym był dla mnie ostatni tydzień? – warczę.

– Gdybyś zdradziła n a m choć minimum z tego, co się z tobą działo, być może bylibyśmy w stanie ci pomóc – odpowiada bez cienia emocji.

Zamykam usta, nie będę się bawić w przerzucanie winy.

– Nie jesteście moją rodziną, prawda? – pytam, nawet nie kryjąc oskarżycielskiego tonu.

Pytanie wisi w powietrzu, najwyraźniej nie chcą na nie odpowiedzieć.

– Nie – mówi w końcu Reese. – Mam na imię Samantha. Sammi.

Prawie parskam śmiechem, słysząc to zdrobnienie. Idealnie pasuje do jej zawiadanych jasnych włosów i sylwetki lalki, ale zupełnie nie współgra z zasadniczym sposobem bycia.

– A ty? – Odwracam się do Jaya, który opiera się teraz o drzewo, jakby utrzymanie się w pozycji pionowej kosztowało go zbyt wiele wysiłku.

– Mark. Po prostu Mark – odpowiada z zakłopotaniem.

– Po co to udawanie?

– Żeby móc cię chronić, nie zarzucając od razu szokującymi wiadomościami. Już wystarczająco ciężko przeżyłaś śmierć rodziców – nie wspominając o obrażeniach, które odniosłaś – żebyśmy jeszcze rzucili na twoje barki wszystkie te paranormalne sprawy. Staraliśmy się postępować łagodnie, a przy tym ukrywać cię w bezpiecznym miejscu.

– Zabiliście moją ciotkę i wuja, zanim wykradliście ich tożsamość?

– Nie pracujemy w t a k i sposób, Tawio – mówi Sammi, wyraźnie urażona. – Żyją i mają się dobrze. Sądzą, że zginęłaś w katastrofie. Uwierz mi, podrobienie dokumentacji lotniczej to nie była bułka z masłem.

– Tawia... – Elizabeth odzywa się po raz pierwszy. – Może nie wierzyłaś w to, co wcześniej mówiłam, ale musisz uwierzyć w jedno: Sammi, Mark i ja poświęciliśmy każdą chwilę ostatnich kilkunastu miesięcy, żebyś była bezpieczna.

– Osiemnaście lat temu także – dodaje Reese pod nosem.

Elizabeth rzuca jej ostre spojrzenie i mówi dalej:

– Prawie cię straciliśmy w katastrofie, nie ma dnia, żebyśmy o tym nie myśleli.

W towarzystwie naszej trójki będziesz bezpieczniejsza niż w obecności jakiegokolwiek innej osoby na świecie. Mogę ci to zagwarantować.

„Bezpieczniejsza niż z Bensonem?”, myślę ponuro. „Niemożliwe”. Nic jednak nie mówię, tylko chwytam go za ręce. Stoi cicho, pozwala mi oskarżać, rzucać gromy. Nie poruszył się, jego ciepła klatka piersiowa daje solidne oparcie moim plecóm. Jest niezłomny jak rosnące dookoła stare drzewa. Przy nim czuję się silniejsza. Śmielsza. Lepsza.

– Proszę – mówi Elizabeth – daj się zawieźć w bezpieczne miejsce. Wtedy porozmawiamy, o czym tylko będziesz chciała, ale pozostawanie w miejscu publicznym to kuszenie losu.

– Znajdujemy się na uboczu – stwierdzam ironicznie i pokazuję na gęstwinę drzew dookoła.

– Jeśli o mnie chodzi, każde miejsce, którego nie otaczają cztery kuloodporne ściany, to o t w a r t a p r z e s t r z e ń – wybuchą Reese. – Proszę, pozwól się zabrać do kryjówek.

– Nigdzie z wami nie jadę – protestuję. – Nie chcę mieć do czynienia ani z Curatoriatem, ani z Reduciatem.

– Prawdę powiedziawszy, nie sędzę, żebyś długo pożyła, jeśli będziesz próbowała funkcjonować na własną rękę. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Reduciat tak usilnie kogoś ściagał. Zniszczenie całego samolotu? – Mark potwierdza moje przypuszczenia. – To przesada nawet z ich strony. Udało nam się dotrzeć do rozbitego samochodu w Bath mniej więcej godzinę po wypadku i, szczerze mówiąc, sędziliśmy, że dorwali cię w tym hotelu we Freeport.

Zaciskam zęby. A więc cały czas deptali nam po piętach. Ale i tak wolniej niż Reduciat, który coraz szybciej się do mnie zbliża. Chcę – tak bardzo tego pragnę – zabrać Bensona i uciec, tylko czy to nie będzie dla nas obojga wyrokiem śmierci?

– Chcą c i e b i e – ciągnie Mark. – Tylko ciebie, ale za to jak bardzo. Po katastrofie lotniczej musieliśmy cię ukryć, bo byłaś jedyną osobą, która przeżyła, i Reduciat od razu zyskał pewność, że próba zabójstwa się nie udała. Tylko Przyziemiec był w stanie wyjść cało z czegoś takiego.

Zaciskam palce na skórze Bensona.

– O co chodzi z tą katastrofą, od której wszystko się zaczęło? Nie rozumiem. Przecież nic wtedy nie wiedziałam.

– Przyziemcy mają niesamowicie rozwinięty instynkt przetrwania – mówi Reese, a właściwie Sammi, tak oczywistym tonem, jakbyśmy omawiali trasy migracyjne motyli. – To świadomość, która graniczy z silnym preczuciem, intuicyjna samoobrona w dziedzinach, których Przyziemiec nigdy świadomie się nie nauczył. Nagłe przebudzenie mocy w sytuacji zagrażającej życiu to w sumie drobiazg. Nie jesteśmy pewni, c o dokładnie zrobiłaś, ale zadziałał instynkt i stworzyłaś coś, co uratowało ci życie.

W gardle mi zaschło, bo ta odpowiedź uderza we mnie obuchem.

– Ja to zrobiłam? Sama się uratowałam? – szepczę i widzę w oczach Elizabeth, że już wie, co będzie dalej. Mrugam, ale łzy i tak wypływają mi na policzki, paląc skórę. – To dlaczego ich też nie mogłam ocalić?

– Nie sędzę, żeby twoje nieświadome instynkty mogły zdziałać coś więcej poza samoobroną – mówi Mark, a w jego głosie słyhać głębokie – szczerze czy też nie – współczucie. – Nie możesz się za to winić, Tawio.

A jednak się winię.

Skoro – bez świadomego zrozumienia swojej mocy – byłam w stanie uratować własne życie, z pewnością ich też mogłam ocalić.

Ale nie zrobiłam tego.

Benson obejmuje mnie w pasie, a ja przywieram do niego i zmuszam się do wzięcia kilku głębszych oddechów, chociaż każdy jest jak nóż wbijany w klatkę piersiową.

Prawda powinna być prosta, a ta taka nie jest. To baśń, tylko że żaden książę nie pocałował w niej księżniczki. To raczej historia o tym, że wilk zjadł babcię, syrenka zmieniła się w morską pianę, a tancerce odcięto stopy.

– Skąd w ogóle wiedzieliście, kim jestem? – wyduszam z siebie.

– Och, Tawe, tyle szukania – mówi Sammi i sprawia wrażenie, jakby samo wspomnienie ją męczyło. – Całe pokolenia poszukiwań. Moja rodzina należy do Curatoriatu od ponad dziesięciu pokoleń. Członkostwo w obu bractwach jest często dziedziczne.

– Normalnie jak mafia – mówi Benson sucho. Odezwał się po raz pierwszy.

Reese rzuca mu gniewne spojrzenie, ale ciągnie tak, jakby nie powiedział ani słowa.

– Odkąd skończyłam szesnaście lat i zostałam przeszkolona przez ojca, szukam Przyziemców. Mamy rozmaite metody, żadna nie jest prosta ani niezawodna. Szczerze mówiąc,

gdybyście nie wyglądali tak samo w każdym życiu, nie wiem, czy bylibyśmy w stanie osiągnąć sukces.

Pamiętam obraz Rebekki z wizji. Dłuższe włosy, ale poza tym identyczna.

– Ja... Mnie nawet coś z tobą łączy – mówi Sammi.

– Co nas łączy? – pytam. Nie jestem w stanie powstrzymać się od podejrzliwości.

Sammi sięga do torby, a ja cofam się i rozkładam ręce, żeby zasłonić Bena. Ona jednak wyciąga teczkę z symbolem pióra i płomienia. Podchodzi do mnie, unosząc ją jak białą flagę.

Czuję się dziwnie, gdy analizujemy dokumenty w środku lasu, kiedy pod stopami chrzęszczą nam zeschnięte liście. Ale, z drugiej strony, co w tym wszystkim nie jest dziwne? Biorę ostrożnie teczkę, jednak nawet gdy ją otwieram, cały czas obserwuję Sammi.

To osobliwe wrażenie: patrzeć na własną twarz widniejącą na zdjęciu, na którym nigdy się nie było. Ma odcień sepii, charakterystyczny dla starych fotografii, jestem w swetrze o szerokim dekolcie i džinsach z wysokim stanem. Leżę na brzuchu i czytam książkę.

– Kiedy to było? – pytam, przyglądając się rysom twarzy, do których przez lata tak bardzo się przyzwyczaiłam.

Dziwne, że wydają się takie obce.

– Osiemnaście lat temu – odpowiada Sammi, a ja przypominam sobie jej zagadkową uwagę sprzed paru minut.

– Umarłam młodo. – Marszczę czoło.

– Tak.

Dotykam palcem drugiej twarzy z tego zdjęcia – ostro zarysowanego podbródka nastoletniej Samantha. Krótsze włosy, nieco rzadsze, ale to z pewnością ona.

– To ty.

– Tak, jako nastolatka. I ty jako Sonya. Mimo wszystko – dodaje ze śmiechem – teraz jesteś o w i e l e łatwiejsza w pożyciu.

– „Bojowa” – cytuję określenie z kolejnej strony w dokumentach, ale w moim głosie nie ma ani odrobiny wesołości. N i c z tego nie jest dla mnie zabawne.

– To dobre podsumowanie. Nie ufałaś nam, chociaż pomogliśmy ci odzyskać wspomnienia. I nie chciałaś nam powiedzieć absolutnie n i c z e g o.

Docieram do końca dokumentu i czuję ogromny ucisk w żołądku.

– Tu jest napisane, że się zabiłam. Skoro jesteście w Curatoriacie tacy pomocni i godni zaufania, dlaczego to zrobiłam?

Sammi milczy dość długo, obraca w palcach swoją obrączkę. Kiedy się w końcu odzywa, głos ma cichy i poważny.

– Wiąż między partnerami jest tak silna, że często staje się motywacją do życia. Tuż przed znalezieniem ciebie znaleźliśmy twojego partnera, który miał wtedy na imię Darius. Ale nie tylko my na niego trafiliśmy. Niestety, zostawiał zbyt wiele śladów, Reduciat go namierzył i... i... – Sammi rozkłada ręce. – Musisz zrozumieć, że dla Przyziemca śmierć nie jest tym samym co dla nas. To nie koniec, raczej coś w rodzaju przycisku do resetowania. I nie chodzi o to, że już nie chciałaś żyć, tylko chciałaś znaleźć się na tej samej osi czasu co Darius. Quinn. Czy jakkolwiek go nazwiesz. Nie chciałaś być od niego starsza o dwadzieścia trzy lata. Pragnęłaś, żebyście byli w tym samym wieku i mieli szansę na długie wspólne życie.

– I dlatego p o p e ł n i ł a m s a m o b ó j s t w o? – Chłodna logika, jaką się kierowałam jako Sonya, wcale nie umniejsza potworności tego czynu.

– Mnie też było z tym ciężko – przyznaje Sammi. – Mimo że rozumiałam przyczyny. Od tamtego czasu poświęciłam większość pracy w Curatoriacie, żeby znaleźć ciebie oraz

Dariusza, żebyście mogli być razem. Chciałam naprawić tamto. Poświęciłam się tej sprawie. I kiedy rozpoznałam twój styl malowania na podstawie kilku obrazków Rebekki, które posiadaliśmy, mogłam wreszcie zakończyć pierwszy etap swojej misji.

– Możesz ją teraz zakończyć, bo ja nie chcę z nim być. – Chwytam Bensona za rękę, splatam palce z jego palcami i uśmiecham się. – Chcę być z Bensonem. Nie potrzebujemy was, a już na pewno niepotrzebny nam jest ten facet, Darius, Quinn, czy jak mu tam. Mamy siebie i to nam wystarcza.

Benson odpowiada uśmiechem, ale wydaje się zdenerwowany. Trzyma mnie za rękę tak mocno, jakby bał się, że za chwilę mu ucieknę.

– Nie chcesz go nawet zobaczyć? – pyta Sammi.

– Kogo?

– Twojego partnera. Quinna Avery'ego. Tego, kim jest dzisiaj? – Sammi wyciąga kolejną teczkę.

Próbuję udawać, że nic mnie to nie obchodzi. Mam chłopaka, który mnie kocha, drugi nie jest mi do niczego potrzebny. Ale Sammi trzyma teczkę w wyciągniętej ręce i w końcu rezygnuję z pokazu nonszalancji, chwytam ją i czytam podpis.

– Logan Sikes.

Liczę do trzech i otwieram teczkę.

A oto i on.

Zdjęcie nastolatka mniej więcej w moim wieku. Gdzieś w głębi mojego umysłu słyszę wiwatujący obcy głos, w którym poznaję niejasno Sonyę. „Udało się!” I chociaż odpycham ją od siebie, wiem, że ma rację. Jesteśmy rówieśnikami. Moglibyśmy być razem, mamy przed sobą całe życie.

Tylko że...

Ja go nie chcę.

Nie j a.

To o n e go chcą. Chcą go tak bardzo, że nie jestem pewna, czy mój umysł poradzi sobie z tym rozdwojeniem.

Gram na zwłokę. Dotykam koniuszkami palców znajomej twarzy Quinna, całkiem współczesnej w wersji Logana. Ma krótsze włosy, zmierzwione, opadają na zielone oczy, nie są związane wstążką. W dzinsach i T-shircie wygląda dziwnie, ale swobodnie. Na zdjęciu ogląda się przez ramię.

Mogę odmówić mojemu sercu, trzymać się Bensona, zignorować ostrzeżenie Elizabeth, stłumić głos Rebekki i Sonyi.

Ale nie ucieknę tym oczom.

Znam je dobrze. Kochałam je. Wpatrywałam się w ich pełne miłości spojrzenie setki, tysiące razy. Wpatruję się w nie teraz. Jak zahipnotyzowana.

Rozpaczliwie odrywam wzrok i kieruję go ku dołowi zdjęcia.

– Zostało zrobione wczoraj?!

Sammi kiwa głową, biorąc moje przerażenie za radość.

– Kiedy szedł do szkoły. Sama go widziałam. Chłopak z krwi i kości, a nie wizja Quinna, który ukazywał ci się w zeszłym tygodniu. Jest prawdziwy. To z jego powodu pojechałam tak nagle do Phoenix. Tam właśnie mieszka.

Phoenix. O mały włos bym się tam wybrała. Spotkanie ducha Quinna prawie rozdarło mi serce i duszę. Ciekawe, co by się stało, gdybym zobaczyła Logana.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci o tym wcześniej. Teraz widzę, że powinnam, ale... Tavia... ledwo przeżyłam twoje samobójstwo. Byłam przy tym, kiedy mój ojciec powiedział ci

o śmierci Dariusa. Nawet sobie nie wyobrażasz tej rozpacz, jaką zobaczyłam w twoim wzroku. A może wyobrażasz sobie – dodaje posępnie. – Z pewnością pamiętasz tamten moment.

– Nie do końca – odpowiadam z wahaniem. – Wielu rzeczy nie pamiętam. W zasadzie tylko życie w postaci Rebekki, a i to mgliście. Ale... w y c z u w a m – wybieram w końcu słowo, bo nie wiem, jak to opisać. – Że to wszystko nie tak powinno wyglądać. Że powinnam sobie wszystko przypomnieć z większą łatwością. – Niezadane pytanie wisi w powietrzu.

– Nie pamiętasz Sonyi? Nic a nic?

– Tylko tyle, że... wydaje się znajoma – przyznaję. – Taki sączący się w umyśle głos.

– A pamiętasz... – zaczyna, ale przerywa. – Teraz nie ma na to czasu, o Sonyi możemy porozmawiać później. Liz przeprowadziła mnóstwo poszukiwań i analiz po katastrofie, wysunęła teorię, że uszkodzenie mózgu może utrudnić ci pewne sprawy. Na tej samej zasadzie, na jakiej ciężko ci było znów zacząć rysować.

– To dlatego baliśmy się, żeby nie pogłębić uszkodzeń i traumy – włącza się Elizabeth.

– Zawsze będzie bolało? – pytam słabym głosem. Na samą myśl o bólu, który wywołał naszyjnik, cała się spinam.

Sammi gwałtownie podnosi głowę.

– To...

– Mózg Przyziemców nie funkcjonuje tak jak mózg ludzki – wtrąca Elizabeth. – Ani nawet jak mózg osób, które są spokrewnione z Przyziemcami. To dlatego widzisz to, czego my nie potrafimy zobaczyć – dodaje i milknie na moment. – Jak świecące trójkąty.

Otwieram szeroko oczy i już chcę o to zapytać, ale nie daje mi dojść do słowa.

– O ile wiemy, połączenia synaptyczne u Przyziemców wyglądają i działają zupełnie inaczej. Nie jesteśmy tylko pewni, jaki wpływ ma na to uszkodzenie mózgu, którego doznałaś. Ale nie, n i e p o w i n n o boleć – dodaje i waha się. Zapewne rozumie, jakie to musiało być dla mnie straszne, chociaż wcale tego nie mówię. – Nie wiem, czy nadal będzie ci to sprawiało ból, czy nie, ale teraz, kiedy odzyskałaś wstępną pamięć od jednego z wcześniejszych wcieleń, najgorsze masz już chyba za sobą. Myślę, że teraz to kwestia przesiania wspomnień, bo przemiana już została wywołana.

– Miałam nadzieję, że uda mi się jakoś przywieźć Logana i obudzić jego wspomnienia w twojej obecności. – Sammi mówi cicho i spokojnie, ale mieszkałam z nią wystarczająco długo, by wyczuć frustrację w jej głosie. – Jednak twoja ucieczka pokrzyżowała mi plany.

– Jeżeli czekasz, aż przeproszę, to zanosi się na długą noc – mówię i przysuwam się do Bensona, przyciskając do siebie teczkę.

Nie zamierzam ich oddawać.

– Na nic nie czekam. Wiem, gdzie mieszka Logan, dzisiaj cię do niego zabierzemy. – Sammi podnosi głowę i patrzy mi w oczy. – Siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Co to znaczy: siłą? – pytam ostro. – Chyba jesteś odrobinę melodramatyczna.

Sammi spogląda na Marka i odbywają bezgłośnie rozmowę. Opieram rękę na biodrze i czekam, aż postanowią, czy będą mnie dalej okłamywać. Jednak Mark kiwa nieznacznie głową, a Sammi się odwraca, a na jej twarzy widać prawdziwą udramę.

– Mark ma wirusa.

– Wirus? Ten z wiadomości? – pytam i chwytam Bensona za rękę. Ściskam go tak mocno, że musi boleć, ale on nie protestuje.

– Zakładam, że zostało mu dwanaście do osiemnastu godzin – wydusza z siebie Sammi. Patrzę na Marka i wreszcie wiem, skąd ta wisząca skóra i podkrążone oczy, wszystkie oznaki zmęczenia, które obserwowałam u niego, jeszcze zanim uciekłam. On umiera.

Już mam odwrócić wzrok, kiedy nagle migocze. Wydaję z siebie głuchy jęk.

Teraz rozumiem. Widzę to migotanie w przeciwieństwie do innych, bo jestem Przyziemcem. Ta reporterka w telewizji – pewnie już nie żyje albo jest umierająca. Kobieta, która dała mi plaster – z pewnością odeszła. A co z tym mężczyzną spod sklepu ze słodyczami? Jeżeli migotanie oznacza wirusa, czym jest całkowite zniknięcie? Odsuwam od siebie tę myśl, nie mam teraz czasu na roztrząsanie tego.

– Co to ma wspólnego ze mną? – pytam drżącym głosem.

– Coś się zmieniło, Tave, kiedy przeżyłaś tę katastrofę. Wtedy jeszcze chcieli cię zabić – i to b a r d o tego chcieli. A teraz? Zależy im, żeby cię schwytać żywą.

– No kto by pomyślał... – mamroczę, przypominając sobie, jak facet w okularach przeciwsłonecznych do mnie strzelał, jak mało mnie nie rozjechał samochód, no i jeszcze te spalone szczątki beemki pod hotelem.

– Uwierz mi – mówi Sammi. – Gdyby Reduciatowi naprawdę zależało na twojej śmierci, tamten samochód w Bath trafiłby w ciebie. To nie są amatorzy, a tamto wydarzenie nie było nieudaną próbą zabójstwa, tylko ostrzeżeniem. Chciałabym wiedzieć, kogo ostrzegali. Oni chcą, żebyś sobie wszystko przypomniała, a wtedy cię schwytają. Nasze źródła twierdzą, że wiesz coś na temat wirusa.

– Ale ja nic nie wiem! – protestuję.

– Tavia, jedyną szansą dla Marka jest to, że zejdziesz się z Quinnem – Loganem, i całkowicie odzyskasz pamięć. Miejmy nadzieję, że wtedy przypomnisz sobie, czego chce od ciebie Reduciat.

– Ja nie mogę... Nie...

– Tavia, daję ci szansę bycia z Loganem. W wieku o s i e m n a s t u lat – dodaje. W jej głosie słyszę cień rozpacz. – Szansę na przeżycie wspólnie całego życia. Tego zawsze chciałaś, dlaczego się bronisz? – pyta, jej cierpliwość powoli zaczyna się wyczerpywać. Absolutnie nie zdaje sobie sprawy, że piętnaście minut temu przyrzekłam Bensonowi, że to z nim spędzę życie.

Zamierzam dotrzymać tej obietnicy.

Nie wiem jak, ale zamierzam.

Sammi bierze głęboki wdech, przeczesuje palcami krótkie włosy, próbując się opanować.

– Czekaj na nas prywatny odrzutowiec. Możesz spać po drodze, dostaniesz też coś porządnego do jedzenia.

– Nie – mój głos wydaje się grzmieć. Mogę przysiąc, że słyszę, jak ludzie poruszają się za drzewami.

Sammi zamiera.

– Jak to: nie? Musisz to zrobić, mamy coraz mniej czasu! I nie tylko dla Marka, dla wszystkich. Dzisiaj z powodu wirusa zmarły sześćdziesiąt cztery osoby, a ta liczba będzie ciągle rosła. – Sammi unosi rękę i kreśli nią w powietrzu koło, jakby chciała objąć świat, wszystkich. – Nie wiem, czego dokładnie chce od ciebie Reduciat, ale to musi być coś związanego z wirusem, w przeciwnym razie by cię po prostu zabili. Nie rozumiesz, oni mają swoje plany, a w ciągu ostatnich lat zmienili metody działania. Szykują się...

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyczę, nie pozwalając jej dokończyć. – Cokolwiek planują, to zaledwie chwilka w ciągu t y s i ę c y lat rozlewu krwi i spiskowania. Ja w to nie wchodzę! Naprawdę cię przepraszam – zwracam się do Marka – ale nie mogę. Nie mogę ci pomóc. Nie wiem nic o wirusie. I nie chcę mieć nic wspólnego ani z Curatoriatem, ani z Reduciatem – dodaję, odwracając się do Sammi i Elizabeth. – I jeżeli rzeczywiście zależy wam na tym, by mi pomóc, jak mówiłyście, uszanujecie moją decyzję. – Nogi mi się trzęsą, ale zmuszam się, by stać spokojnie. Sprawiać wrażenie, że panuję nad sytuacją.

– Pomyśl tylko, Tawio. – Sammi zmienia taktykę, skrupulatnie unikając wzroku Bena. – To twoja szansa, by stać się prawdziwą boginią i o c a l i ę r a s ę l u d z k ą. Po tamtej klątwie to chyba byłoby ostateczne odkupienie win? Poza tym masz właśnie okazję, by spędzić c a ł e ż y c i e ze swoim ukochanym. Chcesz z tego zrezygnować, by spędzić parę lat z chłopakiem, którego dopiero co poznałaś?

– Bez urazy – dodaje Mark pośpiesznie.

– Owijanie w bawełnę nikomu w niczym nie pomoże. – Sammi nie spuszcza ze mnie wzroku. – Myślisz, że jesteś w stanie opierać się tysiącom lat tęsknoty i miłości, które z każdym dniem będziesz coraz lepiej pamiętała? Dlaczego miałabyś to robić, skoro możesz być z nim, a do tego przy okazji powstrzymałabyś Reduciat?

– Nie zmusisz mnie do pokochania kogoś tylko dlatego, że „tak powinno być” – oponuję, chociaż czuję dziwną pustkę i staram się odsunąć od siebie poczucie winy. Nie mogę być bohaterką, którą ich zdaniem jestem! Nie wiem kompletnie nic na temat wirusa!

– Nie – odpowiada Sammi cicho. – Nie mogę – dodaje i pokazuje na moją głowę. – Ale o n e mogą. Setki kobiet, które w tobie tkwią, setki kobiet, które go kochają. Będą stawiały się coraz silniejsze i głośniejsze, aż przeklniesz dzień, w którym miałaś szansę paść w ramiona Logana, a tego nie zrobiłaś. Uważasz, że jesteś pierwszym Przyziemcem, który miał swoje życie, zanim odzyskał wspomnienia? Widziałam mnóstwo osób, czytałam tyle pamiętników – nie jesteś w stanie z tym walczyć, Tave. Zanim to zrozumiesz, będziesz martwa. Razem z tobą odejdzie większość ludzkości, a wtedy będzie już za późno na cokolwiek. Przemyśl to.

Wpatruję się w nią, a ona wbija we mnie wzrok pełen gniewu i strachu.

Nie kłamie, a w każdym razie mówi to, co uważa za prawdę.

Ale prawda, tak samo jak uroda, to rzecz względna.

– Tawia... – Głos Bena jest cichy i słaby, jednak dociera prosto do mojego serca. – Może ona ma rację.

– Nie, Benson! Nie ma! – Odwracam się, a on ujmuje moją twarz w dłonie i trzyma mnie za policzki, oddalony zaledwie o kilka centymetrów.

– Zostanę z tobą tak długo, jak tylko zechcesz – szepcze cicho, żebym tylko ja go usłyszała. – Tylko że ten wirus zniszczy cały świat. Skoro jesteś kluczem do jego pokonania – powinnaś wykorzystać okazję. Ona ma rację, kiedyś możesz pożałować, że dokonałaś takiego wyboru. Wiem, co to oznacza, i... nie wiem, czybym sobie z tym poradził.

– Nie sądzę, żeby ona miała rację – oponuję. – Nic nie wiem! I Rebecca też chyba o niczym nie ma pojęcia.

– To warte podjęcia ryzyka?

– Tak. – Nawet nie zadaję sobie trudu, żeby szeptać. Nie obchodzi mnie, czy usłyszą. – Benson, każda osoba, którą pokochałam, została mi zabrana – albo przez śmierć, albo przez oszustwo. – Macham ręką w stronę ludzi, których obdarzałam miłością jako Reese i Jaya. – Szansa, by iść za głosem serca i być z kimś, kogo się kocha, jest tego warta. – To moja prawda. On jest moją prawdą.

Sammi mruga, całkowicie niewzruszona.

– Tawio, nie chciałam tego mówić, ale... ty m u s i s z wrócić do swojego partnera – kończy bez emocji. – Albo oboje umrzecie. Na zawsze.

– Co ty opowiadasz? – Robię krok do przodu, unosząc podbródek. – Jestem Przyziemcem. Moja dusza jest nieśmiertelna i na wieki związana z ziemią. – To znów głos Rebekki. Nie odpycham jej od siebie, ona wie, o czym mówi.

– Wierzyliśmy w to przez tysiące lat. Ale dzięki pewnemu Przyziemcowi z Reduciatu, który przyszedł do nas kilkadziesiąt lat temu, odkryliśmy, że to nie do końca jest tak. Staraliśmy się trzymać tę wiedzę w tajemnicy, jednak przyszedł czas, żebyś poznała prawdę.

Drzę i muszę się oprzeć o Bensona, by utrzymać pion. I chociaż nie pamiętam większości swoich poprzednich wcieleń – wszystkich w zasadzie – wyczuwam podstawową prawdę, która sięga tysięcy, a może milionów lat wstecz: że z a w s z e jest nowy dzień, nowe życie, nowa szansa, by zrobić coś lepiej, być lepszym. Cokolwiek, co zagraża tej teorii, budzi mój głęboki niepokój.

– Moja egzystencja jest uzależniona od wyboru chłopaka? – pytam z niedowierzaniem. Sammi patrzy na mnie dziwnie, a Elizabeth robi krok do przodu.

– Nie pamiętasz, dlaczego musisz go znaleźć, prawda? – pyta.

Boję się odpowiedzieć. Boję się wyjść na idiotkę, która jest od nich zależna.

– To nie chodzi o romans, Tave. To kwestia życia i śmierci – wasza klątwa.

– Ta za stworzenie człowieka? – pytam drżącym głosem.

Elizabeth kiwa głową.

– Wiesz, że to, co stworzysz, znika po mniej więcej pięciu minutach? Kiedy złączysz się z Quinnem, będzie trwało wiecznie.

– Ale to akurat n a j m n i e j istotne – dodaje Sammi. – Moc Przyziemców jest niczym... Jak by to najlepiej określić? Niczym akumulator. Każde nowe życie, w którym znajduje się partnera, jest jak naładowanie akumulatora. Moc staje się nie tylko trwała, ale jeszcze rośnie w siłę. Z kolei w każdym życiu, w którym nie spotka się partnera, moc słabnie. – Sammi spogląda na Marka, a mnie nie podoba się strach w jej oczach. I nie jest to obawa o mnie, ale lęk p r z e d e m n ą. Boi się to powiedzieć. Obawia się, co zrobię. – Jak to bywa z akumulatorami, w końcu się wyczerpują.

– Nie. – Lekceważę jej słowa. – Istniejemy od początku dziejów. Nie możemy się w y c z e r p a ć i umrzeć.

– Owszem, możecie. Po upływie określonej liczby wcieleń.

Nic nie mówię.

To niemożliwe.

– Przez wieki sądziliśmy, że Reduciatem kieruje żądza władzy. I chociaż to prawda, rzeczywistość wygląda znacznie gorzej. Oba bractwa prowadzą skrupulatne zapiski. Reduciat odkrył to jako pierwszy, ale my szybko to potwierdziliśmy. Przyziemcy mają ograniczoną moc, spora jej część zostaje zużyta na reinkarnację. Jeśli nie znajdą partnera w odpowiednim czasie – nie odnowią źródła tej mocy – w pewnym momencie skończą im się pokłady energii koniecznej, by ich dusza... mogła się przenieść do innego ciała.

Wyciągam ręce przed siebie, jakbym chciała powstrzymać ją przed mówieniem. Jak gdyby to, co niewypowiedziane, nie istniało.

– Przychodzi taki moment, kiedy Przyziemiec umiera i znika. Jak każdy człowiek – dodaje szeptem. Nic nie mówię, więc ciągnie, zapewne po to, by wypełnić czymś niezręczną ciszę: – To właśnie próbuje osiągnąć Reduciat. Wierzą, że jeśli na zawsze pozbędą się par Przyziemców, ich energia spłynie na pozostałych bogów. Próbują przywrócić dla siebie taką moc, jaką cieszyli się Ziemotwórcy, czyli Przyziemcy przed swoim upadkiem. Jak dotąd całkiem

dobrze im to wychodzi.

– Ile? – szepczę.

– Ile czego?

– Ile wcieleń?

Sammi się waha.

– Siedem.

Obliczenie przychodzi mi bez trudu. Dwieście lat z Quinnem.

– To moje siódme wcielenie, prawda?

Sammi kiwa głową.

– A Logana? – Mój umysł już przestawił się na jego nowe imię.

– O ile nasze wyliczenia są dobre – tyle samo.

Wniosek jest prosty i brutalny: jeśli ucieknę z Bensonem, Logana i mnie po śmierci czeka koniec.

Być może świat zniknie razem z nami.

Pięć minut temu uważałam, że jestem w stanie poświęcić wszystko w imię miłości. Czy teraz będę musiała z niej zrezygnować, żeby ocalić świat?

Spuszczam głowę. Sammi bierze to za znak zgody.

– Nie będziesz żałowała – mówi z cieniem podekscytowania w głosie.

Zanim zdołam zaprzeczyć, sięga na moment do aktówki i podchodzi do mnie, trzymając coś w dłoniach.

– Kiedy cię poznałam – zaczyna – kiedy byłaś Sonyą, bardzo się nas bałaś. Zwłaszcza tego, że Reduciat cię namierzy. A gdy się dowiedziałas, że Darius zginął... postanowiłaś zapomnieć o tym życiu. Całkowicie. Nie chciałaś dać nam niczego, co pomogłoby ci odzyskać pamięć, nie mówiłaś nic ponad to, co niezbędne. Ale któregoś dnia przyszłam, a ty leżałaś na podłodze, czytając, i bezmyślnie splatałaś brzeg dywanu. To nic wielkiego, ale ty to zrobiłaś.

– Chcesz powiedzieć, że użyłam do tego swojej mocy? – pytam, nie rozumiejąc.

– Nie. Mówiłam ci wielokrotnie, że twoje zdolności artystyczne są nieodłącznym elementem każdego twojego wcielenia. Nie musisz tworzyć niczego nadprzyrodzonego, żeby wspomóc swoją pamięć – w przeciwnym razie Niszczyciele staliby na straconej pozycji. Po prostu musisz coś s t w o r z y ć. Obraz, rzeźbę albo – pokazuje ręką na mój naszyjnik – biżuterię. I chociaż ten kawałek dywanu to nic nadzwyczajnego, jestem pewna, że się liczy. Związałam oba końce, obciąłam go i zabrałam. Uznałam, że to nie ma większego znaczenia, zwykle wystarczy przedmiot z jednego wcielenia, by przywrócić całkowitą pamięć, ale zatrzymałam ten kawałek na wszelki wypadek. A teraz? – Unosi powieki, ukazując intensywnie niebieskie oczy. – Nie wiem, czy chcesz pamiętać tamto życie. Nie powiedziałaś nam, co wzbudziło w tobie taki paranoiczny strach. Może lepiej zostawić to w niepamięci. Jednak sądzę, że sama powinnaś podjąć decyzję.

Boję się wyciągnąć rękę, ale Sammi kręci głową.

– Nie dotykaj tego, nawet na to nie patrz, dopóki nie postanowisz, czy tego właśnie chcesz. Te wspomnienia być może są gdzieś w zakamarkach twojego umysłu. A jeśli Elizabeth się nie myli, będziesz potrzebowała jakiegoś przedmiotu Sonyi, żeby odzyskać jej pamięć. Włożę to tutaj – mówi i wsuwa foliową torebkę do kieszonki mojego plecaka. – Teraz wszystko zależy od ciebie. – Odchodzi, zanim zdołam to przemyśleć.

– Zadzwoń do pilota i powiem, żeby zaczął się przygotowywać – woła przez ramię. – Weź z tego p o ź y c z o n e g o samochodu wszystko, co ci potrzebne. Zostawimy go tutaj, może znajdzie drogę do domu.

Odwracam się do Bersona, opieram się czołem o jego ramię, czerpię od niego siłę.

Obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Po tym wszystkim, co dzisiaj usłyszałam i czego się dowiedziałam, mam wrażenie, że jestem zupełnie pozbawiona energii.

Ostatnie kilka dni to było piekło.

Benson jest moją kotwicą, trzyma mnie w rzeczywistości. A nawet więcej – utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach.

– Nie wiem, co robić – szepczę mu do ucha.

– Zaczniemy od zabrania rzeczy – mówi cicho. – Jeśli postanowisz uciec, wszystko będzie przygotowane, ale... – przerywa. – Jeżeli naprawdę nadalnosisz się z takim zamiarem, chyba najlepiej będzie polecieć z nimi i uciec jutro. Przynajmniej będziemy kilka tysięcy kilometrów stąd.

– Wybacz, ale nie podzielam twojej pewności co do tego, że samolot bezpiecznie przeniesie nas z jednego miejsca w drugie – mówię ponuro.

Ściska mi rękę – doskonale mnie rozumie – po czym sięga do samochodu i wyjmuję komórkę. Przygląda się jej przez chwilę, pośpnieje i ciska nią z całej siły o drzewa.

Wypełniam plecak po brzegi tym, co zabraliśmy z kryjówki Quinna, i słucham Sammi. Podnoszę wzrok, gdy słyszę, jak Mark szpetnie przeklina. Wpatruje się w dzwoniący telefon, a jednak nie reaguje.

– Znowu Daniel. W końcu muszę odebrać. Co mam mu powiedzieć?

– Wszystko, byle nie prawdę – krzywi się Sammi.

– Kim jest Daniel? – To imię padło już wcześniej, w czasie podsłuchanej rozmowy w sypialni.

Wtedy też zamierzali ukryć przed nim prawdę.

– Gruba ryba w Curatoriacie – Elizabeth odpowiada zamiast Sammi.

– Dlaczego więc mu nie ufacie? – Serce zaczyna mi bić ostrzegawczo.

Cała trójka spogląda po sobie bez słowa.

– Nie no, proszę – odzywam się z taką goryczą w głosie, że natychmiast podnoszą głowy.

– Wpakowaliśmy się w tę kabałę dlatego, że nie chcieliście ze mną rozmawiać. Niczego was to nie nauczyło?

Sammi kiwa głową i nakazuje mi podejść bliżej.

– Zauważyliśmy pewne oznaki... skorumpowania, że tak powiem... na najwyższych szczeblach Curatoriatu. Zwłaszcza w twojej sprawie.

Myślę o facecie w okularach przeciwsłonecznych i wszystkim tym, co się zdarzyło.

Byłam pewna, że zabójcy zostali nasłani przez Reduciat, Sammi też to sugerowała. Czyżbyśmy się myliły? Zgrzytam zębami, żałuję, że nie pamiętam tego, co – zdaniem Reduciatu – dobrze wiem.

– Dlatego na wszelki wypadek staramy się nie informować ich o naszych planach. Nawet tych sześciu strzelców, których sprowadziłam – Sammi pokazuje na drzewa – to starzy znajomi mojego ojca, którzy nie zgłoszą tego przełożonym. Być może się mylimy – dodaje pospiesznie. – Jednak woleliśmy zachować ostrożność.

Ciężko przełykam ślinę, w głowie słyszę echo słów Quinna: „Z obu bractw zaufać możesz jeno Curatoriatowi, lecz miej przy tym baczenie”. Zdaje się, że oni sami wychodzą z podobnego założenia.

– Zbieramy się. – Sammi kiwa na ukrytych za drzewami strzelców i rusza.

– Nie.

Powiedziałam to cicho, prawie niesłyszalnie, ale dotarło do jej uszu.

– Tavia...

– Nie – powtarzam głośniej. – Dzięki za to – pokazuję teczkę – ale nie będę waszym

pionkiem.

– To nie tak.

– Nie ma znaczenia. Sama muszę podjąć decyzję. A to oznacza, że z wami nie leczę, chociaż nie twierdę, że wam nie pomogę z wirusem – dodaję, zanim cokolwiek powie. – Muszę jednak przyznać, że nie ufam Curatoriatowi.

– Tawio – zaczyna Sammi. – Zmuszasz mnie, żebym zabrała cię siłą. Nie...

– Pozwól mi odejść, a obiecuję, że wkrótce się odezwę. Niebawem. Ale jeśli będziecie próbować... – Nie udaje mi się dokończyć zdania, bo kątem oka dostrzegam jakiś ruch za jej plecami i prawie krzyczę, gdy dociera do mnie, że to Quinn.

Wizja, nie prawdziwy.

Ma na sobie ten sam płaszcz i kapelusz, w których zobaczyłam go po raz pierwszy, i zupełnie nie pasuje do hondy, obok której stoi.

Nie patrzy na mnie, wzrok wbił w drogę, którą tutaj przyjechaliśmy.

Mam wrażenie, że zastygłam w betonie. Benson odsuwa się i coś mówi, ale ja stoję z otwartymi ustami, głucha na jego słowa.

Quinn robi mały krok do przodu i pokazuje brodą drogę, a potem, zupełnie bez ostrzeżenia, odwraca gwałtownie głowę, rzuca mi przelotne wściekłe spojrzenie i zaczyna się rozpląwać w powietrzu.

Doznaję olśnienia.

Za długo tu byliśmy.

– Przyszli po nas – szepczę i spoglądam w tę samą stronę, w którą patrzył Quinn.

Zamiera wszelki ruch. Nikt nic nie mówi.

– Przyszli po nas! – krzyczę. Kieruje mną jakiś zapomniany instynkt. Słyszę trzask, widzę oślepiające światło, a potem wszystko dookoła wybucha potężnymi płomieniami.

Jakaś siła gwałtownie przejmuję kontrolę nad moim umysłem, a ja upadam na kolano. Macham rękami, kartki wypadają mi z ręki i lądują dookoła.

Wszystko wibruje od dziwnie przytłumionego dźwięku, od którego niemal pękają bębny. Gorące powietrze wypełnia mi płuca, z trudem powstrzymuję kaszel.

A potem zapada cisza.

Nie, nie cisza, ogień huczy i trzeszczy. Ustały tylko dźwięki wybuchu.

Dotykam rąk – nie jestem poparzona.

Pomarańczowe płomienie liżą pnie drzew i połykają suche liście. Podnoszę wzrok, ale nad sobą widzę ciemność. Stoję pod czymś.

– Aaaa! Cholera jasna! – Benson klnie, bo wstał, uderzył się w głowę i znów opadł na ziemię.

Otocza nas coś czarnego i okrągłego. Unoszę ręce, muskam koniuszkami palców tę powierzchnię. Jest tak gorąca, że parzy.

– Żelazo – szepcze. Zupełnie jak tarcza, która dwieście lat temu ochroniła Quinna i Rebecę przed kulami.

Przynajmniej wiem, komu mam za to dziękować.

– Tavia, Benson – odzywa się ostro Elizabeth. Odwracam się do niej z szeroko otwartymi oczami, bo właśnie zrozumiałam, co się stało.

– Ja to zrobiłam! – wołam. – Jasny gwint, Elizabeth. Ja to zrobiłam! Ja... – „Tym razem udało mi się ocalić więcej niż jedno życie”.

– Musimy się stąd wynosić. – Benson ściska mnie za rękę tak mocno, że aż boli. – Ja nie mogę... dlaczego... t o w s z y s t k o m o j a w i n a. – Puszcza mnie, przeczesuje dłońmi włosy, a jego nierówny oddech wydaje się bardzo głośny w tej niewielkiej przestrzeni.

– Ben, już dobrze – mówię. Próbuję chwycić go za rękę, ale mi się wymykają.

Napotykam jego wzrok – Benson sprawia wrażenie, jakby dopiero zdał sobie sprawę z mojej obecności. Obejmuje mnie, chwytając palcami za plecy.

– Przepraszam – szepcze mi w kark. – Nie chciałem. Próbowałem uciec.

– Benson, o czym ty...

Podnosi się na kolana i ściąga kurtkę, po czym chwytając mnie za nogę, żeby zwrócić moją uwagę.

– Nożyczki, Tave.

– Co?

– Zrób mi nożyczki. Proszę – dodaje.

Nie ma czasu na rozterki moralne, nie w sytuacji, w której trzeba ocalić trzy istnienia. Mogę to zrobić! N o ż y c z k i. Zamykam oczy i staram się skoncentrować. W dłoni czuję ciężar, od razu podaję Bensonowi nożyce.

Są identyczne z tymi, które leżały w koszyku mojej mamy. Niepokojąco znajome. Jak ten medalion, który niechcący stworzyłam. Gdzieś na obrzeżach świadomości istnieje cień wspomnień. Tworzę to, co znam.

Benson bierze nożyczki i zaczyna ciąć kurtkę. Nadal nie rozumiem, co kombinuje, ale ufam mu bezgranicznie. Powierzam mu swoje życie. I życie Elizabeth.

– Wodę – mówi i zanosi się kaszlem.

Tym razem jestem gotowa.

Woda spływa z moich odwróconych dłoni, Benson nasącza kawałki materiału i podaje każdej z nas.

– Może powinnam zgasić ogień wodą? – pytam zdezorientowana. Całkiem niedawno wywołałam prawdziwy potop, bo współlokator Bensona zachował się jak krety.

Benson potrząsa głową.

– Pod osłoną ognia być może uda nam się uciec. Jeżeli go zgasisz, będziemy ugotowani. Przytykamy nawilżone kawałki materiału do ust i kucamy obok siebie. Temperatura powietrza gwałtownie wzrasta.

– Tędy! – Elizabeth przekrzykuje huk płomieni, które pochłaniają całe drzewa. – Nasze auta stoją na szosie, może tam dobiegniemy. Cokolwiek się będzie działo, nie przestawajcie biec.

Benson kiwa głową ze spokojem, którego chyba nie może odczuwać.

– A co z Sammi i... – próbuję zapytać, ale Elizabeth mi przerywa.

– Nie myśl o nich – nakazuje. – Musimy biec. Ta osłona nie jest trwała, za moment się rozpuści.

Sammi i Mark. Reese i Jay. Byli zbyt daleko, żebym mogła ich ocalić.

Znów zawiodłam.

Moja stopa ślizga się na czymś. Teczki z dokumentami!

W ułamku sekundy, który nam został, zbieram rozsypane kartki. Kilka jest osmalonych – aż boję się pomyśleć, ile zniknęło na zawsze. Nie mam czasu chować ich do plecaka, przyciskam je do piersi jedną ręką, drugą chwytam dłoń Bensona.

Elizabeth spogląda na nas i kiwa głową.

– Teraz!

Pochylamy się i wyskakujemy spod ochronnej tarczy, a mnie aż zapiera dech, gdy całkiem realna ściana gorąca uderza w nas i paraliżuje mnie na chwilę. A potem chłodne krople znaczą moje czoło, dzięki czemu temperatura staje się znośniejsza.

Pada deszcz.

A nawet leje. Jednak nagle oberwanie chmury w żaden sposób nie tłumi potężnych płomieni.

Dłoń Bensona zaciska się na mojej, ciągnie mnie za sobą.

Serce mi zamiera, gdy ich dostrzegam.

Ciała są częściowo zwęglone. Nie poznałabym Marka, gdyby nie to, że w jego poczeriałych ramionach spoczywa Sammi. Rzucił się i przykrył ją sobą, ale ta wątła tarcza okazała się niewystarczająca. Eksplozja zwęgliła lewy bok Sammi, zapewne natychmiast pozbawiając ją życia, ale prawy został dziwnie nienaruszony. Pokryte czerwonymi pęcherzami powieki na szczęście są zamknięte. Odrywam wzrok, w gardle czuję wzbierające mdłości.

Elizabeth prowadzi, omija płomienie, ja i Benson biegniemy za nią.

Już dociera do obrzeża polany, kiedy nagle potyka się o coś i upada na płonący samochód. Krzyczy, gdy jej ciało dotyka rozżarzonego metalu, ale wrzask zostaje niemal całkowicie zagłuszony hukem szalejącego ognia.

I nagle płomienie znikają.

Po prostu znikają.

Zgliszcza pozostają, ale po ogniu nie ma śladu. Zupełnie jakby został usunięty za pomocą czarów.

Usunięty.

„O c z y w i ś c i e”, uświadamiam sobie. „Moc tworzenia i jej przeciwieństwo. Istnieją Twórcy – tacy jak ja. Istnieją też Niszczyciele. Sammi o nich wspominała. Wtedy nie zadawałam żadnych pytań, bo w głębi duszy wiedziałam, że ma rację”.

Oprócz mnie jest tu jeszcze jakiś Przyziemiec.

Benson ciągnie mnie na skraj polany.

– Musimy uciekać!

Kiedy skręcamy, słyszę dźwięk – coś tak absolutnie niepasującego do sytuacji, że chyba usłyszałabym go nawet, gdyby wokół szalał huragan.

Śmiech.

Pojawia się długi cień, ale panuje zmierzch i nie jestem w stanie rozpoznać twarzy zbliżającej się postaci, dopóki nie podniesie głowy.

– Marie? – szepcze zdumiona. Włosy ma związane gładko z tyłu, nie opadają jej miękkimi falami wokół twarzy, jak to zwykle bywało. Eleganckie spodnium i duży srebrny wisior w niczym nie przypominają sukienek i rozpinanych sweterków, które nosiła w bibliotece. Stoi wyprostowana, wysoka, a jej iście królewska postawa świadczy o władzy i dumie. Mimo że po twarzy spływają jej strugi deszczu, nadal wygląda jak bogini.

Benson tężeje, przyciąga mnie do siebie tak mocno, że oddycham z trudem.

– Uciekaj – szepcze i odpycha mnie.

Zmuszam nogi do biegu, wstępuje we mnie nagła energia, jednak udaje mi się pokonać zaledwie metr, kiedy z ukrycia wysuwa się grube ramię i łapie mnie za gardło. Nagle czyjeś ręce chwytają mnie w talii, za nogi i odciągają od Bensaona. Nieruchomieję, gdy czuję na skroni lodowatą lufę pistoletu.

– Jeden ruch i giniesz. Na zawsze.

Zmuszam się, żeby stać nieruchomo, ale wzrokiem szukam Bensaona, który walczy z napastnikami.

– Przestań! Nie! Zostawcie ją w spokoju. Mówiłem... – Głuchy trzask przerywa mu w pół zdania. Krzyczę, gdy głowa leci mu w bok pod wpływem silnego ciosu w skroń.

Rozglądam się dookoła po otaczających nas kilkunastu twarzach. Nie widzę wśród nich naszego głównego prześladowcy, ale bez okularów przeciwsłonecznych, z cieniami rzucanymi na policzki przez gałęzie drzew – może być jednym z nich.

– Ben, spokojnie – mówię, chociaż żaden mięsień mi nie drgnie. – Nic mi nie jest.

– Mmm, jak słodko – odzywa się Marie tonem tak niepodobnym do głosu cichej bibliotekarki, że aż zamieram. – Rozkochał w sobie Przyziemca. To przesada nawet jak na Reduciat, Benson!

– To nie tak – odpowiada, wrywając się do mnie. Krew ścieka mu po policzku i miesza się z deszczem, tworząc czerwone strugi przypominające makabryczne łzy. – Puśćcie mnie!

– Wszystko w swoim czasie – odpowiada Marie, uosobienie spokoju i opanowania, i mierzy mnie wzrokiem. Świat zaczyna wirować, wszystko staje do góry nogami. – Wiesz, kiedy okazało się, że pokój hotelowy jest pusty, byłam pewna, że nam zwiąłeś, ale widzę, że zwiąłeś sobie do serca naszą l e k c j ę – stwierdza, muskając palcem fioletowy siniec pod jego okiem. Wzdryga się pod jej dotykiem.

Czas płynie jak na zwolnionym filmie.

– Benson? – Czy ja powiedziałam to na głos?

Na jego twarzy maluje się czysta rozpacz.

– Tavia. Ja nie chciałem. Sądziłem... Nie masz pojęcia.

– Ty to zrobiłeś? – szepcze. Nie mogę w to uwierzyć. Nie uwierzę. – Nie! – wrzeszczę do Marie. – Kłamiesz!

– Doprawdy? – mówi tak cicho, że ledwo słyszę. – Pokażcie jej znak.

Mężczyzna, który trzyma Bensaona, odwraca go obcesowo i zaciska ramię na obitych żebrach, tak że z jego ust wydostaje się jęk. Napastnik unosi koszulkę, a moim oczom ukazuje się lewa łopata.

Tatuaż, którego cień widziałam wczoraj przez biały T-shirt.

Częściowo ankh.

Częściowo laska pasterska.

N i e.

A więc to prawda.

Przez cały czas.

Czuję wielki ucisk w żołądku, mam ochotę zgiąć się wpół, chwycić w pasie, ledwo utrzymuję się w pionie. Właśnie ten moment wybiera błyskawica, która rozszczepia niebo, a mnie aż oślepia nagła jasność.

Nikt się nie rusza. „Raz, dwa, trzy, cztery”. A potem cały las wypełnia się ogłuszającym grzmotem, i dopiero gdy wraca cisza, znów zaczyna się chaos.

Napastnik puszcza Bensona, ale kopniak w plecy powala na kolana chłopaka, którego – jak sądziłam – kocham. Spogląda na mnie, teraz rozumiem, skąd te jego obrażenia. „Ostrzeżenie” – powiedziała Reese. „Chciałabym wiedzieć, kogo ostrzegali”. Teraz by wiedziała. Gdyby żyła.

– Nie chciałem tego! – Benson patrzy na mnie błagalnie. – Nie miałem wyboru! Wczoraj wieczorem – próbowałem uciec.

Przesiewam wspomnienia z ostatnich kilku dni – wiedział, że muszę jeść batoniki i frytki, tak łatwo zaakceptował moją moc, uciekł ze mną, nawet te głupie wytrychy. Dociera do mnie, jak mnie okłamywał, jak daleko się posunął, by mnie oszukać. Boli mnie brzuch.

– Przez cały ten czas ty... – Tylko tyle jestem w stanie wydusić, a potem ogarniają mnie potężne mdłości i zaczynam się dławić. Zatykam usta dłonią, w uszach huczy mi deszcz. Umysł blokuje wszelkie myśli.

– Tave, proszę – błaga Benson, ale Marie przerywa mu niedbałym ruchem ręki.

– Zabierzcie go do wozu.

Inny facet chwyta go za rękę i zaczyna ciągnąć.

– Tavia! Nie słuchaj ich! Nie mów im – auuu! – Benson się zapowietrza, bo facet wymierza mu cios w poobijane żebra. Nie jestem w stanie oderwać od niego wzroku. Serce mi pęka na widok tego, jak okrutnie jest traktowany, chociaż wszystko w środku rozsypało mi się w pył i nie zostało nic. Jestem próżnią.

Nie mogę się ruszyć.

Nie mogę oddychać.

Benson, który przeszedł ze mną to wszystko. Który powiedział, że mnie kocha.

A ja mu uwierzyłam.

Myśli się kotłują, znajduję kolejne dowody, których wcześniej nie chciałam widzieć. Wiedział, co oznaczają łacińskie nazwy obu bractw. Zdawał sobie sprawę, że muszę dotrzeć do Logana, nalegał, żebyśmy porozmawiali w autobusie. Te jego zagadkowe przeprosiny, nawet sposób na wydostanie się z ognia za pomocą mojej mocy, o której zapomniałam.

Należy do Reduciatu.

Od początku wiedział o istnieniu Przyziemców.

Serce mi bije w zwolnionym rytmie, który przywodzi na myśl pieśń żałobną. Żałuję, że to nie dla mnie jest przeznaczona.

– Prawda jest bolesna, czyż nie, Tawio? – Marie po raz pierwszy prawidłowo wymawia moje imię. Zastanawiam się, czy sprawiało jej chorą przyjemność przekręcanie go przez tyle miesięcy. – Ale o to chodzi Reduciatowi. O prawdę. Bezwzględna, bezlitosna, której nikt inny nie chce słyszeć.

Jej głos jest jak trucizna sącząca się do moich uszu.

Zerka przez ramię na furgonetkę. Zamykane właśnie drzwi tłumią protesty Bensona.

– Powinnaś mieć jednak dla niego odrobinę ciepłych uczuć – odzywa się prawie miłym

głosem. – Sporo wysiłku kosztowało nas nakłonienie go do współpracy. Ten facet, którego za wami wysłaliśmy, ten samochód, który prawie cię zabił – to wszystko miało przypomnieć Bensonowi, co się stanie, jeśli nas zawiedzie.

– To nie ma znaczenia. – Wyrrywam ręce dwóm osiłkom, którzy mnie trzymają. – Przyjął zlecenie.

– Owszem, przyjął – odpowiada Marie, a przez jej twarz przebiega cień uśmiechu.

– Reduciat zabija Przyziemców – mówię przez zaciśnięte zęby. – Dlaczego im pani pomaga?

Śmieje się, już wcześniej słyszałam ten śmiech. Przypomina mi świergot ptaków, pamiętam go z czasów, gdy była sympatyczną, opiekuńczą bibliotekarką. Teraz wibruje, przenika mnie aż do kości i wzburza krew. Pojawia się kolejny błysk, ale teraz grzmot następuje szybciej.

– Ja nie p o m a g a m Reduciatowi, Tawio Michaels. Ja nim d o w o d z ę. W naszych szeregach jest wielu Przyziemców. To elita, ci, którzy pragną przywrócić nas do życia, do jakiego zostaliśmy stworzeni. Możesz się do nas przyłączyć. Dobrowolnie. Chcemy cię, to chyba oczywiste. Jest nam potrzebne to, co masz w tej ślicznej uszkodzonej główce. Mogłabyś zająć wysoką pozycję. Byłoby ci łatwiej. Nie ma żadnego racjonalnego powodu, dla którego mielibyśmy żyć we wrogich stosunkach.

Zza moich zaciśniętych zębów wydostaje się jęk i Marie znów wybucha śmiechem.

– Tak sądziłam, ale nie mów, że nie dałam ci szansy.

Myśli kotłują mi się w głowie, próbuję znaleźć coś, co mogłabym stworzyć, żeby pomóc sobie w ucieczce.

– Na twoim miejscu niczego bym nie próbowała – mówi Marie, cmokając, zupełnie jakby czytała w moich myślach. – Jestem o wiele potężniejsza niż jakaś żalosna półbogini, którą tylko krok dzieli od trwałej śmierci.

– Dlaczego więc mnie nie zabijesz? – pytam ze złością.

– Ponieważ, jak się okazuje, nie jesteś tym, za kogo cię uważaliśmy. Czy raczej jesteś kimś w i ę c e j, niż sądziliśmy. Kiedy zobaczyliśmy, co zrobiłaś z tym samolotem... – wzdycha i potrząsa głową. – Pomyśleć, że prawie cię straciliśmy.

Podchodzi bliżej i chociaż próbuję się wyrwać, nie mam dokąd, więc gdy przesuwa palcem po moim policzku, tylko zaciskam zęby.

– Nie pamiętasz? Lodowata angielska noc i ta bezlitosna, twarda ziemia pod parkową ławką. Noc, podczas której nikogo tam nie powinno być. Kiedy zaczęła się cała ta zabawa w chowanego. – Znów się śmieje, a ja jestem wstrząśnięta tym, jak bardzo pragnę, by zacisnąć palce na jej gardle. – Benson powiedział nam, że niczego nie pamiętasz, ale nie byłam przekonana, czy mówi prawdę. Może i mówił. No ale m n i e chyba pamiętasz?

Twąz Marie łagodnieje, kobieta patrzy mi prosto w oczy. Czuję ucisk w klatce piersiowej, w głowie narasta ból. I chociaż próbuję z tym walczyć, po raz drugi dzisiaj moja dusza zostaje rozerwana na strzępy.

Leżę na czymś twardym, nierównym, ubranie mam nieco wilgotne, przez co lodowaty wiatr jest jeszcze bardziej dokuczliwy. Nos mi okropnie zmarzł, zupełnie jakby ktoś wbijał w niego kłujące igły. Boję się otworzyć oczy.

A jednak muszę.

Bo kiedy to się stało, otworzyłam, a teraz mogę tylko leżeć i dokładnie odtwarzać tamto wspomnienie. Poddaję się i zostaję wchłonięta przez swoją wizję.

Głosy zbliżają się i wkrótce widok pokrytego śniegiem parku przesłania mi obszerna czarna spódnica z błyszczącą nitką. Zaraz potem widzę skórzane botki oraz dół ciężkiego płaszcza i powstrzymuję westchnienie ulgi, bo gęsty materiał chroni mnie nieco od wiatru. Próbuję ponownie zasnąć, wykorzystając tę podarowaną mi odrobinę ciepła, zanim wstaną i sobie pójdą, ale ich słowa ciągle mnie budzą.

– *To zniszczy prawie wszystkich, i do tego połowę Przyziemców. Możemy zacząć od nowa. To będzie najwspanialszy moment w historii Reduciatu. N a s z najwspanialszy moment.*

– *Jeszcze nie jest gotowy. Nie można go wypuścić, nie mamy antidotum.*

– *Ile jeszcze wcieleń? Trzy? Dziesięć? Tracę cierpliwość, a Curatoriat... zaczyna być uciążliwy.*

– *Myślisz, że nie wiem?*

Przyziemcy... Reduciat... Curatoriat...

Nie wiem, co znaczą te słowa, ale mój umysł się ich uczepia i zmusza mnie do otwarcia oczu, w głowie mi się kręci, myśli się kotłują.

Kotłują.

I nagle pojawia się coś jeszcze.

Coś, czego nigdy wcześniej nie czułam. Przed oczami przemykają mi obrazy, mam wrażenie, że ktoś otworzył mi głowę i wlał do niej gorący rosół. Wypełnia mnie ciepłem, wiedzą, głosami.

Głosami, które nakazują zachować milczenie.

Staram się leżeć cicho, ale to przyjemne ciepło jest jednocześnie... huraganem, na opisanie którego brak mi słów. Jakbym naraz stała się setką ludzi.

Aż tracę oddech i czuję, że na czoło występują krople potu, choć przecież dopiero co było mi przeraźliwie zimno.

Dopiero co?

Tak, upłynęła zaledwie chwila.

Nagle mężczyzna chwyta mnie za rękę i wyciąga spod ławki. Jego twarz znajduje się kilka centymetrów od mojej. Potrząsa mną tak, że aż grzechoczą mi zęby. Nadal jestem wypełniona dziwnymi uczuciami, nie słyszę więc, co mówi, tylko powtarzam raz za razem: Nic nie słyszałam, pszę pana. Nic nie słyszałam...

Przestaje mną potrząsać, a ja z ledwością unoszę głowę. Patrząc na tę pooraną bruzdami twarz, na krótką brodę i bliźniętę wzdłuż policzka. Nie jestem pewna, czy to gentleman, czy raczej oprych.

Oczy ma w kolorze jasnego piwa, wpatruję się w nie przez długie sekundy.

Znam tę twarz.

Jestem pewna, że nigdy go nie spotkałam, a jednak go poznaję.

– *To tylko małe ludzkie dziecko – rozlega się głos kobiety, której nie widzę. Odwracam wzrok w jej stronę. Ona mnie uratuje!*

Wita mnie mała lufa pistoletu skałkowego, niemal dotyka skóry mojego czoła. Trzyma go

delikatna, odziana w rękawiczkę dłoń.

– Nikt nie zauważy jej zniknięcia – kończy kobieta.

Otwieram szeroko oczy i patrzę jej w twarz. Wydaje się dostojna, miła i niemal piękna. Ale nie wykazuje ani krzty wahania, ani krzty skruchy, gdy pociąga za spust. Ostatnią chwilę mojego życia wypełnia ogłuszający huk wystrzału i wielki ból głowy.

Moja dusza znów zostaje rozerwana na strzępy.

Próbuję złapać oddech, płuca błagają o odrobinę powietrza. Dotykam czoła, jednak skóra jest cała. Pot miesza się z kroplami deszczu. Nic mi się nie stało.

Żyję.

To było tylko wspomnienie.

Podnoszę wzrok na Marie. Tym razem nie ma broni, ale spojrzenie jest identyczne, pozbawione emocji.

– Jakaż szkoda – mówi ze spokojem. – Ty i ja. Przyjaźniłyśmy się kiedyś, zanim stanęłaś po stronie Curatoriatu. Tyle eonów lat temu, a ja nadal pamiętam, jak tworzyłyśmy razem rzekę i kanion, którego strome zbocza i wąskie dno miały stać się legendą. Robiłyśmy to, ponieważ potrafiłyśmy. Ty tworzyłaś wielkie góry, ja żłobiłam w nich głębokie doliny. Dawanie i branie, równowaga, właśnie taka, jaką mieli reprezentować Ziemiotwórcy. My tworzyłyśmy coś pięknego, a w tym czasie nasi kochankowie kłócili się i walczyli. Za każdym razem, gdy ktoś wspomina o Wielkim Kanionie, czuję lekki żal.

Próbuję zrozumieć, o co jej chodzi, kiedy nagle wymierza mi siarczysty policzek.

– Za to, że mnie zostawiłaś – mówi cicho.

Gniew huczy mi w głowie. Wypełnia mnie wściekłość, która blokuje ból po uderzeniu. Moje życie, rodzice, miłość – to ona jest odpowiedzialna za wszystko, co straciłam.

– Zabraliście mi w s z y s t k o! – wrzeszczę, a błyskawica wyostrza moje słowa.

– Podejrzewam, że tak – odpowiada z absolutnym spokojem.

Jestem pewna, że wściekłość za chwilę mnie pochłonie, ale nagle coś się we mnie zmienia i mój umysł opanowuje czarna cisza.

„Dosyć”, słyszę w głowie echo głosów, których nie znam, a furia ściska mój żołądek na myśl o wszystkich krzywdach, których nie pamiętam – pamiętam za to wyraźnie ból i ogromne cierpienie. „Dosyć. Tego. Do cholery”.

Wyciągam ręce przed siebie, przelewam na nie swój gniew i oczom natychmiast ukazuje się góra: brązowy olbrzym, pełen ostrych skał i urwistych grani, setki metrów nad moją głową, dostępny na wyciągnięcie ręki. Las, który jest już tylko martwym wspomnieniem, został zmieciony przez skalnego molocho.

W sekundę.

Nagle i góra znika. Nie w ciągu zwyczajowych pięciu minut, teraz zostaje usunięta siłą. Marie stoi niemal znudzona, a wszędzie, gdzie wzrok sięga, widać połamane drzewa.

Marie Niszczycielka.

Ale ja jeszcze nie skończyłam. To była tylko próba.

Lawa, stal, kule. Pojawiają się ze wszystkich stron, bo każda kobieta w mojej głowie wybiera broń ze swoich wspomnień, pozostających poza moją pamięcią. Pozwalam im na to. Poddaję się, niech wszystkie dawne Tawie dadzą upust wściekłości i bólowi, który wzbierał w nas przez tysiąclecia.

Na pierwszy plan wysuwa się jeden głos, jedno wspomnienie.

Ta noc, kiedy znajdowałam się w jeziorze, gdy byłam Rebeccą. Ta twarz, którą widziałam nad sobą, tuż nad lodowatą powierzchnią wody.

To była ona.

Ileż razy była moim ostatnim obrazem przed śmiercią.

Tracę skupienie. Zabijała mnie już tyle razy, teraz też to zrobi.

„Nie”.

Nie utonę. Nie umrę. Nie tym razem.

Czuję przyływ mocy, wypełnia mnie po brzegi, w głowie tak mi od niej huczy, że chyba ogłuchnę. Jeśli przeżyję.

J e ś l i.

Już nawet mnie to nie obchodzi.

Wypływa ze mnie coraz więcej wściekłości, palącej udręki. Nic nie widzę, bo kiedy ta wielka moc zaczyna się cofać, jestem zupełnie pozbawiona energii. Chwieję się i nie wiem, czy utrzymam się na nogach. Deszcz spływa mi po twarzy strumieniami, a wydaje się niemal ciepły.

– Dalej, Tavia!

Głos Elizabeth, jej ręce, które mnie ciągną. Nic nie widzę, potykam się, biegnę na oślep, prowadzona tylko przez jej rękę. Dźwięk otwieranych drzwi samochodu, pchnięcie, po którym ląduję na fotelu.

Mrugam, przed oczami widzę gwiazdy. Głowa opada mi na bok. Dzięki bogom moja góra nie zmiażdżyła auta. I bez tego narobiłam wystarczająco dużo kłopotów.

Nawet nie jestem pewna, co konkretnie zrobiłam.

Spoglądam na to, co zostało z lasu, i widzę ogromną stertę ziemi, a za nią stopione skały. Każda materia, jaką jestem sobie w stanie wyobrazić, stanowi element tłącego się stosu w miejscu, w którym wcześniej stała Marie.

Wiem, że nie przetrwa zbyt długo, ona jest za dobra. Już zaczyna topnieć, kawałek po kawałku, jakbym w ogóle tego nie stworzyła. Nieistniejąca góra, wracająca do punktu wyjścia. Ludzie biegną w naszą stronę, rozpoznaję wśród nich faceta, który odciągnął Bensona. Już prawie docierają do samochodu.

Silnik zaczyna ryczeć, Elizabeth cofa, uderza w drzewo, a dźwięk rozbijanego zderzaka współgra z makabrycznym piskiem opon.

Otoczają nas nagle ciemne kształty, słyszę głuchy łoskot ciała odbijającego się od metalu gdzieś w okolicach bagażnika. Staram się nie myśleć o tym zbyt intensywnie, czuję, jak ścisza mnie w gardle. Elizabeth rusza do przodu i gwałtownie przyspiesza.

Nie odwracam się, nie chcę już niczego widzieć. Wystarczy mi obraz spalonych ciał Sammi i Marka, żebyśmy miała koszmary do końca życia.

Oraz zdrada Bensona.

Nie jestem w stanie o nim myśleć, od razu czuję potworne mdłości.

Staram się odwrócić uwagę, zapinam pas tuż przed tym, kiedy Elizabeth wchodzi w ostry zakręt i niemal przewraca mnie na siedzeniu.

– Nie ma czasu na dojazd do samolotu, zresztą być może Reduciat już go przejął – krzyczy, zmuszając mnie do słuchania. – Wysadzę cię dwie ulice przed dworcem Greyhound – dodaje, nie spuszczając wzroku z szosy. – Weź to.

Zaciskam palce na telefonie komórkowym, który mi podaje, jednocześnie pokonując kolejny zakręt. Ledwo chwytam aparat, znów kładzie ręce na kierownicy: w świetle przydrożnej latarni świeci się od czegoś wilgotnego.

To krew.

Przypominam sobie wrzask Elizabeth, gdy upadła na zwęglony samochód.

Ta jazda to z pewnością horror dla jej dłoni.

– Wsiądź do autobusu, do pierwszego lepszego – nakazuje, nie spuszczając wzroku z jezdni. – Nieważne, dokąd jedzie. Po prostu wsiądź i jedź do końca. Zrozumiałas?

– Taaa – odpowiadam słabo i zapieram się o drzwi, bo z piskiem opon pokonujemy kolejny zakręt.

I znów latarnia. Elizabeth ma czerwone dłonie, coś się z nich sączy.

– Elizabeth, twoje ręce...

– Zagoją się – odpowiada przez zaciśnięte zęby. – Zadzwoń do ciebie, gdy będzie bezpiecznie. Nie wiem kiedy. Ty sama do nikogo nie dzwoń, zwłaszcza do Bensona. Musisz zrozumieć, że nie wolno ci się z nim kontaktować. Już nigdy.

„Benson”. Kiwam głową, chociaż to tak boli. To gorsze, niż gdyby umarł. Może nawet – niż gdybym ja umarła. Elizabeth uderza autem w krawężnik, a moja głowa zderza się z szybą. Czuję odległy ból, ale w tej chwili to nie ma znaczenia.

– Otwórz moją torebkę – instruuje mnie. Rozglądam się po podłodze i znajduję poniewierającą się pod nogami czarną torbę. – Wyjmij portfel.

– Ale ja mam...

– Bierz, Tave! – nakazuje.

Otwieram zamek, grzebię w środku i przekładam portfel do plecaka.

– Weź jedzenie, nie ma tego wiele, ale przyda ci się.

Znów gmeram w środku, znajduję kawałek batonika i dużą paczkę mieszanki studenckiej. Z wdzięcznością pakuję ją do plecaka, a całą czekoladkę wpycham sobie do ust, żeby zwalczyć ciemność, która już zaczęła ograniczać mi pole widzenia.

Mijają sekundy ciszy, mój umysł próbuje zrozumieć to, co się przed chwilą zdarzyło.

Ledwo przełykam ostatni kęs batonika, wyrzucam z siebie:

– Pokonałam ją. – O n e ją pokonały. T y m r a z e m.

– Tak. – W jej głosie słychać delikatność i wdzięczność.

Ale i pustkę. Nie ocalałam Sammi ani Marka.

Zamiast tego uratowałam Bensona.

A on mnie zdradził.

Elizabeth rzuca mi przelotne spojrzenie i dalej jedzie chaotycznie.

– Dobrze sobie poradziłaś.

„A jednak nie dość dobrze”. Marie nadal gdzieś tam jest. Pewnie nawet nie odniosła żadnych obrażeń. Owszem, uciekłam, ale jej nie powstrzymałam.

– Tam był Quinn. Widziałam go – mówię, starając się odepchnąć od siebie rozpaczliwe przekonanie, że nadal muszę uciekać przed tą kobietą.

Elizabeth milczy, przygryza dolną wargę.

– Ostrzegł mnie. Jak on to robi? Przecież nie jest prawdziwy. Za każdym razem, gdy go widziałam, to była tylko wizja, prawda? On nie jest... realny. – Odkąd go dzisiaj zobaczyłam, mój umysł szaleje. Nie wiem, jak wytłumaczyć to, co zrobił. – Jego duszy tu nie ma. Jest z Loganem. Jest Loganem.

Elizabeth pokonuje kolejny zakręt ze wzrokiem wbitym w lusterko wsteczne. Czuję się taka zagubiona.

– Mózg to potężne narzędzie. Ale i bardzo kruche, Tave. Odblokowywanie pamięci musiało się zacząć w momencie, w którym ocalałaś się z katastrofy lotniczej, jednak twój mózg był zbyt uszkodzony, żeby przetrwać bez szwanku tak drastyczną zmianę. Skoro więc nie byłaś w stanie powstrzymać dłużej wspomnień, twój umysł stworzył coś, żeby się chronić. Kogoś, kto uosabiałby te wspomnienia, a jednocześnie byłby łatwy do zaakceptowania. Kogoś bezpiecznego. To taki mechanizm obronny, mający na celu złagodzenie procesu pełnego przebudzenia bez przepalania synaps. – Elizabeth rzuca mi przelotne pojrzenie. – Nie jesteś pierwsza.

– A więc to nie on mnie uratował? – pytam cicho. Zależy mi nie tyle na tym, by to Quinn mnie ocalił, ile żeby mieć kogoś po swojej stronie.

Elizabeth odwraca głowę i na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotykają.

– Nie – odpowiada stanowczo. – Ocalałaś sama siebie.

– Elizabeth? – waham się. – Sammi miała rację, prawda? Reduciat rzeczywiście potrzebuje mnie tak bardzo, że wysłał swoją przywódczynię? Z powodu tajemnicy, której – ze względu na poniesione obrażenia – nawet nie pamiętam?

Nie patrzy na mnie, ale widzę, że ciężko przełyka ślinę.

– Bardzo ciebie potrzebują, Tave. Coś poszło nie tak. Wydaje mi się, że za szybko wypuścili wirusa. Zbyt szybko się rozprzestrzeniła. To śmierć, która następuje za szybko, zwariowana pogoda, która – zdaniem ludzi – nie może być zjawiskiem naturalnym – odpowiada i pokazuje deszcz, który sprawia wrażenie, jakby miał się przerodzić w śnieg lub grad. – To wszystko ich błąd. Coś źle obliczyli, sytuacja wymknęła się spod kontroli, teraz będzie już tylko gorzej. – Elizabeth spogląda na mnie. – Chcieli, żebyś zginęła w katastrofie lotniczej, ale coś, co zrobiłaś... teraz sądzą, że potrafisz naprawić ich błąd, zanim zniszczy nas wszystkich – włącznie z nimi. Tyle wiemy.

Pada na mnie blady strach.

– Na pewno się mylą, Elizabeth. Nie potrafię pomóc. Nic nie umiem. Nie pamiętam nawet tego, co – ich zdaniem – potrafię zrobić.

– Podczas wielu lat w Curatoriacie nauczyłam się jednego – mówi, spoglądając na mnie przez zmrużone powieki. – Reduciat prawie nigdy się nie myli. Tavia, nie umiera. Nie wiem czemu, ale jesteś ostatnią nadzieją ludzkości. Musisz się dowiedzieć, o co chodzi, a potem ich powstrzymać.

Opieram się o fotel i nic nie mówię. Jeszcze nigdy nie czułam się taka mała, taka nieistotna. Jeżeli rzeczywiście jestem ostatnią nadzieją ludzkości, to ludzkość jest skazana na zagładę.

Elizabeth znów zerka w lusterko wsteczne, bo jedziemy przez ciemną część miasta, gdzie połowa latarni jest przepalona. Obskurne i dość przerażające uliczki.

– Nie wiem, czy ich zgubiłam, ale przynajmniej są na tyle daleko, że ich nie widzę. Kiedy się zatrzymam, wyskakuj i natychmiast się ukryj. Odczekaj około trzydziestu sekund, żebym mogła odjechać. A potem biegnij w tamtą stronę – pokazuje na ciemną alejkę ze zrujnowanym ogrodzeniem po obu stronach. – Dwie przecznice dalej masz dworzec autobusowy. Na pewno trafisz, będzie oświetlony.

– Elizabeth? – odzywam się z rozpaczą w głosie.

– Co?

Chciałabym jej powiedzieć, że nie jestem gotowa, że nie do końca rozumiem, jak uratowałam się w samolocie i z pożaru, a zwłaszcza – jak ocalałam się przed Marie. Nie jestem pewna, czy byłabym w stanie to powtórzyć.

Na pewno nie sama.

Nie bez Bensona.

„Nawet o nim nie myśl”.

– Dziękuję – szepczę w końcu.

– Podziękujesz mi, jeśli wyjdziemy z tego żywe – odpowiada tak cicho, że nie wiem, czy chciała, bym to usłyszała. – Gotowa?

Zarzucam plecak na ramię i odpinam pasy.

– Gotowa – wyduszam z siebie, kładąc palce na kłamce.

To największe kłamstwo mojego życia.

Samochód zatrzymuje się z piskiem opon i w tej samej sekundzie ręce Elizabeth wypychają mnie z auta. Mocuję się z drzwiami i wypadam, chwieję się i przewracam na jedno kolano, ślizgając się na śliskim betonie. Samochód od razu rusza. Otacza mnie ciemność, ale zmuszam się do wyprostowania kolana i nurkuję za kontener ze śmieciami. Nie ośmielam się wyjrzeć i patrzeć, jak znikają tylne światła samochodu. Lodowaty deszcz moczy mi twarz, gdy zaczynam odliczanie.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

Przy osiemnastu ziemia pod nogami zaczyna się trząść, a fala ognistego światła dociera do moich oczu, zanim jeszcze fale dźwiękowe rozbrzmiają w moich uszach.

Wybuch.

Na wschodzie.

W kierunku, w którym pojechała Elizabeth.

W miejscu, do którego pędzący samochód mógł dojechać w ciągu osiemnastu sekund.

Nikt nie mógł przeżyć takiej eksplozji.

Rozpacz ściska mnie za gardło, pozbawia płuca powietrza, przez kilka sekund tracę głowę. Tracę wolę walki, życia, chęć ucieczki. Ostatecznie zmuszam się, by doliczyć do trzydziestu, chociaż przez cały czas zęby mi grzechoczą z przerażenia. Wyskakuję zza śmietnika i pędzę wzdłuż uliczki, nie oglądając się za siebie. Staram się trzymać zacienionych zakamarków, chociaż nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

Nie mam pojęcia, gdzie jest dworzec, mam tylko nadzieję, że będzie go łatwo znaleźć, tak jak mówiła Elizabeth.

Elizabeth.

„Nie myśl o niej. Nie myśl o niej! Ani o żadnym z nich. Skup się na tym, żeby przeżyć”.

Kiedy dostrzegam charakterystyczne jaskrawe neony, niemal wybucham płaczem. To poczucie ulgi. Płuca mnie boją, ale prawie dotarłam do celu.

I wtedy dociera do mnie ten dźwięk.

Czyjeś kroki za moimi plecami.

Coś przelatuje ze świstem obok mojego ucha, a gdy ląduje w żwirze, zasypując mnie drobnymi kamykami, wydają z siebie okrzyk. Kula.

Znaleźli mnie.

Dworzec jest już tak blisko, jednak nie wiem, czy uda mi się do niego dotrzeć.

A nawet jeśli, to co dalej? Nie mam czasu, żeby ustawić się w kolejce, kupić bilet. Nie mówiąc już o długim czekaniu na kolejny autobus.

Do tego czasu będę martwa, podziurawiona licznymi kulami.

A potem świat powoli szeptnie, ponieważ byłam zbyt zaślepiona, by zobaczyć, kim naprawdę jest Benson.

To dla mnie za wiele – nie dam rady o tym myśleć.

W moim umyśle pojawia się obraz chłopczej twarzy okolonej złotymi włosami – z pewnością dzięki uprzejmości Rebekki.

L o g a n. Przecież mogę skupić się na Loganie.

On nic nie wie.

Muszę do niego dotrzeć.

Zaciskam zęby i poprawiam plecak. Jeżeli teraz zginę, nigdy nie znajdę Logana. Już nigdy. To będzie koniec dla nas obojga. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie chcę dokończyć żywota, nie spotkawszy się z nim – choćby po raz ostatni.

Mając przed oczami te jego zielone oczy, sięgam do głębszych pokładów energii i zmuszam się, by zignorować okropny ból w nodze. Biegnę, wydłużam krok, moje stopy uderzają w chodnik, płuca domagają się powietrza.

Kiedy dotrę do światła, Reduciat będzie musiał wstrzymać pościg, żeby nie rzucać się w oczy. Albo przynajmniej przyjąć subtelniejszą taktykę. Z drugiej strony życie ludzkie nic przecież dla nich nie znaczy. Zapewne pozbędą się wszystkich świadków. Kolejne zabite osoby u moich stóp.

„Biegnij!”

Słyszę cichy szum autobusu, jeszcze zanim zobaczę pojazd. To jedyny autobus z uruchomionym silnikiem, do tego stojący za płotem.

Właśnie będzie odjeżdżał.

M u s z ę do niego wsiąść.

Brakuje mi jeszcze piętnastu metrów, kiedy wsiada ostatnia osoba z kolejki. Kierowca

uśmiecha się i rozgląda po wyludnionych stanowiskach.

– Pittsburgh? – woła. – Ktoś jeszcze do Pittsburgha?

Nie mam biletu.

Jeszcze.

Pięć metrów.

Dziesięć sekund.

Zaciskam powieki i próbuję sobie przypomnieć ostatnią podróż autobusem Greyhound.

Miałam wtedy szesnaście lat i jechałam odwiedzić koleżankę, która wyprowadziła się do innego stanu.

Bilet. Jak on wyglądał?

Myśli kotłują mi się w głowie, próbuję przypomnieć sobie szczegóły, kartonik w ręku, zieleń logo, nic nieznaczące słowa.

Kod kreskowy.

A co, jeśli zechcą go zeskanować? Serce łomocze mi jak oszalałe, mam wrażenie, że to trzepot skrzydeł kolibrów.

Nie dam rady.

Zginę.

Już prawie czuję te kule, które rozrywają mi skórę na plecach.

Kierowca patrzy na mnie i się uśmiecha. Zwalniam, ale nie rozglądam się dookoła. Gdy dochodzę do autobusu, pot spływa mi po karku, ale i tak trzęsę się z zimna i z nerwów.

Zatrzymuję się przed kierowcą.

Wyciąga rękę.

Unoszę swoją i dopiero kiedy znajduje się na wysokości mojego pasa, wyczuwam w niej ostry narożnik kartonika.

Kierowca w uniformie tylko rzuca okiem na biało-zielony cud w moich palcach i macha, bym wsiadała.

– W ostatniej chwili – stwierdza.

Przywieram mokrymi rękami do balustrady, dłonie mi się ślizgają, gdy próbuję się podciągnąć. Powinno mi zmusić do zrobienia kolejnego kroku nogę, która nie ma siły nawet stać. Adrenalina ze mnie odpłynęła, mam wrażenie, że ciało stało się miękkie jak makaron.

Kierowca dostrzega chyba moją rozpacz, bo nagle czuję dużą, ciepłą dłoń na łokciu – pomaga mi pokonać ostatnie dwa stopnie.

– Zauważyłem, że kulejesz – mówi cicho. – Usiądź i odpocznij.

„Wielkie dzięki, proszę pana”.

Jednak nie wypowiadam tego na głos. Gdybym otworzyła usta, zupełnie bym się posypała. Zamiast tego kiwam tylko głową i staram się okazać wdzięczność spojrzeniem.

Kładę plecak na podłodze, a wtedy upuszczam bilet. Desperacko macam dookoła, szukając kartonika, który ocalił mi życie. Jeden z rogów się zgiął, prostuję go z nabożną czcią.

Szczerze mówiąc, nie wyszedł mi najlepiej. Kłują mnie w oczy zniekształcone litery na dole. Jedyne słowo, które mi się udało, to Pittsburgh. Owszem, jest kod kreskowy, ale kiedy przyglądam się biletowi, mrużąc oczy w ciemności, zdaję sobie sprawę, że wszystkie kreski mają tę samą długość i szerokość. Gdyby został zeskanowany, nie miałabym szans.

Logo jest na miejscu i wygląda tak, jak je zapamiętałam. Aż zamieram, bo dociera do mnie, jak beznadziejny jest ten bilet – i jakie miałam szczęście, że kierowca nie przyjrzał mu się dokładniej.

Dzięki temu żyję.

Drzwi się zamykają, kierowca zapina pas na wielkim brzuchu. Wyglądam przez okno

i widzę, że na parking wbiega dwóch mężczyzn w czarnych spodniach i koszulkach polo.

„Jedź, jedź!”, popędzam kierowcę w myślach. Wreszcie wrzuca bieg i rusza. Nie spuszczam z oka obu mężczyzn, wiem, że nie widzą mnie przez przyciemniane szyby. Spoglądają na autobus, ale od momentu, gdy wbiegłam na parking, do odjazdu minęło dosłownie trzydzieści sekund.

Nie powinnam być w środku.

Ale na pewno mają podejrzenia.

Łomotanie do drzwi wyrwa mnie z zamyślenia. Pochylam się i widzę, że pokazują kierowcy, by ich wpuścił.

– Muszę jechać – protestuje.

Machają błyszczącymi plakietkami – nie mam wątpliwości, że są fałszywe. Kierowca wzdycha i zatrzymuje autobus.

„Błagam, nie!” Znajduję się w pułapce. Jestem jak szczur w klatce. Po tym wszystkim, co Reese, Jay i Elizabeth dla mnie zrobili, Reduciat i tak położy na mnie łapę. Mam ochotę wybuchnąć płaczem i wykrzyknąć całą niesprawiedliwość.

„Życie nie zawsze jest sprawiedliwe” – mama powtarzała to setki razy.

Mama.

Przychodzi mi do głowy zwariowany pomysł i niemal wpadam w panikę, bo mam tylko kilka sekund na jego zrealizowanie.

Słyszę dźwięk otwieranych drzwi, zaciskam powieki i staram się myśleć o mamie. Wyłącznie o mamie. O jej jasnobrażowych włosach, długich, pulchnych ramionach, zaraźliwym uśmiechu. Zbieram całą swoją energię i staram się przypomnieć sobie każdy szczegół jej wyglądu. Uśmiech, krótkie palce, długie włosy. Moje też kiedyś takie były.

– Przepraszam panią, halo, proszę pani!

Spoglądam na zdyszanego mężczyznę, który niecałe dwie minuty temu do mnie strzelał. Patrzy mi w oczy, a ja próbuję utrzymać neutralny wyraz twarzy. Zaciska zęby i idzie dalej, potrząsając przy tym głową.

– ...nie ma tutaj... tracimy czas... trzeba przeczesać teren...

Nawet nie próbują ściszać głosu. Wychodzą z autobusu bez słowa przeprosin.

Kierowca zżyma się pod nosem na ich grubiańskość, ale wreszcie zamyka drzwi, a ja znów mogę oddychać, bo autobus wyjeżdża z dworca na szosę.

Potrzebne mi lusterko.

Grzebię w plecaku, wyciągam kosmetyczkę i otwieram lusterko. Kiedy mijamy latarnię, jej światło oblewa wnętrze autobusu. Z lusterka spogląda na mnie twarz mojej mamy.

Aż się zapowietrzam na ten widok. Wyciągam palce, żeby dotknąć lusterka.

Nie, muszę dotknąć s w o j e j twarzy.

To ja.

To ona.

Dotykam jej ust, policzków i rzęs, patrzę w zielone oczy. A potem się uśmiecham.

To jej uśmiech.

Coś mnie łaskocze w palce, odwracając moją uwagę od odbicia w lusterku. Opuszczam wzrok i widzę, że bilet zaczyna mi się rozplýwać w rękę. Przypomina to uczucie, kiedy fala morska cofa się i wymywa piasek spod stóp.

Mija kilka sekund i bilet znika.

Natychmiast spoglądam w lusterko. Skoro kartonik zniknął, została mi minuta, może dwie na oglądanie znajomej twarzy. Teoretycznie mogłabym wszystko powtórzyć, ale wiem, że byłoby to dziwne oszustwo. To moja jedyna szansa na zobaczenie mamy.

Wpatruję się w jej odbicie z nadzieją, że sekundy będą trwać i trwać, jednak czas rządzi się swoimi prawami i wkrótce długi nos przechodzi w krótki, zielone oczy stają się brązowe, a włosy krótkie.

Znów jestem sobą.

A moja mama nie żyje.

Zaciskam palce na lusterku.

Wszyscy, których kochałam, stracili życie. Albo jeszcze gorzej.

„Wszyscy z wyjątkiem Quinna”, przypomina mi głos Rebekki, ale odpycham ją od siebie. Nie mogę sobie pozwolić na nadzieję. Wypełnia mnie udręka, nie ma miejsca na inne uczucia.

Podciągam kolana do klatki piersiowej i opieram na nich policzek. Zerkam spod opuszczonych rzęs na współpasażerów.

Jakaś kobieta kołysze na kolanach małe dziecko. Chłopczyk wtula buzię w jej ramię, ale i tak słyszę jego cichy szloch. Nie chcę się gapić, jednak po tym, jak drży, poznaję, że matka też płacze. Kilka rzędów dalej mężczyzna opiera głowę o szybę. Nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, ale widzę, że po policzkach płyną mu łzy. Po drugiej stronie siedzi nastolatka. Założyła kaptur na głowę, kabel słuchawek prowadzi do trzymanego w ręku iPoda. *Z a c i ś n i ę t e g o* w ręku. Zastanawiam się, czy zasnęła, kiedy nagle głośno pociąga nosem.

Nie jestem sama ze swoją rozpaczą, więc ja także pozwalam płynąć łzom. W tym nocnym autobusie, który toczy się szosą pod atramentowym niebem, nikt nie zwróci na to uwagi.

– Przyszedłem, kiedy tylko usłyszałem.

– Wolalabym, żebyś tego nie słyszał. – Stoję w swoim gabinecie – prawdziwym, tajnym – i patrzę przez okno na kompletną ciemność.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

– Wystarczająco. – Gardło mam ściśnięte i werbalizuję nieznanne uczucie, które przeszywa mnie na wylot. – Nawaliłam.

– Nie.

– Tak – syczę. – Ona była taka... taka silna. Nie powinna być tak silna! – podnoszę głos. Nienawidzę tego, że tracę panowanie nad sobą, ale nie mogę powstrzymać gniewu. – Powinna być słaba, ledwo funkcjonować. Sprowadzenie jej tutaj po tym, jak Benson pomógł jej odzyskać pamięć, powinno być bułką z masłem. – Zaciskam zęby. Nie zobaczy, jak płaczę. – Nie rozumiem, co się stało.

Milczy tak długo, że w końcu się odwracam. Spodziewam się wyrazu nagany w jego oczach, ale on wydaje się ostrożny.

– A jeśli ona... nie tylko się zmieniła... Jeśli... jeśli wyzerowała się, o ile można tak powiedzieć?

– Do swojej pierwotnej mocy? – Na samą myśl strach zaciska na mnie swoją obręcz, nie mogę oddychać. – Chyba bogowie nie byliby aż tak okrutni.

– Ale to możliwe.

– Ustaliliśmy już, że na tym etapie wszystko jest możliwe – odpowiadam i znów się odwracam.

– Przynajmniej wiemy, dokąd zmierza.

– Do n i e g o – mówię z goryczą. – Czy będzie jeszcze gorzej? – Staję z nim twarzą w twarz, staję przed mężczyzną, którego znam i kocham dłużej, niż sięga moja pamięć. – Teraz twoja kolej zabawić się w myśliwego.

Kiwa głową, ale nic nie mówi. Wiedział o tym. Dlatego tu dzisiaj przyszedł. Żeby przejąć zadanie.

Może ją sobie wziąć.

Wpatrujemy się w siebie przez dłuższą chwilę. Mam wrażenie, że słowa są już między nami zupełnie zbędne.

A potem bez słowa, bez pożegnania odwraca się i wychodzi, sprawnie manipulując przy zamku tajnego wyjścia. Patrzę na drzwi, które teraz wyglądają jak ściana, i słyszę dochodzące z oddali tykanie zegara.

– Zrób to lepiej niż ja – szepczę.

– Phoenix!

Głos budzi mnie, więc przecieram twarz ręką. Ostatnio, kiedy się obudziłam, okazało się, że jestem zaśliniona.

Prostuję się z obawą, że już do końca życia mój kręgosłup zachowa kształt siedzenia autobusowego. Osiem autobusów, pięć tysięcy kilometrów i cztery noce na gołej ziemi. Teoretycznie mogłam spać na dworcach, chroniona przed chłodem i wiatrem. Albo nawet w hotelu – mam pieniądze, całkiem sporą sumkę w złotych monetach, nie wspominając o możliwości stworzenia sobie dodatkowych funduszy, gdybym naprawdę musiała. Ale to wszystko prędzej czy później doprowadziłoby do namierzenia mnie przez Reduciat, a w konsekwencji – do śmierci. Tak więc przez kilka ostatnich nocy musiałam zaprzyjaźnić się z oplecionymi pajęczyną zaroślami i mokrą, zimną trawą.

Co było morderstwem dla mojego kręgosłupa, nie wspominając o nogach. Przeciskam się do drzwi, boli mnie każdy mięsień. Ledwo pokonuję ostatni stopień, potykam się i wyskakuję na słońce. Zakrywam oczy ręką, czuję się jak niedźwiadek, który obudził się po śnie zimowym.

Odczuwam coś tak dawno niespotykanego, że rozpoznaję to dopiero po kilku sekundach.

Ciepło. Promienie słońca rozchodzą się po moim ciele, ogrzewając skórę i powietrze, które wydecham. Pozwalam sobie postać kilka minut, kąpiąc się w ożywczym słońcu. Nie jestem pewna, czy odkąd wyjechałam z Portsmouth, chociaż raz było mi ciepło. Jechaliśmy przez deszcz, grad, musieliśmy nawet zatrzymać autobus ze względu na tornado w Montanie. Wszyscy pasażerowie wysnuwali teorie o globalnym ociepleniu i rozbłyskach słonecznych, ale ja się nie odzywałam. Nie rozumiem jeszcze związku pomiędzy ekstremalną pogodą a wirusem, jednak Elizabeth twierdziła, że istnieje, a ja... już jej wierzę.

Dopiero po kilku minutach orientuję się w swoim położeniu i przyzwyczajam do chodzenia po powierzchni, która się nie kołysze. Matko, ale śmierdzą. Pobieżne mycie w przydrożnych łazienkach okazało się niewystarczające. „Ale to i tak lepsze niż niewola w Reduciacie”, napominam samą siebie.

W ogóle nie czuję się sobą. To znaczy... raczej w ogóle nie czuję się Tavią. W ciągu ostatnich pięciu dni pozwoliłam tym wszystkim głosom, które pojawiły się w mojej głowie, gdy walczyłam z Marie, aby stały się częścią mnie. Wypisałam wszystkie informacje, które jestem sobie w stanie przypomnieć. Shihoh, królowa wojownicza z okresu, kiedy czas jeszcze nic nie znaczył. Embeth, pomywaczka śniąca sny, których nie potrafiła zrozumieć. Kahonda, hinduska łowczyni, która zginęła podczas poszukiwań czegoś, czego nie potrafiła ubrać w słowa.

A także Sonya. I Rebecca.

Są teraz mną, a ja jestem nimi.

Wszystkie musimy zrobić jedną rzecz: znaleźć go.

Teraz, kiedy miałam czas, żeby przeczytać sekretną część dziennika Rebekki – i to dwukrotnie – wiemy już, przed czym uciekamy. Nie wiem, jaka przyszłość czeka mnie z Loganem lub bez niego, ale muszę go znaleźć i ochronić przed tymi ludźmi.

To przerażające, ile katastrof w dziejach ludzkości można przypisać Przyziemcom, najczęściej sprzymierzonym z Reduciatem, choć nie zawsze. Inwazja mongolska w Chinach, wielki głód w Indiach, potop szwedzki w Polsce i na Litwie, a nawet – jeśli wierzyć Curatoriatowi – czarna śmierć, będąca testem próbnym wirusa, który teraz dziesiątkuje ludzkość. Epidemia dżumy przetrzebiła Europę siedemset lat temu, ale – jak widać – Reduciatowi to nie wystarczyło. Ten wirus jest podobno dziesięć razy gorszy. Dziesięć razy bardziej śmiertelny.

Aż mi się zbiera na mdłości, gdy pomyślę, że dla nich to wyjątkowe osiągnięcie.

Zastanawiam się, w co byli zamieszani już po wpisach Rebekki. W wielki kryzys? Wojny światowe? Można by im przypisać nawet katastrofy naturalne, jak chociażby potężne tsunami z ostatnich dziesięciu lat.

Staram się tego nie roztrząsać. Muszę skupić się na podstawowym zadaniu: znalezieniu Logana. Kolejny krok jest tak ogromny, że nie potrafię nawet o nim myśleć.

Jest niemożliwy.

Spoglądam na świstek papieru, na którym zapisałam adres Logana, chociaż znam go już na pamięć.

Taksówka. Potrzebna mi taksówka.

Muszę do niego dojechać, upewnić się, czy nadal żyje.

A jeśli tak, gra będzie tego warta.

Nie. Nie w a r t a. Ale w pewnym stopniu uzasadniona. Ten Logan musi być właściwym facetem. Musi być Quinnem. Jestem teraz pewna, że nikogo nie uratuję, jeżeli nie znajdę swojego partnera. Śmierć Sammi, Marka i Elizabeth musi mieć jakieś znaczenie.

„Śmierć Bensona”, podpowiada mi umysł, ale odpycham od siebie tę myśl. On żyje.

Chociaż może wołałabym, żeby umarł.

Tak czy inaczej, zbyt wiele osób straciło już życie z mojego – z naszego – powodu. I to nie tylko w tym wcieleniu.

Rozglądam się. Nie wiem, jak znaleźć taksówkę. Przez kilka minut stoję na parkingu zupełnie zagubiona, aż w końcu dociera do mnie, że jaskrawozielone samochody widoczne na drugim końcu ulicy to taksówki. Jaskrawozielone?

Nieważne.

Podchodzę do jednej i pokazuję kierowcy świstek.

– Może mnie pan tam zawieźć? – pytam.

Wyciąga rękę po kartkę, ale odsuwam ją zaborczo. To potwierdzenie tego, dokąd zmierzam – moja własna papierowa droga. Teraz już wiem, na czym polega paranoja.

Kiwa głową ze zrozumieniem, pewnie często wozi szaleńców, i pochyla się nad adresem.

– Jasne – mówi z obcym akcentem. – Jakies piętnaście kilometrów.

Gwałtownie potrząsam głową, czując przypływ adrenaliny. Piętnaście kilometrów. Mogłabym iść pieszo, gdyby zaszła taka potrzeba. Moje ciało tężeje na samą myśl, jestem wdzięczna, że nie muszę maszerować.

– Bagaże? – Taksówkarz macha ręką w stronę autobusu.

Zaprzeczam. Mam tylko plecak. Chwytam mocniej za paski, kiedy proponuje, że go schowa. Tam są dzienniki, mój i Quinna, a także kilka stron z dokumentów, które udało mi się uratować, plus złoto, pieniądze i naszyjnik. Nikt nie zabierze mi tych łączników z przeszłością – nawet na sekundę.

Kierowca otwiera tylne drzwi, siadam w chłodnym wnętrzu. Zapala silnik i z wywietrzników na suficie wypływa jeszcze zimniejsze powietrze, uderzając mnie lodową falą, aż na rękach pojawia mi się gęsia skórka. Kiedy odjeżdżamy z postoju, po plecach przebiega mi zimny dreszcz i zaczynam się trząść.

Nie uchodzi to uwagi taksówkarza, który wyłącza klimatyzację. Jestem mu wdzięczna, chociaż właściwie nie ma to większego znaczenia. To tylko nerwy.

Z każdą upływającą minutą jestem coraz bliżej Logana. Pozwalam sobie na uczucia, których wcześniej nie chciałam do siebie dopuścić. Niech pojawi się to przyciąganie – i miłość Rebekki. Już nawet mnie nie obchodzi, że to nie mój wybór. Czy można walczyć z przeznaczeniem?

Byłam głupia, że próbowałam. Żałuję, że nie posłuchałam Elizabeth. Może wtedy i ona,

i Sammi z Markiem nadal by żyli.

Powinłam była to wiedzieć nawet bez jej rad.

Istoty ludzkie i boginie. To się nigdy nie kończy dobrze, przecież czytałam niejedną historię. Moje miejsce jest wśród takich jak ja.

U boku Logana. Jestem mu potrzebna.

Może... może tego właśnie chcę.

Szkoda, że przekonanie się o tym kosztowało mnie tyle wysiłku. Znowu chodzi o Bensona i Quinna, chociaż tym razem cała sprawa dotyczy emocji, których wolałabym nie odczuwać w związku z tym pierwszym.

„Skup się, no skup się na tym, że one wszystkie kochają Quinna”.

Pochyliłam się na tyle, na ile pozwala mi pas, i przyglądam się licznikowi. Taksówkarz zerka na mnie kątem oka. Widzi, jak się wgapiam w przeskakujące czerwone cyfry, i pewnie myśli, że martwię się o cenę. Boi się, że nie mam mu czym zapłacić.

Jakże się myli. Ja tylko chciałabym, żeby te cyfry przesuwwały się szybciej. Żeby taksówkarz przyspieszył.

Słyszę dźwięk kierunkowskazu, więc prostuję się i wyglądam przez przednią szybę. Skręcamy z głównej drogi w spokojną dzielnicę mieszkalną. Nic ekskluzywnego, ale przyjemne miejsce.

Niestety, to ten typ osiedla, na którym taksówka z pewnością zostanie zauważona.

– Hej! – Przechyliłam się w jego stronę. – Mógłby mnie pan wysadzić ulicę wcześniej?

– Oczywiście – odpowiada, po czym mruczy: – Jak sobie życzysz.

Dziesięć sekund później zatrzymuje się przed piętrowym budynkiem, częściowo otynkowanym, częściowo w cegle, i okrąża auto, żeby otworzyć mi drzwi. Zastygam z przerażenia. Tylko czy to przerażenie? Nie do końca. Raczej mieszanka strachu, zdenerwowania i oszołomienia, która mnie paraliżuje. Drzwi się otwierają, do środka wpadają ciepłe promienie słońca, moja skóra topnieje, topnieje też strach. Ruszam się powoli, ale się ruszam.

Taksówkarz patrzy na mnie z prawdziwym niepokojem.

– Dwadzieścia dziewięć osiemdziesiąt – mówi, z pewnością zakładając, że nie mam czym zapłacić. Nie mam mu tego za złe, rzeczywiście mogę sprawić takie wrażenie. Odliczam dwie dwudziestki z małego zwitka banknotów, które trzymam w kieszeni, i podaję kierowcy, choć mój wzrok już wędruje w stronę ulicy z karteczki. Mężczyzna coś mówi, ale nawet go nie słyszę. Mruczę coś niewyraźnie i odchodzę.

Rzuca się do samochodu, pewnie boi się, że poproszę o resztę, ale ja nie mam siły, by zaprzętać sobie tym głowę. Ledwo udaje mi się oddychać. Czuję, że klatka piersiowa zaczyna mi drzeć w sposób niekontrolowany, więc zmuszam się do wdechu i trzymam go w ustach przez trzy sekundy, żeby nie dopuścić do hiperwentylacji.

Znowu.

Znowu.

Serce mi wali, jego dźwięk aż mnie ogłusza, ale przynajmniej nie kręci mi się w głowie. Stopy niosą mnie wzdłuż chodnika.

Nie mam planu. Cztery dni myślenia o Loganie, a ja nadal nie mam planu.

Jest sobota. Powinien być w domu. Dopiero wczesne popołudnie – to nie jest pora imprez ani randek.

A jeśli ma dziewczynę? Zasycha mi w ustach. Tego nie wzięłam pod uwagę.

Kąćki moich ust unoszą się w cieniu uśmiechu. „Ot, po prostu jeszcze jedna przeszkoda”. Ostatni tydzień udowodnił mi, że całkiem dobrze sobie radzę w biegu z przeszkodami.

Jestem na miejscu.

„I co teraz?”

Zadzwoń do drzwi? To byłoby trochę dziwne. Może kręcić się dookoła jak jakaś stalkerka? To chyba nie jest najlepszy pomysł, ale nie mam gdzie się podziać.

Waham się pod jego domem – pewnie wyglądam jak kretyńka – i zupełnie jakby wyczuł moją obecność, bo nagle otwierają się drzwi, potem zamykają z trzaskiem i wychodzi z nich wysoki chłopak. Oddycham z trudem, spijając wzrokiem każdy jego szczegół. Ma spuszczoną głowę i patrzy na ekran komórki, widzę tylko złote włosy.

Włosy Quinna.

To m u s i być on.

W gardle mi zaschło i nie jestem w stanie wydobyć z siebie dźwięku nawet wtedy, gdy zdaję sobie sprawę, że w ogóle mnie nie zauważył i za chwilę na mnie wpadnie.

Prawie mnie przewraca, po czym unosi gwałtownie głowę i odskakuje na bok.

– Aaa – odzywa się cichym, niskim głosem. – Przepraszam. Wysyłałem SMS. Jestem idiotą. Wszystko w porządku?

Spogląda mi w oczy, a moje wątpliwości się rozplývają.

To Quinn. Mój Quinn. Ma krótsze włosy, bardziej umięśnione ręce oraz ramiona i niesymetryczny uśmiech, ale to on.

W tym samym momencie czuję, że nie mogę się doczekać, kiedy go poznam, przekonam się, kim jest teraz, jak się zmienił przez ostatnie dwieście lat. Oblewa mnie fala ciepła, wypełnia mnie świadomość tego, że go jednak znalazłam. Na usta wpełza mi uśmiech, nie potrafię go powstrzymać.

– Ty... tu mieszkasz? – wykrztuszam.

– Tutaj? – Pokazuje kciukiem na niebieski dom. – Taaa.

– Ja... ja... – próbuję coś powiedzieć i nagle mam plan. Wsuwam dłoń do bocznej kieszeni plecaka. – Znalazłam to na chodniku. – Rozpościeram palce. – Wygląda na cenny. Może... może to twojej mamy? – kończę nieprzekonująco.

Dłoń mam spoconą, wiem, że naszyjnik Rebekki będzie wilgotny, ale wcale nie jestem z tego powodu zażenowana. Kiedy tylko go dotnie, cała reszta przestanie mieć znaczenie.

Wyciąga rękę, ja też, celowo muskając jego skórę. Prawie zapiera mi dech, kiedy przebiega przeze mnie ekscytujący dreszcz. To lepsze niż wszystkie sny o nim, lepsze niż wspomnienia, które przyniósł mi naszyjnik.

Tym razem to dzieje się naprawdę.

Jest bardziej prawdziwe niż Benson.

Odsuwam od siebie tę myśl i puszczam naszyjnik.

Wysuwa mi się z palców prosto na jego dłoń, wylewa niczym płyn.

Przygląda mu się uważnie.

Patrzy i patrzy.

Mam ochotę wrzasnąć, żeby spojrzął na mnie, ale być może w tym wcieleniu jest bardzo nieśmiały.

Okej, poczekam.

Sekundę.

Wzrusza ramionami.

– Mogę ją zapytać, jeśli chcesz – odpowiada niedbale. – Ale nigdy nie widziałem, żeby coś takiego nosiła.

Jestem załamana. Bawi się ze mną – na pewno. Przecież nie tak to miało wyglądać.

– Chcesz, żebym przeszedł się z tobą popytać wśród sąsiadów? – Patrzy na mnie

zielonymi oczami.

Bez wyrazu.

Serce mi umiera. Nie jestem pewna, czy utrzymam się na nogach.

Nic nie zadziało – ani mój dotyk, ani naszyjnik. Nadal jest tylko Loganem, a nie moim Quinnem.

„Jeszcze nie”, napomina mnie Rebecca. I gdzieś w głębi siebie znajduję pokłady siły, o które nigdy bym się nie podejrzewała. Nowe postanowienie.

Dawno temu, kiedy Quinn spotkał mnie jako Rebeccę, to ja nie znałam jego. Może teraz role się odwróciły.

Najważniejsze, że go znalazłam. Prędzej czy później sobie przypomni. Pomogą mi w tym stare dzienniki – i lakoniczne informacje o Loganie od Sammi, których niemal nauczyłam się na pamięć. Gdzieś tam znajdują się wskazówki, na pewno je znajdę.

Do tego czasu będę trzymać się blisko Logana. Jestem nie tylko jego partnerką, ale i opiekunką. Reduciat mnie szuka. Nas szuka. W końcu nas znajdą.

Ponownie.

Kurczę, pewnie Benson im już powiedział, że jesteśmy w Phoenix.

Jeżeli nie obudzę jego pamięci, zanim zabiją mnie – albo jego – zanim nie zrobię tego, co powinnam, żebyśmy odzyskali moc – już po nas.

Jestem mu potrzebna.

A my jesteśmy potrzebni światu.

Wyciągam rękę po naszyjnik i wzruszam niedbale ramionami.

– To chyba nie będzie konieczne – mówię. – Ale jeśli usłyszysz, że ktoś go zgubił, dasz mi znać? – Sięgam do plecaka, zasłaniając jego zawartość przed wzrokiem Logana. Wyciągam kartkę, dotykam jej końcówką długopisu i wtedy przypominam sobie, że telefon Elizabeth znajduje się na wysypisku śmieci w Pensylwanii. Po jej śmierci wołałam nie ryzykować, pozbyłam się wszystkiego.

– Holender, ale mam sklerozę – mamroczę, czując, jak oblewam się rumieńcem. – Zgubiłam komórkę i nie jestem pewna, kiedy będę miała nową. Mogę t w ó j numer? – pytam, spoglądając na niego spod opuszczonych rzęs.

– Eee... jasne – odpowiada i podaje mi cyfry.

– A imię? – udaję głupią.

– Logan – mówi. Wkłada telefon do kieszeni i podaje mi rękę.

Odwzajemniam uścisk, a kiedy dotykam jego cieplej skóry, przeszywa mnie dreszcz podekscytowania. Jest trochę inny, pewnie bardziej nowoczesny, ale w zasadzie się nie zmienił. Te oczy, niesymetryczny uśmiech. Chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek udało mi się znaleźć go w tak młodym wieku.

Mamy przed sobą całe życie.

Coś mnie ściska w dołku, kiedy przypominam sobie, że Benson wypowiedział podobne słowa. Nie chcę o tym myśleć.

Nie mam czasu na żale.

– Tavia – mówię i trzymam jego rękę chwilę dłużej, niż to konieczne. – Dzięki za to. – Podnoszę skrawek z numerem. – Zadzwoń.

– Jasne.

Ruszam przed siebie, spoglądam na niego raz jeszcze. Nie wiem, dokąd zmierzam, nie mam gdzie się zatrzymać na noc, ale to nie ma znaczenia. Jesteśmy razem, w końcu się uda.

To przeznaczenie.

– Poczekaj! – woła Logan tuż po tym, jak w końcu oderwałam od niego wzrok.

Zatrzymuję się, a on robi kilka kroków do przodu. Wydaje się zakłopotany.

– Czy my... wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale czy my się znamy?

Uśmiecham się, pewna siebie.

– Nie – odpowiadam radośnie. – Jeszcze nie. – Zarzucam plecak wyżej i odwracam się, zerkając na niego przez ramię. – Ale się poznamy.

PODZIĘKOWANIA

Wow. Ta książka to jedna z najbardziej przerażających rzeczy, jakie kiedykolwiek stworzyłam, i pewnie byłabym teraz kupką płaczącego nieszczęścia, gdyby nie ludzie, którzy z zaangażowaniem nadali jej obecny kształt.

Dziękuję Jodi Reamer, mojej agentce, za dodawanie mi odwagi, gdy mi jej zupełnie zabrakło. Benowi Schrankowi, mojemu wydawcy, za to, że zaryzykował, chociaż wydawało się, że nic z tego nie wyjdzie. Oraz Gillian Levinson, mojej redaktorce, za to, że miała czelność zadać jedno pytanie, którego nigdy nie powinno się zadawać autorce powieści o miłości. To przede wszystkim dlatego ta książka jest tak dobra.

Dziękuję mojej fantastycznej projektantce okładki, Emily Osborne. Mam u Ciebie dług wdzięczności. Naprawdę.

Scottowi i Ashley za to, że pozwolili mi ukraść informacje o obrażeniach Scotta i wykorzystać je w książce. Pisanie o takich sprawach jest o wiele łatwiejsze niż ich przeżywanie, ale obserwowanie, jak przechodzicie przez to razem, nadało powieści realizm i autentyczność, których bez Was bym nie uzyskała. Pamiętajcie tylko o jednym: mózg Tavii został uszkodzony jeszcze przed wypadkiem Scotta. Przysięgam!

Kenny'emu za to, że pozwolił mi na skok. Być może dla Ciebie było to bardziej przerażające niż dla mnie, ale i tak dałeś mi zielone światło. Dziękuję, że wierzyłeś w to, co musiałam zrobić.

Audrey, Brennan, Gideon i Gwendolyn – jesteście dla mnie ważniejsi niż moje książki. Dziękuję, że tolerujecie wszystkie dziwactwa mamy-pisarki.

I jeszcze raz dziękuję Kenny'emu. Ponieważ zasługuje na dwa podziękowania. Nie, nawet na dziesięć. Ale dwa muszą wystarczyć.